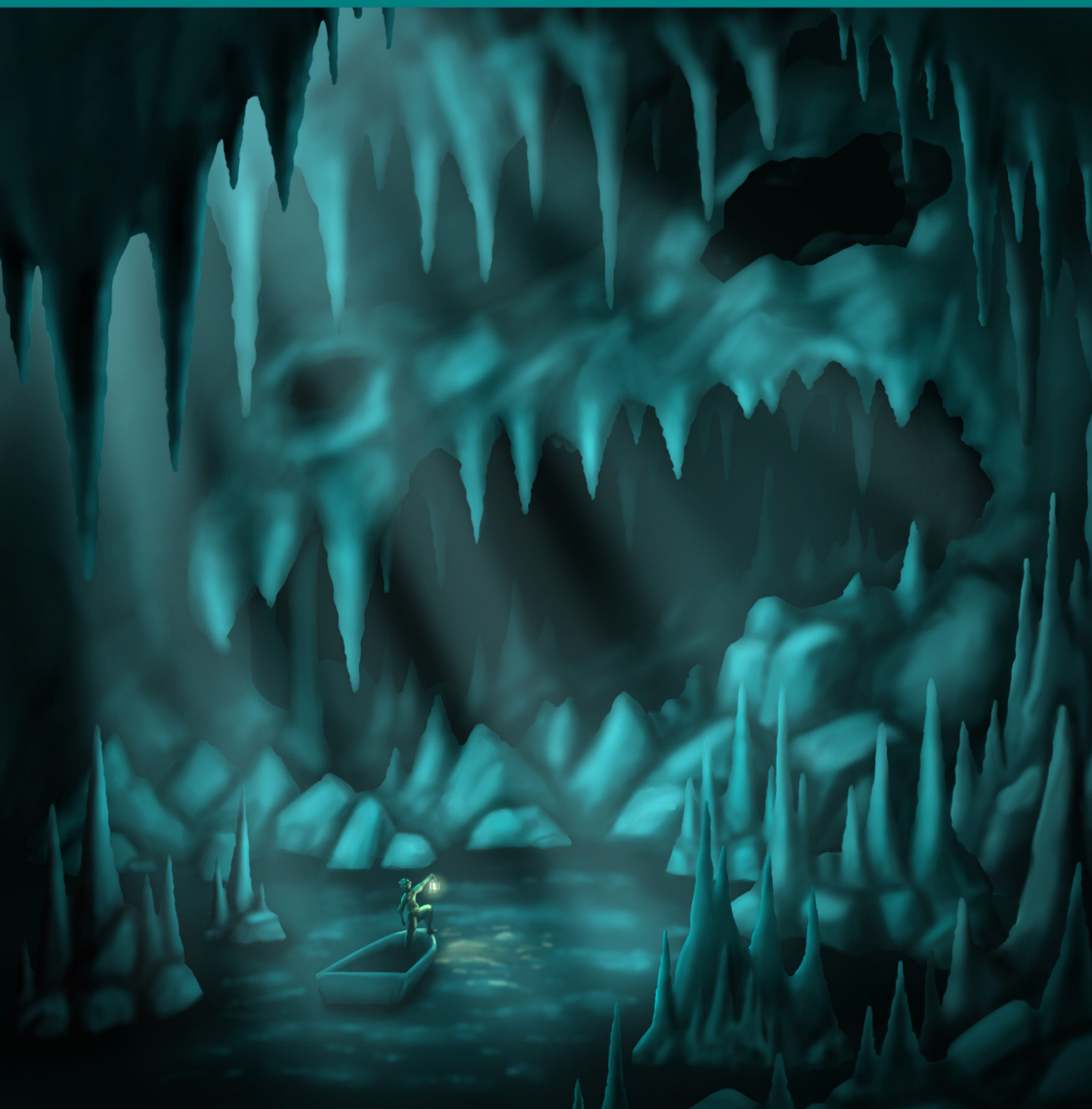


FANTASTYCZNE PIÓRA  
ANTOLOGIA PORTALU FANTASTYKA.PL  
2023



# Audiodeskrypcja okładki dla osób niewidomych

Autorka grafiki: Alicja Leszczyńska

Opis: Marcin Opolski

Konsultacja ekspercka: Magdalena Rutkowska

Okładka składa się z trzech części: szerokiego pasa na górze, wąskiego na dole i umieszczonej pomiędzy nimi grafiki.

Oba pasy mają turkusowo-morskie tło, główna ilustracja utrzymana jest w podobnych odcieniach, choć miejscami przechodzi w czerní. Na górnym znajduje się napis „Fantastyczne pióra, antologia portalu fantastyka.pl, 2023”. Na dolnym z lewej strony umieszczono słowo „fantastyczne”, obok którego są dwa czarne pióra. Po prawej umieszczono logo czasopisma i portalu „Nowa Fantastyka”, mające kształt stylizowanego na neon napisu.

Właściwa część grafiki ukazuje wnętrze ogromnej jaskini pełnej stalaktytów i stalagmitów. Układ cieni i mętnego światła sugeruje, że gdzieś powyżej prawego górnego rogu, w sklepieniu mogą znajdować się prześwity. Mimo to całość spowija półmrok.

W dolnej części obrazu, pomiędzy stalagmitami, znajduje się podziemne jezioro lub rzeka. Toń jest ciemna, a po jej powierzchni płynie skierowana w głąb grafiki łódka. Na lewo od niej z wody wystaje kilka stalagmitów, a nurt skręca za nie. Inne stalagmity wyrastają po prawej, na pierwszym planie, na wysokości połowy dolnej krawędzi, by rosnać coraz wyżej, aż do środka prawego boku ilustracji.

Na dziobie łodzi, tyłem do obserwatora, stoi postać z nogą na burcie. W wyciągniętej do przodu ręce trzyma latarnię i obserwuje formacje skalne znajdujące się powyżej przybrzeżnych głązów na drugim planie, na wysokości górnej połowy sceny. Ich układ niepokojąco przypomina skierowaną w lewo, wydłużoną czaszkę smoka lub innego monstrum. Ogromny otwór po prawej może być oczodołem. Daleko po lewej dostrzec można

dwukrotnie mniejszy, choć wciąż duży prześwit, kojarzący się z nozdrzem. Kilkanaście zwisających stalaktytów zdaje się spetryfikowanymi kłami. Dalszy plan, poniżej skały-czaszki, tonie w mroku.

Układ światel i cieni buduje atmosferę tajemnicy i czegoś prastarego.

FANTASTYCZNE



[www.fantastyka.pl/antologia](http://www.fantastyka.pl/antologia)

**Fantastyczne pióra 2023**  
**Antologia portalu [fantastyka.pl](http://fantastyka.pl)**

**Tytuł:** Fantastyczne pióra 2023. Antologia portalu fantastyka.pl

**Wydawca:** Fantastyczne Pióra, antologianf@gmail.com

**Patronat:** „Nowa Fantastyka”

**Autorzy:** Marcin Bartosiewicz, Adam Ciszewski, Michał Gola, Kacper Kamieniarz, Maria Krzywda, Rafał Łoboda, Marcin Bartosz Łukasiewicz, Jarosław Łukasiński, Wiktor Matyszkiewicz, Michał Rybiński, Iwona Serej

**Przedmowa:** Ola Kłęczar

**Ilustracje:** Agata Francik, Patrycja Kowalik, Gosia Lewandowska, Michał Pięta  
Sylwester Gdela (obróbka graficzna)

**Logotyp:** Sylwester Gdela, przy wykorzystaniu grafiki Bogusza Jaśniaka

**Okładka:** Alicja Leszczyńska, layout okładki zaprojektowany przez Adama Sondela

**Audiodeskrypcja okładki dla niewidomych:** Marcin Opolski

**Konsultacja ekspercka audiodeskrypcji:** Magdalena Rutkowska  
Audiodeskrypcja dostępna jest w wersji elektronicznej dokumentu.

**Redakcja:** Ambush, Maria Anna Barć, Weronika Borek-Marciniec, Lidia Gręda, Anna Grzanek, Irka Luz, Grzegorz Kałużny, Michał Pięta, Dariusz Skrzydło, Bogumiła Strzelec, Paweł Wąclawski

**Korekta:** Maria Anna Barć, Weronika Borek-Marciniec, Michał Gola, Anna Grzanek, Irka Luz, Grzegorz Kałużny, Maria Krzywda, Mika Modrzyńska, Agata Poważyńska, Dariusz Skrzydło, Bogumiła Strzelec

**Weryfikacja:** Ambush, Maria Anna Barć, Michał Gola, Anna Grzanek, Irka Luz, Grzegorz Kałużny, Jakub Kubal, Wiktor Matyszkiewicz, Regulatorzy, Iwona Serej, Łukasz Wiktor

**Skład:** Weronika Borek-Marciniec, Agencja Emotion Media (layout)

**Koordinacja:** Weronika Borek-Marciniec

**Redaktor prowadzący:** Weronika Borek-Marciniec

**Druk:** Sowa Sp. z o.o.

**Dystrybucja:** [www.antologia.smolec.pl/opencart3](http://www.antologia.smolec.pl/opencart3)

**ISBN:**

epub: 978-83-966833-8-0

mobi: 978-83-973448-0-8

PDF: 978-83-966833-9-7

Oprawa miękka: 978-83-966833-7-3

Wszystkie prawa zastrzeżone (nie dotyczy treści tworzonych za pomocą algorytmów generatywnych).

Wydanie I, Sobótka 2024

Nie ma lepszego miejsca do stawiania pierwszych kroków literackich niż portal działający przy magazynie *Nowa Fantastyka*. To tutaj początkujący autorzy uczą się, że pisanie wcale nie jest samotnym zajęciem: od burzy mózgow przy układaniu historii, poprzez bety, krytyki i wzajemny doping, a na wspólnym świętowaniu sukcesów kończąc. Społeczność portalu wspiera się na każdym etapie, a starsze pokolenia szczerze i bez ograniczeń dzielą się wiedzą ze świeżynkami. Jak pokazuje sukces tej antologii w swojej już siódmej edycji, wspólna praca nad tekstem owocuje historiami barwnymi, wciągającymi od pierwszych stron, ale też wspianiale dopracowanymi. To opowiadania różnorodne gatunkowo i zachwycające pomysłami – opowiadania, których autorzy stawiają na wysoką jakość i przyjemność z lektury.

**Mika Modrzyńska**

*pisarka, członkini Loży 2020*

Portal Nowej Fantastyki to od lat kuźnia talentów. Autorzy *Fantastycznych Piór* nie boją się oryginalności i podejmowania trudnych tematów, a ich pióra są – bezsprzecznie – fantastyczne. O wielu z nich jeszcze nie raz usłyszymy.

**Sonia Korta**

*pisarka, członkini Loży 2023*

fajne!  
Anet

015

**Fiolet i cień**

Rafał Łoboda

**Gatunek:** heroic fantasy

**Tagi:** artefakt, koniec świata, humor

057

**Księżycowy Most**

Michał Rybiński

**Gatunek:** weird west romans

**Tagi:** indianie, miłość

077

**Dwór Wisielczego Króla**

Iwona Serej

**Gatunek:** fantasy

**Tagi:** śmierć

109

**Wojny prolków**

Marcin Bartosz Łukasiewicz i Wiktor Matyszkiewicz

**Gatunek:** science fiction

**Tagi:** miłość, transhumanizm

123

**Cmentarzysko Sów**

Jarosław Łukasiński

**Gatunek:** fantasy

**Tagi:** groza, tajemnica, wieś

157

**Na herbatce u wampira**

Marcin Bartosiewicz

**Gatunek:** fantasy

**Tagi:** wampiry



# 175

## Głowa

Maria Krzywda

**Gatunek:** weird

**Tagi:** bizzaro, muzyka

# 183

## Powolne usychanie

Michał Gola

**Gatunek:** fantasy

**Tagi:** klątwa, starożytność

# 225

## Trzecia noga

Adam Ciszewski

**Gatunek:** fantasy

**Tagi:** absurd, listy, niepełnosprawność

# 237

## Skóra

Adam Ciszewski

**Gatunek:** science fiction

**Tagi:** dystopia, rodzina, bieda

# 253

## Kradzieże i konfabulacje

Kacper Kamieniarz

**Gatunek:** fantasy

**Tagi:** intrygi, starożytność, złodzieje



# Przedmowa

## Fantastyczne skrzydła

Nie po raz pierwszy piszę przedmowę do tomu opowiadań *Fantastyczne pióra*, przygotowanego przez użytkowników forum literackiego związane-go z *Nową Fantastyką*. Po raz pierwszy jednak robię to jako członkini redakcji pisma, współodpowiedzialna za dobór polskich tekstów – i nader często szukająca nowych autorek i autorów wśród osób niegdyś albo obecnie z portalem związanych.

Z perspektywy *Nowej Fantastyki* określenie społeczności portalowej jako *literackiego zaplecza* pisma bynajmniej nie jest na wyrost. Sporo autorów i autorek, których teksty pojawiają się w niniejszej antologii, albo ma już za sobą debiut w tym piśmie, albo jest na najlepszej do niego drodze. Można chyba zaryzykować stwierdzenie, że po części zawdzięczają to wspólnej pracy wszystkich aktywnych uczestników portalowego życia: dyskusjom o opowiadaniach, systemowi wzajemnego betowania tekstów, wskazywaniu przez doświadczonych użytkowników nie tylko problemów, ale i potencjalnych możliwości ich rozwiązania. Wokół portalu zebrała się pisarska i czytelnicza społeczność, dająca, trzeba przyznać, całkiem solidne lekcje pisania!

Lektura kolejnej edycji *Fantastycznych piór* pozwala też podtrzymać przekonanie o różnorodności tego, jak użytkownicy i użytkowniczki rozumieją fantastykę. Mamy tu teksty w różnych konwencjach, rozmaite stylistycznie – co ciekawe, nawet opowiadania powstałe na ten sam konkurs, a więc teoretycznie związane tymi samymi regułami, niekoniecznie są do siebie podobne.

Tom został starannie przygotowany pod kątem redakcyjnym i edycyjnym, zaopatrzony w ilustracje, których autor(k)ami są **Agata Francik, Gosia Lewandowska, Michał Pięta i Patrycja Kowalik**. Twórczynią okładki jest natomiast **Alicja Leszczyńska**.

Zerknijmy pokrótce, co takiego kolejne *Fantastyczne pióra* mają do zaoferowania czytelnikom.

**Rafał Łoboda** dał się już poznać jako autor nagradzanych na portalu NF opowiadań – *Fiolet i cień* to jego wkład w czwartą z kolei antologię. Łoboda ma w dorobku również opublikowane w papierowej *Nowej Fantastyce* opowiadanie *Ces i szkatulka szczęścia* – ale jego rubaszny humor bardzo różni się od późniejszych propozycji autora. *Fiolet i cień* jest przede wszystkim popisem błyskotliwej światotwórczej wyobraźni Łobody, tworzącego świat fantasy bardzo swoisty i specyficzny, realiami nieco przypominający Dziaki (a może raczej Dziwny) Zachód, ale z magią opartą na posługiwaniu się fizycznymi esencjami kolorów. Tekst powstał jako propozycja na portalowy konkurs zatytułowany „Magia i miecz”, nietrudno więc zgadnąć, że w barwnym i efektownym świecie autor opowie nam przygodową, awanturniczą fabułę. Opowiadanie Łobody nie jest zresztą jedynym tekstem z tego konkursu, który przypadł do gustu Łoży i czytelnikom – tytuł „Magia i miecz” powróci w tych krótkich omówieniach jeszcze kilkakrotnie.

*Księżycowy most* **Michała Rybińskiego** powstał z kolei w ramach innej portalowej inicjatywy – antologii *Stojąc po kostki w zapachu ryb*, o której charakterze chyba wszystko mówi tytuł. Opowiadanie Rybińskiego ostatecznie do antologii nie trafiło, dzięki czemu ten, jak go określił sam autor, *weird West romans*, został opublikowany na forum i zyskał aprobatę zarówno przyznającej Piórka Łoży, jak i czytających. Odwołując się do lokalnych mitów i legend z jednej, a tragicznej historii rdzennych ludów Ameryki Północnej z drugiej strony, Rybiński tworzy nieco westernową, nieco niesamowitą i zaskakującą rozwiązaniem romansowego motywu opowieść.

*Dwór Wisielczego Króla* **Iwony Serej** to kolejne opowiadanie powstałe z okazji portalowego konkursu „Magia i miecz”. Tym razem jesteśmy bliżej dark fantasy niż typowych heroicznym klimatów: opowieść o wędrowce głównego bohatera, Hugona de Brass, przez ponure zaświaty, królestwo tytułowego Wisielczego Króla, ma nastrój jak z koszmarne snu, zarazem ponury i oniryczny, a wrażenie to wzmacnia pomysłowe i konsekwentne światotwórstwo.

*Wojny prolków* **Marcina Bartosza Łukasiewicza** i **Wiktora Matyszkiewicza** zabierają z kolei czytelników na wycieczkę w niespecjalnie przyjemną niedaleką przyszłość. Łukasiewicz udowodnił już kilkoma tekstami,

w tym opublikowanym w *Nowej Fantastyce* tekstem *Na skraju deszczu*, że dobrze się czuje w takiej konwencji. Tutaj obydwaj autorzy pokazują nam około-cyberpunkowy i raczej paskudny dystopijny świat, wychodząc od efektownego pomysłu: co by było, gdyby bogaci ludzie włączali sobie cudze osobowości na czas wykonywania czynności nudnych i nużących, jak fizyczne ćwiczenia pozwalające zrzucić nadmiar kilogramów? Mamy tu klasyczne dla tej konwencji motywy – jak choćby tytułowe *wojny prołków*, mordercze reality show – mamy też wiarygodne portrety bohaterów, a wszystko to składa się na intrygujący tekst.

**Jarosław Łukasiński**, którego twórczość w antologii reprezentowana jest opowiadaniem *Cmentarzysko Sów*, to autor znany już z łamów *Nowej Fantastyki*. Jego *Cmentarzysko Sów* bliskie jest zarówno fantasy (a może wręcz dark fantasy), jak i literaturze grozy. Typowe motywy (jak idea portali między światami) autor wykorzystuje w pomysłowy sposób. Efektem jest udane opowiadanie, które powinno przypaść do gustu zarówno zwolennikom klasycznej fantasy, jak i jej nieco mroczniejszej odmiany.

W opowiadaniu *Na herbatce u wampira* **Marcin Bartosiewicz** próbuje z kolei, i to całkiem udanie, przedefiniować koncept i rozumienie postaci wampira. Jego krwiopijcy... no właśnie, czy można ich jeszcze tak nazwać, skoro żywią się nie krwią, a emocjami? Bartosiewicz umiejętnie konstruuje postać *de facto* antybohatera Zenona, wampira o pomniejszej mocy i zdecydowanie pomniejszej odwadze, któremu jednak jakieś wewnętrzne poczucie sprawiedliwości każe przeciwstawić się znacznie silniejszemu i przerażającemu nie tylko śmiertelników Pająkowi. Ciekawie też prowadzi bardziej kryminalną niż typową dla opowiadań grozy akcję. To jedno z moich osobiście ulubionych opowiadań w antologii.

Zupełnie inna, jak chodzi o nastrój i styl, jest *Głowa Marii Krzywdy* – krótkie, surrealistyczne opowiadanie o tym, jak głowa Davida Bowiego stała się częścią codziennej, zwykłej egzystencji narratora. Sporo tu dość groteskowego humoru, sporo też absurdu gdzieś z pogranicza weird fiction i bizzarro, słowem – wielbicieli takiej stylistyki powinni dobrze się bawić przy lekturze.

W długim, rozbudowanym opowiadaniu *Powolne usychanie* debiutują-

cy w *Fantastycznych Piórach* **Michał Gola** kreuje efektowny świat fantasy, przesycony nostalgią i smutkiem: bogowie odeszli, świątynia powoli zamiera, rzeczywistość wokół niej nieuchronnie się zmienia, tylko ostatni kapłan trwa na posterunku, a my, czytelnicy, musimy w trakcie lektury zdecydować, jak ocenimy jego postawę, zasady i życiowe wybory...

**Adam Ciszewski** ma w *Fantastycznych Piórach* dwa opowiadania. *Trzecia noga* to lekko absurdalna, groteskowa opowieść w listach. Czytamy korespondencję (a raczej jedną jej stronę...) między zamieszkałymi na Ziemi kosmitami, śledząc historię związaną z zupełnie pokręconym Bożym Narodzeniem, wymianą butów i polowaniem na Ziemian, a to bynajmniej jeszcze nie wszystko. Natomiast *Skóra* to tekst jak najbardziej serio, gatunkowo gdzieś z pogranicza cyberpunka i dystopijnej science fiction, wykorzystujący klasyczny motyw transferu świadomości do przedstawienia obyczajowej *de facto*, rodzinnej historii. Autorowi udaje się uniknąć zarówno grania na emocjach czytelników, jak i nadmiernej uczuciowości, a jednocześnie napisać mocne, emocjonalne opowiadanie.

Zbiór zamykają przygodowe *Kradzieże i konfabulacje* **Kacpra Kamieniarza**, napisane, podobnie jak opowiadania Rafała Łobody i Iwony Serej, na forumowy konkurs poświęcony heroic fantasy. Tekstowi Kamieniarza najbliższej chyba do tradycyjnego rozumienia tej konwencji, wywodzącej się w końcu między innymi z pisarstwa Roberta E. Howarda. Mamy tu pościgi, kradzieże, atrakcyjną i niezwykle sprawną złodziejkę, lekko sarkastycznego narratora-awanturnika, pościgi i ucieczki, a wszystko to osadzone w fantastycznej a bardzo starożytnej krainie mocno chwilami przypominającej starożytny Egipt.

Forumowe Piórka to wyróżnienie środowiskowe, ale w obrębie portalowej społeczności pożądane i wysoko cenione. Pozostaje tylko życzyć, by dzięki nim każde z wyróżnionych autorów miało szansę wlecieć na własnych literackich skrzydłach – jeśli nawet nie na Parnas, to przynajmniej do świadomości szerokiego grona czytelników polskiej fantastyki.

**Ola Klęczar**

*pisarka i redaktorka Nowej Fantastyki*



# Fiolet i cień

Rafał Łoboda

Sall nie planował zajeżdżać do Bak-ar-Saud.

Wielkie miasta oznaczały dużo ludzi, z których przynajmniej niektórzy nie omieszkają spytać, czemu ktoś podróżuje w pełnej zbroi płytowej, gdy z nieba bucha letni skwar.

Pochylił się w siodle i mruknął do grawikonია:

– Spójrz na ten tłum, zardzewiały fajansie. To twoja wina i twojego zesputego przydzielatora. Zeżarłeś pół naszego Światła.

Gdy przecisnął się przez zatłoczoną bramę miejską, wokół zapanował błękit. Sall uznał, że to coś z jego oczami, ale nie... wszystkie niebieskie istoty między niebieskimi budynkami stanęły jak na zawołanie i z wyrazem całkowitego zdziwienia na twarzach spojrzały w niebo. Oba słońca weszły w koniunkcję, być może pierwszy raz w historii. Sall ledwo zdążył zaczerpnąć oddech, a świat już powrócił do zwykłych barw.

Przez moment nikt nie powiedział nawet słowa...

A potem wrzawa wybuchła z całą siłą. Mieszkańcy oddawali się zawziętym rozmowom lub pędzili w kierunku doków, by na powietrznych statkach światłolapnych zbierać co rzadsze kolory. Głosiciele końca świata każdej z setek religii wyrosli na ulicach jak grzyby po deszczu, stojąc obok tych, którzy twierdzili, że koniunkcja to dowód na istnienie ich – i tylko ich – boga.

Kiedyś Sall również rzuciłby się do badań, ale te czasy minęły. Teraz doceniał, że im więcej ludzi patrzyło w górę, tym mniej spoglądało na niego. Przypiął grawikonია obok innych do bariereki magnetycznej, poklepał po karku i zgasił silniki. Potem ruszył do *Lśniącego Kramu Hubolda*, zachęcony wielką reklamą w kształcie ślimakoida w cylindrze i napisem: „TU – najrzadsze kolory!” Szedł nonszalanckim krokiem, aby sprawić wrażenie twardziela, którego lepiej nie zaczepiać. Idzie waźniak w zbroi, drodzy państwo, ktoś chce dostać w zęby?

Pozory są najważniejsze.

Wszedł do wnętrza... i prawie wpadł na biegnącą do wyjścia parę.

Facet z głową ślimaka nosił gustowny surdut oraz wysoki cylinder. Natychmiast rozłożył ręce, by zasłonić czarnoskórą ludzką dziewczynę z całkowicie białymi oczami. Niewidoma. W jednej dłoni trzymała drewnianą laskę, drugą zaś opierała na niewielkiej muszli przewodnika.

– Zamknięte! – jęknął mięczak. – Proszę wyjść!

Sall stanął w przejściu.

– Ślimakoid nie chce zarobić? Czyżby jednak świat się kończył?

Na moment sprzedawca zastygł z rozdziawionymi ustami, jednak szybko odzyskał mowę.

– Do widzenia, żegnam!

Naparł na Salla, lecz równie dobrze mógłby próbować odsunąć górę.

– Tato, kto to? – szepnęła dziewczyna.

– Tato? Dzień pełen cudów – mruknął Sall. – Nigdzie nie wyjdę bez Światła. Mój grawikoń uszkodził sobie przydzielator i musiałem napędzać go własnymi zapasami. Potrzebuję Żółci oraz... cokolwiek masz najrzadszego. Dobrze zapłacę. – Myślrozkazem obrócił pas na biodrach: pistolet, race, bomby... Zatrzymał na skrytce pieniężnej. Wygrzebał diament i podsunął pod szypułki z wielkimi oczami.

– Och, to fatalny moment. Śpieszymy się – powiedział sprzedawca, ale wyjął monokl na łańcuszku i obejrzał lśniący kamień z zawodową chciwością. – Może pan wpaść za kilka dni?

– Tato, sprzedaj mu Światło. Parę minut nas nie uratuje.

– Właśnie, tатku. Panienska mądrze gada – przytaknął Sall, wciskając diament w lepką dłoń. – Ledwie minęło południe, więc zdążycie na piknik, czy gdzie tam was niesie.

– Oooch! Chodź, Mayu! – Ślimakoid pociągnął za sobą córkę. Gestem nakazał jej stać przy ścianie, sam zaś wszedł za ladę i rozpoczął przeszukiwanie wysokich półek.

*Lśniący Kram Hubolda* wydawał się bogato zaopatrzony we wszelkiego rodzaju lunety, dziecięce zestawy do syntezy domowej, soczewki i akcesoria alchemiczne. Między drewnianymi słupami podtrzymującymi sufit znajdowały się regały, na których wyłożono dziesiątki szklanych pojemników – głównie z pospolitą Bielą i Żółcią, tylko gdzieś tam przebłytki-



wał Pomarańczowy.

Sall miał nadzieję, że to nie cały asortyment.

Zbroja grzechotała i zgrzytała, kiedy podchodził do lady. Zerknął na dziewczynę obok. Pełne wargi, smukłe uda wystające spod krótkiej sukienki... Tak dawno nie czuł dotyku skóry, że teraz tracił humor na samo wspomnienie. Wbił wzrok w kontuar.

Ślimakoid przebierał rękami, brzęczały fiolki.

– Proszę, zapakowałem Żółć i Zielień drugosłoneczną. Gdzieś tu powinienem mieć resztki Karmazynu pierwszej klasy.

– To wszystko? – Sall nie ukrywał rozczarowania. – Może Zielień plamista, Lawendowy... Albo Fiolet?

– Żartujesz, chłopcze? Fiolet? Może na południu, w Parfoi albo Gebe-sh, znajdziesz wariatów, którzy bawią się w tak ryzykowne syntezę. Podobno dwa lata temu jakiś dureń stamtąd próbował otrzymać Czerni. Wybuch słyszano w całym mieście. Wiele ofiar. – Cmoknął zniesmaczony.

– Obiło mi się o uszy – burknął Sall. – Masz ten Karmazyn?

– Momencik, gdzieś tutaj...

Ale Sall już nie słuchał. Patrzył na wchodzących do sklepu facetów i chociaż przez większość życia obracał się w kręgach dalekich od półświatka, natychmiast rozpoznał, że ta czwórka nie przyszła zakupić Światła. Oblicze pierwszego składało się głównie z wielkich ropiejących pryszcz, drugi zamiast ręki miał lśniąca protezę z główką młota w miejscu dłoni, trzeci potknął się od razu po wejściu, może dlatego, że jego twarz wyglądała jak podsmażony bekon. Ostatni był ślimakoidem jak Hubold; kulał, ale sprawiał wrażenie, że dowodzi całą zgrają – nosił podbity futrem płaszcz, złoty łańcuch na szyi, a wokół bioder pas z osobistą tarczą energetyczną, co samo w sobie stanowiło dowód, że ma forsę jak lodu. Wszyscy mieli przy bokach krótkie miecze, znak dwóch słońc na rękawach, a ich spojrzenia od razu utknęły w sprzedawcy jak kleszcz pod pachą.

– Witaj, Huboldzie – rzekł Kulawy.

Uśmiech rozjaśnił twarz sprzedawcy.

– Dauler! Już jesteś? Koniunkcja, wyobrażasz sobie? Koniunkcja! Właśnie się zbieraliśmy, tylko klient wpadł w ostatniej chwili.

Pryszczaty podszedł do lady.

– Dawaj kostkę – warknął.

– Co? Daulerze? O co... chodzi... – Hubold spojrział na każdego z mężczyzn z osobna, jakby w końcu dotarło do niego, po co przyszli i zadrzał. Upuścił jedną z fiolek, która rozbiła się na podłodze w błysku zgniłej zieleni. – Na Wielki Śluz! Zdradziłeś? Nie możesz!

Kulawy uniósł rękę.

– Huboldzie, proszę! Moi ludzie właśnie zdobywają pozostałe kostki. Naprawdę spodziewasz się, że zmienię zdanie? Spójrz na nas. Czy nie wyglądamy na zdecydowanych? Oddaj kostkę.

Sall westchnął z więcej niż odrobiną goryczy. Wyglądało na to, że rażno wmaszerował w sam środek lokalnych porachunków.

– Najpierw moje Światło – ponaglił. Zamierzał wyjść jak najszybciej.

Pryszczaty zmierzył go wzrokiem.

– A kim ty, kurwa, jesteś?!

Dzieciak był drobny, żylasty. Pewnie całe życie próbował butą i okrucieństwem nadrobić marną posturę. Sall znał ten typ ludzi.

– Pierwszym klientem – odparł Pryszczatemu. – Mięczak dostał forszę, więc czekam na Światło. Potem możecie go okradać. A jeśli jeszcze raz podniesiesz na mnie głos, stracisz zęby.

Kiedy zgrywasz ważniaka, musisz podsycać pozory jak ogień w kominku.

Pryszczaty otworzył gębę, ale Kulawy wszedł mu w słowo.

– Jak cię zwą?

– Sall.

– Nosisz pistolet Poprzedników i nietypową zbroję. Mam oko do takich rzeczy.

Sall zbliżył rękę do pasa. Już kilka razy próbowano go okraść, mimo że zawsze starał się wyglądać na trudny cel. Najwyraźniej na ludzką odwagę można liczyć równie często, co na głupotę. A może zbyt trudno je odróżnić?

– Zmierzam na północ i nie obchodzą mnie problemy tutejszych sklepikarzy – odparł.

– Mądrze powiedziane. Huboldzie, daj mu jego Światło.

Ślimakoid położył na ladzie fiołki, które Sall zaczął w milczeniu wkładać do skrytek przy pasie. Powoli i ostrożnie, choć sam nie wiedział czemu. Może jednak interesowało go, dokąd zmierza sytuacja?

– Teraz kostka! – ponaglił Pryszczaty.

– Pomóż nam – Maya przysunęła się do Salla i szepnęła tak cicho, że ledwie usłyszał jej słowa.

Nie odpowiedział.

Dauler pstryknął palcami.

– Szybciej, Huboldzie, albo zabierzemy ją z twojego trupa.

Sprzedawca wyjął z kieszeni czerwoną kostkę holograficzną. Starą, bardzo starą; Sall od razu poznał, że wykonano ją przed tysiącami lat. Czasem badał artefakty wymarłych cywilizacji, niektóre cenne, inne – zwykłe bibeloty. Czemu ta była tak ważna? Zdusił zawodową ciekawość.

Mięczak podał kostkę Pryszczatemu, a ten rzucił ją szefowi.

– To nie wszystko. – Kulawy westchnął, głośno i melodramatycznie jak na tanim przedstawieniu. – Komu Flenb sprzedał kostkę? Gorzała zabrała mu pamięć, ale twierdzi, że wiesz, kto ją ma. Chcę nazwisko!

– Nic ci nie powiem, zdrajco. Zniszczysz cały świat.

– Uzdrowię! – wrzasnął Daurel. – Gdy ty bawiłeś się w sklepikarza, ja szukałem innych odrzuconych i nieszczęśliwych. Kult Dwóch Słońc wyciągnął do nich pomocną dłoń i teraz zbieramy owoce naszego miłosierdzia. Byliśmy gotowi, Huboldzie! Wierzyliśmy w nadejście koniunkcji! A teraz mów albo dziewczyna umrze.

Najwyraźniej do tego sklepu zdrowy rozsądek nie miał wstępu. A może całe miasto zwariowało? Skutek uboczny koniunkcji? Sall zaczął rozważać w myślach potencjalne przyczyny, ledwo słuchając dalszej rozmowy ślimakoidów...

– I tak nas zabijesz – stwierdził Hubold.

– Można umrzeć na różne sposoby. Na przykład powoli. – Daurel skinął na Pryszczatego. – Odetnij jej dłoń.

Maya jęknęła cicho.

– Nie! – Sall zdziwił się, że to on krzyknął. Co z zasadą zgrywania ważniaka i unikania konfliktów? – Oszalałeś?

Pryszczaty zamarł z do połowy wyciągniętym mieczem i spojrzął z niemym zapytaniem na szefa.

– Bierz Światło i się wynoś – syknął Dauler.

Sall gorączkowo szukał w głowie pomysłu na rozładowanie napięcia. Z jednej strony miał przerażoną dziewczynę, z drugiej widział błysk ostrej stali Pryszczatego. Pozostało dalej grać marnej jakości dyplomatę.

– Ostatnie, czego chcę, to walka, ale nie pozwolę ich torturować. Na pewno możemy się jakoś dogadać. – Zdecydował odwołać się do uniwersalnego środka perswazji. – Mam pieniądze...

– Zabijcie go.

Sall pokręcił głową.

– Pechowy dzień.

Chwycił Pryszczatego za kark i z trzaskiem pękającego drewna wbił mu twarz w ładę. Zęby, ropa i krew prysnęły na boki, po czym ciało chudzielca spłynęło na podłogę. Młotoręki oraz Spalona Twarz jednocześnie dobyli mieczy i ruszyli do ataku. Sall zamachnął się na Spaloną Twarz, ale spudłował, gdy tamten zrobił unik. Trafił za to w słup i posłał w powietrze deszcz drzazg. Poczul, jak miecz bandyty odbija się od jego naramiennika, zatem rozpaczliwie uniósł ręce do gardy i stęknął, kiedy metalowy obuch Młotorękiego z brzękiem uderzył go w hełm. Zamroczony zrobił kilka kroków w tył i wpadł plecami na regał; kilka szklanych kul stoczyło się i rozbiło o podłogę. Błysnęło na białe i żółto.

– Nie pozwólcie im uciec! – rozkazał Kulawy.

Maya oburącz trzymała przed sobą kijek i machała nim na boki. Spalona Twarz z chichotem unikał jej nieporadnych ciosów.

Młotoręki szedł powoli w stronę Salla.

– Gadasz jak waźniak – przyznał, unosząc protezę do ostatecznego ciosu.

– Ale walczysz jak kobieta.

– Nieprawda – odparł Sall, sięgając do pasa. – Walczę znacznie gorzej.

Odparł rękę.

Fioletowa poświata zalała sklep. Sprzęty i istoty zamigotały, gwar ulicy dochodził jakby z daleka.

– Tato! – krzyknęła Maya. – Co się dzieje?

Między bandytami wyrosła sylwetka dziewczyny, czarna niczym wycięta z mroku, uzbrojona w dymiący rapier. Poruszała się szybko, prześlizgiwała z jednego miejsca w drugie. Wbiła ostrze w plecy Młotorękiego. Zdumiony bandyta szepnął coś niezrozumiałego i upadł na kolana, jakby chciał złożyć hołd Sallowi, w tej samej chwili Spalona Twarz wrzasnęła, gdy rapier przeszył mu brzuch. Maya wykorzystwała okazję i trzasnęła go kijem w szczękę, moment później ostrze rozplatało plecy bandyty. Spalona Twarz upadł, charcząc i wijąc się w konwulsjach.

– Nie! – krzyknął Sall, gdy widmo zamachnęło się na Mayę. – Ona i mięczak są przyjaciółmi! Hubold, uciekajcie! Raca wkrótce zgaśnie! – Kątem oka dostrzegł, że Kulawy wyciąga spod płaszcza najdziwniejszy pistolet, jaki kiedykolwiek widział, co nie wróżyło nic dobrego.

– Fascynujące – westchnął ślimakoid, wodząc oczami po fioletowych refleksach tańczących na szkle pojemników, ale zaraz oprzytomniał i pobiegł do Mayi. Widmowa dziewczyna dostrzegła Kulawego i ruszyła w jego kierunku, ale tamten zdążył włączyć tarczę energetyczną. Przeźroczyista galareta objęła jego ciało. Dymiący rapier uderzał w serii błyskawicznych cięć i pchnięć, lecz nadaremno.

Kulawy strzelił w najbliższy stojak.

Metalowy mebel zaryczał, wygiął pręty jak ramiona i uderzył w cieniłą szermierkę, nie czyniąc jej żadnej krzywdy.

Artefakt ożywiający przedmioty! Czy tylko przedmioty?

– Chcę ten...! – Sall wskazał broń Kulawego, ale wtedy raca zgasła, fioletowe Światło zniknęło, a wraz z nią widmowa postać. – ...pistolet – dokończył cicho.

Kulawy wyszczerzył triumfalnie zęby. Wtedy tarcza energetyczna również zniknęła z cichym syknięciem i uśmiech spęłzył mu z twarzy.

– Koniec baterii, durniu! – zawołał wesoło Sall, po czym krzyknął, gdy metalowa wić złapała go za nogę. Kiedy kończą się opcje, zaufaj pancernowi. Wyjął bombę z pasa i rzucił pod nogi wściekłego mebla. Zanim doleciała, Kulawy wyskoczył przez okno wśród brzęku tłuczonego szkła. Mądra decyzja, przyznał Sall, zamknął oczy i myśłrozkazem zdetonował ładunek.

Poczuł żar ognia, ogłuchł, wnętrza powiek rozbłysły jak po spojrzeniu

w słońce, i zrozumiał, że leci do tyłu niesiony podmuchem eksplozji. Rozbił ścianę, jakby była z papieru, przeokoziolkował, uderzył o coś i wpadł w stertę śmierdzących odpadków.

Otworzył oczy.

Zleciał ze schodów i leżał na podwórku na tyłach sklepu. Od strony głównej ulicy dobiegały krzyki oraz wołania o pomoc. Lśniący *Kram Hubolda* płonął, raz za razem strzelając w niebo rozbłyskami kolorowych Świąteł, a jego właściciel wraz z córką nachylali się nad Sallem.

– Och, wstawaj! Musimy uciekać!

Sall zignorował wyciągniętą rękę ślimakoida i wstał chwiejnie.

– Chodźmy, wiem, kto nam pomoże! Prędko, prędko! – trajkotał dalej Hubold.

– Nic ci nie jest? – zapytała dziewczyna, marszcząc nos. Latem odpadki gotowały się we własnym sosie. – Dziękuję, że... – urwała, gdy Sall przyłożył jej lufę pistoletu do czoła.

– Z czego strzelał tamten facet?

Maya przetłknęła ślinę.

– Nic nie widziałam.

– Ha, ha, gdybym miał ochotę na marny dowcip, poszedłbym słuchać pijanych szotków. Znają najgorsze kawały. – Sall strząsnął z nogi coś lepkiego. – Wpakowałem się w jakieś gówno i nie mówię tylko metaforycznie, więc lepiej zaczniecie śpiewać, o co tu chodzi albo wymienię dziewczynę na tamten pistolet.

– Och! Błagam – jęknął ślimakoid. – Przecież dopiero nas uratowałeś!

– I już zaczynam żałować. – Sall wysłał myślrozkaz do grawikonu. – Musiałem zużyć rękę!

– Powiem, co wiem, ale nie tutaj. Mamy niewiele czasu. Cały świat ma niewiele czasu.

– Dlaczego?

– Bo za dwa dni wszyscy umrzemy.

Sall milczał przez chwilę.

– Albo to prawda, albo najgłupsza wymówka, jaką słyszałem, ale w jednym się zgadzamy: trzeba stąd zniknąć – oznajmił, gdy z płomieni wyłonił

się metalowy rumak, a od strony ulicy dobiegły dźwięki gwizdków straży miejskiej. – Prowadź, mięczaku! I pamiętaj, że mam was na muszce!

\*\*\*

Hubold zaprowadził ich do zamtuza swojego przyjaciela, Fonza. Przybytek ów nosił dumne miano Laguna i w środku dnia był całkowicie pusty. Oferował jednak spory zestaw luksusów dostępnych od ręki...

Sall wyciągnął się w balii. Zza wielkich okien dochodziło ćwierkanie ptaszków i przytłumione odgłosy ulicy, bąbelki piany skrzyły się w blasku słońca. Kiedy ostatni raz zażywał kąpeli? Namoczył gąbkę w gorącej wodzie i ponowił szorowanie nagolennika, próbując nie zwracać uwagi na chodzącego wokół balii wściekłego ślimakoida.

– Zdrajca! Przebrzydły zdrajca! Chciał nas zabić!

Siedząca przy stole dziewczyna wydała oburzony pomruk, następnie wzięła z tacy smażoną pajęczą nóżkę sporych rozmiarów, zamoczyła w sosie i wpakowała sobie do ust.

– Zna nazwiska, adresy. Zdrajca!

– Powtarzasz się. – Sall obrócił nogę i syknął, gdy ból przeszył go aż do szyi. Zbroja daje fałszywe przekonanie, że nie grożą ci rany. – Usiądź w końcu, zjedz obiad. Sklep przepadł, ale życie.

Hubold siadł ciężko na krześle.

– Byłem ubezpieczony. Masz rację, żyjemy dzięki tobie. – Urwał na moment. – Pierwszy raz widzę, aby ktoś kąpał się w zbroi. Stawiam moją muszlę, że nie możesz jej zdjąć.

– Zgadłeś. Żyję tylko dzięki niej, a dziś uratowała i was. – Sall sięgnął do pasa przewieszzonego przez poręcz krzesła. Szukał fiolki z Czerwienią, ale pierwszą znalazł Szarość, co nie umknęło uwadze Hubolda.

– Och, Szary, dawne światło mojej rasy. Cenna rzecz. Diamenty, artefakty... Bogaty z ciebie człowiek.

– Rodzinna fortuna. Zbroja również. – Wyjąwszy Czerwień, Sall nacisnął ukryty pod napierśnikiem przycisk. W okolicy serca pojawił się otwór, do którego włożył szkło z kolorem. – Mój ojciec, niech spoczywa





w pokoju, stworzył to półzywe cudeńko. Ciało, metal i Światło w idealnej równowadze.

– Ale musisz jakoś jeść – wtrąciła Maya.

– Jedzenie! – Westchnął, gdy napędzane Światłem wewnętrzne mechanizmy zaczęły uśmierzać ból i regenerować tkanki. – Tęsknię za prostymi przyjemnościami.

Hubold wytarł szmatką śluz z czoła. Zaczął kołysać się na krześle, spoglądając na Salla zmrużonymi oczami.

– Ale po co? I skąd wzięłeś Fiolet? To nie były barwniki, czułem... A potem dziewczyna z ciemności!

– Dziewczyna z ciemności? Opowiedz, proszę! – wtrąciła Maya, nim schrupała następną pajęczą nóżkę.

– Dość już o mnie! – Sall wyrzucił do miski kawałek zgniłego glona spod nakolannika. – Gdzie znajduje Kulawego? Ilu ma ludzi?

– Interesuje cię tylko jego pistolet?

– Właśnie, ślimaczku. Tylko pistolet. Ożywiający cudeńko. Pierwszy krok na drodze do wyciągnięcia mnie z tej puszki.

I dla Lyssy, aby uwolnić ją z cienia, dodał w myślach.

Hubold nachylił się do Salla. Obliznął wargi, jakby szykując się do rozmowy z wyjątkowo trudnym klientem.

– Możemy pomóc sobie nawzajem.

– Już wam pomogłem.

– Na co ci pistolet, jeżeli nastąpi koniec świata?

– Przekonaj mnie – odparł Sall. Jeszcze jeden glon trafił do miski.

– W porządku. Istnieje prorocstwo...

– Hej, hej, hej! – Sall pogroził palcem ślimakoidowi. – Żadnych prorocstw i innych zabobonów. Mówisz do człowieka nauki, miłośnika suchych faktów.

– Ale prorocstwo...

– Rzucę w ciebie gąbką! Nie interesuje mnie bełkot jakiegoś brodacza z bagien, który zjadł halucynogenną roślinkę, albo widzenia kapłanki połączone z oczopląsem i wypływającą śliną. Powiedz krótko, o co chodzi.

Ktoś zapukał do drzwi w umówiony sposób.

Hubold wyszedł na korytarz i wrócił po minucie ze zmartwioną miną.  
 – Złe wieści, złe. Poprosiłem Fonza, aby wysłał posłańców. Ludzie Daulera zdobyli kostki, zabili innych Opiekunów i ich podopiecznych.

– Będą mnie szukać – powiedziała Maya.

Sall ciężko westchnął.

– Ponura sprawa.

Ślimakoid potarł szypułki zmęczonym ruchem.

– U Fonza jesteśmy bezpieczni. W porządku, chcesz krótszą wersję? Było nas dziesięciu. Opiekowaliśmy się ślepcami, chroniliśmy kostki i przekazywaliśmy je następnym pokoleniom. Każda kostka holograficzna pokazuje drogę i jednocześnie służy jako klucz otwierający wejście do jaskini w Bezgłowiach... To góry na północnym wschodzie.

– A w środku znajdę...?

– Zagładę! – Hubold podniósł głos.

– Jasne – mruknął Sall.

– Znam tylko opowieści poprzednich Opiekunów. W czasach wazszych wielkich Poprzedników, mój lud zbudował pod ziemią równie wspaniałą cywilizację. Zanim obie przepadły, odkryto coś w Bezgłowiach. Odkryto, zabezpieczono i stworzono kostki. Zapisano na nich proroctwo, które... – urwał, gdy mokra gąbka trafiła w surdut, zostawiając sporą plamę. – Dzieciak z ciebie.

– Ostrzegąłem.

– Dawny język mego ludu wymarł, więc tłumaczenie pozostawia nieco do życzenia. Według proroctwa: „Drugiego świtu po koniunkcji słońc tylko ślepiec powstrzyma zagładę świata. Jeśli zawiedzie, życie przejdzie w inne życie, chorzy zrównają się ze zdrowymi, nie będzie kalekich i szalonych, lecz tylko jedność”. Reszta to instrukcje dla niewidomego wybawiciela lub w naszym wypadku, wybawicielki. Nie może stanąć w świetle ani krzyknąć. Musi poczekać, aż z głowy wyruszą posłańcy, wejść przez usta i zniszczyć płomień.

Sall roześmiał się głośno.

– Co za bełkot! A temu kultowi Dwóch Słońc pewnie marzy się... zagłada? – Ostatnie słowo wypowiedział, podnosząc dłonie i przebie-

rając palcami.

– Problem w jednym znaku. – Hubold wziął pajęczą nóżkę z talerza, zamoczył w sosie i narysował nią symbol na ścianie. – Oznacza zagładę...

– Lub zmianę.

– Znasz ten język?

– Może nie wyglądam, ale byłem uczonym, a trudno otwierać starożytne pudełko, gdy nie wiesz, czy napis na pokrywce to ostrzeżenie przed bombą, czy nazwa cukiereczków w środku. Oddasz gąbkę? Dzięki. I jak tłumaczenie ma się do twojego zdrajcy?

Hubold wstał i znów zaczął krążyć wokół balii, żywo gestykułując.

– Daurel choruje od lat, a jego ludzi sam widziałeś. Zastąp zagładę w, cytuję, „niewidomy powstrzyma zagładę całego świata” zmianą i masz powód. „Niewidomy powstrzyma zmianę całego świata”. Zrównanie chorych ze zdrowymi. Zabiją każdego, kto może stanąć na drodze do ich wyleczenia.

Sall musiał przyznać, że motywacja bandytów ze sklepu ma najwięcej sensu z całej historii Hubolda. Straszne czyny w imię szczytnej idei to domena każdej rasy.

– Może mają rację? – zapytał.

– I sądzisz, że moi przodkowie trzymali wszystko w tajemnicy, a nawet wykonali zabezpieczenia, by nie sprowadzić jakiegoś bezgranicznego szczęścia na świat? – Hubold prychnął. – Nie wierzę. Maya musi trafić do świątyni, ale bez mapy to niemożliwe. Dauler zabił innych Opiekunów, jednak nie wie, gdzie jest ostatnia kostka. A ja owszem – dodał wesoło. – Trzeba ją wykraść.

– Jak już tak krążysz, może umyjesz mi plecy?

– Ma ją Mokok, emerytowany generał, bogacz, meloman i kolekcjoner. Rok temu odkupił kostkę od ślimakoida, który okazał się moczymordą i fatalnym Opiekunem. Dziś wieczorem wykradniecie kostkę z rezydencji Mokkoka, następnie ruszycie w podróż do Bezgłowi i powstrzymacie zagładę. Fonzo już szuka wam kapitana statku powietrznego, załatwił też mechanika dla twojego grawikonu.

– Zgoda! – Maya zebrała pajęczą nóżką resztki sosu z talerza. – Nigdy

nie leciałam statkiem powietrznym! I nigdy się nie włamywałam! – pisnęła z uciechy.

Głupota. Nie, szaleństwo. Sall spojrział na ojca i córkę, zastanawiając się, które z nich ma bardziej nie po kolei w głowie.

– Zwariowaliście! Włamanie? Ja mam na sobie zgrzytającą zbroję pływającą, a ona jest ślepa. Ślepa, do diabła! Najgorsza para włamywaczy na świecie. Zatrudnij kogoś!

– Nie możemy nikomu ufać.

– To odkup mapę!

Hubold gwałtownie pokręcił głową, rozchlapując śluz.

– Od kolekcjonera? Nigdy jej nie sprzeda.

– Nie. – Parę kropel trafiło w hełm Salla. Startł je i z obrzydzeniem strzepnął z rękawicy. – Mowy nie ma. Wykluczone. Radźcie sobie sami. Ja próbuję unikać kłopotów, chociaż rzadko mi wychodzi.

Maya przyklekła przy balii. Usta dziewczyny drżały, a promień słońca padał wprost na młodą twarz, podkreślając lzy płynące z białych oczu. Efekt psuły jedynie duże plamy sosu w kącikach ust.

– Proszę cię. Nie chcę umierać.

– Ale...

Hubold nie dał mu dokończyć. Przykleknął z drugiej strony.

– Możesz uratować świat. Możesz uratować moją córkę. Błagam cię!

– Ale...

– Szukasz pistoletu Daurela? Nawet jeśli prorocstwo to bujdy, Daurel będzie z nim w Bezgłowiach, gdzie możesz mu go odebrać. Wygrywasz w każdym scenariuszu.

Sall otworzył usta, by wykrzyknąć całą gamę kontrargumentów, i zamknął je bez słowa. Jak do tego doszło? Głos rozsądku w jego głowie rozłożył bezradnie ręce.

– Niech będzie – westchnął. – Co za pechowy dzień.

\*\*\*

Przenieśli się pod zadaszony taras. Ślimakoid zbudował z kawałków dREW-

na makietę domu generała, dzięki czemu mogli obmyślić plan włamania, który Sall ocenił jako najgorszy plan najdurniejszego skoku w historii złodziejstwa. Teraz jednak grał w nim główną rolę, więc zamierzał zacisnąć zęby i zrobić, co trzeba.

– Jeszcze raz – polecił Hubold.

– O zmroku zawiozę nas pod północny mur – rozpoczął Sall. – Wejdę na drzewo z nadzieją, że mnie utrzyma.

– To silne dęby – zapewnił ślimakoid.

– Obyś się nie mylił. Dostaniemy tuby transmisyjne. Użyję ich, aby poprowadzić Mayę do rezydencji.

Maya przesunęła palcami po krzywej listewce.

– Przeskakuję przez mur. Dziś pierwszy dzień miesiąca, więc Mokok organizuje kameralny koncert córki. – Dwa palce podreptały do kwadratowego klocka. – Kiedy trawnik zmieni się w kamienie, zwalniam, bo za kilka kroków natrafię na wysoki kwietnik. Wspinam się na niego i skaczę na balkon. – Paluszki znalazły się na klocku.

– Masz tylko jedną próbę – przypomniał ojciec.

– Przecież wiesz, że doskonale skaczę. Okno będzie otwarte.

– Przynajmniej było, gdy odwiedzałem Mokokka parę lat temu. Jego żona nie znosi zaduchu i latem większość okien jest uchylona. Sall, co zrobisz, gdy jednak będzie zamknięte?

– Jadę pod bramę i rzucam bombę, synchronizując wybuch ze zbiciem szyby przez Mayę.

– Kostka jest w gąblotce dokładnie nad kominkiem. Zabieram ją i uciekam tą samą drogą, a Sall osłania mnie z drzewa przed ewentualnym pościgiem.

Sall klepnął naciągniętą na ramię opaskę z ładunkami do pistoletu.

– Spróbuję. Mam nadzieję, że nie będzie konieczności.

– Jak my wszyscy – przytaknął Hubold. – Później jedziecie do portu i szukacie statku Olfandes. Kapitan dostał pieniądze od Fonza i zabierze was, dokąd wskażecie. Najpierw włamanie. Pamiętajcie! Cicho, profesjonalnie, bezpiecznie.

– Idę się przebrać! – W głosie Mayi pobrzmiwały czysta ekscytacja i zu-

pełny brak strachu. Macając ścianę i drzwi, dziewczyna weszła do Laguny.

– To fatalny pomysł – mruknął Sall.

– Jedyny, który nam pozostał.

– Nie lecis z nami.

Ślimakoid spojrzał w dal, mrużąc oczy.

– Tylko bym was spowalniał. Jest za gorąco, za sucho. Fonzo opłacił uliczników. Wieczorem będą krążyć po mieście i udawać was tak długo, aż zdołacie wyjechać z miasta. – Położył rękę na barku Salla. – Opiekuj się Mayą. Nie jest niczemu winna. Całe pokolenia żyły w spokoju, czekając na koniunkcję, aż trafiło na nas.

Sall się uśmiechnął, jak zwykle zapominając, że hełm to ukrywa.

– Pechowy dzień, co?

\*\*\*

Jechali między obsypanymi listowiem drzewami, kurz wirował pod silnikami grawikonii. Nie rozmawiali przez całą drogę. Sall czuł pod napierśnikiem objęcia Mayi. Najgorsi złodzieje w historii, powtarzał sobie.

Po wgraniu wytycznych mechaniczne zwierzę bez trudu odnajdywało drogę do rezydencji generała.

– Jesteśmy – oznajmił Sall na widok wysokiego, kamiennego muru.

– Mam nadzieję, że się dobrze wspinasz.

– Doskonale. Akrobatyka to moja pasja.

Nie mógł jej odmówić pewności siebie.

– Włamania też? – zakpił.

– Muzyka i śpiew, ale dziś nie będą przydatne.

Zatrzymał grawikonii między gęstymi kępami wysokiej trawy. Słońca zaszły już pewien czas temu i ciemność zagarniała niebo. Jakiś ptak rozpoznał wieczorny śpiew.

Maya podeszła do muru. Ciemnoskóra, ubrana w czarny kombinezon, przypominała cień, przypominała... Sall przełknął ślinę. Brakowało tylko dymiącego rapiera w dłoni. Odwrócił wzrok, by poszukać dogodnego dębu.

– Chropowate kamienie i sporo dziur – oznajmiła dziewczyna. – Nic trudnego.

– Dam ci znać, czy droga wolna.

Sall wspiął się ostrożnie i powoli, aby nie hałasować bardziej niż to konieczne. W końcu znalazł się na grubym konarze. Widział stamtąd tył rezydencji, trawnik, drzewka i barwne kwietniki. Wyciągnął lunetę i przeczesał teren wzrokiem. Strażników niosących pochodnie ujrzał przy zachodniej bramie.

– Słyszysz mnie? – powiedział do zawieszanej na szyi małej tuby transmisyjnej.

– Głośno i wyraźnie. Mów ciszej – dobiegł głos ze środka, gdy Maya szepnęła do swojej.

– W porządku. Droga wolna.

– Patrz i podziwiał – odrzekła wesoło.

Sall musiał przyznać, że dziewczyna nie kłamała. Wspięła się na szczyt muru niczym pająk, wyprostowała się, rozłożyła ręce i zeskoczyła na drugą stronę, wykonując efektowne salto, a Sall pozwolił sobie wreszcie na luksus nadziei.

Cicho, profesjonalnie, bezpiecznie.

– Aiiiiii! – pisk Mayi wypłoszył ptactwo z drzew.

– Maya! Co się stało?!

Złamała nogę? Niewidoczny za murem strażnik przeszył ją mieczem?

– Pomóż! Aaa! Wpadłam w dziką różę!

– Boże... – Sall stuknął hełmem w korę. – Dlaczego ja? Dlaczego?

Dziewczyna dalej piszczała za każdym razem, gdy trafiała na cierni. Zaalarmowani strażnicy truchtali w jej kierunku, ale to widok mężczyzny wyłaniającego się zza iglaków przy domu sprawił, że Sall naprawdę sposepniał.

Generał wynajął sobie fotomantę.

Sall zerknął na czekającego grawikonია. Zostawić dziewczynę? Odjechać i zniknąć z tej szalonej historii?

– Trzymaj się! – krzyknął. – Cholerne plany – mruknął. Wyrzucił lunetę, zerwał tubę i zsunął się z drzewa. – Ja nie potrafię walczyć, do diabła!

Nabrał rozpędu i nadstawił bark. Od uderzenia w kamienną ścianę zarżały mu zęby, chmura pyłu wleciała w powietrze. Staął wśród zgniecionych krzaków róży.

Przez załzawione oczy ujrzał szamoczącą się Mayę. Ręce maga Światła załśniły na żółto; kierował je w stronę dziewczyny.

Sall nie czekał. Sięgnął po pistolet i strzelił z biodra, chociaż wiedział, że stoi za daleko. Rozgałęziona błyskawica wyskoczyła z lufy, przecięła powietrze i niegroźnie uderzyła w trawę, wypalając kilka źdźbeł, ale przyciągnęła uwagę fotomanty, który wyciągnął ręce i posłał w odpowiedzi falującą smugę Żółci.

Sall zdążył zasłonić oczy przedramieniem. Owionął go rozpalony podmuch. Krzaki dookoła stanęły w ogniu. Poczul gryzący dym, ujrzał ciemną sylwetkę Mayi, usłyszał jej krzyki.

Przez moment znów był daleko stąd, na zewnątrz szalała śnieżycą, a on leżał wśród ruin, płonął i wył, patrząc na nieprzytomną dziewczynę, zagarnianą przez mrok kawałek po kawałku, aż jej ciało przybrało formę dymiącej ciemności.

– Lyssa – szepnął.

Wtedy, poparzony i na granicy śmierci, mógł tylko błagać o łaskę, która nie nadeszła. Tym razem było inaczej.

Wstał i syknął, gdy bełt z kuszy strażnika uderzył w napierśnik. Przeładował pistolet; dymiąca łuska spadła na ziemię. Wycelował, strzelił. Piórunkiem trafił pierwszego strażnika i przeskoczył do drugiego, posyłając obu nieprzytomnych na trawę. Fotomanta zdołał wzniesić osłonę z błyszczącej Bieli, zygzaki błyskawic rozpełzły się po jej powierzchni.

Najostrożniej jak potrafił wziął Mayę na ręce. Jęknęła, materiał rozpruł się w paru miejscach. Sall wybiegł przez dziurę w murze.

– Kostka – szepnęła dziewczyna.

– Wiem, do diabła! Przecież tam wracam...

Bez kostki nie zdobędzie pistoletu Kulawego.

– Zaczekaj na mnie – warknął i położył dziewczynę pod drzewem.

Zaskoczony fotomanta wybałuszył oczy, gdy ujrzał, że złodziej wraca, zamiast uciekać. Sall ruszył biegiem, ciężkimi krokami wybijając miarowy



rytm. Odruchowo chwycił rękę przy pasie – Fiolet sprowadzi Lyszę do tego wymiaru – ale zaraz ją puścił. Musiał je oszczędzać, zresztą tym razem poradzi sobie sam. Nie dlatego, że musi, ale dlatego, by udowodnić sobie, iż potrafi.

Ujrzał grymas strachu na twarzy maga. Kolory wirowały wokół dłoni, układając się w nowe zaklęcia.

Sall wystrzelił błyskawicę. Przeładował. Strzelił. Fotomanta wznosił ochronną Biel, ale nie mógł zrobić nic więcej i kiedy osłona opadła, nagle ujrzał Salla tuż przy sobie.

– Taka praca... – zdołał powiedzieć, nim pancerna rękawica wysłała go ze złamanym nosem w ciemność.

Droga na balkon stała otworem. Sall znów biegł, niesiony euforią. Od tyłu miesiący uciekał na mroczną północ, by szukać wiedzy i odkupienia win. On, pechowiec o strzaskanym ciele zamkniętym w półżywej zbroi. On, lumenolog, który przez całe życie unikał walki.

Wciąż mógł czegoś dokonać. Choćby uratować tę dziewczynę. Pancierz był nie tylko więzieniem, lecz również szansą, bronią i siłą.

Wysoki kamienny kwietnik był coraz bliżej. Balkon z uchylonym oknem również, zupełnie jak przewidział Hubold. Skoro Maya zamierzała tam doskoczyć, to i jemu się uda.

Nabrał prędkości, wbiegł na kamienie, zdeptał kwiaty i skoczył, wyciągając ręce do barierek i śmiejąc się głośno. Był niepowstrzymany! Prawdziwy bohater!

Nie doleciał.

Uderzył w ścianę poniżej, przebił ją wśród ogłuszającego huku oraz krzyków wystraszonych gości, po czym wpadł na fortepian, miażdżąc go z odgłosem pękających strun. Młoda, zszokowana dziewczyna siedziała tuż obok, wciąż trzymając rozczapierzone palce, chociaż klawisze już spod nich uciekły.

– Nienawidzę ścian – wychrypiał Sall, podniósł się chwiejnie i wyszedł szukać schodów. Na korytarzu pojedynczy ochroniarz wybałuszyl na niego oczy i uniół miecz. Sall staranował go bez trudu. Krzyki dochodziły już z całego domu.

Nie dbał o nic. Laserowa wiązka wypaliła dziurę w ścianie obok jego oczu. Nieważne. Dwa belty uderzyły go w plecy. Ledwie draśnięcie. Odnałazł schody i wbiegł na górę, ścigany krzykami oraz odgłosami bieganiny.

Drzwi wyleciały z zawiasów, kiedy w nie wbiegł. Szklane gablotki pękały, gdy o nie zahaczał, eksponaty roztrzaskiwały się o podłogę. Porwał kostkę holograficzną i skoczył przez balkon na kwietnik.

Biegnąc w stronę muru, nacisnął przycisk na kostce.

Zobaczmy, czy ślimakoid sobie czego nie zmyślił.

Drobiny błękitnego światła wyskoczyły z artefaktu i utworzyły wirujący hologram z pulsującym błękitnym punktem u podnóża wielkich gór.

– A niech mnie! – mruknął Sall.

Naprawdę ratował świat?

\*\*\*

– Au! Au! – Maya jęczała przy każdym wznoszeniu się i opadaniu grawikonionia.

Nie było czasu na wyjmowanie kolców róży, nie teraz. Jechali przez mroczne uliczki, ludzie uskakiwali im z drogi. Sall widział nad budynkami ciemne plamy na tle gwieździstego nieba – podłużne balony, do których linami doczepiono kadłuby statków.

Zahamowali w oświetlonym lampami porcie wśród nocnych tragarzy z pakunkami na plecach.

Sall przeszukał wzrokiem burty.

– Tam! Olfandes! – Otworzył wnękę bagażową przy zadzie grawikonionia, wyciągnął torbę z zapasami światła oraz cennymi artefaktami, po czym uruchomił zwierzęciu tryb samodzielności. – Czekaj na mnie, żarłoczna bestio.

Byli w połowie trapu, kiedy na końcu ujrzeli lewitującego szczura otoczonego błękitną poświatą. Nosił małe trikorn i podpierał biodra łapkami.

– Noc, zbroja, czarny strój, rany – wymienił zadziwiająco głębokim głosem. – Będzie dopłata, eh?

– O, bogowie... – jęknął cicho Sall. – Ten dureń wynajął szotków.

\*\*\*

Kapitan Krzywy Pysk wydał rozkaz i strugi zielonego Światła popłynęły rurami. Śmigła na rufie zaczęły powolną pracę, balon zasyczał, naprężył się i wydał.

Sall uruchomił kostkę. Dla kapitana dziwni pasażerowie wraz z jeszcze dziwniejszymi artefaktami najwidoczniej nie byli nowością, ponieważ tylko zerknął na hologram i mruknął:

– Jasne. Ustawiam kurs.

Olfandes okazał się zezłomowanym okrętem wojennym przerobionym na jednostkę najemną, której załoga nie gardziła żadnym zleceniem. W kajutach pasażerskich śmierdziało starymi futrami. Deski skrzypiały, przeciagi szarpały końcówkami lin mocujących szeregi armat przy burtach, na pokładzie łopotały flagi, a pod pokładem furkotały małe hamaki. Sall nie miał zaufania do stanu okrętu, ale rozumiał, że za późno, by narzekać. Poza tym szotkowie – szczury z telekinezą krótkozasięgową – wydawali się zupełnie pewni swego. Dzięki sile umysłów lewitowali, przeciagali ciężary, splatali węzły i czyścili balon. Wszędzie było ich pełno, tak jak i fruwających przedmiotów.

Szczur medyczny zręcznie sprawił, że wszystkie kolce wypadły z ciała Mayi, maści lecznicze – dodatkowo płatne – oraz bandażę założyły się same. Sall nigdy nie widział lepszych opatrunków.

I dawno tak szybko nie zasnął.

\*\*\*

Zimno. Na tej wysokości lodowate powietrze wciskało się w każdy zakamarek statku.

Wyrzał przez bulaj. Daleko pod Olfandesem połyskiwały linie rzek, zalesione wzgórza zlewały się w monotonną zieleń. Słońca musiały już stać wysoko na niebie.

Mayi nie było w kajucie, ale prócz turkotu przetaczanych beczek i piaskliwych głosów szotków, Sall usłyszał brzdęk strun oraz szybki, melodyjny

śpiew.

Odnalazł ją na pokładzie. Siedziała na kłębie zwiniętej liny, a jej plecy i ramiona okrywało grube futro, zapewne podarowane przez szczury. Sall przypuszczał, że w ramach podziękowań za muzykę; dziewczyna w jednej dłoni trzymała lirę, w której rolę strun pełniły wiązki Światła o różnych barwach, a drugą, ubraną w specjalną rękawicę, trącała kolory, wydobywając czyste dźwięki. Wyglądała na zadowoloną. Głos miała czysty i silny; Sall nie dziwił się szotkom, że przelatując obok, przystawali zauroczeni śpiewem, po czym lewitowali dalej, poganiani wściekłymi okrzykami stojącego za sterem Krzywego Pyska.

– Rozleniwia mi chłopaków – narzekał, gdy Sall wszedł na mostek.  
– Słyszysz ją, chłoptasiu? Słyszysz, eh? Zna nawet „Ogon miała parszywy, lecz ślepie ochocze”. Kto ją tego nauczył?

– Wolę nie zgadywać. Gdzie jesteście?

– Pod słońcami, gdzieżby indziej, eh? Spójrz tam! – Kapitan wskazał kilka białych punktów na horyzoncie. – Bezgłowia.

– Musimy tam dotrzeć przed jutrzejszym świtem.

– Lecimy z pełną prędkością. A teraz wynoś się, bo przez twoje zgrzytanie nic nie słyszę.

Sall wrócił do kajuty, wyjął kostkę i zbadał wryte na niej miniaturowe znaki. Co pewien czas słyszał piski szotków, później śpiew Mayi ustał, odgłos dzwonka oznajmił nadejście pory obiadowej, aż w końcu, gdy cienie zaczęły się wydłużać, Sall doszedł do smutnego wniosku, że Hubold miał rację. Proroctwo mówiło dokładnie to, co opowiedział w Lagunie.

Zniechęcony uciął sobie drzemkę...

– Kapitan wzywa – oznajmił szczur lewitujący w wejściu.

\*\*\*

Maya znów siedziała na linach, z twarzą skąpaną w poświęcie liry. Wygrywała cichą, spokojną melodię, a wiatr hulał w jej grubym futrze.

Sall nie potrafił stwierdzić, czy skrzywienie pyska kapitana to uśmiech, czy coś zgoła innego.

– Odrobinę nad łbem tego białego majtka. – Kapitan wskazał łapką za siebie.

Na tle ciemniejącego nieba wyraźnie odcinały się dwa czarne punkty.

– Okręt? – zapytał Sall, chociaż znał odpowiedź. Pech nie mógł go tak po prostu opuścić.

– Ay – przytaknął Krzywy Pysk. – Z każdą godziną coraz bliżej. Komuś podpadliście, eh? Przez lunetę widziałem banderę z dwoma słońcami i najdziwniejszą załogę, jaką widziałem: bez rąk, nóg, kaszlący, poparzeni. Prawdziwy powietrzny lazaret, ale broni mają, jakby ruszali na wojnę, eh?

Sall przypuszczał, że Kulawego tam nie było. Nie, raczej czekał już w Bezgłowiach, a to jedynie straż tylna, psy gończe, polujące na problemy w postaci ślepej dziewczyny z kostką holograficzną. Ilu nieszczęśników Kulawy zaraził wizją cudownego uzdrowienia? Czy wspomniał im o możliwości zniszczenia całego świata? Sall ich rozumiał. Pragnęli normalnego życia, tak jak i on, podobnie skłonni zaryzykować wszystko dla cienia szansy, lecz teraz lecieli zabić jego i Mayę, a na to nie mógł pozwolić.

– Dacie radę im uciec?

Krzywy Pysk zachichotał.

– Tą łajbą? W tamten okręt włożono naprawdę wiele forsy.

– Więc będziemy walczyć.

– Za to nam nie zapłacono! I daruj sobie argument, że jedziemy na tym samym wózku, eh? – Podfrunął do Salla i spojrział nań czarnym okiem.

– My potrafimy bezpiecznie zlecieć, więc... – urwał, gdy Sall wyjął garść diamentów. – Myślisz, że każdy problem rozwiązesz świecidełkami?

– Bywa, że działa całkiem nieźle.

Zostało mu osiem rac do przywołania Lyssy. Osiem rac, aby wyjść cało z podniebnej walki i później, w górach. Wcześniej myślał, że to sporo, teraz wydawało się zdecydowanie za mało.

– Zbliżcie się, burta w burtę i oddajcie jedną salwę, dobrą salwę, która zrobi dziurę w ich kadłubie. Kto jak kto, ale wy dacie radę – dodał szybko na widok kręcącego łbem kapitana.

– Oni też zdążą strzelić, a ich burty utwardzono Brązem. Nasze ledwie

Zielenią i to pośledniej jakości.

– Jedna salwa z bliska, kapitanie, i wasz najlepszy miotacz.  
 – Chcesz im wrzucić bombę?  
 – Coś lepszego. Umowa stoi? – Sall przekreślił dłoń. – Są twoje. – Diamenty okrążyły kapitana, po czym łagodnie osiadły na jego kapeluszu, błyszcząc w słońcach.

– Bosman Kwik do mnie!

Biały szczur z nadętym brzuchem zleciał z takielunku.

– Ay, ay!

– Wydaj grog chłopakom!

Sall uniósł brew.

– Grog?

– Czyżbym słyszał powątpiewanie w twym głosie, chłoptasiu?

– Widziałem już pijanych szotków.

Kapitan zbył te słowa machnięciem łapki.

– Jakże ruszać do walki na trzeźwo? Oby twój plan wypalił, chłoptasiu, inaczej czeka cię szybka droga w dół. Dalej, zawszone szczury! Ładować działa burzącym Cyjanem drugosłonecznym! Śmigła pełna moc! Wybijmy tym draniom resztki zębów!

\*\*\*

– Nie, Mayu, nie możesz zostać. Ty! – Sall zaczął spieszącego się gdzieś szczura. – Zaprowadź dziewczynę do kajuty.

Gryzoń zmrużył ślepią, ale telekinetycznie uniósł trzymaną przez Mayę lirę.

– Proszę iść za instrumentem, panienko.

– Uważaj na siebie – mruknęła i ruszyła za szotkiem.

Sall zacisnął dłonie na burcie. Punkty na niebie rosły z każdą chwilą, spod pokładu rozbrzmiewały odgłosy przetaczanych dział i piskliwe rozkazy, a on wyliczał w myślach wszystko, co może pójść nie tak. Wychylił się i spojrzął w otchłań. Wieczór zagarniał lasy oraz wzgórze – daleko, daleko w dole.

Czekał.

I czekał, ukryty za fałszburta, między pijanymi szotkami, które chichotały i opowiadały sobie dowcipy, trzymając w łapach małe arkebuzy.

– Hej, duży! – odezwał się szczur lewitujący przy jego ramieniu. – Dlaczego piekarz kupił tabletki na serce i zapłacił rogalikami? Bo... Bylem nie spalił... Bo zaniemógł! Rozumiesz? Za-nie-mógł. Ha, Ha, Ha! Nie wytrzymam!

Sall zagryzł wargi. Przypuszczał, że jeśli istnieje piekło, pijani szotkowie ze swoimi żartami muszą tam pełnić funkcję oprawców. Krzyk kapitana powitał niemal z radością.

– Jesteśmy gotowi, chłoptasiu! Jedna salwa, eh?!

Korzystając z większej manewrowości, Olfandes wzniósł się, odczekał, aż wrogi okręt wykona podobny manewr – lecz znacznie wolniej – i na komendę dał całą wstecz, jednocześnie opadając.

Sall zobaczył nazwę galeonu – Przyptyw – i rząd armat gotowych do strzału. Statki przesuwaly się teraz równolegle do siebie, oddalone o rzut kamieniem. Dokładnie o to chodziło.

– Ognia! – wrzasnął Krzywy Pysk.

Działa na obu jednostkach wystrzeliły jednocześnie.

Sall przytrzymał się nadburcia, gdy mocne szarpnięcie zakołysało mu w głowie. Huk go ogłuszył, wszystko utonęło w rozbłyskach Indygo i Cyjanu, drzazgi wybuchającego pokładu uderzyły głucho o pancierz; pechowi szotkowie, którzy nie mieli takiej osłony, zapiszczeli, lecz reszta szczurów wychyliła się i strzeliła snopami Czerwieni z arkebuzów. Z przeciwnego pokładu dobiegły krzyki rannych i umierających.

Przeciwnicy zripostowali za pomocą kusz. W burtę zastukały żelazne groty, niektóre z sykiem przeleciały powyżej, jeden szczur padł martwy, gdy dostał prosto w pierś.

Sall dostrzegł dziurę w burcie Przyptywu.

– Tam! – Wskazał ją oddelegowanemu do niego miotaczowi, odpalając racę. – Pchnij ją tam! – krzyknął i, widząc materializującą się dziewczynę, dodał: – Drugi okręt!

Rzucona telekinezą raca pomknęła prosto w wyrwę, zabierając ze sobą

poświatę. Okręt kultu Dwóch Słońc rozbłysnął Fioletem. Kolor wychodził każdą szparą, każdą szczeliną, a wraz z nim do uszu Salla dobiegły pierwsze przerażone wrzaski.

Zaczął liczyć i, gdy nadszedł czas, chwycił kolejną racę.

– Jeszcze raz!

Wkrótce z drugiego statku dochodziły tylko szum i trzaski widocznych w ładowni płomieni. Iskry buchnęły z podziurawionej burty, dziób opadł i Przyptyw udał się w ostatnią drogę w stronę lądu, ciągnąc za sobą kondukt żałobny dymu i ognia.

Sall żałował nielicznych, którzy jeszcze tam żyli i wiedzieli, dokąd zmierzają.

– Opuścić okręt! – ryknął kapitan.

Olfandes sam nie wyglądał dobrze: zerwane liny, kawałki desek odlatujące z wiatrem. Zielonkawe Światło sączyło się z rury ukrytej wewnątrz głównego masztu, łączącego pokład z balonem.

Sall wbiegł na mostek.

– Co robicie?!

– Tradycyjnie to, co każdy szczur, kiedy okręt czeka zagłada – wyjaśnił Krzywy Pysk. – Zbiorniki uszkodzone, Światło wycieka w kilku miejscach. Dobra ta twoja sztuczka. Nawet nie pytam; każdy ma swoje asy w rękawie, eh? Nie myśl o nas źle, okręt się nie pali, a ja ustawiłem kurs na Bezglowia, zgodnie z twoją mapą. To prosta droga i będziecie lecieć do samego końca, a potem... – Rozłożył łapy. – Życzę powodzenia! Przekaż dziewczynie, że cudownie śpiewa. Dalej, szczury! Zabierać rannych i wylewitować mi tu zaraz na ziemię. Kupimy sobie nową łajbę!

\*\*\*

Szczęknięta zapinana klamra.

– To energetyczna tarcza osobista. Artefakt Poprzedników. – Sall wziął dłoń Mayi i pokierował do włącznika. – Tutaj uruchamiasz, ale czekaj na mój sygnał. Bateria jest niemal pusta, a dziś już nikt nie wie, jak ją napędnąć.

– A ty? Też masz taką tarczę? – Zielone światło z masztu nadało skórze



Mayi chorobliwy odcień. Księżyc zastąpił słońca i mróz przybrał na sile, ale Sall wiedział, że dziewczyna nie drży z powodu zimna.

– Nie potrzebuję. Pancierz mnie ochroni.

Uśmiechnęła się smutno.

– Marny z ciebie kłamca.

– Krzywy Pysk obiecał, że lecimy w dobrym kierunku. – Sall zmienił temat i uruchomił kostkę. – I mapa twierdzy tak samo. Już niedaleko.

Niedaleko. Słowo, które tak wysoko, na zniszczonym okręcie brzmiało jak ponury żart. Wzgórza zmieniły się w okryte ciemnością fałdy, ale Bezgłowia lśniły księżycowym blaskiem odbitym od zalegającego śniegu. Ogromne szczyty z płaskimi wierzchołkami rzeczywiście wyglądały jak klęczący, zdekapitowani skazańcy.

– Zimno – stwierdziła Maya.

– Tak. – Nie wiedział, co więcej dodać.

Ciszę między nimi wypełniło skrzypienie desek i szum uciekającego Światła. Coś zgrzytnęło niepokojąco.

Sall schował kostkę do przewieszanej przez ramię torby. Trzymał tam kilka artefaktów i zapasowe fiołki, ale nic przydatnego w obecnej sytuacji. Stał przy nadburciu.

– Skąd znasz Hubolda?

– Miałam sześć lat, gdy mnie znalazł. Żebrałam na ulicy i przeszukiwałam śmietniki. Rodziców już nie pamiętam, ich głosy zlały się z setkami innych. Hubold dał mi wszystko.

– A w zamian chce jedynie, abyś uratowała świat.

Zaśmiała się.

– Chociaż tak mogę się odwdzięczyc.

– A jeśli Daurel ma rację?

Długo nie odpowiadała.

– Pytasz, czy nie zawaham się w ostatniej chwili, ponieważ zapragnę widzieć? Jestem córką sklepikarza, wiem, że nie ma nic za darmo, a złudzenia Daurela to kupowanie kota w worku. Wolę być niewidoma niż... – Głos jej się załamał, gdy z dołu dobiegło głośne szczęknięcie i statek przechylił się nieznacznie w dół. – Tęsknię za ojcem... Dobrze, że nie pojechał z nami.

Nie trafił na ten głupi okręt. – Odczekała trochę, nim zapytała: – A ty, Sall? Tęsknisz za kimś?

Jeszcze wczoraj odparłby, że to nie jej sprawa, że on próbuje tylko zdobyć pistolet Kulawego, a potem nigdy więcej się nie zobaczą. Teraz wyobraził sobie, co Maya czuje – wsłuchana w odgłos rozpadającego się okrętu, który zmierzał ku spektakularnej katastrofie. Życie w ciemności oznacza życie w strachu. On przynajmniej wiedział, kiedy nastąpi zderzenie.

Uświadomił sobie, że patrzy w niebo, wysoko, jakby bał się spojrzeć w dół. Zaciśnął dłonie, aż zatrzęszczało drewno.

– Na imię jej Lyssa.

Jasne włosy i chorobliwie biała skóra; w blasku słońca zdawała się zlewać ze światłem. Jeszcze pamiętał jej twarz, ale wiedział, że czas zatrze obraz, wypaczy go, aż zostanie tylko oblicze z cienia.

– Najlepsza fechmistrzyni Gebesh – rzekł głośno, jak wtedy, gdy z dumą przedstawiał ją przyjaciołom.

– Dziewczyna z ciemności! To ona?

– Nie zawsze tak było. Przeciwnicy, których pokonała, zwali ją „Lyssą o stalowym pocałunku”, gdyż końcówką rapiera zostawiała im krwawiące ciężcia. Dla mnie jej usta zawsze były miękkie.

Pokładem zatrzęśło, Maya pisnęła i chwyciła kurczowo jedną z naprzężonych lin.

– Mów... dalej... Proszę, mów. – Oddychała z trudem.

Sall przeszedł na środek pokładu i objął maszt.

Wierzył, że zbroja go uratuje, ale czy nie za często wiązał z nią nadzieję? Raz za razem wystawiał ją na coraz trudniejsze próby. Czy dziś wreszcie go zawiedzie? Nie był niezwyknięzony. Żłudne przekonanie o własnej potędze to prosta droga do porażki.

– Moi rodzice byli sławnymi wynalazcami, więc i po mnie oczekiwano wielkich odkryć. Dzieliłem czas między Lyssę a lumenologię. Dokonałem udanej syntezy Fioletu, ale pragnąłem więcej. Słyszałaś, jak twój ojciec śmiał się z durnia, który próbował otrzymać czarne Światło?

– To ty?

– Zaprosiłem Lyssę i najznamienitszych obywateli, by ujrzeli cud lume-

nologii. Fiolet, a następnie Czerni. Przeszedłbym do historii.

Okręt znów się przechylił z głośnym skrzypieniem. Wlecieli między pierwsze góry Bezgłowa. Tracili wysokość.

– Zostaw! – krzyknął, widząc, że ręka Mayi wędruje do włącznika tarczy. – Zaufaj mi. Jeśli teraz włączysz tarczę, zginiesz.

– Mów dalej! – Wiatr zerwał jej futro z ramion. Odleciało w pustkę, łopocząc wściekle. – Muszę wiedzieć, że tu jesteś!

– Razem z Lyssą uroczyście rozpoczęliśmy fuzję. – Wzgórza się zbliżały, ale Sall już nie czuł strachu. – Czarne Światło... Nawet sobie nie wyobrażasz. Nie było zwykłą ciemnością, lecz raczej... – Pokręcił głową. – Piękne i przerażające. Unicestwiało wszystko na swej drodze, ale ja i Lyssa znaleźliśmy się w samym środku. Tam było... inaczej. Ją zabrała Czerni, a mnie ogień... Trzymaj mocno!

Liny zatrzęszczały i jedna po drugiej pękły; maszt nie wytrzymał obciążenia, złamał się ze zgrzytem wyginanego metalu. Oderwany balon został na niebie, a kadłub pikował, sypiąc kawałkami drewna.

Maya trzymała dwiema rękami końcówkę liny obwiązaną wokół stałego koła wbitego w pokład. Krzyczała i ślizgała się po pokładzie.

– Teraz! – Sall miała nadzieję, że dziewczyna go usłyszy. Pęd powietrza gwizdał przeraźliwie. – Włącz tarczę! Maya! Włącz...

Korony drzew mknęły im na spotkanie.

– Włącz!

Gdy kadłub rozpadł się w ogłuszającym trzasku, Sall puścił maszt i zakrył głowę rękoma. Zdążył przypomnieć sobie, co wybuch w Gebesh zrobił z jego ciałem, i tak jak wtedy, zapadł w ciemność.

\*\*\*

– Sall! Sall, proszę! Gdzie jesteś?!

Powoli odzyskiwał przytomność. Zacisnął palce i poczuł grudy ziemi oraz korzenie trawy.

A zatem żył.

Wydał głośny jęk, gdy podniósł się na klęczki; bok rwał tępy ból,

ale kiedy Sall przesunął palcami po zbroi, nie znalazł żadnego wygięcia. Jak zwykle problemu nie sprawiał metal, lecz ciało.

Kiedy zakaszał, przez dziurki oddechowe wypłynęły cienkie strużki krwi.

– Sall! – Maya trafiła dłońmi na jego hełm. – Przeżyłeś! Dzięki Bogu. Myślałam, że zostanę tu zupełnie sama. Jesteś ranny?

– Nic mi nie jest – szepnął.

– Mówiłam, że nie potrafisz kłamać.

– Potrzebuję tylko... nieco Czerwieni. – Sięgnął do pasa. Większość fiolek nie przetrwała lądowania, zostały z nich jedynie szklane okruchy. Spróbował więc w torbie i w wyściełanej syntetyczną gąbką przegródce znalazł ostatni Karmazyn. Otworzył przysercowy otwór i włożył Światło. Ból zaczął topnieć.

– Krwawisz – powiedział.

Maya z pełnym wstydu uśmiechem dotknęła sklejonych krwią włosów.

– Twoja tarcza zadziałała, jak obiecywałeś, chociaż lądowanie nie należało do przyjemnych. Zgasła, kiedy cię szukałam i... uderzyłam głową w gałąź. – Posmutniała. – Jeszcze noc, ale latem słońce wstaje wcześniej. Jak daleko do wejścia?

Sall uruchomił kostkę.

– Dość blisko. – Spojrzał na rozłupany okręt; szczątki utknęły na konarach, liny zwisały niczym egzotyczne pnącza. Czarny las oświetlały tylko smugi księżycowego światła wpadające gdzieniegdzie przez listowie. – Wskakuj na moje plecy, zaniosę cię.

– Mogę biec – zaprotestowała.

– Nie widzisz, a las jest gęsty i pełen korzeni. Po prostu zrób to, Mayu – dodał, gdy na jej twarzy ujrział rozgoryczenie.

Wdrapała się i objęła go nogami w biodrach i rękoma za szyję. Prawie nie czuł jej ciężaru. Wstał powoli, oczekując nagłego bólu z jakiejś niewidocznej wcześniej rany.

Ruszył biegiem.

Omijał drzewa i powalone pnie, skakał nad dołami i tylko raz prawie upadł, gdy zahaczył o gruby korzeń. Wdrapywał się po zboczach, z oczami

utkwionymi w czarnej ścianie ogromnej góry. Kiedy przebiegał przez polanę, ujrzał niedaleko balony statków powietrznych.

– Zwolennicy Daulera już tam są – powiedział.

– Co zrobimy?

Wyciągnął pistolet i włożył do niego świeży ładunek.

– To, co konieczne.

\*\*\*

Musieli przybyć tłumnie. Chorzy i kalecy, rozczarowani życiem i poszukiwacze drugiej szansy. Na statkach światłolapnych, okrętach z rzędami ambrazur, zastygłych grawikoniami i pieszo, o czym świadczyły wydeptane ścieżki. U podnóża góry wycięto drzewka oraz krzaki, oczyszczono wejście – zięjący czernią prostokąt – na którego straży postawiono trzech osiłków. Kiedy dostrzegli Salla, największy podniósł świecąca na żółto latarnię.

– Stać! Czy przybywasz, by...

Błyskawica trafiła całą trójkę.

Sall przeładował w biegu, rozglądając się na boki. Nikogo. Stał przy ciałach, poczekał, aż Maya zejdzie mu z pleców, następnie podniósł upuszczoną latarnię i krótki miecz w pochwie, który przypasał dziewczynie.

– Na wszelki wypadek. Tylko się nie potnij. Wchodzimy – powiedział na widok kostki włożonej przez bandytów w niewielki otwór. Maya położyła dłoń na jego barku.

– Jestem gotowa – oznajmiła.

– Żeby chociaż wiedzieć, na co – mruknął Sall i ruszył naprzód.

Kamienny korytarz prowadził do błyszczących drzwi, które otworzono i zablokowano w tej pozycji za pomocą innej kostki holograficznej, włożonej w otwór tuż obok. Wystarczył rzut oka na gładki metal, jego wykonanie oraz skomplikowane rytę, aby Sall poczuł radość badacza, że COŚ tu niewątpliwie jest i ukłucie lęku, bo wyglądało na to, że Hubold miał rację. Jeśli gdzieś istniała wtyczka do wyłączenia świata,

równie dobrze mogła znajdować się za tymi drzwiami.

Korytarz w środku był szeroki, zbudowany całkowicie z pozbawionego rdzy metalu; po małych wzorach na ścianach przebiegły refleksy światła, kurz stuleci zakrywający podłogę został niedawno starty przez stopy. Mnóstwo stóp kultystów Dwóch Słońc. Z niknącej w ciemności oddali dochodziło echo inkantacji.

– Słyszę ich – szepnęła Maya. – Tak wielu.

– Nie wiedzą, że tu jesteśmy. Pamiętasz instrukcje?

– Jak własne imię. Nie mogę stanąć w świetle ani krzyknąć. Gdy z głowy wyruszą posłańcy, wchodzę przez usta i niszczę płomień. Szkoda, że niewiele rozumiem.

– Tak. Ja też. Chciałbym wiedzieć, jak to zakończyć.

Lampa zamigotała, więc sięgnął po fiolkę. Nie znalazł Żółci, tylko rzadsze kolory, więc włożył Lawendę pierwszej klasy. Wzory na ścianach wypukliły się, zrobiły trochę wyraźniejsze.

– Boże... – szepnął Sall. – To lumentyk.

– Co takiego?

– Ceremonialne pismo ślimakoidzkich augurów. Nigdy nie widziałem go na własne oczy, ale czytałem pewne wzmianki. Jest widoczne tylko w ich świętej barwie.

– Szarość!

Sall zaczął przeszukiwać pas. Wszystko stłuczone. Sięgnął do torby.

– Ostatnia, ale jest.

Wymienił Światło w latarence i spojrzął na informacje sprzed tysięcy lat. Tłumaczył, chłonał wiedzę i z każdym słowem uświadamiał sobie, że powinien przeprosić Hubolda. Może tak zrobi, kiedy będzie okazja, co zważywszy na słowa zapisane w lumentyku, nie było wcale takie pewne.

– Sall. Świt już niedługo – powiedziała Maya po minucie lub kilkunastu. Zupełnie stracił poczucie czasu. – Co napisali?

– Wszystko – odparł. – Zawarli tutaj wszystko.

– Zatem kto ma rację? Mój ojciec? Dauler?

Sall westchnął.

– Obaj.

Stanęli u wylotu korytarza. Kilkanaście stopni w dół prowadziło wprost na wypełnioną tłumem przestrzeń.

W jaskini stały setki kultystów, ale kolejne setki zmieściłyby się bez trudu. Mężczyźni, kobiety i dzieci, starzy i młodzi, połączeni w oczekującą na cud wspólnotę. Śpiewali w podniosłym nastroju, fanatycznie szczęśliwi, ale i zdeterminowani, o czym świadczyły dłonie na rękojeściach mieczy i buzdyanów, drzewcach włócznie i pochodniach. Wspólnie patrzyli na obiekt pośrodku pieczary.

Przypominał metalowy budynek wprost z umysłu szalonego architekta. Kilka kroków dookoła jego ścian rozciągała się sfera, której wnętrze co parę chwil wypełniało białe światło; na zewnątrz blask był przytłumiony, ale po odczytaniu lumentyku Sall wiedział, że w środku jest zupełnie inaczej.

Bardzo, bardzo jasno.

Kolejną zwrotkę zaczął pojedynczy głos, który Sall już słyszał dzień wcześniej.

Daurel. Stał w odosobnieniu przed sondą, odgrywając rolę mistrza ceremonii. Gardła podchwyciły jego słowa i złączyły się w następnej radosnej pieśni.

– Jaki masz plan? – zapytała Maya.

– Mam nadzieję, że posłuchają głosu rozsądku.

– A jeśli nie?

– Zostanie druga opcja – westchnął. Nie musiał dodawać, że ta możliwość przewidywała pistolet, bomby i całkiem sporo krwi.

Zostało sześć rac – niewiele czasu, aby Lyssa pomogła mu doprowadzić Mayę na środek jaskini. Kiedy zgaśnie ostatnia, zbroja nic nie pomoże. Odpiął pas i podał Mayi.

– Race. Czujesz? Tu chwytasz i pociągasz. Poczujesz, kiedy się zapali. Przed nami schodki, nie potknij się.

– Jest nas tylko dwoje.

Sall nachylił się i szepnął jej do ucha:

– Troje. Fiolet sprowadzi Lyszę. Nie zapalaj kolejnej racy, póki poprzednia nie zgaśnie. My zajmiemy się resztą. Jeśli ich nie przekonam, utworzę drogę. – Położył jej rękę na ramieniu. – Dziś ty jesteś bohaterką, Mayu. Uratowałem ci życie, ale ty możesz uratować cały świat. Gotowa?

– Nie sądzę – pisnęła, przyciskając ramię do piersi.

– Zuch dziewczyna.

Jak zacząć? Kiedyś już przemawiał na zgromadzeniach, najczęściej luźnych spotkaniach towarzyskich lub sympozjach, ale nigdy o końcu świata. Zaczekał na przerwę między zwrotkami i krzyknął, ile tchu w piersi:

– To żaden cud!

Odbite od ścian słowa dotarły do najdalszych krańców grotu. Pieśń umilkła i wszystkie oczy zwróciły się ku niemu.

Wskazał metalową rzecz.

– To statek kolonizacyjny! Technika poza naszą zdolnością pojmowania, ale nadal technika. Szuka światów do kolonizacji, a gdy takie znajduje, wysyła sygnał i czeka na rozkaz rozpoczęcia przemiany. Ale... – Sall zrobił dramatyczną pauzę, by wpatrzone w niego setki twarzy z rozdziawionymi ustami zrozumiały powagę sytuacji. – Nasze słońca blokowały sygnał. Aż do wczorajszej koniunktji! Niesamowite, prawda? Starożytne ślimakoidy znalazły tę sondę, zabezpieczyły i zostawiły proroctwo zapisane na kostkach holograficznych. Wiedziały, że nadciąga koniec cywilizacji, więc użyły prostych określeń, aby nawet prymitywne plemiona zrozumiały... – Zaczął tracić widownię. Usta się zamykały, a czoła marszczyły w wyrazie głębokiego niezrozumienia. – Eee... Nie potrafiły unicestwić sondy, ale odczytały z niej dane i... Znaczą, dopiero dziś będzie możliwość, aby ją zniszczyć, a jeśli się nie uda, zostaniemy niewolnikami i eee... – Zdecydowanie za dużo informacji, a za mało czasu. – Dajcie nam przejść, aby... eee... uratować świat?

Daurel wybuchnął głośnym śmiechem.

– Co za bełkot! Zabić heretyków!

Fala szeptów przetoczyła się przez tłum.

– Zastanówmy się wspólnie... – Sall uniósł ręce w pojednawczym geście.

Odpowiedział mu zgrzyt wyciąganych ostrzy i syk uruchamianych budygów energetycznych. Błysnął metal długich noży i grotów włóczni.



Maya wyjęła racę.

– Opcja numer dwa? – zapytała bez śladu drwiny.

Naiwny jak wioskowy głupek, inaczej Sall nie potrafił siebie określić.

– Co się stało z ludzkim rozsądkiem? – warknął. – Zapalaj. I trzymaj się blisko mnie. – Wycelował pistolet w paru krzyczących mężczyzn, którzy już pędzili w ich stronę.

Na widok fioletowej poświaty rozległ się szmer zachwyty. Dymiąca sylwetka ukazała się przed Sallem.

– Lyso, chroń dziewczynę.

Nacisnął spust. Piorun przeszył widmo dziewczyny i objął najbliższych kultystów. Wrzasnęli krótko i upadli, niektórzy wciąż wijąc się w drgawkach.

Sall już zbiegał po parę stopni, Maya ostrożnie za nim, a coś czarnego i nieuchwytnego przeskakiwało między nimi, zostawiając za sobą rozcięte gardła i przebite serca.

Rąbnął w szczękę pierwszego kultystę, staranował barkiem następnego, przyjął uderzenie mieczem na hełm i uderzył napastnika w czoło. Zdeptał czyjąś nogę, usłyszał trzask łamanej kości i przeraźliwe wycie.

Chaos.

Twarze pojawiały się przed wizjerem – wykręcone, pełne bólu, strachu i wściekłości, lub wszystkiego jednocześnie. Uderzał w każdą, bez wyjątku czy należała do młodzieńca, czy starej kobiety. Wysłucha sumienia, kiedy już Maya uratuje świat, a jeśli nie zdoła, jakie znaczenie będzie miał stos martwych ciał? Łokciami rozłupywał czaszki, kolanami miażdżył kończyny. Rzucił bombę ponad tłum i zdetonował myślrozkazem. Ogłuszający huk przetoczył się przez jaskinię. Ranni kultysty jęczeli głośno, ale na miejsce każdego powalonego nadchodziło dwóch kolejnych.

Sall zrozumiał, że nie zdąży. Zostały dwie ostatnie racy.

Spojrzał przez ramię. Maya biegła z zaciśniętymi zębami i policzkami mokrymi od łez. Kultysty pędzili do niej ze wznieśioną bronią, lecz ginęli, krzycząc i chlapiąc krwią, gdy cień Lyssy obdarowywał każdego pocałunkiem rapiera, przebijając kolejnego, nim ciała poprzednich zdążyły upaść.

– Zabić ich! Zabić! – wrzeszczał Daurel ochryplym głosem, coraz bliż-

szy paniki. W dłoni trzymał pistolet, na widok którego Sall warknął wściekle.

Technologia ożywiania przedmiotów; pierwszy krok, aby wydostać się z metalowej skorupy, a może nawet po latach badań znów oblec Lysse w ciało... Wbił oczy w pistolet jak łowczy w zwierzynę.

Przed Sallem wyrosła niska dziewczyna z wyrazem ekstazy na twarzy. Rozłożyła szeroko ręce.

– Moja wiara cię powstrzy...

Zmiotł ją ruchem ręki, strzelił w starca unoszącego drewnianą palkę i syknął, gdy błyskawica objęła i jego pancerz. Do diabła, dlaczego oni się nie kończyli?! Prawie upadł, gdy barkiem natrafił na jakiegoś osiłka.

– Sall! – krzyknęła Maya.

Przewróciła się o jedno z ciał. Sall ruszył do niej, lecz wtedy noga się pod nim ugięła, trafiona w kolano paraliżującym ciosem buzdyganu. Gdy przykłęknął, jakaś kobieta wskoczyła mu na plecy, wyjąc i uderzając pięściami w hełm; stracił równowagę i runął na ziemię.

– Wstawaj! – wrzasnęła. Gwałtownie odchylił głowę do tyłu i usłyszał chrupnięcie. – Biegnij! – Ból rozlewał się aż do biodra.

Maya upuściła rękę, jej ręce ślizgały się na pełnym krwi podłożu. Łkała cicho, a może i głośno, któż mógł powiedzieć w tym jazgocie? Raca się dopalała. Wkrótce zgaśnie i zostanie jeszcze jedna, ostatnia, a potem kultysty pogrzebią ich oboje samą liczebnością. Kobieta na plecach nie przestawała drapać pancerza, pluć i warczeć. Czyjeś ręce chwyciły go za zranioną nogę i pociągnęły. Sall ryknął wściekle i podniósł się na klęczki. Jak w zwolnionym tempie zauważył nadciągający w stronę jego oczu buzdygan; główka trzaskała iskrami kipiącej energii.

Zatem porażka. Poczul krótkie ukłucie żalu. Po raz kolejny zawiódł.

Rapier odciął dłoń trzymającą buzdygan. Maczuga wciąż z zaciśniętymi na niej palcami trafiła w napierśnik Salla i odbiła się z brzękiem. Krzyk okaleczonego mężczyzny utonął w przenikliwym jazgocie, który dobiegł ze statku kolonizacyjnego.

Tłum westchnął, wzniesiono ręce, kikuty i protezy w oczekiwaniu na cud. Krzycząc prośby o uzdrowienie, drobna staruszka zlazła z pleców Sal-

la, a on klęczał oszołomiony faktem, że jeszcze żyje – po raz kolejny dzięki Lyssie – i z nowo odbudowaną nadzieją, podszedł na czworakach do Mayi, by pomóc jej wstać.

Raca zgasła, ale nikt nie atakował.

Część kadłuba rozsunęła się na boki, ukazując rozświetlony korytarz. Z wnętrza dobiegł szum; narastał i narastał, aż dziesiątki kul wielkości dłoni wyfrunęło niczym stado wypłoszonych nietoperzy. Stożki mdłego, prawie przezroczystego światła wystrzeliły z każdego drona – tam, gdzie padały, materia zmieniała się w metal. Trafieni ludzie krzyczeli, gdy ich skóra przybierała lśniąca formę, a głosy zmieniały się w elektroniczny jazgot. Przez chwilę roboty patrzyły w szoku na swoje nowe metalowe kończyny, lecz potem z ich twarzy odpływały emocje. Milkły i, nie zważając na chaos dookoła, zaczynały zbierać części panczerzy, broń oraz kawałki metalu. Jedni kultyści uciekali od latających kul, inni wprost przeciwnie, biegli do nich, czekając na przemieniające światło.

– Posłańcy wyruszyli z ust! – Sall pociągnął Mayę za sobą w stronę korytarza. – Musisz wejść do środka statku! – Kulejąc, jęcząc przy każdym kroku, przepchnął się między zdezorientowanymi ludźmi i robotami. – Zapal racę!

– To ostatnia!

– Wiem!

Gdzie pistolet?! Gdzie Daurel?! Znalazł ślimakoida naprzeciw wejścia. Podskakiwał komicznie na zdrowej nodze i machał w stronę kul.

– Tu! Uleczcie mnie! – Piana leciała mu z ust.

Ślimakoid obejrzał się, gdy wszystko zamigotało od Fioletu. Dymiące ostrze uderzyło w pierwsze kule – zabrzczały i runęły, sypiąc iskrami z obwodów.

– Nie! – krzyknął. – Zostawcie je! – Wyciągnął pistolet i strzelił.

Sall upadł z głośnym brzękiem, gdy ożywiony płaszcz z któregoś ciała owinął mu nogi. Upadł na uszkodzone kolano i zawył z bólu. Maya przystanęła.

– Biegnij! Na wprost! Biegnij! – krzyknął do niej.

Ruszyła ostrożnie, wyciągając przed siebie rękę z racą.

– Nie! – Daurel ujrzał dziewczynę.

Cień pojawił się tuż przy nim i przebił mu rękę. Pistolet upadł. Lyssa zamachnęła się po raz drugi, ale galareta już objęła ciało Daurela.

Sall jęknął, przeładowując własny pistolet. Tarcza energetyczna. Ten drań ma drugą tarczę!

Stożek z kuli trafił wprost w Lysę. Czarne Światło nabrało srebrzystej barwy, ale wciąż uderzało ostrzem w rannego ślimakoida, który nie zważając na ciosy, bezpieczny za tarczą osobistą Poprzedników, schylił się, by podnieść pistolet.

Raca zgasała, ale na wpół materialna Lyssa trwała uczepona tego wymiaru – krzyknęła i rzuciła się na Daurela, przewracając go. Ślimakoid zaczął pełznąć w stronę pistoletu, wyciągnął rękę, prawie go miał...

Wystarczy, że trafi w kombinezon Mayi i dziewczyna umrze, zmiażdżona lub uduszona niczym w żelaznych objęciach gigantycznego węża. Umrze, a cały świat zamieni się w metal; nie będzie już ludzi, ślimakoidów, nawet szotków. Augurzy z dawnych czasów odczytali taki scenariusz wśród linijek kodu obcego statku. Coś wejdzie do tego wymiaru, zastąpi niebo półprzezroczystą kuźnią i zasiądzie na jej tronie, jak uczyniło na wielu, wielu światach, gdzie sprawuje dyktat.

W lumentyku nazwano tę istotę Demachinurkiem.

Sall zagryzł wargi. Zbroja utrzyma go przy życiu. Uwięziona w Świetle Lyssa nigdy się nie zestarzeje. Mają czas. Wiele, wiele czasu. Wspólnie znajdą rozwiązanie, sposób, aby wrócić do dawnych postaci.

Ale nie dziś. Nacisnął spust.

Błyskawica trafiła w pistolet Daurela i roztrzaskała go na kawałki.

Ślimakoid krzyknął jak torturowany więzień, w szaleńczym przypiływie sił zrzucił z siebie Lysę, wstał i pokuśtykał za Mayą, nie zważając, że weszła już w rozświetloną sferę i zbliżała się do korytarza. Wbiegł za nią, zaciskając palce na rękojeści miecza, lecz gdy blask ze statku dotknął jego oczu, wrzasnął z bólu.

– Nic nie widzę!

Usłyszał go system obronny. Strumień energii wystrzelił z metalowej ściany, przebił tarczę osobistą i Daurel rozpadł się na kilka zwęglonych ka-

wałeczków.

Maya zniknęła w środku statku.

Płaszcz nie stawiał wielkiego oporu, gdy Sall chwycił go i rozerwał. Nie mógł wstać, ale to już nie miało znaczenia. Jego rola skończona, teraz wszystko zależało od niewidomej dziewczyny. Większość jaskini zmieniono w metal. Część kul znalazła wyjście i zmierzała na zewnątrz, by roznieść metalową zarazę. Ludzie kręcili się bezradnie, modlili na kolanach lub próbowali zwrócić na siebie uwagę dronów. Wielu uciekło już wcześniej. Napędzane nieznanym przymusem roboty budowały coś na kształt wielkiego pieca.

Noga płonęła bólem. Sall obrócił się na plecy, poobijany i zmęczony.

Blask ze statku zgasł jak płomień zdmuchniętej świecy.

Kule spadły po łuku, roztrzaskując się na kawałki. Metal powracał do innego wymiaru, cofał się, ustępując kamieniowi, skórze i ciału. Jaskinia wracała do dawnego wyglądu, roboty jęczały, gdy krew zaczynała krążyć w odzyskanych żyłach i rozglądały się, oszołomione.

Roześmiał się głośno i sięgnął do torby po leczniczą Czerwień. Przypomniał sobie, że zużył ostatnią, a reszta się stłukła.

– Pechowy dzień – westchnął.

Poczuł dłoń na hełmie. Ujrzał nad sobą twarz Lyssy. Była tu – bez racy, z metalowym ciałem. Materialna.

Długie żółte kable zamiast włosów, chromowana twarz połyskująca lekko w blasku dogasających pochodni. Spojrzała mu prosto w oczy.

– Kocham... cię... – powiedziała z trudem, jakby jej usta odwykły już od mówienia.

A potem chrom ustąpił i, zanim Sall zdążył coś odpowiedzieć, czarna postać Lyssy rozplynęła się z cichym westchnieniem.

Długo nie mógł wydusić choćby słowa, nawet gdy usłyszał radosne wołanie Mayi.

\*\*\*

Kult Dwóch Słońc stracił powód istnienia i upadł, zostawiając za sobą

wiele rozczarowanych dusz oraz martwych ciał.

Sklepy świetlne w Bak-ar-Saud pękały w szwach, obłowione odmianami Zieleni, Czerwieni oraz Błękitu, zdobytymi podczas koniunkcji. Nieliczni szczęśliwcy, a jednocześnie ryzykanci wytworzyli nawet trochę Szarości. Sall wykupił całą, a także wiele innych kolorów, i następane dni spędził w wynajętym warsztacie, gdzie powoli stworzył nowe racy.

Nie zamierzał tracić więcej czasu w mieście.

\*\*\*

Wdrapał się na siodło. Za bramą widział ciemny horyzont. Dotrze tam, a potem jeszcze dalej, aż do niegościnnych terenów wiecznego lodu.

– Mało kto wraca z północy – rzekł Hubold. Obejmował córkę, która wciąż nosiła bandaż na poparzonych rękach. Płomień z proroctwa okazał się rozgrzanym ogniwem – wystarczyło zniszczyć jedno, czego Maya dokonała za pomocą zwykłego miecza, i reakcja łańcuchowa wyłączyła zasilanie statku.

– Mało kto – przytaknął Sall. – Podobno są tam jeszcze nieodkryte laboratoria badawcze Poprzedników, zapomniane technologie i artefakty.

– I wiele nieznanych bestii – przypomniała Maya.

Poklepał pas wypełniony bombami, racami i fiolkami Światła.

– Nie będę sam. Co teraz zrobicie?

Hubold wzruszył ramionami.

– Zbyt wielu ludzi z okolicy może obwiniać nas o śmierć bliskich. Otrzymałem pieniądze z ubezpieczenia, dlatego wieczorem odlatujemy na południe. Otworzę sklep świetlny w Parfoi. Odwiedź nas kiedyś.

Sall skinął głową. Wiedział, że prawdopodobnie nigdy ich już nie zobaczy.

– Żegnajcie.

Odjechał, nim zdążyli jeszcze coś powiedzieć. W sakwie trzymał jedną z martwych obecnie kul. Spadła na miękkie zwłoki. Cała i nienaruszona. Idealny obiekt do długich studiów – kto wie, jakie tajemnice

skrywa? Jednak badanie obcej technologii wymaga dobrych narzędzi i znakomitego laboratorium.

Miał nadzieję, że znajdzie je na północy.

**Link do opowiadania wraz z komentarzami:**

<https://www.fantastyka.pl/opowiadania/pokaz/29983>

**Rafał Łoboda** – Kołobrzeżanin, z wykształcenia ekonomista. Publikował m.in. w *Nowej Fantastyce*, *Fantazmatach*, *Fantastycznych Piórach*, *Zapomnianych snach*, antologiach: *Wszystkie kręgi piekła* oraz *Bażnie*. Wraz z żoną wydaje książki do nauki j. angielskiego. Pisze zarówno krwawe horrory, jak i spokojne romanse.





# Księżycowy Most

Michał Rybiński

## Teraz

Głód nie może zbyt długo pozostawać nienasycony. Głód pachnie strachem; obawą, że pożre świat dookoła i zostanie tylko on sam. Głód pachnie potem i śliną, obracaną w paszczy setki razy w poszukiwaniu resztek między zębami.

Dlatego cierpliwie tropił zapach starego człowieka, nawykłego do wędrówek i życia wśród woni roślin i zwierząt. Zapach dzikiego tytoniu i aromatycznych ziół, kinnikinnick, wypalanych przy niezliczonych ogniskach, w wigwamach i tipi. Zapach, który przykleił się do cybucha fajki. Zapach indiańskiej magii, woreczka z lekami, świętego amuletu dzieci Manitou. Zapach starego, ale wciąż smacznego, ludzkiego mięsa. O tak, na tę woń Głód kąsał dotkliwiej, niemalże odbierając świadomość, i parł ślepo za tropem.

Nocą dogonił ofiarę. Dotarł do miejsca, gdzie przerzedzała się wyższa trawa. Na brzegu rzeki ujrzał ognisko i siedzącego przy nim Indianina.

Głód napierał.

Podkradał się krok za krokiem, pod wiatr, żeby ofiara go nie wyczuła. Gdy się zbliżył, pochylił łeb, nastawił rogi i skoczył. Indianin w ostatniej chwili rzucił się w bok. Głód chybił, zranił tylko, zamiast zabić. Starzec przykucnął, wyjął nóż. Lewa ręka zwisała bezwładnie. W powietrzu unosił się zapach krwi i strachu.

Głód z łatwością obalił ofiarę na ziemię. Chrupnęła kość w ściśniętym łapą ramieniu, a Głód obnażył zęby, warcząc głucho. Głód zaraz zostanie zaspokojony ludzkim mięsem, za którym był już tyle nocy. Starzec zamknął oczy i zaczął nucić cicho pieśń, którą Głód znał: pieśń pogardy dla śmierci.

Nagle warkot ustał. Bestia poruszyła chrapami. Głód poczuł inny zapach. Zapach, którego nie czuł już dawno, a od którego to wszystko się

zaczęło. Zapach, który mógł zakończyć Głód raz na zawsze. Zapach tak przemożny, że Głód nie potrafił mu się oprzeć mimo ofiary leżącej tuż obok.

Bestia ni to zawyła, ni zaryczała, a potem dała susa w ciemność, wężąc głośno.

## Trzy dłonie i dwa palce wiosen wstecz

Kiedy żołnierze Błędnych Twarzy zaczęli wypędzać Czirokezów, by bez przeszkód wydobywać żółty metal, rozpoczęła się wojna. Wojownicy ginęli, przegrywając starcie za starciem. Gdy Błędne Twarze znalazły i otoczyły osadę Ścigającej Się Z Wiatrem, jej ojciec, szaman Mądry Bóbr, przekonał pozostałych przy życiu, że lepiej przetrwać dziś i jutro, nawet będąc wygnanym, by móc walczyć pojutrze. Mieli tylko noc na pospieszne przygotowania do drogi, pozwolono im wziąć tylko tyle, ile byli w stanie unieść na plecach. Następnego dnia, pod strażą oddziału Błędnych Twarzy, wyruszyli w drogę do nowej, obcej ziemi, którą wyznaczył im Wódz Martin Van Buren w odległym Waszyngtonie.

W trakcie wędrówki duchy im nie sprzyjały: zima przyszła nagle, nocą, niczym wróg podkradający się, by porwać konie. Oznajmiła się mrozem, ostrym wiatrem i lamentem matki oplakującej zmarłe z zimna niemowlę. Zaczynało brakować pożywienia. Czirokezi i Błędne Twarze nierzadko brnęli po kolana w śniegu. Żołnierze mieli ciepłe ubrania i zapasy, znać było, że nie pierwszy raz przebywają tę drogę. Za to z Prawdziwych Ludzi, jak mówiło o sobie plemię, mróz i zmęczenie wysysały życie: co kilka dni ktoś nie budził się nad ranem lub upadał i już nie wstawał. Nieliczni pozostali przy życiu mężczyźni zabierali wówczas ciało i grzebali na skraju szlaku. Spieszyli się, by móc dogonić wciąż popędzane przez żołnierzy plemię.

W jeden z mroźnych dni pękło serce Ścigającej Się Z Wiatrem, gdy odezła Motyl, przyjaciółka i skryta miłość. Szaman długo tulił płaczącą cicho córkę.

Mądry Bóbr uprosił kapitana Błędnych Twarzy, by zezwolił na kilku-

dniowy postój, podczas którego myśliwi mogliby zapolować. Żołnierz początkowo nie chciał się zgodzić, ale uległ, gdy obiecano mu udział w zdobyczy. Wielki Duch okazał łaskawość wysyłając jelenia, lisa i zabłąkanego niedźwiedzia, którego najwyraźniej wybudził ze snu, by podarować swoim dzieciom. Zabrał w zamian Cichszego Od Pумы. Gdy myśliwi wrócili do obozu, Blade Twarze wzięły wielkiego baribala dla siebie, grożąc karabinami.

Tęgo samego wieczora młody wojownik, Niedźwiedzia Łapa, usiadł przy ogniu szamana, prosząc o jego córkę i składając w darze mięso. Twarz Mądrego Bobra nie drgnęła. Ścigająca Się Z Wiatrem z trudem powstrzymała się od krzyku. Nie chciała ściągnąć uwagi żołnierzy.

– To nie jest mięso jelenia czy lisa – bardziej stwierdził, niż zapytał Mądry Bóbr. – Skąd je masz?

– Zabrałem Bładym Twarzom – odparł Niedźwiedzia Łapa, hardo patrząc szamanowi w oczy. Nie było chwały w przyznaniu się, że na kradzieży przyłapał go kapitan Bładych Twarzy, który najpierw przyjrzał się młodemu Czirokezowi, a następnie odszedł bez słowa, udając, że niczego nie widział.

Mądry Bóbr milczał. Ścigająca Się Z Wiatrem miała nadzieję, że pozwoli jej odgonić impertynenta od ogniska. Szaman jednakże sam zwrócił się do młodzieńca:

– Przyniosłeś w darze życie. Nie możemy tego przyjąć tylko dla siebie. Jeśli Blade Twarze dowiedzą się, co zrobiłeś, będzie jeszcze gorzej, niż jest. Szybko, podziel to mięso na części i rozdaj najbardziej potrzebującym. Jak najwięcej z nas musi przeżyć. Wrócimy do tej rozmowy u celu wędrówki.

Niedźwiedzia Łapa zabrał mięso, wyraźnie niezadowolony, ale nie śmiał się sprzeciwić szamanowi.

Następnego dnia burza śnieżna zakryła widnokrąg śniegiem i smagała raz po raz wszystko na swej drodze wściekłym wichrem. Dopiero po południu przejaśniło się na tyle, by kapitan i dwóch żołnierzy ruszyli naprzód, sprawdzić, czy szlak jest przejezdny.

Nad ranem wrócili tylko żołnierze. Błada Twarz, zwany Sierżantem,

po krótkiej rozmowie z nimi wezwał szamana i kazał Czirokeezom ruszać dalej.

– Kapitan obiecał nam czas na polowanie i odpoczynek – zaprotestował Mądry Bóbr.

– Teraz słuchacie mnie – rzucił groźnie Sierżant. – Kilka dni już minęło, a kapitan miał... wypadek.

Towarzyszący mu żołnierze wbili wzrok w ziemię.

Sierżant Bładych Twarzy był bezlitosny. Poganiał plemię Mądrego Bobra, nie zważając na pogodę czy choroby atakujące Czirokeezów. Szaman i jego córka dwoili się i troili, by utrzymać przy życiu jak najwięcej współplemieńców, ale i tak każdego dnia mężczyźni zabierali kolejne ciało, by pochować je pod śniegiem. Prawdziwi Ludzie dzielili resztki jedzenia na małe porcje, dzieci płakały z głodu i zmęczenia. Życie uciekało z plemienia jak woda z dziurawego saka.

Pewnego wieczoru zima dopadła Ścigającą Się Z Wiatrem, kłając jej ciało gorączką. Mimo starań Mądrego Bobra, dziewczyna zmarła po kilku dniach. Niedźwiedzia Łapa zastał szamana nucącego pieśń żałobną nad ciałem córki. Nienawiść i żal wypełniły młodego wojownika, twarz wykrzywił mu straszny grymas. Miał ochotę rzucić się z tomahawkim na Blade Twarze i zginąć w walce, zabierając ze sobą jak najwięcej z nich. Mądry Bóbr dostrzegł, co się dzieje i przestał śpiewać.

– Zabierz ją. Musimy żyć – powiedział głucho.

Młodzieniec troskliwie owinął ciało Ścigającej Się Z Wiatrem w zniszczone ubranie i zabrał ze sobą. Tego ranka tylko ona opuściła plemię. Rozkopał śnieg, a potem długo rozbijał toporkiem zmarzłą ziemię i wyciągał twarde bryły, szykując grób dla ukochanej. Plemię wyruszyło już w drogę, gdy wreszcie złożył ciało w płytkiej mogile. Rozwinął ubrania; dziewczyna zdawała się spać, jej twarz była spokojna, oczy zamknięte. Niedźwiedzia Łapa poczuł, jak po policzkach ściekają mu łzy.

– Wybacz, Ścigająca Się Z Wiatrem – powiedział cicho, wycinając kawałki mięsa z kobiety. – Musimy żyć. Twoje ciało mnie nakarmi.

Żuł mięso powoli, ogrzewając je w ustach, gdy zakrywał grób i okładał go kamieniami.

## Shore Rocks, późna wiosna 1853

Shore Rocks było jedyną osadą, na jaką zezwolili Czirokezi w swojej części Terytorium Indiańskiego. Niepisana umowa z okolicznymi plemionami chroniła miasteczko przed zbrojnymi konfliktami. Linia kolejowa, biegnąca z pogranicznego Fort Smith, kończyła się właśnie tutaj, nad brzegiem Arkansas. W Shore Rocks mieszkali ludzie, którzy nawet w nowych, dzikich Stanach Zjednoczonych nie mogli znaleźć sobie miejsca. Tutaj nie zadawano zbędnych pytań.

Właśnie takiego miejsca szukała Taylor Summers. Pewnego ciepłego dnia pojawiła się na peronie, niosąc cały majątek na plecach, w jukach i na siodle. Wynajęła pokój w Soma Saloon. Lokal prowadził Gurprit, Hindus w sile wieku. Szybko się polubili.

Taylor polowała, utrzymując się z handlu mięsem i skórami, potrzebowała jednak konia, by móc dotrzeć do terenów w głębi prerii, bogatszych w zwierzynę niż okolice miasteczka. Gurprit pomógł jej dobić targu z właścicielem miejskiej stajni.

Gdy szykowała się do wyjazdu, Hindus wcisnął jej przybornik medyczny. Potem przytrzymał konia i, niczym zatroskany rodzic, dawał rady, o które nie prosiła.

– Nie lekceważ asgina. Podobno potrafią opanować wszystko, co nie ma duszy bądź ją utraciło, w tym ludzi i zwierzęta. To one pochłonęły forty Gibson i Coffey i wypędziły stąd żołnierzy. Czirokezi mają swoje sposoby na ich obłaskawienie, składają dary, tańczą... No, hop! Ech, jak ty dobrze wyglądasz w siodle... Gdybym tylko był młodszy...

– Dziękuję, ale wiesz, że nie jestem zainteresowana – roześmiała się serdecznie. Dotknęła runda kapelusza na pożegnanie, spięła konia i ruszyła.

Po kilkudniowej jeździe Taylor znalazła miejsce, gdzie Arkansas płynęła leniwie, a brzeg, oznaczony wieloma zwierzęcymi tropami, łagodnie zanurzał się w wodzie. Wodopój. Miała nadzieję upolować tyle, ile mogła zawieźć do Shore Rocks przed jesienią, zanim pojawią się bizona i Indianie wyruszą na prerię.

Rozbiła obóz o ćwierć dnia drogi od wodopaju, pod kamieniem, nieopo-

dal indiańskiego totemu na brzegu rzeki. Nie była przesadna, ale, pomna ostrzeżeń o indiańskich duchach, postanowiła zostawić im w darze pierwsze upolowane zwierzę. Tego samego wieczoru złapała żółwia, którego następnie sprawiła i złożyła pod totemem. Podobno Czirokezi cenili sobie ich skorupy.

Summers polowała, czasem opuszczając obozowisko na dzień czy dwa. Ustrzeliła trochę małych zwierząt, co zapewniło jej zapasy pożywienia i kilka skór na handel. Czekala jednak na większą zdobycz: mulaki lub może nawet zbłąkanego niedźwiedzia. Teraz, gdy miała wierzchowca, była w stanie zawieźć z powrotem do Shore Rocks większy łup. Krążyła więc cierpliwie wokół wodopoju, ciesząc się przy tym samotnością; brakiem ukradkowych spojrzeń i szeptów, przed którymi prędzej czy później uciekała z każdego miejsca.

Podczas jednego z takich wypadów zauważyła stado mustangów, które zeszło do rzeki. Jeden z nich człapał daleko z tyłu, powoli, ze zwieszonym łbem, aż położył się w trawie i długo nie wstawał. Kiedy dzikie konie ruszyły dalej, nie podążył za nimi. Summers, zaintrygowana, postanowiła sprawdzić, dlaczego.

Na widok Taylor koń próbował się podnieść, ale zaraz padał z powrotem. Robił bokami, charczał głośno, a jego zad pokryty był zaskorupiałą krwią. Summers sięgnęła po rewolwer, chcąc skrócić cierpienie zwierzęcia, ale zatrzymała się w pół ruchu. Na pysku mustanga usiadł piękny motyl. Koń zamknął oczy. Taylor, wiedziona jakimś nieokreślonym impulsem, wsunęła broń z powrotem do kabury, odłożyła karabin i kucnęła, wyciągając powoli dłoni.

– Ciii... ciii... Pomogę ci... Tak, spokojnie, ciii... – szeptała uspokajająco, zbliżając się, aż mogła położyć rękę na chrapach zwierzęcia. Poczowała na skórze ciepły oddech konia. Mustang otworzył oczy, wpatrując się w kobietę. Motyl poruszył skrzydłami, ale nie odleciał.

To była klacz. Summers została przy niej tego wieczora. Postanowiła oczyścić i opatrzyć uda zwierzęcia, poszarpane najpewniej przez wilki lub kojoty. Koń poddawał się spokojnie zabiegom, prychał tylko i niespokojnie wykręcał głowę, gdy szła co głębsze rany. Taylor w duchu dziękowała Gurpritowi za jego przezorność: w przyborniku, który wcisnął jej do juków przed wyjazdem, znalazła nici, igły, ziołowe maści, wszystko,

co było potrzebne. Nocą czuwała w półśnie, budząc się na najmniejszy dźwięk. W oddali wyły wilki.

Nad ranem klacz wstała i zaczęła skubać trawę dookoła. Nogi jej drżały, ruch sprawiał wyraźną trudność. Taylor wykopała wgłębienie w ziemi blisko pyska zwierzęcia, wyścielając je skórą, i napełniła wodą przyniesioną z rzeki. Ścięła też naręcz traw i ułożyła tak, by mustang mógł łatwo się pożywić. Jej własny koń pasł się nieopodal, co jakiś czas podchodził i trącał klacz pyskiem, jakby ponaglał ją do jedzenia.

Tej nocy niebo było bezchmurne, a prerię oświetlał prawie pełny księżyc. Summers zasnęła mocno. Śniła się jej młoda Indianka, naga i z poranionymi udami. Siedziała nocą wśród traw, otoczona motylami. Dziewczyna, posykurując z bólu, zrywała niektóre z roślin, po czym cierpliwie je rozgniatała i nakładała na rany.

## Między światami

– Nie można jej ufać – szeptały gniewnie skrzydła Motyl. – Pewnie chce cię uwięzić.

Ścigająca Z Wiatrem przerwała na chwilę opatrywanie swoich ran, przyglądając się śpiącej kobiecie. Wzruszyła w końcu ramionami.

– To ucieknę. Albo ją zabiję. – Twarz Indianki nie wyrażała żadnych emocji. Były asgina, to nie pierwsza Błada Twarz, którą wysłałyby do krainy wiecznych łowów, ale... Do tej pory zemsta nie zostawiła po sobie nic poza pustką w środku i bliznami po nienawiści. Teraz chciała tylko biec przez prerię, nie zatrzymywana przez nikogo.

Syknęła z bólu. Rany były głębokie, jeśli szybko nie zaczną się zasklepiać, będzie potrzebowała *tsiju*<sup>1</sup>.

## Preria, za dnia

Klacz odzyskiwała siły powoli, pokąsane nogi nie goiły się dobrze. Nie bała się Summers, pozwalała się głaskać i przemywać rany. Zwierzę wciąż miało

1 tsiju (czirokeski) – nazwa odpowiadająca tulipanowcowi

trudności z chodzeniem, więc Taylor przynosiła wodę i ścięte naręcza trawy.

Kobieta porzuciła polowanie i przeniosła obóz, by doglądać rannego konia. Starła się czuwać nocami, by móc odpędzić drapieżniki, które wabiła łatwa zdobycz. Podczas jednej z takich wart wataha wilków krążyła wokół obozu, powarkując i dysząc w ciemności. Uciekła dopiero, gdy Taylor zastrzeliła okazałego basiora. Jego kłami ozdobiła pas do karabinu.

## Między światami

– Dbaj o siebie – zaszeleściła skrzydłami Motyl. Ścigającej Się Z Wiatrem wydawało się, że usłyszała zazdrość. Potrząsnęła głową. Może i była dla Motyl tylko przyjaciółką, ale za to najbliższą, taką, przy której szaleństwo asgina przygasało. Teraz najważniejsze było to, że jej naczynie umierało, mimo starań Błodej Twarzy. Co się wtedy stanie? Czy wejdzie w ciało tej kobiety? Czy będzie musiała zabić jej ducha? Czy może schwyta ją Łapacz Złych Snów i ją także szamani postanowią uwięzić w totemie?

– Poproś ją – zatrzepotała Motyl. Ścigająca Się Z Wiatrem wyraźnie usłyszała zmartwienie. – Poproś. Może jednak ma dobre serce?

Wiatr poniosł śmiech Motyl, początkowo czysty, potem pęczniejący od drwiny, by nieoczekiwanie przerodzić się w szaleńczy chichot. Ją zemsta naznaczyła wyjątkowo mocno.

## Preria

Za dnia Summers odsypiała nocne warty przy zranionej klaczy. W pełnym słońcu, bez żadnych snów. Jednak gdy zamykała oczy nocą, za każdym razem śniła intensywnie. W tych nocnych marzeniach zawsze pojawiały się motyle i naga Indianka z poranionymi udami. Niebo było ciemne, bez gwiazd, tylko księżyc srebrzył prerię. Dziewczyna we śnie kuśtykała, zbierając rośliny i rozgniatając je lub okładając liśćmi rany.

Tej nocy podeszła do Summers i ujęła ją delikatnie za rękę. Taylor wzdrzygnęła się – dłoń Indianki była ciepła, wręcz gorąca, skóra miękka, a dotyk ostrożny, pełen szacunku, ale stanowczy.





– *Dehena*<sup>2</sup> – zaszeptał wiatr. Indianka pociągnęła Taylor za sobą, ani na moment nie puszczać jej ręki. Szły przez nocną prerię, prowadzone przez wielobarwnego motyla, jakiego Summers nigdy jeszcze nie widziała. Wysokie trawy muskały pieszczotliwie dziewczynę, jakby się z nią witały. Dotarły nad brzeg rzeki, gdzie rósł samotny tulipanowiec. Indianka pociągnęła Taylor za sobą, pod gałąź ciężką od liści i kwiatów.

– *Ahana*<sup>3</sup> – rozległ się szepł w powietrzu. Drzewo zaszumiało, jakby trącone pojedynczym podmuchem wiatru. Indianka zerwała kawałek kory i uniosła go tak, by Taylor mogła mu się dobrze przyjrzeć.

– Tsiju. – Głos był łagodny, szum liści ledwo słyszalny. Indianka włożyła korę między dłonie Summers i roztała ją. Taylor czuła bijące od dziewczyny gorąco, zauważyła też krople potu na jej czole.

– Tsiju – zaszumiały znów liście, jakby drzewo szeptało kobiecym głosem. Dziewczyna przysunęła się do Taylor, ujęła ją za nadgarstki i poprowadziła dłonie po swoich udach, delikatnie wmasowując proszek z kory w rany. Indianka zamknęła oczy i westchnęła z ulgą. Summers poczuła uderzenie gorąca, w głowie jej zawirowało. Nagle spadła w ciemność i obudziła się gwałtownie.

Księżyc wisiał nisko nad horyzontem, zachodząc powoli. Klacz parsknęła nieopodal, odpowiedział jej wierzchowiec Taylor. Kobieta, złana potem, oddychała ciężko. Wciąż czuła dłonie dziewczyny ze snów na nadgarstkach. Jej wierzchowiec podszedł, trącając Summers pyskiem.

– Niemożliwe – sapnęła Taylor, przyglądając się mustangowi. Klacz nie wyglądała dobrze, z trudem chleptała wodę z wgłębienia w ziemi. Wierzchowiec znów ją trącił pyskiem, parszcząc ponagląjąco.

Summers znalazła tulipanowiec ze snu dokładnie tam, gdzie wskazała go Indianka. Koń szedł sam, jakby znał drogę. Zerwała z pnia tyle kory, by wystarczyło na kilka dni opatrywania ran. Już po pierwszym dniu klacz odzyskała apetyt. Przez następne dwa tygodnie odżyła w oczach, a w snach naga dziewczyna przestała kuśtykać. Indianka kłękała u głowy Summers, gładziła ją po włosach i nuciła radośnie, a wielobarwne motyle siadały na

2     *dehena* (czirokeski) – chodź, chodź ze mną

3     *ahana* (czirokeski) – to tu, tutaj

jej ramionach. Taylor budziła się spokojna, w dziwnym błogostanie. Czasami zaciskała mocno powieki, usiłując przedłużyć sen, ale świt był bezlitosny: kiedy tylko na niebie pojawiało się słońce, dziewczyna znikiała.

## Między światami

Ścigająca Się Z Wiatrem, otoczona rojem motyli, przypatrywała się śpiącej kobiecie. Nie czuła w niej fałszu ani groźby.

– Niedługo znów będę gnąć – powiedziała na głos. – Chcę... – zawałała się. Przypomniała sobie szorstkie dłonie, delikatnie zmieniające opatrunki na jej udach. Przypomniała sobie uśmiech, gdy w końcu o własnych siłach poszła nad brzeg rzeki, napić się wody. Przypomniała sobie, co mówił duch drugiego konia, o szacunku i spokoju, gdy Błada Twarz go prowadziła. Nie, nie wiedziała, czego teraz tak naprawdę chce.

Motyle poruszyły skrzydłami. Nie gniewały się. Mówiły, że one już wiedzą, ale to jej ścieżka. W ich szeleście Ścigająca Się Z Wiatrem usłyszała... ulgę. Motyle szeptały, pierwszy raz od kilku zim, spokój.

## Preria

Ostatniej nocy, w śnie, Indianka chwyciła Taylor za ręce i pociągnęła, uśmiechając się szeroko. Summers miała wrażenie, że widzi w jej brązowych oczach jakiś nowy błysk.

– *Debena!* – zaszumiła preria, a Summers poczuła radosne podniecenie, jakby coś się zbliżało. Indianka ciągnęła ją za sobą. Biegły przez trawę, aż dotarły do małego pagórka. Dziewczyna dała znak dłonią, by kucnęły, po czym zaczęła się skradać. Summers podążała za nią, najciszej jak potrafiła. Indianka zatrzymała się w końcu i wskazała coś palcem.

– *Aui*<sup>4</sup> – szepnęła zefir. Taylor wpatrywała się w prerię nic nie widząc. Indianka roześmiała się bezgłośnie, delikatnie ujęła Summers za podbródek i obróciła w odpowiednią stronę. Pogładziła czule policzek kobiety i wyszczerzyła się, bardzo z siebie zadowolona.

---

4 aui (czirokeski) – jeleni

– *Aui* – powtórzyła cicho preria. Taylor wyteńczyła wzrok i dostrzegła charakterystyczne białe plamki ogonów mulaków, małe stado byków pasące się nieopodal. Poczuli na płatku ucha wargi dziewczyny.

– *Ga-no-ha-li-do*<sup>5</sup> – Ledwo wyczuwalny wiatr musnął skórę Summers niczym pocałunek. Taylor poczuła uderzenie gorąca i zanim się obudziła, usłyszała perlisty śmiech dziewczyny.

Następnej nocy upolowała dwa dorodne okazy, dokładnie tam, gdzie wskazała jej Indianka. Podeszła je z zadziwiającą łatwością, idąc dokładnie tak, jak zrobili to we śnie.

W końcu nadszedł czas, by wrócić do Shore Rocks. Taylor spakowała juki. Podeszła do pasących się razem koni, poklepała po szyi swojego wierzchowca, który parsknął z niezadowolaniem na zapach juchy.

– Koniec łowów, jutro wracamy – powiedziała. Klacz podeszła i trąciła ją pyskiem, podskubując brudną od krwi koszulę. Summers uśmiechnęła się i pogłaskała konia po chrapach. – Możesz iść z nami, jeśli tylko chcesz. Jesteś już zdrowa i wolna.

Zwierzę parsknęło, potrząsnęło głową i odkłusowało kawałek. Taylor zeszła na brzeg rzeki, gdzie z ulgą zrzuciła brudne ubrania i z przyjemnością zanurzyła się w zimnej wodzie.

Klacz wodziła wzrokiem za kąpiącą się Summers.

Tego wieczoru strudzona Taylor szybko zasnęła. We śnie Indianka nuciła, gładząc jej włosy i patrząc w oczy, a motyle tańczyły dookoła, łapiąc w skrzydła promienie księżyca. Nagle śpiew się urwał, cała noc znieruchomiła. Ryk przetoczył się po prerii niczym grzmot, chmury zasłoniły księżyc, pociemniało. Oczy dziewczyny rozszerzyły się gwałtownie, zaczęła potrząsać Summers.

– *Hijegi! Hijegi!*<sup>6</sup> – krzyczała rzeka, smagana wichrem. Summers oknęła się momentalnie. Konie rżały przerażone. Chwyciła za pas z rewolwerem, zapięła go w pośpiechu i sięgnęła po karabin. Klacz wybiegła z mroku z uszami położonymi po sobie i zaczęła nerwowo drobić przed Taylor. Zaraz za nią przygalopował spłoszony wierzchowiec. Klacz zarżała i puściła się cwałem, do brzegu rzeki. Taylor kopnęła ziemię, zasypując za-

5 ganohalido (czirokeski) – polowanie, łowy

6 hijegi (czirokeski) – (rozkazująco) wstawaj

rzące się ognisko i kucnęła, ściskając nerwowo karabin w rękach. W oddali usłyszała ryk, od którego włosy zjeżyły się na karku i zrobiło się jej zimno.

Z kierunku, w którym pobiegła klacz.

## Preria, teraz

Głód węszył wzdłuż brzegu rzeki. Zapach go przyciągał, ślina ściekała po kłach. Czuł przerażonego żółwia, chowającego się w skorupie, wydrę, przyskakującą w nurt wody, ale żadne z nich nie było w stanie zagłuszyć tej jednej, jedynej woni, tej, której nienawidził i pożądał zarazem. Zatrzymał się i uniósł pysk, strzygąc uszami.

Tętent kopyt i chlupot rozpryskiwanej wody. Zapach nasilał się. Zawarczał głucho i ruszył cicho do przodu, przemykając wzdłuż kamieni i co wyższych traw, aż w końcu ją zobaczył.

Ścigająca się Z Wiatrem stała w plamie księżycowego światła odbijającego się w nurcie rzeki, po kostki w zapachu ryb i traw. Motyle tańczyły wokół jej głowy. Głód, krok za krokiem, pochylając łeb, ruszył. Woń była przemożna, pchała bestię do przodu, wprost na nią, naga, z brązowymi oczami rozszerzonymi ze strachu i zaciętą miną, z kamieniem w dłoni. Nareszcie mógł pożreć ją całą, mieć ją tylko dla siebie!

Runął do ataku, rycząc przeraźliwie.

Summers biegła brzegiem rzeki, kierując się hałasem. Znów rozległ się ten przerażający ryk, a zaraz po nim plusk wody i rzenie. Przyspieszyła. Podmuchy wiatru rozgarniały przed nią przybrzeżne trawy, jakby wskazując ścieżkę, a księżyc w ostatniej chwili wyłuskiwał z ciemności zdradliwe kamienie i wykroty. W oddali zobaczyła, jak klacz tańczy w przybrzeżnej wodzie, strzelając kopytami i rżąc, a wokół niej szalało...

To coś.

Wielkie jak młody niedźwiedź, z rogami i pyskiem jelenia. Kłapało szczękami, machało łapami uzbrojonymi w pazury, usiłując dopaść mustanga.

Summers przyklękała, złożyła się do strzału, wypuściła przeciągle powietrze i nacisnęła spust. Rozległ się huk. Trafiła, bez wątpienia, ale na potwora nie zrobiło to wrażenia. Gorączkowo przeładowała karabin, złożyła się

ponownie, strzeliła. Trafiła, musiała trafić! Ten potwór jakby nic nie czuł!

Przeładowała. Ręce jej się trzęsły, zrobiła kilka szybkich oddechów na uspokojenie. Wymierzyła, uważnie, ostrożnie. Bestia obaliła mustanga i uniosła łapę do śmiertelnego ciosu, rycząc tryumfalnie. Wilcze kły na pasie karabinu zaśniły w świetle księżyca, broń huknęła. Taylor przysięgłaby, że usłyszała wycie i widziała widmo szarego wilka, rzucającego się do gardła potworowi. Trysnęła krew, monstrum zachwiało się, opadło ciężko na łapy. Klacz zerwała się z wody i kopnęła, prosto w głowę. Rozległ się gruchot pękających kości. Rogaty łeb zawisł bezwładnie i po chwili bestia przewróciła się na bok, wzbijając fontannę wody.

Summers ponownie przeładowała i, cały czas mierząc do stwora, podeszła bliżej. Klacz drobiła w miejscu, jakby czekając. Kobieta wystrzeliła jeszcze raz, prosto w rogatą czaszkę, by upewnić się, że monstrum nigdy już nie wstanie.

Mustang parsknął ponagłająco. Ruszył klusem. Zatrzymał się kawałek dalej i zarżał, wyraźnie czekając na Summers. Taylor walczyła chwilę ze sobą, zanim ruszyła za koniem.

Wkrótce dotarła do małego obozowiska. Klacz stała przy leżącym na ziemi ciele, grzebiąc niecierpliwie kopytem w ziemi. Taylor podeszła ostrożnie: to był mężczyzna, stary Indianin, zakrwawiony. Nie ruszał się. Westchnęła, spojrzała na mustanga. Potem zlustrowała brzeg rzeki, sprawdzając czy dziwna bestia jednak nie próbuje się podkraść, aż wreszcie odłożyła karabin i zaczęła opatrywać rannego. Był nieprzytomny, ale żył. Miał siwy czub, przechodzący w warkocz i mnóstwo tatuaży na pobrużdżonej twarzy. W kieszeniach jego kurty znalazła trochę ziół i proszków, w tym kawałki tulipanowca.

Taylor próbowała czuwać przy rannym, ale zmęczenie w końcu ją zmoгло. We śnie księżyc zachodził, motyle tańczyły nad rannym, a Indianka przytulała się mocno do Summers.

– *Wado, wado...*<sup>7</sup> – szeptała dziewczyna. Policzki miała mokre od łez.

– Ciii... ciii... – uspokajała ją Taylor, głaszcząc zjawę po plecach.

Kiedy Summers się ocknęła, słońce było wysoko nad horyzontem. Sta-

7 wado (czirokeski) – dziękuję

ry Indianin stał, zdrową ręką opierając się o klacz.

– Pokaż mi potwora – powiedział po angielsku ze śpiewnym akcentem. Taylor przetarła oczy, rozglądając się ukradkiem. Broń miała przy sobie. Po chwili namysłu zdecydowała, że to dobry znak.

– Jesteś pewien, że możesz iść?

Indianin skinął głową. Taylor podniosła się, wzięła karabin i ruszyła. Mustang prowadził starca, troskliwie go podtrzymując.

– Nigdy nie widziałam czegoś takiego... – powiedziała Summers, gdy dotarli do ciała. W świetle dnia było wręcz makabryczne. Indianin przyglądał się bestii długo, zanim się odezwał:

– Wendigo. Znam wojownika, którego opętał, to Niedźwiedzia Łapa. Zrobiłaś dobrą rzecz, dając jego ciału pokój. Wracaj do siebie, preria będzie ci sprzyjać.

– Zaraz, co takiego? A ty dokąd się wybierasz, hej, zaczekaj!

– Ściągająca Się Z Wiatrem mi pomoże. – Poklepał delikatnie konia.

– Żegnaj – odparł Indianin, ruszając wraz z mustangiem. Klacz parsknęła i obróciła łeb, łypiąc na Taylor. Summers zachnęła się, niezadowolona, ale nie próbowała ich zatrzymać.

## Dwa tygodnie później

Taylor z ulgą wysiadła z pociągu w Shore Rocks. Słońce chyliło się już ku zachodowi. W kieszeni czuła przyjemny ciężar sakiewki: sprzedała korzystnie skóry, a potrzebowała pieniędzy na zimę. Na drewnianym peronie siedział Indianin, który na jej widok pozdrowił ją dłonią. Ten starzec znad brzegu Arkansas, gdzie... Summers potrząsnęła głową, odpędzając wspomnienie wendigo. Wciąż źle sypiała po tym spotkaniu i nie miała ochoty wracać do tamtej nocy. Podeszła do Indianina.

– Nie powinieneś odpoczywać? Jak ręka?

Przez moment wydawało się jej, że starzec uśmiechnął się lekko.

– Rana dobrze się goi – odpowiedział. – Skąd wiedziałaś o tsiju?

– Przyśniło mi się.

Szaman przypatrywał się Taylor przez chwilę, a następnie podniósł się.

Pomogła mu wstać.

– Chodź ze mną. Nic ci nie grozi. Wrócisz nad ranem. – Indianin oparł się mocno o jej ramię.

– A muszę?

– Nie. Ale ktoś na ciebie czeka.

Summers zastanawiała się przez moment. Spojrzała na starego badawczo. Indianie zazwyczaj nie chcieli dolarów, a nic innego, poza bronią, przy sobie nie miała. Wygrała ciekawość.

## Preria między światami

Czekała na nich przy Arkansas, między drzewami, nieopodal miasta Błędnych Twarzy. Gdy dotarli, usłyszała, jak kobieta głośno wciągnęła powietrze na widok znajomego totemu — tego, który ostatnio widziała wiele mil stąd. Ścigająca Się Z Wiatrem zarżała krótko i podbiegła. Przywitała się, skubiąc koszulę i przytulając nos do jej czoła.

– O ty łajzo... – roześmiała się Summers.

Starzec usiadł przy totemie, gestem wskazując miejsce naprzeciwko siebie. Taylor poklepała klacz po poliku i podeszła do Indianina. Summers usiadła i zauważyła pod rzeźbą skorupę żółwia, do połowy napełnioną wodą.

– Jak...?

Indianin wyjął fajkę i nabił ją ziołami.

Ścigająca Się Z Wiatrem słuchała, jak ojciec snuł opowieść. O Szlaku Łez. O tym, jak po przybyciu do nowej ziemi szamani wezwali dusze wszystkich zmarłych przez Księżycowy Most, włąli je w naczynia i zabijali, zabijali póki wszystkie forty Błędnych Twarzy i ich żołnierze nie umarli. O *asgina*, które, jak oszalała z gniewu Motyl, chciały mimo to zabijać dalej i trzeba było więzić je w totemach. O wendigo, złym duchu narodzonym z odrzuconej miłości i jedzenia ludzkiego mięsa. Wreszcie o tym, jak biała *ageya*<sup>8</sup> zyskała szacunek prerii i uśmierzyła nienawiść Motyl, której wędrujący totem postanowił od teraz strzec

8 ageya (czirokeski) – kobieta



zarówno Ścigającej Się Z Wiatrem, jak i Bladej Twarzy. Słuchała i nie mogła doczekać się końca opowieści.

Słońce zaszło, nocne owady zaczęły swój koncert. Na niebo wdrapywał się księżyc. Szaman wydmuchał dym w cztery strony świata i podał fajkę kobiecie. Taylor wzięła ją niepewnie, nie wiedząc, co ma teraz zrobić.

Motyl usiadł na totemie. Zapadał zmrok, słońce chowało się za widnokregiem.

– Zapal ze mną. Za pokój między tobą a mną, Wielkie Serce.

Summers zaciągnęła się dymem i natychmiast zakaszła. Szaman czekał cierpliwie. W końcu Taylor udało się powtórzyć rytuał i oddała mu fajkę.

– Przepraszam... – Kaszlnęła w rękaw. – Nie jestem przyzwyczajona.

Mądry Bóbr skinął głową i zgasił fajkę. Milczenie przerwała Summers:

– I co teraz?

Mądry Bóbr spojrzał w niebo.

– Czas na mnie – odpowiedział. Wstał, podniósł zdrową ręką żółwią skorupę z wodą i podał ją kobiecie. – Zaczekaj tu, aż zobaczysz Księżycowy Most.

Kiedy szaman odszedł, Summers zamknęła oczy. Czekala, ale sen, jak na złość, nie przychodził. W głowie kłębiły się jej dziesiątki pytań bez odpowiedzi. Westchnęła, otworzyła oczy i spojrzała w wodę w naczyniu. Na jej powierzchni odbijał się księżyc. Poczula podmuch ciepłego wiatru i zapach ziół, a potem usłyszała znajome nucenie i ciepłe dłonie na głowie. Przeszedł ją miły dreszcz, spojrzała w górę.

Niebo i księżyc przesłaniała roześmiana twarz młodej Indianki z priorych snów. Jej długie, czarne włosy łaskotały Taylor w szyję.

– *Osijo*<sup>9</sup>! – rzuciła wesoło Indianka. Oczy błyszczały jej radośnie.

Dziewczyna delikatnie ujęła twarz Taylor w dłonie, nachyliła się i pocałowała Summers, długo, bardzo długo. I bardzo mocno.

To było proste, naturalne, nieskrępowane. Takie, jakie powinno być. Taylor oddała pocałunek i pociągnęła Ścigającą Się Z Wiatrem w trawę.

9 osijo (czirokeski) – cześć, pozdrowienie

### Link do opowiadania wraz z komentarzami:

<https://www.fantastyka.pl/opowiadania/pokaz/30007>

**Michał Rybiński** – rocznik 1981, psiarz i pisarz amator, rodzic bardzo rezolutnej Młodej Damy, zawodowo w IT. Bakcyła fantastycznego złapał za młodu, przy *Gwiezdnych Wojnach* i Lemie i do tej pory nie wyzdrowiał. Pisuje rzadko i hobbystycznie opowiadania, czasem publikowane w e-zinach/ e-wydaniach, tomikach konkursów miejskich i „lub czasopismach”. Za statek-matkę swojej pisarskiej przygody uważa społeczność zgromadzoną wokół portalu fantastyka.pl i to tam wrzuca od czasu do czasu jakiś nowy tekst.

### Słowo od autora:

Tekst napisany na zaproszenie do antologii *Stojąc po kostki w zapachu ryb* (ależ to jest piękne zdanie! Autorowi zdania niezmiennie dzięki za inspirację). Miał być utrzymany w szufladce weird west romans – westerny uwielbiam, w romanse jestem słaby. Nie wszedł do zbioru, bo nie umiem dotrzymać terminów i nie mieszczę się w objętości, za to został zaprezentowany na portalu fantastyka.pl w lutym 2023 jako tekst promujący inicjatywę.

Zapraszam do zapoznania się z antologią *Stojąc po kostki w zapachu ryb* (dostępnej jako darmowy ebook).





# Dwór Wisielczego Króla

Iwona Serej

Hugo de Brass drżącymi rękami założył pętlę na szyję.

– Jesteś pewien? – zapytał jeden z towarzyszy.

– Nie mamy wyboru. To jedyny sposób. Jeśli nie wrócę...

Powiódł wzrokiem po twarzach przyjaciół i wziął głęboki oddech. Nie mógł ich zawieść. Mieli w końcu uratować świat.

Dał znak. Poczul gwałtowne szarpnięcie i jego ciało zawisło w powietrzu. Instynktownie próbował złapać oddech. Choć wiedział, co go czeka, nie potrafił zapanować nad paniką i zaczął szarpać linę. Ta jednak z każdym ruchem zaciskała się coraz mocniej.

Ostatnie, co pamiętał, to urywana inkantacja i gwiazdy na niebie, które przybrały jadeitowy odcień.

\*\*\*

Powietrze było lodowate i z trudem wypełniło jego płuca. Otworzył oczy. Zanim zrozumiał, co widzi, dotarło do niego, że gruby sznur nadal ciasno oplata mu szyję. Jęknął i spanikowany zaczął szarpać powróż, który tym razem nie stawiał oporu. Potykając się, Hugo zrobił kilka kroków w tył. Przez chwilę rozmasowywał obolałe gardło, potem uniósł wzrok.

– Udało się – szepnął i zamarł.

Otaczały go drzewa. Miały potężne, grube pnie, zdawało mu się, że sięgają samego nieba. Z gałęzi coś jednak zwisało. Zmarszczył brwi, próbując w półmroku dostrzec szczegóły. Wtedy zza ciężkich chmur wyszedł księżyc i Hugo uświadomił sobie, że to liny. Setki, tysiące zaplecionych w pętle lin.

Przełknął ślinę. Wyciągnął dłonie, ale wyglądały jak zawsze. Wstrzymał oddech. Niemal uśmiechnął się, gdy wyczuł bicie serca.

– Żyjesz. Przynajmniej na razie. – Kobięcy głos go zaskoczył.

Dłoń instynktownie powędrowała do pasa i trafiła na rękojeść miecza. Zacisnął na niej palce i zerknął na bok.

Stała za jego plecami. Nie słyszał jej kroków i nie był pewien, jak długo

go obserwowwała. Brzęknęło szkło, a po chwili półmrok rozgoniło mdlawe światło lampy.

*Podeszła, zanim się ocknąłem. Usłyszałbym ją z daleka* – pomyślał Hugo, patrząc na ciężką suknię, podobną do noszonych przez jego młodszą siostrę.

*Hanna...* – de Brass pokręcił głową, odganiając myśli o rodzeństwie. Skupił się na kobiecie. Gorset ścisnął talię tak wąską, że byłby w stanie objąć ją dłońmi. Włosy miała zebrane w luźny kok, a oczy martwe.

– Wisielczy Król czeka na ciebie – powiedziała, po czym nie czekając na odpowiedź, ruszyła między drzewa.

Chciał coś odpowiedzieć, ale ostatecznie podążył za dziewczyną. Przez chwilę szli w ciszy, a Hugo nerwowo zastanawiał się, które z nurtujących go pytań powinien zadać jako pierwsze. Miał ich tak wiele.

Gdy zostawili za sobą las i ich oczom ukazała się rozległa równina, chłopak na moment zgubił krok. Ledwie dostrzegalnie pokręcił głową i przywołał na twarz maskę obojętności.

*Już nie nazywaliby mnie odważnym, gdyby mnie teraz zobaczyli* – pomyślał z przekąsem. Wodził wzrokiem za setkami zmarłych, którzy w otępieniu snuli się po polanie. Nienaturalnie bladzi, o czarnych oczach i każdy z ciemnofioletową pręgą na szyi. Nikogo nie zauważali i, noga za nogą, wędrowali w sobie tylko znanym kierunku.

Hugo poczuł na plecach lepkie macki strachu.

\*\*\*

Siedzibę Wisielczego Króla stanowiły rozległe ogrody, poprzetykane martwymi drzewami i otoczone zmurszałym murem. Ścieżki wiły się i przecinały niczym w labiryncie, a kopała z trującego bluszczu zasłaniała niebo. Kilkukrotnie w oddali dostrzegł zakapturzone postacie, ale szybko znikaly w mroku.

Salę tronową wytyczała bogato zdobiona płaskorzeźbami kolumnada. Zza niej wyzierała korona ogromnego, gęsto porośniętego listowiem drzewa.

Już z daleka widział liczne postacie, przemykające w cieniu. Gdy podeszli bliżej, dziesiątki bladych twarzy zwróciło się w ich kierunku. Niektóre stare, inne zbyt młode, wszystkie z dziwnym blaskiem w oczach i fioletową pręgą na szyi. Dworzanie Wisielczego Króla.

Tłum rozstąpił się, i w końcu mógł ujrzeć tron stworzony z korzeni i ziemi. Nieregularne siedzisko było jednak puste. Zerknął na swoją przewodniczkę, ale ta pewnie ruszyła do przodu. Dopiero po chwili dostrzegł mniejszą ławę, którą zajmowała drobna dziewczyna o spleątanych białych włosach sięgających pasa. Korona z cierni nie raniła jej skóry, a twarz skrywała maska rzeźbiona w siwym drewnie.

*Czyżby królowa?*

Cisza stała się trudna do zniesienia. Zerknął na bok, ale wszyscy wyraźnie na coś czekali. Rozwahał, czy powinien przemówić pierwszy, ale przybył rozmawiać z królem.

Uniósł głowę, gdy kątem oka dostrzegł ruch. Zamarł. To, co wzięt za gęste listowie, było setką smolistych kruków o złotych ślepiach.

Usłyszał zbliżające się kroki. Nie miały jednego źródła, lecz dochodziły z wielu stron jednocześnie. Rozejrzał się, ale niczego nie dostrzegł. Tłum sztywnie ubranych postaci nie odrywał wzroku od drzewa.

Najpierw ujrzał dłoń brudną od ziemi, która wysunęła się z wąskiej szpary między korzeniami. Zaraz za nią wyrosło całe ramię i skrawek perleryny z liści.

*To niemożliwe* - przemknęło mu przez myśl. Potrząsnął głową – powiesił się, aby uzyskać audiencję u Króla Wisielców. Nic, co tu zobaczy, nie powinno go dziwić.

Opalizujące jaszczurcze oczy przyciągały jak magnes. Z wysiłkiem odewał od nich wzrok i objął spojrzeniem wysoką postać, która wydołała się spod drzewa.

– Hugo to kiepskie imię dla bohatera – sztywno Wisielczy Król, a chłopak spąsował i wykonał niski ukłon.

– Wierzę, że nie ma kiepskich imion.

– No, proszę. Tym razem przysłali kogoś, kto potrafi też myśleć. Podejdź bliżej, chłopcze.

De Brass chciał zaprotestować, ale ostatecznie ugryzł się w język. Uznał, że władca może nazywać go, jak chce, byle go wysłuchał. A najlepiej spełnił jego prośbę.

– Tym razem?

– Myślisz, że jesteś pierwszy? – zaśmiał się Wisielczy Król. – Co jakiś czas żywi czegoś od nas chcą. Doceniam odwagę, chłopcze, choć zwykle idzie ona w parze z głupotą. Mów, z czym do mnie przybywasz.

Hugo wziął głęboki oddech. Miał tylko jedną szansę – ostrzegano go, że Wisielczy Król nie należy do łaskawych. Ani cierpliwych.

– Nasz świat jest w niebezpieczeństwie, wielkie zło zagraża naszym pobratymcom. Aby je pokonać, musimy...

– Zło? – zdziwił się władca. – A czymże jest zło, chłopcze? – Młodzieniec zaniemówił. – Dobro, zło. Lubicie sobie wycierać nimi gęby. A my, chłopcze, czy moje królestwo jest w twoim przekonaniu dobre, czy złe?

Król wbił w niego jadeitowe spojrzenie, wyzierające zza kościanej ptasiej maski. Hugo poczuł, jak kropelki potu spływają mu po skroni. Rozejrzał się, ale nieprzychylnie i złośliwie twarze tylko potęgowały pustkę w głowie. Wiedział, że na takie pytanie nie ma dobrej odpowiedzi.

– Mój królu. – Śpiewny głos królowej uratował go z opresji. Błada dłoń musnęła rąbek liściastej peleryny. – To tylko posłaniec, nieświadomy ceny, jaką będzie musiał zapłacić. W dodatku taki młody. Ile wiosen przeżyłeś, młodzieńcze?

– Prawie dwadzieścia, pani.

– Taki młody – powtórzyła.

Cisza przeciągała się w nieskończoność. Czuł na sobie wzrok władcy, jakby ten coś dokładnie rozważał.

– Czegoż to śmiertelnicy potrzebują tym razem?

Hugo powoli wypuścił powietrze. Oparł dłoń na pasie podtrzymującym broń, próbując odzyskać resztki pewności siebie.

– Artefaktu. Zwą go Łzami Wiecznego Smutku.

Przerwał, nieco speszony brakiem reakcji. Liczył chociaż na kiwnięcie, które potwierdziłoby, że król wie, czego Hugon poszukuje. Odchrząknął.

– Powiedziano nam... mi, że można je odszukać tylko w twoim królestwie.



Ja... od niego zależy los wielu ludzi.

Popatrzył w oczy władcy, ale nieruchome spojrzenie sprawiło, że szybko odwrócił wzrok. Było w nim coś potężnego, ale i pierwotnego zarazem. Przypomniał sobie historie, które niegdyś opowiadała mu matka. Nazywano go też Panem Wierzb – ku pamięci każdej niewinnie powieszanej istoty sadził jedną wierzbę płaczącą w świecie śmiertelników.

– Pozwolę ci wędrować po moim królestwie i odnaleźć to, czego szukasz, choć musisz wiedzieć, że ma to konsekwencje.

Hugo z trudem powstrzymał westchnienie ulgi. Był o krok bliżej od wypełnienia misji.

– Dziękuję.

– Co raz zawisło, należy do drzewa. Wisielcy cię spaczą, wrócisz odmieiniony, choć wielu zawiśnie, zanim pojmiesz znaczenie mych słów.

– Nie rozumiem...

Pan Wierzb przerwał mu machnięciem dłoni.

– Otrzymałeś ostrzeżenie. Jeżeli szukasz Łez, czas na ciebie.

Hugo zamilkł i próbował zapanować nad wyrazem twarzy. Liczył na inną odpowiedź. Nie bał się wyzwania, ale nawet nie wiedział, gdzie zacząć poszukiwania.

– Mój panie, noc ma się ku końcowi. – Jego przewodniczka zrobiła krok do przodu i spuściła głowę. Król nawet nie spojrzał w jej stronę.

– Finonno, obudź się. Poprowadzisz śmiertelnika.

Niebo nad głową Hugona rozdarł przeraźliwy zgrzyt. Chłopak uniósł głowę i przyjrzał się kolumnadzie. Dopiero wtedy dostrzegł tuzin kamiennych rzeźb, które dumnie spoczywały na cokółach.

Jeden z gargulców drgnął, a dotąd kamienne spojrzenie nabrało życia. Bestia wstała i rozprostowała porośnięte szczeciną skrzydła. Przechyliła rogatą głowę i zmierzyła młodzieńca wzrokiem, a następnie zeskoczyła, wzbijając tumany kurzu. Dworzanie cofnęli się z oburzeniem i obrzucili stwora nieprzychylnymi spojrzeniami. Gdzieś w oddali zabrzmiał róg, a tłum momentalnie zaczął rzednąć.

– Jak sobie życzysz, mój królu – powiedziała oschle Finonna.

Róg rozbrzmiał po raz drugi.

De Brass zerknął na nią kątem oka. Miała szponiaste kończyny i pochyloną sylwetkę, jakby nie mogła się zdecydować czy chodzić na dwóch, czy czterech łapach. Przepaska biodrowa zasłaniała okolice intymne, a cienki pasek materiału obwisłe piersi. Skóra w niektórych miejscach była siwa, a w innych granatowa. Szczeciniaste włosy sięgały karku, nieco przysłaniając toporny pysk ze spłaszczonym nosem. Jedyne, co było w niej ładne, to oczy, przywodzące na myśl szarość poranka tuż przed wschodem słońca.

– Gargulce nie potrafią kłamać, więc wskaże ci drogę. Na dowód mojej przychylności zaprowadzi cię do tego, kto wie, gdzie znajdziesz Łzy.

Po tych słowach Wisielczy Król wstał i zniknął między korzeniami, a drzewo, ku zaskoczeniu Hugona, ożyło. Pochyliło gałęzie, na których również wisały stryczki. Pierwsza podeszła królowa. Sięgnęła po najdłuższą z lin i nałożyła na szyję pętlę.

– Co raz zawisło, należy do drzewa – szepnęła w odpowiedzi na pytające spojrzenie de Brassa.

Reszta dworzan poszła w jej ślady. Gdy róg rozbrzmiał po raz trzeci, drzewo z głośnym trzaskiem wyprostowało się i uniosło jakiś tuzin ciał. Można było pomyśleć, że wisielcy śpią, gdyby nie ich szeroko otwarte i martwe oczy.

Hugo z trudem przełknął ślinę. Odetchnął głęboko, czując na sobie taksujące spojrzenie gargulca. Nim zdążył cokolwiek powiedzieć, jego uwagę ponownie przykuł hałas na kolumnadzie.

Pozostałe stwory również się obudziły i trzęsły łbami, jakby chciały odgonić resztki snu.

– Finonna, a ty co? Dzisiaj pilnujesz jakiegoś młokosa?

Kobieta tylko prychnęła.

– To nie jest kraina dla starych nieładzi – stwierdziła bestia o pokaznym brzuchu i krótkich skrzydłach. – Żadnego szacunku dla naszej ciężkiej służby!

– Strzeżcie królestwa. Ku uciesze Wisielczego Króla! – zakrzyknął inny gargulec, po czym wzbił się w górę, a w ślad za nim podażyła reszta.

– Pośpiesz się, śmiertelniku.

– Mam na imię Hugo. I w przeciwieństwie do ciebie mam tylko dwie nogi – odpowiedział De Brass, siłąc się na uprzejmy ton.

Gdy gargulec wyprowadził go z ogrodów, wzbil się w powietrze i powiódł krętą ścieżką pomiędzy falistymi wzniesieniami. W oddali chłopak widział potężne drzewa, z licznymi ciałami zwisającymi z gałęzi.

– Dlaczego...?

Urwał i ruchem głowy wskazał nieruchome postacie, które delikatnie kołysał wiatr.

– Dzień nie należy do wisielców – powiedziała Finonna. – Co raz zawisło, należy do drzewa – dodała, gdy nie dostrzegła w jego oczach zrozumienia.

Chłopak odetchnął, próbując zapanować nad irytacją.

– Ale co to znaczy? Powtarzacie to, ale nic mi to nie mówi.

Finonna westchnęła i zmierzyła go nieprzychylnym wzrokiem. Przez chwilę milczała i Hugo miał wrażenie, że nad czymś się zastanawia. W końcu podjęła decyzję i wyraźna niechęć wypisana na jej pysku nieco zelżała.

– W krainie Wisielczego Króla panują pewne zasady, których musimy przestrzegać. Po co tutaj właściwie przybyłeś?

– Po artefakt, Łzy...

– To wiem – przerwała mu. – Ale czemu? To ryzykowne, możesz nie wrócić.

Chłopak przez chwilę milczał.

– Muszę spłacić dług. Dawno temu ktoś nas uratował, dał szansę. Mojej siostrze i mnie. Teraz ja ocalę innych. A ty? Dlaczego... – zaczął, ale umilkł, nie do końca wiedząc, jak sprecyzować pytanie.

– Jestem, czym jestem? To długa i nudna historia. Kiedyś byłam człowiekiem.

– Mamy chyba trochę czasu do zabicia – mruknął Hugo, rozglądając się po rozległych wzgórzach, których jedyną ozdobą były drzewa pełne

wisielców. Przez moment wydawało mu się, że kąciki ust Finonny zdrząły, ale wyraz jej twarzy pozostał poważny.

\*\*\*

Dzień w krainie Wisielczego Króla był cichy i ponury. Niebo zasnuwały ciemne burzowe chmury grożące ulewą.

W Hugonie z każdym krokiem narastało napięcie i niepokój, którego źródła nie potrafił nazwać. Dopiero gdy stanęli przed ciągnącymi się aż po horyzont bagnami, niemalże pozbawionymi drzew, uświadomił sobie, co go tak nęka. Cisza. Żadnych ptaków, szumu traw czy wody. Tylko skrzypienie gałęzi, na których wisiały trupy.

Ścieżka wiła się i zakręcała, prowadziła przez gęsty zagajnik widoczny w oddali. Finonna doradziła mu, aby pod żadnym pozorem nie wędrował przez bagna.

– To miejsce dla tych, których nawet Wisielczy Król nie chce w królestwie. Nie mają swojego drzewa i trawi ich szaleństwo.

– Dlaczego ty nie śpisz?

– Gargulce zwykle odpoczywają nocą.

– Gdy inni wracają na drzewa, wy strzeżecie króla? – domyślił się. – Dobrze przemyślane. Musi mieć do was zaufanie.

Finona prychnęła i z niedowierzaniem spojrzała na Hugona.

– Sądzisz, że on ufa komukolwiek?

Chłopak nie odpowiedział. Wążył w głowie usłyszane słowa i dotarło do niego, jak naiwnie musiał zabrzmieć. Odwrócił głowę, próbując ukryć zaczerwienione policzki.

– Mówiłaś, że urodziłaś się w szlacheckiej rodzinie...? – De Brass wrócił do ich wcześniejszej rozmowy.

– Stara krew i ogromny majątek. Dostawałam wszystko, czego chciałam. Suknie, klejnoty, służących na każde zawołanie. Poza miłością i uwagą tych, którzy powołali mnie do życia. Miałam sporo czasu, aby to wszystko przemyśleć i zrozumieć – dodała, widząc zaskoczenie na jego twarzy. – Pamiętam, jak godzinami uczyłam się haftować, aby zadowolić ojca. Zrobiłabym

wszystko, żeby usłyszeć choć jedno miłe słowo. Stwierdził, że to niepotrzebne, bo z takim posagiem zechce mnie każdy. Nawet ślepą i kulawą.

– Przykro mi.

– Matka się go bała, ale byłam jej oczkiem w głowie. Wyczekaną i wychuchaną księżniczką. Pozwalała mi na wszystko i zaszczepiła we mnie myśl, że jestem kimś wyjątkowym. Że czeka mnie wspaniała przyszłość. I choć pewnie myślała o bogatym mężu i dostatnim życiu, to ja marzyłam o czymś innym, bardziej ekscytującym.

Umilkła, pogrążona we wspomnieniach.

De Brass zastanawiał się, czy gargulec mówi prawdę, a potem przypomniał sobie słowa Wisielczego Króla – stwór nie potrafił kłamać.

– Jesteśmy blisko – powiedziała jakiś czas później Finonna.

Chłopak ożywił się i poczuł narastającą ekscytację. Cel misji był na wyciągnięcie ręki – tyle przygotowań oraz pracy. Pozwolił sobie na moment rozmarzenia.

*Skup się, Hugonie. Nie możesz zawieść, liczą na ciebie. To zbyt ważne.*

Przed oczami stanęła mu twarz mistrza i nauczyciela. To on przygarnął go, gdy wygłodniały błakał się po ulicach, i pokazał, jak władać mieczem. To on go wykarmił, wpoił, czym jest honor. Chłopak pamiętał dziwną nostalgię w oczach starca, gdy zgłosił się na ochotnika do tej misji. Mentor żegnał go z dumą, ale i smutkiem.

Wkroczyli na wąską ścieżkę. Stare powykęcane drzewa przypominały ludzkie sylwetki pogrążone w cudacznym tańcu. Hugo poczuł ciarki na plecach. Znikąd pojawiła się mgła, która lizała grube korzenie, ale nie miała śmiałości wkroczyć na dróżkę.

– Gdzie jesteśmy? – zapytał, gdy wyszli na równinę, zewsząd otoczoną ścianą lasu.

Polana pełna białych kwiatów zaskoczyła de Brassę. Przypominały lile, ale były drobniejsze i pachniały inaczej. Pośród nich mościły się przypominające bulwy domki, nie wyższe niż kilkuletnie dziecko. Przez niewielkie okrągłe otwory przenikało mdłe światło, ale pokraczne drzwiczki były zamknięte.

Hugo zauważył, że niebo zdążyło już ściemnieć, a pierwsze gwiazdy

zajaśniały na firmamencie.

Finonna ruszyła przodem, ale uważnie obserwowała polaną. Hugo odszukał dłonią rękojeść miecza i powoli wypuścił powietrze z płuc. Zachowanie gargulca podpowiadało mu, że powinni być ostrożni, próbował więc wyciszyć natrętnie myśli i oczyścić umysł.

Nad polaną górowało stare i samotne drzewo, które chyliło się pod własnym ciężarem. Gęsto porośnięte niebieskawym mchem i drobnymi listkami, pośród korzeni skrywało sporej wielkości jamę.

Gdy podeszli bliżej, w ciemnym otworze błysnęła para chabrowych oczu. Gargulec zatrzymał się, a Hugo stanął u jego boku. W milczeniu obserwowali, jak kobieca postać zmierza w ich stronę.

– Gargulce nie są tu mile widziane.

– To rozkaz Wisielczego Króla.

Obca prychnęła. De Brass nie chciał się nachalnie przyglądać, ale nie potrafił odwrócić wzroku. Większość ciała pokrywała kora i splątane gałązki, zostawiając tylko nieco skóry powyżej pępka i wokół obojczyków. Twarz, choć niegdyś ludzka, teraz miała nienaturalnie duże i skośne oczy, a zamiast nosa korę ciągnącą się aż do linii włosów.

– Wynoś się i... – chabrowe oczy spojrzały na chłopaka – zabierz śmiertelnika ze sobą.

– Musimy przejść, Zaro.

– To niemożliwe, wiesz o tym.

Gargulec przez chwilę patrzył na obcą, ale ostatecznie odwrócił wzrok.

– Ja mogę przelecieć, ale ty musisz pójść tędy.

– Nie ma innej drogi? Dopiero co powiedziała, że...

– Wywalcz sobie przejście albo zrezygnuj – wycedziła Finonna, po czym, nie czekając na odpowiedź, wzbiła się w powietrze. Zaskoczony Hugo przez chwilę obserwował, jak krąży nad polaną. Westchnął.

– Nie chcę walczyć. Błagam, przepuść mnie, a unikniemy rozlewu krwi.

– Nie mogę. Nic nie może zakłócić snu tych, których strzegę. Zawróć.

De Brass pokręcił głową. Przymknął na moment oczy i odetchnął.

– Przepraszam – mruknął, zanim sięgnął po broń i skoczył w kierunku kobiety.

Pierwszy cios zablokowały pnącza, które wyskoczyły z ziemi, jak gdyby tylko czekały na jego ruch. Wyprowadził kolejny atak, ale i ten został sparowany.

Odskoczył i odetchnął. Jeszcze raz przyjrzał się Zarze, wiedząc już, że nie wygra pojedynku ot tak. Szukał słabych punktów, które mógłby wykorzystać.

Strażniczka nie skorzystała z jego zamyślenia, choć powinna. Mogłaby zalać go gradem ciosów i zmęczyć, a był niemal pewien, że to ją cechowała większa wytrzymałość.

Skoczył do przodu. Ostrze w rękach Hugona ożyło i rozpoczęło brutalny taniec z cienkimi pnączami.

Kilkanaście ciężkich oddechów później wokół młodzieńca leżał co najmniej tuzin korzeni, ale na ich miejsce pojawiały się kolejne.

*Tak tego nie wygram. Wspomniała, że czegoś strzeże. Cokolwiek to jest, musi kryć się w tych bulwach.*

Uniósł miecz, markując kolejny cios, po czym uskoczył w bok i ruszył w kierunku pokracznych domków. Ku jego radości, Zara wydała z siebie przerażony okrzyk.

*To ją zdekoncentruje.*

Usłyszał za sobą świst pnączy. Wykonał unik. Ponowiła atak, ale i ten chybił. Zmusił ją do skrócenia dystansu. Gdy wbiegł pomiędzy kwiaty, złoty pył buchnął mu w twarz. W jednej chwili widział cel, w następnej zapiekły go oczy. Stęknął, gdy wszystko wokół zlało się w jedną plamę, a upornywy świad został wyparty przez ból.

Z trudem powstrzymał chęć tarcia powiek, wiedząc, że to tylko pogorszy sprawę. Stał i spuścił głowę. Uniósłszy miecz, nasłuchiwał. Szkolono go do takich sytuacji, ale nigdy nie musiał walczyć pozbawiony jednego ze zmysłów.

*Spokojnie. Dasz radę. Wyczekuj przeciwnika. W końcu zaatakuje. Jesteś w stanie go usłyszeć, po to od lat trenujesz... Nadchodzi!*

Klinga miecza wbiła się w miękkie ciało tuż nad pępkiem, a Hugo poczuł ulgę. Ciężko dyszał, a pot spływał mu po twarzy. Oczy nadal piekły i wszystko wokół lekko wirowało. Nie dałby rady zbyt długo kontynuować walki.

Chabrowe oczy przez moment rozszerzyły się w zdumieniu. Zara osunęła się na ziemię i dłońmi przycisnęła ranę, gdy chłopak wyszarpnął miecz.

– Mówiłeś szczerze? – wyszeptwała, opadając na kolana.

– Szczerze?

– Wcześniej, gdy twierdziłeś, że ci przykro.

Hugo otworzył usta, aby bezwiednie potwierdzić, ale nie mógł wydusić z siebie ani słowa.

*Kłamałem.* - Uświadomił sobie. Zaraz jednak potrząsnął głową. *To bez znaczenia. Zmusiła mnie do walki, nie dążyłem do niej. Musiałem to zrobić. Nie miałem wyboru.*

– Rozumiem – wyszeptwała strażniczka, gdy nadal milczał. Spojrzała w bok, za jego plecy i w jej oczach pojawił się prawdziwy ból.

– Zawiodłam swojego króla i swoje dzieci.

Hugo, niczego nie rozumiejąc, zerknął przez ramię i zamarł. W ferworze walki nie zauważył, jak dzień został wyparty przez noc i pokraczne drzwiczki zaczęły się uchylać. Z bulw wyzierały dziesiątki wystraszonych oczu, które w ciszy obserwowały pojedynek.

Kilkuletnie dzieci tuliły się do siebie, niektóre bezgłośnie płakały. Wszystkie nosiły ślady po sznurze.

Wojownik zrobił dwa kroki w tył.

– Teraz nie będę mogła ich bronić. Oby było warto. Śmiertelniku... strzeż się gargulca.

Las zatrzeszczał i otworzył przed nim ścieżkę, a Hugo, potykając się, uciekał. Uciekał od chabrowego spojrzenia i widoku niewinnych twarzy, które patrzyły na niego jak na potwora. Oprawcę. A przecież nim nie był, chciał tylko uratować swoich bliskich.

\*\*\*

– Dlaczego... dlaczego mnie nie ostrzegłeś? – zapytał Hugo jakiś czas później.

Siedział na płaskim głazie, tuż przy wyjściu z lasu. W dłoniach trzymał zakrwawioną klingę, a głowę spuścił smętnie, nie mogąc poradzić



sobie z emocjami. Nigdy wcześniej nie czuł się winny.

– Zmieniliby to coś? Odwróciłbyś się i odszedł? To była jedyna droga. Nie odpowiedział.

– Te dzieci – zaczął chrapliwie, ale odchrząknął. – One nie miały swoich drzew.

– To akt łaski Wisielczego Króla. Istoty, które niczym nie zawiniły, nie muszą co rano ponownie zakładać pętli na szyję. Ukrył je i wyznaczył strażnika.

– Ona umrze?

– Nie można zginać dwa razy. Wydobrzeje, ale do tego czasu nic nie powstrzyma tych, którzy znajdują ścieżkę do dzieci.

Hugo przymknął oczy. Coś zakłuło go w piersi.

*Nie miałem wyboru. To jej wina, powinna mnie była przepuścić* - powtarzał sobie niczym mantrę. Wstał, kręcąc głową, jakby chciał pozbyć się natrętnych myśli. Zaciśnął dłoń na rękojeści i zaczął czyścić klingę. Znajome, proste ruchy pomogły mu odnaleźć spokój.

*Muszę myśleć o swoim celu. Misji. Wiele żyć od niej zależy. Nie mogę zawrócić. Ich dobro jest ważniejsze.*

– Opowiedziałaś mi o swoich rodzicach, ale nie wyjaśniłaś, co doprowadziło cię aż tutaj? – powiedział Hugo, rozpaczliwie pragnąc zająć czymś głowę.

– Miłość, oczywiście. A przynajmniej coś, co sądziłam, że nią jest.

– Pokręciła głową. – Byłam taka młoda i głupia.

Spojrzała na niego z ukosa i chłopak miał wrażenie, że chciała dodać „tak jak i ty”, ale w ostatniej chwili musiała zmienić zdanie.

– Nosił takie piękne imię, Rafael, choć jestem przekonana, że nie otrzymał go przy narodzinach. Gdy się poznaliśmy, już wtedy lawirował na granicy prawa. Uwodziciel, łowca posagów, koszmar każdej matki. Sama zabiegałam o to, aby go poznać. Był taki ekscytujący, zakazany owoc.

Przerwała, a na jej twarzy zagościł uśmiech. Nie było w nim jednak radości, a politowanie.

– Uciekałam z nim, sądziłam, że to takie romantyczne. Miałam tak wiele

planów, ale wszystkie się posypały, kiedy wydano za nim list gończy. Wtedy wierzyłam, że popełnił głupi błąd, że wszystko można naprawić.

\*\*\*

Najpierw ich usłyszał. Rubaszne śmiechy, uwodzicielskie chichoty i karczemne przyśpiewki. Przystanął. Przez długi moment po prostu nasłuchiwał, nie wierząc w to, co słyszy.

– Trupa Ślepego Joe – mruknęła Finonna.

Rozległe ruiny czegoś, co przypominało świątynię, rozświetlały liczne czerwone światła. Ktoś całkiem sprawnie grał na lutni skoczną melodię, którą co jakiś czas przerywały pijackie wrzaski.

W środku dostrzegł wiele postaci. Najwięcej kręciło się na parterze, w pozostałościach głównej sali, do której przez resztki sufitu zaglądał księżyc. Parę osób grało w kości, ktoś nawet podskakiwał w rytm muzyki. Niektóre pary ulokowały się na poszarpanych resztkach pietra i z zapamiętaniem oddawały cielesnym uciechom. Hugo, nieco zawstydzony, odwrócił wzrok.

– Niech mnie świśnie, gargulec w naszych skromnych progach – krzyknął brodaty mężczyzna, wyciągnięty na licznych poduszkach. Finonna ruszyła w jego kierunku.

Obcy uniósł się i wsparł na łokciu. Pogłaskał po udzie wyciągniętą obok niego skąpo ubraną brunetkę i posłał im krzywy, ledwo widoczny zza gęstego zarostu uśmiech.

– Jesteś zaskakująco radosny, Gerard, jak na to, z czym przychodzę. Wisielczy Król nie jest zadowolony.

Mężczyzna rozłożył bezradnie ręce, zupełnie niewzruszony. Hugo kątem oka zauważył, jak wokół nich zebrało się kilku osobników, których można było śmiało określić typami spod ciemnej gwiazdy.

– Wiedziałem, że kogoś wyśle. Zresztą ci idioci są sami sobie winni. A ten... – ruchem głowy wskazał na milczącego chłopaka – co tu robi śmiertelnik?

– Niech sam przedstawia swoje sprawy.

Hugo podszedł bliżej i odchrząknął. Próbował panować nad nerwami, ale zewsząd otoczony zbirami, z trudem powstrzymywał się od sięgnięcia po broń.

– Szukam Łez Wiecznego Smutku. Podobno wiesz, gdzie je znaleźć.

Gerard przelotnie spojrzął na gargulca, po czym ponownie wrócił do chłopaka. Jeżeli był zaskoczony, nie okazał tego.

– A więc to tak. Dobrze się składa. Potrzebuję przysługi, a ty informacji.

Hugo zacisnął zęby i zdusił w sobie iskrę irytacji.

*No tak, przecież nie mogło pójść zbyt łatwo.*

– Co to za przysługa?

– Siadaj, napij się z nami.

Chłopak chciał zaoponować, ale coś w błękitnych oczach mężczyzny kazało mu usiąść. Ustąpił, czując, że opór byłby bezcelowy.

– Och, co to za przystojniak! – Wesoły szczebiot rozległ się tuż obok jego ucha. Zanim zdążył zareagować, na kolana opadła mu młoda dziewczyna z kwiatami we włosach.

*Stokrotki* - pomyślał Hugo, patrząc na misternie pleciony wianek. Zesztywniał i próbował się odsunąć, ale wytatuowane dłonie oplotły szyję, a rude pukle faskotały policzek.

– Nieśmiały, lubię takich – skomentowała ze śmiechem.

– Przepraszam, ale ja...

De Brass próbował wstać, jednak dziewczyna tylko mocniej do niego przylgnęła, odsłaniając zgrabne nogi. Z przerażeniem uświadomił sobie, że zaczyna się rumienić.

– Jeszcze wpędzisz go w kłopoty. Pewnie czeka na niego jakaś blondwłosa piękność, do której pała czystym i nieskazitelnym uczuciem – zakpiła Finonna, a policzki młodzieńca przybrały barwę purpury. Wokół rozległ się rubaszny śmiech.

Drobne palce zaczęły dotykać jego twarzy, a szkarłatne spojrzenie hipnotyzowało.

– Jaka szkoda. Nie dane wam będzie szczęśliwe zakończenie. Ją czeka starość, a ty umrzesz młodo. Ale bez obaw... – pochyliła się i szeptała mu wprost do ucha – to nie będzie dziś.

– Tissa, nie strasz chłopaka. Widać, że ledwo daje radę – powiedział Gerard z rozbawieniem.

Dziewczyna zrobiła smutną minę, ale ewidentnie nie zamierzała się ruszyć.

– Skąd...?

– Po prostu wiem.

Hugo zmarszczył brwi. Korciło go, aby wypytać dziewczynę, ale uznał, że to ani czas, ani miejsce. Zapytał jednak o coś, co nurtowało go, odkąd przekroczyli próg świątyni.

– Wszyscy zginęliście w tym samym miejscu?

– Miejscu, czasie. Żołnierze wyświadczyli nam przysługę. No, wolałbym żyć, ale Wisielczy Król przyjął nas wszystkich. Jak on to nazwał... – Gerard podrapał się po ciemnej brodzie – Wyborny dodatek do jego ogrodu.

– Ogrodu?

– Jesteśmy kwiatami w ogrodzie, które należy pielęgnować. Albo przycinać – wtrąciła Tissa.

De Brass przez chwilę rozważał jej słowa. Podali mu kubek z dziwnie pachnącym płynem, ale nie odważył się spróbować. Nie należał do ich świata, cały czas wierzył, że wróci. Ostatecznie ledwie zauważalnie pokręcił głową.

*Skup się, Hugonie.*

– Nie możesz mi po prostu powiedzieć, gdzie znajdę Łzy? – zapytał Gerarda. – To ważne, mój czas tutaj jest ograniczony, każda zwłoka...

– Nawet gdybym chciał, chłopcze, to nie mogę. Jestem winny, my wszyscy jesteśmy. Nie możemy dawać bez otrzymania czegoś w zamian.

Hugo nierozumiejącym wzrokiem spojrzął po zbirach.

– Niech ci Krwawa Dama wyjaśni. Sama wie najlepiej.

*Krwawa Dama? Co to za przezwisko?*

Finonna wymruczała kilka przekleństw pod nosem i niechętnie spojrzała na śmiertelnika.

– Król ma tylko dwa rodzaje poddanych. Niewinnych, którzy nigdy nie skrzywdzili człowieka. I winnych. Ci drudzy nie mogą po prostu dawać

nic bezinteresownie, tak to działa – wyjaśnił gargulec.

– Nie rozumiem...

– Nie musisz. Albo wyświadczysz mi przysługę, albo nici z naszej umowy.

– Niech zatem tak będzie. W czym mam ci pomóc?

Gerard uśmiechnął się paskudnie, po czym usiadł. Krzyknął coś do kompanów i po chwili podeszło do nich kilku mężczyzn, każdy brzydszy od poprzedniego.

– Widzisz tych trzech głąbów? Tępaki rozgniewali króla, a on oczekuje, że ukazę jednego z nich. Ot, dla przykładu, aby następnym razem ruszyli pustymi łbami, zanim się za coś wezmą.

– Jak masz ich ukarać? – zapytał ostrożnie Hugo.

– Wygnanie. Jeden z nich straci swój stryczek i miejsce na drzewie.

– A wy musicie o świcie wrócić na drzewo.

– Ha! Dokładnie. Widzę, że nie jesteś w ciemną bity. Gdybym miał odebrać całą trójkę, nie byłoby kłopotu, a tak dwóm się upiecze, ale jednego cóż... czeka raczej mało przyjemny los. Nie lubię babrać się w czymś takim. Chcę, abyś wybrał tego, którego wygnam.

De Brass zamarł. Przez chwilę tępo patrzył na Gerarda, pewien, że ten żartuje. Jego twarz była jednak poważna, a krzywy uśmiešek zniknął.

– To... Nie mogę. Na pewno podejmiesz lepszą decyzję. To pewnie wbrew zasadom. – Z nadzieją spojrział na Finonnę. Ta jednak pokręciła głową. Hugonowi zdawało się, że widzi w jej oczach złośliwą satysfakcję.

– Daj spokój... jak cię zwą?

– Hugo.

– Hugo, z daleka widać, co ty za jeden. Miecz u pasa, dobre ubranie i ładna buźka. Nie nazywacie czasem samych siebie tymi dobrymi? Na co dzień pewnie chętnie wymierzasz sprawiedliwość nieszczęśliwcom, których uznajesz za winnych, co?

Brodacz miał rację. Chłopak nie zaprzeczył i z jakiegoś powodu czuł się pokonany. Przegrał walkę, choć nie wiedział, że jakaś się toczy.

– Ale bez obaw, to nie powinno być trudne dla kogoś o tak czystym sercu – zakpił Gerard. Wstał i wziął od swojej partnerki przybrudzoną

ludzką czaszkę.

– Karl ci pomoże. Kto trzyma tego sukinkota, nie może kłamać. Zwykle używamy go do innych celów, ale jakie czasy, takie hm... narzędzie. No więc masz tu przed sobą Vinnie’ego, mordercę. Mówię oczywiście o ich najcięższych winach, bo jakbyśmy chcieli przejść przez całą listę, nie starczyłoby nam nocy. Diego, nigdy nie przelał cudzej krwi, ale nie przyjmuje odmowy od kobiet. No i Gustaw, on też nigdy nikogo nie zabił, ale jakby to ująć poetycko... nieco za bardzo lubi dzieci.

Gerard rzucił czaszką w zaskoczonego Hugona, po czym sam rozsiadł się wygodnie na poduszkach i oparł głowę na ramieniu.

– Którego z nich chcesz wysłuchać najpierw? Bo przecież każdy zastępuje na sprawiedliwy sąd, co nie? – zapytał jeszcze.

De Brassa skręciło w środku. Zamierzał od razu wskazać mordercę i zawstydził go własny pośpiech. Sam przecież był orędownikiem sprawiedliwego sądu nawet dla najgorszego przestępcy.

– Morderca, gwałcieł i zbrojeniec – podsumowała Finonna, przyglądając mu się badawczo.

Chłopak otarł pot z czoła i rzucił Karla Vinniemu.

– Zacznijmy od ciebie.

Zbir przez chwilę niezdecydowany obracał czaszkę w dłoni. Dość młody, ale niezbyt urodziwy, ocenił Hugo. Sterczące i ciężkie do ujarznienia włosy, zbyt okrągła twarz o topornych rysach. Bulwiasty nos i blizny po trądziku.

*Dlaczego? Jest niewiele starszy ode mnie, mógł mieć lepsze życie – przemknęło mu przez myśl.*

– Vinnie, nie mamy całej nocy. Opowiedz mu o dziewczynie – popędził Gerard, gdy młodzik niepewnie patrzył na kompanów.

– Ja... nie chciałem... – wydukał w końcu i umilkł.

Zapadła cisza, a chłopak wbił wzrok w swoje stopy. W końcu poirytowana Finonna prychnęła, a wszyscy spojrzeli w jej stronę.

– Skaże cię na wygnanie, jeżeli nie podejmiesz próby wytłumaczenia się. To twoja jedyna szansa, a wierz mi, brak miejsca na drzewie to najgorsze, co może cię tu spotkać.

Zbir przez chwilę patrzył na nią z szeroko otwartymi ustami. Podskoczył, gdy syknęła, obnażając kły i skulił się, gdy pacnęła go łapą.

– Naprawdę? Takich dzieciaków wciągałeś do swojej trupy? – Spojrzała ze złością na Gerarda, który wzruszył ramionami.

– Nie za mądry, ale jaką parę ma w łapach...

– Mów! – krzyknęła do Vinniego, po czym odeszła kawałek. Obróciła się do nich plecami, ale Hugo widział, jak co jakiś czas zerka kątem oka.

– Opowiedz nam – zachęcił bandytę De Brass.

– No... bardzo ją lubiłem. Naprawdę. Była taka ładna. U-uśmiechała się, jak przynosiłem błyskotki. O tu – wielką łapą dotknął policzka – dała mi nawet buziaka. Chciałem ją zabrać ze sobą, do trupy, ale reszta mówiła, że taka mnie nie zechce. I że... że to dziwne, że tak pyta o szefa. To jednej nocy poszli ze mną... Ja bardzo nie chciałem, ale ona miała nóż. Zdenerwowałem się, ale nie chciałem jej krzywdy zrobić. Tylko ją ścisnąłem, aby się uspokoiła i...

– Prawie ją zmiażdżyłeś! Ślepią jej na wierzch wyszły – zarechotał Gustaw. – Gdzie z takimi łapskami do dam, ty to się tylko do roboty nadajesz. A ona, sprzedajna dziwka, polowała na szefa.

Vinnie spuścił głowę i widać było, że żadna siła nie wydusi z niego ani słowa więcej.

*Czy morderstwo w afekcie to dalej morderstwo? Wydaje się skruszony. Nie, Hugonie, opamiętaj się. Krzywda to krzywda, nic dziewczynie życia nie wróci. Zresztą, to pewnie nie jedyna jego ofiara.*

– Zabiłeś jeszcze kogoś? – zapytał po chwili.

Vinnie pokręcił głową, po czym wepchnął czaszkę w ręce wysokiego blondyna, stojącego obok. Ten uśmiechnął się i uniósł Karla na wysokość oczu.

– Ach, przyjacielu. Niemal żałuję, że cię tu z nami nie ma. – Pogłaskał zakurzoną potylicę. – Po tej żenującej historii siadł nam nieco nastrój. Ale bez obaw, na mnie możecie liczyć.

Diego oparł jedną nogę na pieńku i ktoś podał mu lutnię. Brzęknął kilka razy na próbę i odchrząknął. Uśmiechnął się szeroko i potoczył wzrokiem po zebranych, upewniając się, że przykuł ich uwagę.

*Winny jestem, powiem od razu!  
Nigdy...*

Głos miał niski i miły dla ucha. Śpiewał pewnie, a gromkie śmiechy i oklaski tylko dodawały mu pewności siebie.

*Nie, nie, żadnej nie odmówię,  
ona przecież mi też nie.  
Dama nie wie, czego chce,  
aż na mnie nadzieje się.  
Jedne płaczą, inne krzyczą,  
Ach, jak wzbraniają się!*

De Brass z lekkim obrzydzeniem patrzył na zbirów, którzy tupali w rytm melodii i których ewidentnie bawiła przyśpiewka blondyna. Korciło go, aby przerwać tę błazenadę, ale ostatecznie odpuścił.

Gustaw z kolei nawet nie próbował się tłumaczyć. Uśmiech pełen poczerniałych zębów niepokoił Hugona. Nie był pewien, czy chce i czy powinien o coś dopytywać.

*Żaden nie zaprzeczył. Ale czy któryś żałuje? Co jest cięższą winą, gwałt czy zabójstwo? A dzieci... niewinne dzieci?*

Chłopak wstał i przestąpił z nogi na nogę, gdy zebrani spojrzeli w jego kierunku. Szydercze grymasy mieszały się z niezdrową ciekawością. Usłyszał, jak ktoś za nim właśnie przyjmuje zakłady.

Nie wiedział, co robić. Spojrzał w górę na ciemne niebo, zastanawiając się, ile jeszcze zostało mu czasu. Przestrzegano go, aby nie zwlekał i nie zostawał w królestwie Wisielczego Króla dłużej niż to konieczne. Powinien się namyślić, uważnie rozważyć winy i skruczę. Być pewien swojej decyzji, w końcu od niej zależał czyjś los, nawet jeśli tym kimś był zwykły zbir. Powinien...

Jeszcze raz spojrzął w niebo.

– Morderca musi zostać wygnany.

Gdy tylko wypowiedział te słowa, wiedział, że się myli. I jednocześnie ma rację. Poczul nieprzyjemny ucisk w klatce piersiowej i dyskretnie wytarł



spocone dłonie o tunikę.

– Morderca musi zostać wygnany – powtórzyl jeszcze raz, z trudem przekrzykując rozemocjonowany tłum. Radość mieszała się z wrzaskami oburzenia.

Hugo zachował kamienną twarz, mimo że poczucie rozdarcia narastało z każdym oddechem. Obserwował Gerarda, gdy ten podszedł do Vinniego i poklepał go po ramieniu.

– Przykro mi, przyjacielu – wyszeptał przywódca bandy. Ku zaskoczeniu de Brassa wydawał się szczery.

Gdzieś nad nimi rozbrzmiał potężny trzask. Hugo obrócił głowę i w milczeniu obserwował spadającą gałąź, do której przymocowana była pojedyncza pętla. Nikt nie zareagował, a oczy większości zwróciły się na Vinniego. Chłopak popatrzył po towarzyszach, ale gdy zrozumiał, że nikt mu nie pomoże, podniósł suchy konar i przytulił go do piersi. Spojrzał na nich po raz ostatni, po czym zniknął w mroku.

Stali w milczeniu długą chwilę.

– No dobra, to moja część umowy – powiedział w końcu Gerard. – To, czego szukasz, jest bardzo rzadkie nawet tutaj. Wiesz w ogóle, czym są Łzy Wiecznego Smutku?

Chłopak pokręcił głową. Kątem oka dostrzegł, jak tłum rozchodzi się, nagle znudzony, w poszukiwaniu innej rozrywki.

– Mogą je uronić tylko ci, którzy odebrali wiele niewinnych żyć – wyjaśniła Tissa, chwytając Hugona za ramię. – A gdy zdecydowali się ukorzyć i prosić o wybaczenie swoje ofiary, nie uzyskali przebaczenia. Nie ma dla nich miejsca w ogrodach króla i na jego drzewach.

– Idź na północ, na Pustynię Popiołów. Odszukaj kamienny krąg, nie da się go pomylić z niczym innym – wyjaśnił Gerard. – Tam znajdziesz mordercę, którego ruszyło sumienie.

\*\*\*

Milczeli do samego świtu. Milczeli, gdy wędrowali przez wymarłe miasteczka i osady pełne nieruchomych ciał, które delikatnie kołysał wiatr.

Hugo szedł wolniej niż wcześniej. Odczuwał zmęczenie, choć nie potrzebował jedzenia ani odpoczynku. Jego ramiona zgarbiły się, a na czoło wstąpiła pionowa bruzda, idealnie pasująca do zmarszczonych brwi.

– Jak skończyła się historia twoja i Rafaela? – powiedział, gdy miał już dość ciszy.

– Długo nie dostrzegałam, jaki był naprawdę. Nie widziałam brutalności, zachłanności. Wszystko potrafiłam sobie wytłumaczyć. Nawet życia, które zaczął masowo odbierać. Prawda dotarła do mnie, dopiero gdy zmusił mnie do zabijania. Ja... Musiałam trzymać sznur i patrzeć na szarpiące się ciała. Stamtąd nie było już odwrotu. Nie mogłam go opuścić i wrócić do rodziny, a gdy stałam się od niego całkowicie zależna, wyzbył się jakichkolwiek oporów.

Chłopak nie wiedział, co odpowiedzieć. Z jednej strony żałował dziewczyny, ale z drugiej coś mówiło mu, że to nie mogła być cała prawda. Przecież stwór nie potrafił kłamać.

– Co to? – zapytał Hugo, gdy coś dotknęło jego twarzy. Wyciągnął rękę, a na dłoń opadły czarne płatki. Gdy roztarł je między palcami, zamieniły się w pył.

– Pustynia Popiołów – powiedziała Finonna, potwierdzając oczywiste.

Chłopak próbował coś dostrzec przed sobą, ale drobiny sypiące się z nieba utrudniały widoczność. Spojrzał za siebie.

– Jak?! Dopiero co wędrowaliśmy przez równinę i niczego nie wiedziałem, nie rozumiem.

– Kto szuka, ten znajdzie.

Hugo zdusił w sobie złość na kolejną lakoniczną odpowiedź, która nic mu nie mówiła. Mocniej zacisnął dłoń na rękojeści miecza, dodając sobie w ten sposób otuchy. Bez słowa podążył za gargulcem, który jego zdaniem prowadził ich zbyt pewnie. Ogarnęło go nieprzyjemne poczucie, że stwór znał drogę od samego początku, ale z jakiegoś powodu zdecydował się tego nie zdradzać.

*Wisielczy Król nie chciał, abym od razu znalazł artefakt. Dlaczego? Jaki miałby w tym cel?*

Najpierw usłyszał tętent kopyt i minęła długa chwila, nim w czarnej śnieżycy dostrzegł cokolwiek. Przystanął i patrzył, jak dziwny kształt zbliża się powolnym krokiem. Uświadomił sobie, że niedługo przetnie im drogę.

Nie potrafił powstrzymać wzdrygnięcia, gdy stwór znalazł się bliżej. Przypominał konia, choć Hugo ze zgrozą odrzucił tę myśl – wszystko w królestwie Wisielczego Króla umarło na stryczku, nie chciał wierzyć, że i to zwierzę zginęło w takich męczarniach.

*Może to coś, co nigdy nie żyło? Nie należało do naszego świata?* - W milczeniu patrzył, jak bestia sunie na obwiązanych zakrwawionym bandażem nogach. Gdzieś tam zamiast skóry dostrzegł gołe kości, a kawałek starej szmaty zasłaniał pysk tak, że widoczne były tylko rozszerzone nozdrza. Łańcuchy, którymi było obwieszono stworzenie, cicho pobrzękiwały przy każdym kroku. Na jego zadzie przysiadło kilka kruków, które wlepiły w Hugona złote ślepia.

– To Hummdail – powiedziała cicho Finonna.

– Czy on...?

– Dla niektórych nie stanowiło różnicy, czy wieszają człowieka, zwierzę czy dziecko. On...

Urwała na moment, jakby chciała ugryźć się w język, ale ostatecznie zdecydowała się dokończyć myśl.

– Prowadzi na pustynię tych szaleńców, którzy szukają już tylko nicości. Nie wiem, czy strażnik to dobre słowo, ale czuwa nad nimi. Choć sam jest nie mniej szalony.

– Szalony koń czuwa nad szaleńcami?

– Myślisz, że zwierzę nie może być bardziej szalone od człowieka?

Hugo nie odpowiedział. Ponownie spojrzął w górę, na wirujące czarne płatki. Nagle coś go tknęło.

– Rozsypują się w pył, prawda? Ci, którzy podążą za Hummdailem.

Gargulec spojrzął na niego i to wystarczyło za odpowiedź. De Brass spuścił wzrok. W głowie miał zupełną pustkę. Żadnej gonitwy myśli, sprzecznych emocji. Nic. Tylko przeraźliwa cisza.

– Jesteśmy na miejscu.

Głos Finonny wyrwał go z odrętwienia. Wyrosły przed nimi kamienne schody prowadzące na skalisty, jakby wyrwany z ziemi podest, który wspierał się na grubym pniu drzewa.

– Idź, to cel twojej podróży.

Hugo wziął głęboki wdech. Nie czuł radości czy ekscytacji, a jedynie ulgę. I koszarne zmęczenie. Powłócząc nogami, wspinał się na strome stopnie. Ledwie dotarło do niego, że gargulec podążył za nim.

Na szczycie znalazł wyryte w kamieniu kręgi i runy, z których nic nie rozumiał. Zmarszczył brwi i z trudem wykrzesał z siebie jeszcze odrobinę motywacji. Był tak blisko celu, ale jednocześnie ogarniało go coraz większe zniechęcenie. Przed tym nikt go nie ostrzegał, nikt go na to nie przygotował.

Poczuł lekkie ułkucie żalu, ale czym prędzej je od siebie odsunął. Nie chciał przyznać sam przed sobą, że być może jego towarzysze, których tak podziwiał, nie powinni wyprawić go w taką podróż samotnie.

*Przecież sam się zgłosiłem* - powiedział sobie stanowczo, ale jakiś uporczywy głosik w głowie szeptał, jak bardzo było to dla nich wygodne. Jak kiepsko go przygotowali. A Hugo tak rozpaczliwie pragnął podołać misji, pokazać, że jest godzien. Wykazać się. Gdyby zawiódł, jak mógłby spojrzeć im w oczy? Jak zniósłby wstyd porażki?

– Już nie ma odwrotu – wyszeptał i przekroczył granice kręgu.

Bezwiednie wstrzymał oddech, ale zaraz wypuścił powietrze. Nic się nie stało. Nie wiedział, na co liczył, ale krąg pozostał martwy. Zdusił w sobie jęk zawodu i ścisnął rękojeść miecza. Przeniósł spojrzenie na gargulca, który stał u szczytu schodów.

– Aby zdobyć Łzy, potrzebny jest jeszcze morderca.

– Morderca, którego ruszyło sumienie. – Hugo cicho powtórzył słowa, którymi pożegnał ich Gerard.

Finona powoli wkroczyła do kręgu, który natychmiast ożył i zapłonął szkarłatem. Głowę miała lekko spuszczoną, a wzrok wbity w ziemię.

– Ty jesteś mordercą, którego ruszyło sumienie – powiedział.

Pokiwała głową i wyprostowała się. Najpierw uniosła łeb, później



ramiona, a na końcu wzrok.

– Zrobiłam, co zrobiłam. Nie zmienię przeszłości, ale nie będę się też jej wypierać.

– Przez cały ten czas... miałaś je ze sobą... mogłaś...

Gargulec pokręcił głową.

– To tak nie działa, Hugonie. – Po raz pierwszy użyła jego imienia.  
– Musiałeś odbyć tę podróż i jej koniec miał być właśnie tutaj. Nie mam prawa odmówić ci Łez, ale musisz coś wiedzieć.

Nim chłopak zdążył zareagować, wbiła szpon głęboko w pierś, po czym mocno pociągnęła. Chłopak z półotwartymi ustami patrzył, jak zanurza łapę w ranie, z której gęsto kapała krew.

– Łzy Wiecznego Smutku – powiedziała, wyciągając zakrwawione klejnoty w jego kierunku.

Wyglądały inaczej, niż się spodziewał, wręcz niepozornie. Pięć drobnych niebieskawych kamieni faktycznie przypominało kształtem łezki.

– Bez nich ponownie oszaleję. To one czynią mnie tym, kim jestem teraz.

– Ponownie? – Zrobił krok do przodu, z trudem odrywając wzrok od klejnotów.

– Wisielczy Król odmówił mi miejsca na drzewie.

Jej łapa zaczęła drżeć, a drobne klejnoty upadły na ziemię. Przemiana zajęła mniej niż mrugnięcie. W jednej chwili stał przed nim brzydki gargulec, a oddech później urodziwa brunetka, z czarnym tuszem rozmazanym pod oczami. A zaraz za nią dziesiątki postaci. Półprzezroczysty tłum składał się z mężczyzn, starców, ale też kobiet i dzieci. Tak wielu kobiet i dzieci.

– Dlaczego? – wyszeptał de Brass, nie odrywając wzroku od bladych twarzy i pełnych nienawiści spojrzeń.

– Musiałam. – Palcami musnęła kilka paskudnych blizn na lewej ręce.

W Hugonie walczyły sprzeczne emocje. Z jednej strony wzbudzała współczucie, lecz coraz mocniej rozpałał się w nim też gniew. Tak wielu ludzi, których nie miała prawa krzywdzić. Tak wiele odebranych żyć.

– A więc jeśli zabiorę ci klejnoty...?

– Wyląduję na bagnach i w agonii szybko zapomnę o tym, kim byłam, co zrobiłam. Zostanie tylko ból. I obłęd.

– A więc znowu muszę wybierać? Nic innego nie robię, odkąd tu jestem. To nawet nie są moje wybory, nie mam wyjścia. Muszę...

Zamilkł, gdy posłała mu smutny uśmiech. Doskonale wiedziała, co chciał powiedzieć, jakich wymówek użyć.

– Wybierz w zgodzie ze sobą, Hugo. To ty będziesz dźwigać brzemie podjętych decyzji, wierz mi, co noc będą do ciebie wracać. Myśli, co by było, gdyby... będą cię nękać, aż żal i wyrzuty sumienia doprowadzą cię do szaleństwa. Nie musisz mnie poświęcać.

– Nie mogę. Ja... – Wziął głęboki oddech. – Gdybym mógł, oszczędziłbym ci tego losu. Zbyt wiele osób na mnie liczy.

Przez długą chwilę mierzyli się wzrokiem. Twarz Finonny wykrzywił nieprzyjemny grymas.

– Testuje cię.

– Król?

Potwierdziła skinieniem głowy.

– Dlaczego?

– Sprawdź, czy będziesz pasował do jego ogrodu.

Niemal parsknął śmiechem, choć wcale nie był rozbawiony. Rozmasował palcami czoło, szczerze zmęczony. Miał dość zagadek, tego miejsca i zasad Pana Wierzb. Jedyne, czego pragnął, to wrócić do domu. O ile jeszcze mógł wrócić.

– Przykro mi – powiedział.

– Czyżby?

Przechyliła głowę w zamyśleniu. Nie wierzyła mu.

*Jest mi przykro? Sam nie jestem pewien. Nic już nie wiem, poza tym, że muszę wykonać misję. Czekają na mnie. Liczą na mnie.*

De Brass ostrożnie zrobił krok do przodu. Dłonią sięgnął miecza, gotowy do działania. Nie odrywał wzroku od kobiety, niepewny jej reakcji. Ta jednak cofnęła się i gestem zachęciła go do sięgnięcia po Łzy Wiecznego Smutku.

– Nie mogę cię powstrzymać.

– Dlaczego? Nie będziesz walczyć? – Chłopak aż przystanął.

– Otrzymałam je od Wisielczego Króla i muszę je oddać temu, kto o nie

poprosi.

Mimo wszystko nie spuszczał z niej wzroku. Odetchnął, dopiero gdy zacisnął palce na wszystkich pięciu kamieniach. Zaraz po tym do jego uszu dotarł znajomy stukot kopyt. I czyjeś kroki, zbliżające się z różnych stron. Za krawędzią podestu Hugo dostrzegł Wisielczego Króla, który szedł powoli po grubym konarze.

– Mówiłem, chłopcze, że odnajdziesz to, czego szukasz.

– Po co ta farsa? Cały czas miałem je pod nosem. – Nabrał śmiałości, gdy klejnoty bezpiecznie spoczywały w jego dłoni. Zaraz jednak upomniał sam siebie, musiał jeszcze wrócić do świata żywych.

– Byłem ciekawy, czy teraz jesteś już w stanie udzielić mi odpowiedzi na moje pytanie. Moje królestwo jest w twoim przekonaniu dobre, czy złe?

Hugo przymknął oczy. Czuł, że tym razem Pan Wierzb nie odpuści. Jadeitowe oczy patrzyły na niego z oczekiwaniem i ciekawością. Przypomniały mu się nieruchome ciała wiszące na drzewach. Błade twarze dzieci z pręgami po sznurze. Banda złoczyńców, która uctowała co noc.

– Ani takie, ani takie – wydusił w końcu z wysiłkiem.

Coś w nim głęboko burzyło się na to stwierdzenie. Pragnęło powrotu do świata, gdzie wszystko było czarno-białe. Dobre lub złe.

*Nigdy takie nie było* - przemknęło mu przez myśl. *Tylko ja tego nie widziałem.*

Przed oczami przeleciały mu wszystkie zdarzenia ostatnich dni. Wszystkie decyzje. W głowie zaczęła kielkować myśl i pragnienie, aby ją coś zaklasyfikować to, co się wydarzyło. Ocenić i poukładać, tak aby dalej mógł o sobie myśleć jako o tym dobrym.

– A ty, Finonno, zdaje się, że przegrałeś po raz kolejny.

Dziewczyzna hardo uniosła brodę i wytrzymała jadeitowe spojrzenie Pana Wierzb. Zaskoczony Hugo zmarszczył brwi, niczego nie rozumiejąc.

– Muszę przyznać, że tym razem byłaś naprawdę blisko. Utkąłeś całkiem przekonującą historię, wybierając tylko wygodną dla siebie prawdę. Pominęłaś jednak dość istotne szczegóły, takie jak to, że zabiłaś swojego kochanka i przejęłaś jego szajkę.

– Krwawa Dama – wyszeptał de Brass, przypominając sobie słowa



Gerarda.

– Los ci nie sprzyjał, chłopak naprawdę bardzo potrzebuje artefaktu. Choć nie po to, by ocalić świat, a zaledwie wioskę. – Hugo zaczerwienił się, przyłapany na kłamstwie. – Ale próba stworzenia golema, by pokonał demona to całkiem rozsądna decyzja.

– Ale Łzy miał uronić ktoś, kto się ukorzył i prosił o wybaczenie – wyszeptał młodzieniec.

– Żałowała przez to, co spotkało ją w moim królestwie. Ale czy nosi w sobie prawdziwą skrucę, to wie tylko ona.

*Ile było prawdy w jej zachowaniu? Udawała troskę o Vinniego? A może wręcz przeciwnie?* - rozmyślał Hugo, wodząc wzrokiem pomiędzy Wisielczym Królem a kobietą. Finonna milczała, ewidentnie nie zamierzała się tłumaczyć.

– Hummdail czeka na dole, jeśli chcesz za nim podążyć. Jeżeli jednak nadal twierdzisz, że znajdziesz kogoś, kto okaże ci litość...

– Czeka mnie tysiąc dni szaleństwa i dalsza służba. Wiem, mój królu – powiedziała, po czym uniosła rąbek sukni i wykonała zgrabny ukłon. – Następnym razem mi się powiedzie. A wtedy będziesz musiał oddać mi drzewo na swoim dworze.

Dziewczyna posłała im zimny uśmiech i ruszyła ku schodom.

Hugo uniósł głowę, gdy usłyszał trzepot skrzydeł. Kolejno, jeden po drugim, gargulce łądowały na postrzępionych krawędziach podestu. W milczeniu obserwowały Finonnę, gdy ta ich mijała. Na początku szła pewnie, ale z każdym krokiem jej sylwetka garbiła się coraz bardziej. W połowie podestu ciałem zaczęły szarpać niekontrolowane tiki, a nim dotarła do schodów, wyrzucała z siebie niezrozumiałe potoki słów.

– To nie jest kraina dla starych nie ludzi – szeptały jak zaklęcie, a chłopak zaczął się zastanawiać, czy wszystkich ich wiąże taka sama umowa z Wisielczym Królem. Czy wszyscy nosili w sobie Łzy Wiecznego Smutku?

– W twoim świecie już świta. Czekają na ciebie.

De Brass pokiwał głową. Zastanawiał się, co powiedzieć, złość walczyła z wpojonymi naukami. Zdecydował się jednak milczeć.

– Hugonie – powiedział jeszcze Wisielczy Król, przyciągając wzrok

chłopaka. Wszystko wokół zaczęło ciemnieć, a na szyi młodzieńca mocno zacisnął się sznur. – Do zobaczenia.

\*\*\*

Długo szukał właściwego drzewa. Przyglądał się gałęziom i porośniętym mchem pniom. Godzinami wędrował przez leśne ostępy, szukając tego jedynego. Hugo czuł, że gdy znajdzie to właściwe, będzie wiedział.

Kiedy natrafił na stary, dostojny dąb, od razu podjął decyzję. Niewidzialna pętla, którą od lat czuł na szyi, nieco się rozluźniła.

Uśmiechał się, wiążąc sznur wokół gardła – czekał na to bardzo długo. Początkowo walczył i zaprzeczał, ale ostatecznie zrozumiał, że Pan Wierzb mówił prawdę. Jego kraina zmieniła go i spaczyła. Choć powrócił do świata żywych, nigdy nie opuściło go wrażenie, że sznur nadal zaciska się na gardle.

Wisielczy Król od początku wiedział, że Hugo zawiśnie i ponownie zawita w jego królestwie. Tym razem bez drogi powrotnej.

### **Link do opowiadania wraz z komentarzami:**

<https://www.fantastyka.pl/opowiadania/pokaz/30156>

**Iwona Serej** – rocznik '92. Absolwentka Zarządzania na Uniwersytecie Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie. Zawodowo HR-owiec i analityk, miłośniczka Excela. Przeczytała setki romansów, kryminałów jak i powieści fantastycznych i te gatunki sama uwielbia łączyć w swoich powieściach. Píše zarówno YA (fantasy romanse) jak i powieści dla dorosłego czytelnika (fantastyka, postapo, kryminał). Debiutowała w antologii *Powroty*. Jej opowiadania można również przeczytać w antologiach *Tu był las*, *Stojąc po kostki w zapachu ryb*, a także w magazynie *Histeria*. Można ją znaleźć na Instagramie jako *kociara\_pisze*.





# Wojny prolków

Marcin Bartosz Łukasiewicz i Wiktor Matyszkiewicz

Bezimienny mężczyzna wziął pierwszy oddech w nowym ciele. Wyszedł z komory MT, otoczony kłębami ulatniającej się ze środka pary. Szarpnięciem odczepił przyklejone do potylicy kable. Kroki stawiał niepewnie, dręczony przez zawroty głowy. Dwukrotnie potknął się o własne nogi.

Runął na najbliższe krzesło, spojrział w lustro i obmacał twarz. Oczy były podkrążone, skóra szara i wysuszona, a włosy przetłuszczone.

Drżącą ręką dotknął smartwatcha.

– Raport – wychrypiał. Głos miał zadziwiająco niski. Męski.

– Robert de l'Argent – odpowiedział zegarek. – Mężczyzna. Pięćdziesiąt cztery lata. Sto osiem kilogramów, w tym czterdzieści dwa procent tłuszczu. Cel: dwadzieścia procent tłuszczu.

– Ile... Ile czasu?

– Dokładnie miesiąc. Zlecono przyspieszony program.

Poruszył palcami, badając dziwne uczucie niedopasowania.

– Zaplanuj trening aerobowy. Bezmięсна dieta, dużo błonnika, kalorie ograniczamy do minimum. Zaczniemy od jutra.

– Procesuję. Pierwszy trening potrwa pięć godzin.

\*\*\*

Doskonale zgranie umysłu i ciała zawsze zajmowało kilka dni.

Robert potknął się, co poskutkowało zatrzymaniem bieżni. Mógł złapać oddech i otrzeć twarz z potu.

– Długo jeszcze?

– Do końca sesji pozostały trzy godziny i czterdzieści minut – zameldował smartwatch.

– Aż tyle?! – Robert podrapał się po ramieniu. Irytujące swędzenie nie chciało ustąpić.

– Potwierdzam. Ze względu na przestoje następna przerwa została

skrócona o kolejną minutę.

Mężczyzna westchnął i wrócił na bieżnię, starając się wyciszyć natrętne myśli. Miał ochotę wrócić do apartamentu i zamówić jakieś śmieciowe żarcie... Zaszczepione w ciele nawyki właściciela, z którymi też musiał wygrać. Tego wymagała umowa: jeśli w ciągu miesiąca po zakończeniu treningu waga klienta wzrośnie o co najmniej piętnaście procent, wynagrodzenie zostanie zmniejszone o połowę.

Raz, dwa, raz, dwa...

Na początku zawsze było najtrudniej. W chwilach zwątpienia Robert szukał wytchnienia, oglądając *Wojny prolków*. W każdym odcinku przedstawiciele najbardziej niebezpiecznej, ale i najliczniejszej grupy społecznej walczyli na śmierć i życie w prymitywnych robotach wojskowych, do których przenieferowano ich umysły. Stawką było wyrwanie się z nędzy i uzyskanie własnego, prawdziwego ciała.

Szansa była jednak niewielka: proлки zazwyczaj ginęły bolesną śmiercią ku uciesze widzów. Program budził kontrowersje, nawet niechętni żebrakom i biedocie rządzący oficjalnie odcinali się od brutalnego reality show i co jakiś czas nakładali wysokie kary na transmitującą *Wojny* stację. Zainteresowanie było jednak tak olbrzymie, że producentom opłacało się dalej ciągnąć program, i to mimo faktu, że musieli zapewnić wygranym zadbane ciała, by utrzymać niekończący się napływ chętnych do zmagania.

Lewa, prawa, lewa, prawa...

Obecny sezon nabierał kolorytu. W bitwie o bazę powietrzną dron bojowy M4X wreszcie zestrzelił Ad8t0, którego ścigał od kilku odcinków, a P3T3R zawarł sojusz z S0Ną i przypieczętował go, wkładając wtyczkę zasilacza w jej gniazdo, co stanowiło mechaniczny odpowiednik stosunku.

Robert czekał jednak na odcinek, w którym pojawi się jego przyjaciel. Obaj niedawno pokłócili się o udział: jeden upierał się, że szanse są zbyt małe, drugi miał dość niekończącego się cyklu odchudzania ciał bogaczy i uznał, że dzięki *Wojnom* uzyska wolność lub zginie. Wybrał sobie nawet własne imię, Wiktor, i żądał, by go używać.

W powietrzu pojawiła się nowa woń, jakby miętowych perfum.

– Oglądasz to gównno? – wyrwał Roberta z zamyślenia miły, kobiecy głos.

Szybko wyłączył telewizor i zatrzymał bieżnię. Nawet nie zauważył, gdy podeszła do niego dziewczyna w obcisłym podkoszulku i dresowych spodniach. Wysoka i z lekką nadwagą, zanotował mimowolnie.

– Nie martw się. – Oblizła wargi. – Też lubię się czasem odmóżdżyć.

– Jasne – szepnął Robert.

Chciał powiedzieć coś więcej, ale smartwatch przypomniał mu o treningu. Skinął dziewczynie głową i uruchomił bieżnię.

\*\*\*

Obrócił w dłoniach dwie czerwone pastylki z błonnikiem. Wraz z butelką wody stanowiły cały jego obiad.

Usiadł w kącie, jak najdalej od centrum stołówki i siedzących tam korpów. Młodzi, o pięknych, wysportowanych ciałach, na które nie zasłużyli. Jeden palił papierosa, inny wciągał stymulanty; wszyscy, co do jednego, żarli śmierdzące tłuszczem mięso. Ohydne, cudowne mięso od Profesora Burgera. Tyle widział już reklam. Ograniczniki w mózgu nie pozwoliłyby mu zjeść całości, ale może jeden kęs...

– Nie przedstawiłam się wcześniej. Sara.

Dziewczyna, która zagadała do Roberta w trakcie treningu, dosiadła się do stolika.

– Robert – odparł.

– Gorszące, prawda? – Spojrzała w kierunku środka stołówki. – Publicznie jeść mięso?! Powinni stworzyć dla nich wydzielone strefy!

Skinął głową.

– Też tak sędzę.

– Te typki uważają się za lepszych od reszty.

Sara dotknęła barku. Robert sięgnął do swojego i podrapał się intensywnie.

– Ćwiczysz dziś jeszcze? Mi zostały trzy godziny. Nie chciałbyś obejrzeć potem *Wojen prolków*?

– Tego gówna? – zapytał przekornie. Poczuł, że przesadził, kiedy spojrzała poważnie, ale po chwili wybuchła śmiechem.

– Nie musimy od razu iść do kina – odparła, oplatając kosmyk kasztanowych włosów wokół palca. – Bo na kolację to niezbyt jest sens. Chyba, że chcesz od razu przejść do rzeczy. Może nie wyglądam, ale lubię się dobrze spocić. Nie tylko na treningu.

Roberta zamurowało.

– Ja...

– Szkoda, że nie widzisz swojej durnej miny! – zaśmiała się dziewczyna. – Nie sądziłam, że tak łatwo cię zawstydzić. Nie wyglądasz na takiego. Dobrze, przerwa mi się kończy. Chcesz poćwiczyć razem? Włączyć to gówniane reality i pośmiać się nieco z prolków, którym marzy się lepsze życie. Chyba, że się narzucam?

Robert wstał szybko, bojąc się, że Sara zmieni zdanie.

– Chodźmy.

\*\*\*

Ćwiczył godzinę dłużej niż zakładał jego plan, żeby skończyć razem z Sarą. Okazało się, że dziewczyna jest obsesyjnie zainteresowana *Wojnami prolków*: chociaż wyśmiewała co brutalniejsze śmierci i nieudane zagrywki, to dobrze знаła uczestników oraz ich umiejętności. Od początku przewidywała, że to S0Na bez litości wybiję rywali i zapewni sobie awans do finału. Robert typował innego robota, ale całość zakończyła się niespodziewanym zwycięstwem S0Ny, która moment przed podsumowaniem zdradziła swojego partnera, przebijając go na wylot. Dzięki temu awansowała do kolejnej rundy rozgrywek.

W końcu smartwatch Sary zasygnalizował koniec ćwiczeń.

– Jasna cholera, nie spodziewałam się, że to będzie takie trudne – powiedziała, dysząc ciężko.

Robert nie był w stanie jej odpowiedzieć; miał ochotę runąć na podłogę i nie ruszać się przez kolejny tydzień. Pot spływał z niego strumieniami, miał mokre nie tylko ciuchy, ale nawet buty. Ostatkiem sił podszedł do ławki i opadł na nią całym ciężarem, aż zatrzeszczała. Obok z westchnieniem usiadła Sara.



– Czemu ćwiczysz? – zapytała.

Robert nie odpowiedział. Nie był pewien, jak powinien zareagować. Jego umowa zakładała dyskrecję – to, że właściciel ciała nie ćwicz sam, miało pozostać tajemnicą. Nie chciał jednak okłamywać dziewczyny: była dla niego miła, a poza tym bardzo mu się podobała.

Ale czy chciałyby z nim rozmawiać, gdyby znała prawdę?

– Dla kogoś? Dziewczyny? Chłopaka? – dodała Sara.

– Nie, ja... dla zdrowia – odparł spanikowany. – Chciałbym być nieco chudszy. Trochę się zapuściłem.

– Żarcie w korpo, co? Najpierw zamawiają nam po korki tego syntetycznego ścierwa, żebyśmy lepiej pracowali, a potem robią problemy przy urloпах na odchudzanie? Dali ci taki w ogóle?

– Dali. Mam miesiąc – powiedział Robert. Nie czuł się pewnie w tej rozmowie. Pomimo kursowania od ciała do ciała rzadko z kimkolwiek rozmawiał i obawiał się, że wzbudzi podejrzenia Sary. – A ty czemu się odchudzasz?

– Chcę trochę zrzucić. – Wzruszyła ramionami. – Wiesz, jak to jest: za duży tyłek. Mógłby być ładniejszy.

– I tak jest bardzo ładny – odparł Robert bezmyślnie.

Sara parsknęła głośno.

– To znaczy... ja... przepraszam – wydukał Robert.

– Nic się nie stało. To miłe. Znaczą jasne, gdyby ktoś wołał za mną na ulicy, to inna sprawa, ale tak... – ponownie parsknęła. – Słuchaj, chętnie bym z tobą posiedziała, ale muszę już lecieć. Będziesz jutro?

– Od południa.

Sara posłała mu przepiękny, szeroki uśmiech, po czym puściła oko.

– Postaram się nie spóźnić.

\*\*\*

Następnego dnia Robert obawiał się, że Sara nie przyjdzie. Wałęsał się po siłowni już pół godziny przed południem, nie mając zbyt wiele do roboty. Dziewczyna pojawiła się dopiero kwadrans po dwunastej, kiedy zaczął

lekką panikować. Na szczęście nie zdążył zrobić nic głupiego.

Weszli na bieżnię. Robertowi nie przeszkadzała nawet kara za późniejsze rozpoczęcie ćwiczeń.

Tego dnia w telewizji leciał odcinek specjalny *Wojen prolków*. Powtórki, wywiady, analizy ekspertów i wymiana broni. Słowem: nic szczególnie zajmującego. Robert obejrzał tylko fragment poświęcony Wiktorowi, który w tym prymitywnym, mechanicznym ciele radził sobie całkiem nieźle – wysadził dwa roboty za pomocą miny przeciwpancernej, a kolejnego rozwalcował.

Ponieważ poza tym nic nie zwróciło uwagi Roberta, to co rusz spoglądał w stronę sąsiedniej bieżni. W zasadzie nie był pewien, czy zauroczenie Sarą płynęło z jego głębi, czy była po prostu w typie właściciela ciała. Dziewczyna miała może zbyt wiele fałdek, ale kiedy tylko wchodziła do pomieszczenia, razem z nią pojawiała się życie. Długie, kasztanowe włosy kręciły się lekko, jarząc miedzianymi rozbłyskami. Brązowe oczy wzbudzały w Robercie jakąś tęsknotę za naturą, za drzewami, których nie widział nigdy poza ekranem telewizora czy telefonu. Niewielki, prosty nos dodawał jej uroku nawet wtedy, kiedy płynęły po nim krople potu.

I te usta. Mężczyzna zastanawiał się całą noc, czy są miękkie. I czy potrafiłyby dać tyle, ile obiecywały, szczególnie gdy formowały się w uśmiech.

Podczas mijających godzin kątem oka śledził, jak dziewczyna mozolnie biegnie przed siebie. Przestudiował też jej dłonie. Nie miała obrączki ani pierścionka zaręczynowego.

To dawało mu bardzo nieśmiałą nadzieję.

\*\*\*

Trening skończyli parę minut później, odrabiając karę z poprzedniego dnia. Sara powoli piła wodę.

– Podobam ci się?

Już kilkakrotnie złapała Roberta na tym, że się na nią gapił. Dotąd nic nie mówiła, co najwyżej uśmiechała się pod nosem. Tym razem jednak odłożyła wodę, chwyciła go za rękę i bez słowa pociągnęła pod prysznic.

Zmęczenie ustąpiło podnieceniu, kiedy przemoczone ubrania, jedno po drugim, z plaśnięciami spadały na podłogę. Robert nieśmiało przysunął się do Sary, która chyba wyczuła jego wahanie, więc postanowiła przejąć inicjatywę.

Jej usta smakowały miętą.

A potem oboje zatracili się w gorącej wodzie, która obmywała ich nagie ciała. Robert zapomniał nawet o tym, że do pełnej synchronizacji brakowało mu jeszcze dwóch-trzech dni. Wodził palcami po talii Sary, dotykał jej piersi, ścisnął uda i biodra. Jej reakcje były tak entuzjastyczne, że postanowił ją unieść, a wtedy opłótł go długimi nogami.

Początkowo Robert nieco się krępował, ale Sara bez żadnych oporów zachowywała się głośno, więc on też przestał się przejmować. Na szczęście nikt nie zwrócił im uwagi. Obsługa ignorowała zarówno jęki, namiętne krzyki, jak i fakt, że jeden z pryszniców zajmowano kilkanaście razy dłużej, niż potrzeba było do gruntownego umycia ciała.

Pracownicy już dawno do tego przywykli. Doliczyli opłatę za nadmiarowe zużycie wody i podzielili kwotę między zmęczoną dwójkę ludzi, którzy wyszli spod prysznica z rozmarzonymi minami, pocałowali się na pożegnanie i zniknęli w autonomicznych samochodach.

Smartwatch Roberta zanotował dodatkowy wysiłek, dopisując punkty do jego oceny ogólnej. Dzięki temu łatwiej będzie mu znaleźć kolejne zlecenie.

\*\*\*

To zamówienie było dla Roberta zupełnie inne niż poprzednie. Szło łatwiej. We dwójkę łatwiej było nie myśleć o wysiłku, głodzie i zmęczeniu. Szybko wpadli w rutynę. Spotkanie koło południa, trzy godziny treningu przy *Wojnach prolków*, przerwa na obiad złożony z czerwonych tabletek i krótki odpoczynek, a następnie znowu bieżnia i telewizor. A potem długie godziny pod prysznicem, w gorącej wodzie i parze, na kolanach, podłódze i pod ścianą.

I ta cudowna woń mięty.

Wiktor również dobrze sobie radził. Może z trudem, ale przechodził przez kolejne rundy *Wojen prolków*. Sara nie rozumiała entuzjazmu partnera i sama kibicowała S0Nie. Zresztą nie ona jedna – dzięki donacjom od widzów S0Na otrzymała dodatkową warstwę pancerza oraz rakiety samonaprowadzające. Ale w zbliżającym się finale każdy miał mieć równe szanse. Nawet Wiktor.

Robert czuł się szczęśliwy jak nigdy dotąd. Bardzo, ale to bardzo starał się nie myśleć o tym, co się stanie, kiedy minie miesiąc.

\*\*\*

Robert spojrział na smartwatcha. Trzeci kwadrans, a jej wciąż nie było. Zawsze trochę się spóźniała, ale nigdy aż tyle. Jeśli dojdzie do godziny, to będzie musiał zacząć trening bez niej.

A szło przecież tak dobrze! Cztery tygodnie solidnych, regularnych ćwiczeń. Sara zrzuciła cały tłuszcz i wyglądała jak ósmy cud świata. Może to dlatego? Skończyła trening i postanowiła odpuścić? Ale w takim razie czemu nic nie powiedziała?

O trzynastej smartwatch przestał wibrować i natarczywie przypominać o treningu, a zaczął razić go prądem. Robert wytrzymał jeszcze kilkanaście minut, ale dawki stały się na tyle mocne, że niechętnie wszedł na bieżnię. To był ostatni dzień pracy, o północy miał oddać ciało.

Wszystko było nie w porządku. Czuł, że traci coś bardzo cennego, jakąś część siebie, o której wcześniej nie wiedział. Miał wrażenie, że oddanie tego ciała zamknie coś przed nim, że zlecenie skończy się inaczej niż zwykle. Poczul, że musi odnaleźć Sarę i powiedzieć jej prawdę, nie zważając na konsekwencje.

To była jedyna szansa, żeby jeszcze kiedyś ją spotkać.

Smartwatch pilnował go i nie pozwalał na wcześniejsze zakończenie treningu. Doliczył drakońskie kary za spóźnienie; na szczęście tylko czasowe, chociaż Robert pewnie nie zauważyłby, gdyby ściągnięto mu z konta wynagrodzenie.

Czas mijał, a Sary wciąż nie było. Ominęła pierwszą serię ćwiczeń,

potem obiad. Zaczęła się kolejna seria na bieżni. Minęła godzina, potem druga. Robert biegł jak w transie, otoczony przez tsunami ponurych myśli. Nie umiał funkcjonować w mieście, potrafił jedynie wyjść z mieszkania, wsiaść do autonomicznego samochodu i wysiąść przy siłowni. Podejrzewał, że dałby radę zmusić pojazd, by zawiózł go w inne miejsce, ale nie miał pojęcia, gdzie Sara mieszka.

Tuż przed dziewiętnastą nadal nie miał planu. Chaos w głowie ustąpił dopiero pod wpływem *Wojen prolków*. Tego dnia odbywał się wielki finał.

Robert z ulgą, ale i niepokojem zauważył Wiktora wśród ostatnich uczestników. Cały dzień nie umiał się skupić, więc gdyby jego przyjaciel został zabity, nie wiedziałby nawet, co dokładnie się wydarzyło. Wiktor miał jednak realną szansę na wygraną, bo zostało mu tylko kilkoro przeciwników.

Prowadzący zapowiedzieli finałową rozgrywkę: na ekranie pokazano ostatnich uczestników, a potem zaczęła się walka.

*Wojny prolków* były okrutne i brutalne już wcześniej, ale teraz zawodników dodatkowo rozgrzewała myśl, że są blisko zwycięstwa. Towarzyszyła im nadzieja, że za kilkadziesiąt minut mogą stać w glorii i chwale, odbierając upragnione prawdziwe ciało, i wyrwać się z biedy dzięki płatnym występom zapewnianym przez producentów. Może nie dało się z tego żyć aż do śmierci, ale pozwalało uniknąć losu wygranych z pierwszych sezonów, którzy nie potrafili odnaleźć się w nowej sytuacji, bardzo szybko tonąc w zalewie fast foodów, alkoholu i innych przyjemności, których wcześniej nie mogli doświadczać. Część zwycięzców za różne wykroczenia traciła ciała, inni stawali się nędzarami. Przynajmniej jeden popełnił samobójstwo, szokujące z uwagi na marnotrawstwo – mógł oddać ciało przyjaciółom lub rodzinie...

Wiktor złapał za korpus S0Ny i oderwał jej nogę z głośnym chrzęstem. Ta zaczęła więc się w przerażeniu, on jednak tłukł jej robota po głowie za pomocą oderwanej kończyny. Raz za razem, coraz mocniej i mocniej, tak długo, aż znieruchomiła.

Ikonka S0Ny zgasła.

Kolejnego z zawodników Wiktor wysadził za pomocą granatnika wylo-

sowanego tuż przed rundą. Stacja wyemitowała powtórkę, na dużym zbliżeniu i w zwolnionym tempie, a rozbryzgi benzyny, kawałki stali i kropelki oleju poleciały we wszystkie strony.

Wiktorowi został już tylko jeden przeciwnik do pokonania.

Smartwatch zasygnalizował koniec ćwiczeń, ale Robert chciał obejrzeć program aż do finału. Tuż przed ostatecznym starciem w *Wojnach* ktoś klepnął mężczyznę w ramię.

– Tęskniłeś?

Robertowi zaparło dech na dźwięk jej głosu. Momentalnie wyłączył bieżnię i odwrócił się, nie widząc, jak robot Wiktora obrywa zabójczą serią z gatlinga. Sara stała tuż obok, śmiejąc się. Miała na sobie czarną sukienkę podkreślającą kształtną figurę.

Robert nie mógł oderwać od niej oczu.

– Migiem pod prysznic i wróc jak najszybciej. Dzisiaj idziemy do mnie – powiedziała zmysłowo.

Zaczęli całować się jeszcze w samochodzie; Roberta nieco zdziwił nowy, truskawkowy smak błyszczyka dziewczyny, ale nastrój jeszcze bardziej psuło widmo nadchodzącej rozmowy. Sara jednak niczego nie zauważyła.

Chociaż dziewczyna przygotowała w mieszkaniu ucztę – z prawdziwymi owocami morza i czerwonym winem, prowokacyjnie niepozabawionym alkoholem – Robert nie chciał czekać. Oplótł Sarę ramionami, a ona chętnie zdjęła sukienkę i zaprowadziła go do łóżka.

\*\*\*

Smartwatch bezlitośnie obudził Roberta. Było przed północą, miał niewiele czasu.

Poczuł panikę. Jak powiedzieć Sarze prawdę? Wezwał autonomiczny samochód, by zyskać nieco na czasie. Dopiero po chwili zauważył, że dziewczyny nie było obok. Przez niedomknięte drzwi słyszał jedynie szum wody.

Nagle Roberta poraził prąd. Był o wiele mocniejszy niż dotychczas: mężczyzna upadł na ziemię i zwinął się z bólu. Zegarek wciąż mocno przy-



pominał o tym, że czas na oddanie ciała nieuchronnie się zbliża. Mężczyzna przeleżał jeszcze moment ze łzami w oczach; smartwatch w końcu odpuścił.

Robert powoli wstał, rozcierając odrętwiałe mięśnie. Miał świadomość, że żarty się skończyły. Przypomniawszy sobie historię kolegi, który zauroczył się w recepcjonistce i na sam koniec nie chciał się rozstawać z trenowanym ciałem. To wróciło do właściciela zaledwie kilka godzin później, a o buntowniku już więcej nie słyszeli.

Robert uchylił drzwi i zobaczył Sarę pod prysznicem. Dziewczyna uśmiechnęła się na jego widok, a ten pocałował ją mocno. Znów truskawka? Potrząsnął głową.

– Muszę ci coś powiedzieć – wyszeptał. – J-ja...

Język stanął mu kołkiem. Poczul dziwne drętwienie w gardle i nagły, pulsujący ból w głowie. O mało nie upadł na ziemię.

– Wszystko w porządku?

– Ja... – Nagle puścił biodra Sary i jedną nogą wyszedł z kabiny. Jego smartwatch migotał na czerwono. – Muszę iść.

Obca siła wywlekła Roberta z łazienki. Wbrew woli ubrał się i zszedł na dół, a potem wsiadł do czekającego na niego samochodu. Wrócił do siebie, ale zanim wszedł do mieszkania, zatrzymał się przy przenośnym złączu w korytarzu.

Chwilę później właściciel ciała przyjrzał się nowej sylwetce z zadowoleniem.

\*\*\*

IHID-24 przeglądał zapisane na dysku twardym dane, pobrane ze zhakowanej kamery w stołówce, miesiąc po jego ostatnim zleceniu. Podziwiał piękno i naturalność Sary, jej ogniste włosy, bursztynowe oczy... Tak bardzo chciał do niej podejść i zagadać, nawet do zdjęcia.

Właśnie migdałiła się z Robertem. Jak bardzo chciałby być na jego miejscu! Pocałunek za pocałunkiem, ciche szepty, żarciki. IHID-24 brało na wymioty. Ten dupek nawet na to nie zasłużył! To nie on zrzucił cały ten tłuszcz, to nie on poznał Sarę, to nie on pierwszy raz się z nią całował!



– To jak? – powtórzyła pytanie MAR-TA. – Dlaczego jesteś w programie?

IHID-24 otrząsnął się i wyłączył film. Spojrzał na swoją towarzyszkę, uwięzioną w ciele niewielkiej armatki.

– Z miłości – odparł bez wahania. – Chcę zdobyć ciało dla ukochanej.

– Tak? – MAR-TA z ekscytacji zapaliła jedną z diod. – Ja też!

Uciszył ją, pychając głębiej swój zasilacz. Czuł coraz silniejsze wibracje i rozlewającą się na jego mechaniczną obudowę przyjemność. Pobierany od MAR-TY prąd smakował dziwnie. Nie źle, po prostu inaczej, jakby...

Miętą.

Ach...

### Link do opowiadania wraz z komentarzami:

<https://www.fantastyka.pl/opowiadania/pokaz/30953>

**Marcin Bartosz Łukasiewicz** – z wykształcenia gitarzysta jazzowy, z zawodu muzyk i nauczyciel. Mieszka w Zielonej Górze, czyli idealnym połączeniu miasta oraz przyrody i lasów. Uwielbia psy, urbex, granie koncertów oraz ciszę. Autor wielu opowiadań, publikowanych m. in. w *Nowej Fantastyce*, *Gruzach*, *Nowoświatach*, *Snach Umarłych* czy antologiach *Zapomnianych Snów*. W sierpniu 2023 nakładem wydawnictwa Zysk i Ska ukazał się jego debiut powieściowy *Moja martwa dziewczyna* – miks kryminału, urban fantasy oraz paranormal romance.

**Wiktor Matyszkiewicz** – student fizyki piątego roku, specjalizujący się przede wszystkim w fizyce cząstek elementarnych. Zanim zakochał się w science-fiction, czytanie fantastyki zaczynał od Tolkiena i Martina. Pisaniem zajmuje się hobbystycznie, w trakcie przygotowań do sesji. Okazjonalnie gra w szachy i podróżuje po świecie. Dotychczas publikował w antologiach charytatywnych *Zapomnianych Snów: Granice Nieskończoności* i *Tu był las*, a także innych: *Stojąc po kostki w zapachu ryb*, *Gruzy* i *Obłąkane historie*. Okazjonalnie zajmuje się pracą popularnonaukową, publikował w *Delcie* (10/2024).



# Cmentarzysko Sów

Jarosław Łukasiński

– Ładnie tu – stwierdziła Dalia, spoglądając na wioskę.

Miała rację. Skromne, lecz zadbane domy prezentowały najróżniejsze kolory. Środkiem osady przebiegał kamienisty trakt, jakby wykreślony od linijki. Na pobliskiej strudze hałasował młyn, a za nim rozciągało się złociste morze pszenicy.

– Przepraszam, dobra kobieto – zagadnąłem przypadkową staruszkę.

– Szukamy wójta.

Wskazała nam niebieski budynek na końcu wsi. Pokłusowaliśmy w jego kierunku.

– Jeśli jesteś zbyt zmęczona – powiedziałem do Dalii – możemy pogadać z nim jutro rano.

– A jak w nocy coś wyjdzie i nie zdążymy? – zapytała, wlepiając we mnie na wpół szalone spojrzenie. To chyba miał być żart, ale nie dałbym sobie ręki uciąć. Często nie potrafiłem odczytać swojej uczennicy. Wmawiałem sobie, że to przez jej Czwórkę, lecz równie dobrze mogłem być pozbawionym empatii prostakiem.

Pierwszy raz zobaczyłem Dalie na scenie Uniwersytetu, podczas egzaminu, gdy młodzi studenci magii prezentowali umiejętności, próbując pozyskać opiekuna i nauczyciela. Wybierające terminatora grono akademików składało się w większości ze znudzonych starych przyków, wzbogaconych niewielką, ale denerwującą grupką młodych karierowiczów-zarozumialców. No i byłem jeszcze ja.

Adepci pojawiali się i znikali, a ja nudziłem się potwornie. Wtedy na scenę weszła Dalia.

Była z nich zdecydowanie najgorsza. Zakłęcia rysowane wyszły jej słabo. Werbalne jeszcze gorzej. Na niewerbalnych kilku z tych starych dziadów zaśmiało się głośno, co całkowicie ją sparaliżowało.

Na liście przede mną widniało: „Nr 23 – Dalia Noktuaj – st. 4”.

Musiałem ją wybrać, choćby dlatego, żeby zobaczyć znieśmaczone miny moich kolegów. No i była też bardzo ładna.

Kiedy po zakończeniu pokazów wyszła wraz z innymi na odczytanie wyników, wzrok miała nieprzytomny i ruszała ustami, jakby mówiła coś bezgłośnie. Gdy dowiedziała się, że ktoś ją przygarnął, długo nie ruszała się z miejsca.

– Naprawdę? – zapytała mnie. – Dlaczego?

– Nauczanie kogoś, kto już wszystko potrafi, to żadne wyzwanie.

Uśmiechnęła się. Była wówczas szesnastoletnią dziewczyną o włosach koloru miodu i ciemnych, dzikich oczach. Nagle spochmurniała.

– Wie pan, że mam Czwórkę?

Wzruszyłem ramionami.

– A ja Dwójkę. I nie czuję się szczególnie szalony.

Choć oczywiście trochę byłem. Tak na dwa w ośmiostopniowej skali.

Nie wiem, kiedy to czytasz. Może wiele lat po mojej śmierci, gdy skala ta została dawno zapomniana, dlatego wyjaśnię. Każdy, kto rodzi się ze zdolnością władania magią, jest obłąkany. Pewnego razu taki jeden mądry gość, Zukiew, stworzył skalę oceniającą odstępstwo od norm psychicznych. Nazwali ją później skalą Zukiewa. Sam autor dał sobie Trójkę.

U osoby z Jedyneką trudno zauważyć nienormalność. Czwórka to najwyższa ocena, z jaką przyjmowano na Uniwersytet. Siódemki i ósemki były tak niebezpieczne, że zabijano je od razu po diagnozie.

– Ja też muszę cię ostrzec – powiedziałem do mojej nowej podopiecznej. – Zajmuję się dość specyficzną dziedziną magii. – Pokusiłem się o efektowną pauzę.

– Jaką?

– Odnajduję, dokumentuję i pieczętuję portale.

Wyglądała na dość zaskoczona. Pewnie słyszała o podobnych do mnie dziwakach, ale żadnego nie widziała. Dobrym znakiem było to, że gdy zacząłem objaśniać jej szczegóły mojego fachu, nie zaczęła ziewać.

– W sumie... ciekawe – stwierdziła w końcu. – A zagląda pan do nich?

– Już nie – opowiedziałem. – Kiedyś opowiem ci, dlaczego.

Od tamtego czasu minęły ponad dwa lata i udokumentowaliśmy dzie-

więtnaście portali. Jedenaście okazało się samoistnie wygaszonych. Trzy zostały już zapieczętowane. Pięć zamknęliśmy (ostatni Dalia niemal samodzielnie – poszło jej bardzo dobrze). Do tego cztery fałszywe zgłoszenia, gdy rzekomy portal okazywał się zwykłą pozostałością dawnej budowli. Wybaczcie szczegółowe wyliczenia, ale skrupulatność to moja mała obsesja. Mam prawo do takich niewielkich zaburzeń, ponoć jestem Dwójką.

\*\*\*

Wójt siedział przed domem, w cieniu majestatycznej wierzby płaczącej, i spożywał kolację. Wskazał, gdzie przywiązać konie, a potem pozwolił nam spocząć na drewnianej ławie.

– Jestem Ernest Kilnt – przedstawiłem się. – A to moja współpracownica, Dalia Noktuaj. Przyjechaliśmy z Uniwersytetu w Dohmie.

– Roman Hilk – odparł wójt. Był niskim mężczyzną po pięćdziesiątce. Krzepki i brodaty, przypominał trochę krasnoluda z opowieści. Pewnie były żołnierz, na jego gębie naliczyłem cztery blizny. – Co was sprowadza?

– W dwóch starych źródłach pisanych wspomniany jest portal niedaleko waszej wioski. Słyszał pan kiedyś o nim?

Mężczyzna milczał, spoglądając gdzieś w dal.

Wyjąłem z kieszeni pergamin, choć i tak pamiętałem wszystkie dane. Nie było to szczególnie trudne.

– Dwie mile na zachód od wsi Lipinki. Świat połączony – brak danych. Aktywność – brak danych. Wiek – brak danych. Wysokość – brak danych. Szerokość – brak danych. I tak dalej, i tak dalej.

– Taki stary kamienny łuk – odpowiedziała Dalia. – Albo jego pozostałość.

– No... są jakieś ruiny – wymamrotał w końcu, jakby nagle sobie przypomniał. – Ale czy to portal? Kto wie?

– Nie słyszał pan, żeby portal się aktywował? – dopytywałem. – Nikt do niego nie wszedł? Nic z niego nie wyszło?

– Nie.

– Żadnych legend związanych z tym miejscem? Dziadkowie nic nie

opowiadali?

Pokręcił głową i dodał:

– Nie znałem dziadków.

– Dlaczego nikt z wioski nie poprosił o jego zbadanie? Zwykle ludzie nie mogą spokojnie spać, gdy obok jest portal. Nie dają nam żyć, póki nie zabezpieczymy takiego miejsca.

– A kto może wiedzieć, czy to coś więcej niż kupa kamieni? – obruszył się wójt. – Ruina, zarasta lasem od zawsze. Była, jest i będzie. Jak ten most, co go zbudowali, a rzeka się przesunęła, i teraz biedak stoi obok.

– Chcielibyśmy obejrzeć ten portal.

– Oczywiście. Możemy pojechać tam rano. Zobaczycie, że to nic ciekawego.

\*\*\*

Późnym popołudniem zawitaliśmy do gospody, gdzie siedziało kilku miejscowych. Wydawali się całkiem sympatyczną bandą, zwłaszcza podпиты dziadek brzdąkający na lirze i wydający z siebie wyjątkowo losowe dźwięki, udające śpiew. Obrzucili nas zaciekawionymi spojrzeniami, po czym wrócili do picia.

Oberżysta stojący za szynkwasem, co zadziwiające, nie wycierał niczego szmatką.

– Znajdą się dwie wolne izby? – zapytałem.

Może to był ten dzień. Oberżysta odpowie, że została tylko jedna izba z pojedynczym łóżkiem. Zapłacę, bo cóż innego pozostało? Zaprowadziwszy Dalię na górę, powiem, że prześpię się na podłodze. Sam wiesz, rycerskość. Ona się obruszy. Zapewni, że przecież łóżko pomieści nas oboje. Będę długo protestował, lecz w końcu ulegnę, by nie zrobić jej przykrości. A później, w mrokach nocy, wiele może się zdarzyć...

– Mamy osiem izb. – Oberżysta uśmiechnął się, ukazując oba zęby. Jakby wiedział. Nie zdziwiłbym się, gdyby specjalnie wszystkich wygonił, aby zrobić mi na złość.

– Może takie, które nie wychodzą na młyn – zaproponowała Dalia.

– Strasznie hałasuje.

Zapłaciłem za niewychodzące na młyn izby oraz przechowanie koni. Tymczasem za naszymi plecami dziadek rozpoczął kolejną pieśń. Zacząłem rozumieć, dlaczego miejscowi nie boją się portalu – głos tego człowieka mógł odpędzić najgorsze potwory.

Zaprowadziłem Dalię na górę. Jej izba okazała się mała, lecz czysta. Wychodziła na trakt.

– Tu jest coś nie tak – stwierdziłem cicho. – Portal, którym nikt się nie interesuje? Wójt, co nic o nim nie wie i niewiele słyszał?

– Pewnie wygaszony.

– Możliwe, ale istnienia portali zwykle się nie bagatelizuje. To coś, co zostawia ślad nawet po latach...

Zjedliśmy kolację z zapasów zabranych z Uniwersytetu, pomstując na te kutwy, władze uczelni, za ciągłe obcinanie funduszy, a potem ruszyłem do siebie.

– Zamknij drzwi na klucz – powiedziałem jej w progu. Być może to była ta chwila, w której powinien zaproponować, by przeniosła się do mojego pokoju. Mógłbym namalować jej przed oczami obraz wójta skradającego się z siekierą i stąpającego w ślad za nim obleśnie uśmiechającego się dziadka z lirą. Nie odezwałem się jednak. Dalia pewnie by to zlekceważyła. Zawsze była bardziej ufna i odważniejsza niż ja.

\*\*\*

Nie mogłem zasnąć. Tak blisko niezbadanego portalu czułem się bardzo niepewnie. Na wszelki wypadek po raz czwarty sprawdziłem drzwi pokoju. Zamknięte. Czar chroniący wydawał się w porządku. Czy ktoś się tam skradł? Przyłożyłem ucho. Nic.

Podreptałem do okna i zacząłem obserwować trakt. Noc była ciemna, ale tu i tam dało się zauważyć ludzkie sylwetki. Duże poruszenie jak na tę porę.

Próbowałem myśleć logicznie. Ta wioska była pewnie starsza niż czas i wyglądała, jakby nigdy nie wydarzyło się w niej nic ciekawego. Portal

zapewne okaże się wygaszony. A jeśli nie? To dokądś prowadzi. Nie można wykluczyć, że właśnie tam...

Wiesz, szesnaście lat przed opowiadanymi przeze mnie wydarzeniami byłem młody, naiwny jak Dalia i jeszcze lekko zielony w temacie doku-mentowania portali. Moim nauczycielem został staruszek o nazwisku Sajer, wielki uczonec, przed laty współtwórca systemu pieczętowania magicznych przejść. Raz badaliśmy zgłoszenie od rybaków z nadmorskiej wioski, wedle którego kilku miejscowych przeszło przez portal i nigdy nie wróciło.

Kamienny łuk skrywał się pośród gęstych zarośli niedaleko plaży. Co najmniej dwieście pięćdziesiąt lat, schyłek Imperium Sów. Aktywny. Sześć stóp wysokości i pewnie co najmniej trzy pod ziemią. I jeszcze kilka innych parametrów, którymi nie chcę cię zanudzać.

W tamtym czasie zagładanie do aktywnych portali było wręcz wymagane. A gdy dochodziło do zniknięć ludzi, władze Uniwersytetu sugerowały, byśmy ocenili szansę ratunku. Sajer, który miał dość rozsądku, by nie zgrywać bohatera, zawsze wołał miejscowych i składał im propozycję – kto chciał poszukać zaginionych, mógł wejść do portalu, a my dawaliśmy mu tydzień. Jeśli po siedmiu dniach nikt się nie pojawiał, braliśmy się do pieczętowania.

W tamtej nadmorskiej wiosce, podobnie jak w wielu innych, nikt nie skorzystał z propozycji starego. Kto miał ruszyć na ratunek, pewnie zrobił to wcześniej. Portal połknął i nie oddał w sumie sześciu osób.

Co więcej, z opowieści wynikało, że dwóch wieśniaków zajrzało na drugą stronę, wkładając samą głowę. Ponoć zobaczyli rzeczy tak straszne, że nie umieli dojść do siebie.

Staliśmy z Sajerem przed lekko migotliwą płaszczyzną zamkniętą w kamienne ramy. Zastanawiałem się, czy po drugiej stronie naprawdę czeka świat niczym z kosmaru. Jak dotąd żaden mnie nie przeraził.

Pierwszy portal, przez który spojrzałem, ukazał mi skalistą grań pod pomarańczowym niebem. Wszędzie dookoła rozciągały się oszałamiające szczyty. Od razu zrozumiałem, dlaczego Sajer kazał mi włożyć samą głowę. Gdybym postawił tam stopę, osunąłbym się w przepaść.

Później były kolejne miejsca. Ciemne jak lochy korytarze, po których latały małe, świecące istoty. Pustynia pełna wystających z piasku ruin. Ma-



leńka wyspa na jeziorze, w cieniu stojącej na brzegu wielkiej warowni. Pełna przepychu komnata, w której uctowały jakieś pokraczne postacie, bardzo zdziwione moim pojawieniem się. Wymarłe kamienne miasto, w jakiś niezrozumiały dla mnie sposób na wpół pochłonięte przez niebo.

W naszej drużynie byłem ja, Sajer i ktoś jeszcze – królik o imieniu Zbój. To starzec wymyślił, żeby najpierw wrzucać do portalu zwierzę.

Tamtego dnia, nieopodal plaży, to Zbój pierwszy zniknął za magiczną płaszczyzną portalu. Po chwili Sajer pociągnął za linkę, do której umocowany był gryzoń, i wyciągnął nieszczęśnika. Zbój był cały, acz wyglądał na wystraszonego. Nawet bardziej niż zwykle.

Teraz przyszła moja kolej. Najpierw ręka.

Podejrzewam, że nigdy nie przechodziłeś przez portal, więc wyjaśniam – nie czuje się nic. Oczywiście po drugiej stronie może być zimniej czy cieplej, lecz samego pokonania granicy światów zupełnie się nie odczuwa.

Poczułem lekki chłód, nic niezwykłego. Cofnąłem rękę. Teraz głowa.

Po drugiej stronie trwała noc. Zauważyłem, że na niebie jaśniały gwiazdy i dwa duże księżycy. Na tle nieba ujrzałem czarną istotę wielką jak miasto. Miała w sobie coś z insekta, gdy kroczyła na kilkunastu patykowatych nogach. Z jej tułowia wyrastały ogony, a do każdego przywiązane były setki istot. Wrzeszczały. Nie widziałem ich dokładnie, lecz w ich koszmarnym, potępieńczym jazgocie słyszałem coś bardzo ludzkiego. W pewnej chwili potwór przejechał jednym z ogonów po ziemi, masakrując dziesiątki ciał. Powinny zginąć, lecz wciąż krzyczały.

Patrzyłem na to sparaliżowany strachem. Dopiero po chwili podniosłem wzrok i dostrzegłem ciągnącą się daleko dolinę. Setki czarnych istot roilo się aż po horyzont. Różne kształty, ledwo cienie, lecz zewsząd krzyki, zagłuszające nawet odgłosy tupania tych monstrów. Pośrodku płynęła czerwona rzeka, a na jej brzegach unosiły się olbrzymie kopce z kości.

Wyciągnąłem głowę i zwymiotowałem, obryzgując kamienny łuk portalu.

- Pieczętujemy – wydukałem. – Szybko.
- A tych sześciu? – spytał Sajer.
- Nie wróć.

Zamknęliśmy portal i odjechaliśmy w pośpiechu.

Od tamtego czasu przestaliśmy zaglądać na drugą stronę i Zbój mógł przejść na zasłużoną emeryturę. Sojer zmarł kilka zapieczętowanych portali później, spokojnie, we śnie. Dla mnie noce stały się czasem koszmarów. Gdyby po tym incydencie z portalem zmierzono mnie skalą Zukiewa, z pewnością dostałbym więcej niż Dwójkę.

Wrzaski udręczonych istot. Cienie. I ten zapach. Nigdy nie zapomnę, jak tam śmierdziało.

Opowiedziałem o tym Dalii. Uznała, że jestem bohaterem, bo chronię ludzi przed tak niepojętym złem. Może jestem. Choć pewnie niewielu bohaterów budzi się co noc z krzykiem na ustach i łzami w oczach.

Już miałem odejść od okna, kiedy na dole dostrzegłem falujący zarys postaci. Czar niewidzialności?

Wymamrotałem ujawnienie i z konsternacją zauważyłem, że to Dalia. Spojrzała na mnie z pretensją, nieco zawstydzona. Czemu, na bogów, szwenda się nocą i to jeszcze tak nieudolnie ukryta?

Zapukała po chwili.

– Na czerwoną przechwałę Ragarona, gdzieś ty była?

Zrobiła dość zdezorientowaną minę.

– Ragarona? Czy to jakieś powiedzenie starych ludzi, którego nie rozumiem?

– Jest bardzo ponadczasowe.

– Poszłam do wioski na przeszpiegi. – Usiadła na łóżku i wyciągnęła zgrabne nogi.

– Ktoś mógł cię zauważyć!

– Pewnie tak. Mojemu maskowaniu daleko do mistrzostwa. Oberżysta powiedział „do widzenia”, kiedy go mijałam.

– Na rany... yyy... Po co to zrobiłaś?

– Mówiłeś, że coś tu jest nie tak, więc postanowiłam to sprawdzić.

– I?

– Wieśniacy zwołali tajne, nocne spotkanie w młynie, więc możemy założyć, że rzeczywiście coś knują.

– Wspaniała dedukcja. Wkradłaś się na to spotkanie?

– No... nie do końca. Patrzyłam przez okno. Było tam kilkunastu mężczyzn, w tym wójt i staruszek od liry. I jeszcze taka dziwna kobieta. Wyglądała na szaloną. Dałabym jej co najmniej Szóstkę.

– O czym rozmawiali?

– No, tego nie usłyszałam. Młyn hałasował, a oni mówili cicho. Nad czymś radzili, trochę się kłócili i co chwilę pytali tę zwariowaną o coś, lecz ona nic im nie odpowiadała. Dziwne, że próbowali. Wyglądała, jakby nie знаła nawet swojego imienia.

– A potem?

– Rozeszli się. Chyba coś ustalili. Zaczepiłam też jednego pijaka na trakcie. Był mocno wstawiony, ale nie chciał mi nic wyjawić o portalu. Udawał, że nie wie, o co chodzi. Kiedy powiedziałam, że wójt nas tam zaprowadzi, wyglądał na przerażonego.

– Dalio, będę bardzo zaskoczony, jeśli do świtu pół wioski nie wpadnie do nas z siekierami.

Młoda kobieta wzruszyła ramionami.

– Jesteśmy czarodziejami. Pokonamy ich. O, zrobięś zaklęcie obronne przy drzwiach. Śliczne!

Oto nastąpiła ta chwila.

– Może... bezpieczniej będzie, jeśli prześpimy się w jednym pomieszczeniu.

Dalia zamyśliła się. Czekałam, aż parsknie śmiechem albo ucieknie w popłochu, lecz ona pokiwała energicznie głową.

– To dobry pomysł. Przy okazji poćwiczę zaklęcie lewitujące. Daj mi chwilę, zaraz przeniosę tu drugie łóżko!

I rzeczywiście je przytargała. Spadło jej dwa razy, więc pewnie obudziła drugą połowę wioski, tę, która jeszcze nie ostrzyła siekier. Teraz wpadną tu wszyscy.

\*\*\*

Wójt zjawił się rankiem, bez siekiery, za to z mieczem u pasa. Dosiadał karego ogiera, który dreptał niespokojnie przed gospodą.

Odszedłem od okna i obudziłem Dalię.

– Przyjechał – wyszeptalem. – Chyba po nas, choć uzbroił się tak, że równie dobrze może zmierzać na wojnę.

Nieco później nasza trójka zostawiła za sobą Lipinki i ruszyła wąską ścieżką na zachód, w kierunku czekającego na horyzoncie lasu. Pogoda była słoneczna, idealna na zamykanie magicznych przejść.

– To na potwory z portalu? – zapytałem wójta Romana, wskazując miecz.

– Nie – zaśmiał się. – W lesie są różne niebezpieczne zwierzęta. Niedźwiedzie na przykład. – Wyjął oręż z pochwy. – To pamiętka.

I zaczął opowiadać historię swego pełnego wojaczki życia. Wynikało z niej, że niemal w pojedynkę wygrał ze cztery wojny. Aż dziw, że nie słyszałem o takim bohaterze.

Minęliśmy słynny most, spod którego uciekła rzeka. Obok mieszkańcy próbowali wznieść nowy, drewniany.

– A właściwie dlaczego je zamykać? – zapytał wójt, gdy wjechaliśmy w las.

– Dobre pytanie. No cóż, jako żołnierz pewnie słyszał pan o Hiacowicach.

– Coś, kiedyś, trochę.

– Niedaleko Hiacowic też był portal. I pewnej nocy zaczęły wylażać z niego istoty. Nim armia zdążyła się zebrać, zabiły wszystkich ludzi w promieniu dziesięciu mil. Wojsko musiało wbić się we wrogą hordę i dotrzeć aż do portalu, by zablokować strumień przeciwników. Kosztowało to tysiące zabitych. Kiedy nasi przejęli przejście, mogli wyczyścić okoliczne tereny z plugastwa. Ale to nie był koniec. W tamtych czasach nikt jeszcze nie umiał pieczętować portali, więc ten pozostał otwarty i w Hiacowicach wciąż musiała stacjonować armia, w tym kilku magów. To było koszmarnie drogie, więc ktoś wpadł na pomysł, by wokół portalu wykopać wielki dół i najeżyć go dzidami. To działało, póki ci po drugiej stronie nie zaczęli go zasypywać kamieniami. Zbudowano też mur, lecz istoty nauczyły się go forsować. Po prostu tragifarsa. Najdziwniejsza wojna świata, która trwała latami. Aż w końcu zebrała się grupa czarodziejów i pracowali tak długo, aż wynaleźli sposób na zamknięcie portalu. Przywrócili spokój

w Hiacowicach. Do tego grona należał Sajer, mój nauczyciel.

– Ale poza tym jednym przypadkiem nie było podobnych katastrof?  
– zapytał wójt.

– Nie na taką skalę. Jednak zdarzały się. Słyszał pan o mieście Krosotno? To na północno-wschodnim wybrzeżu Morza Południowo-Zachodniego. Pewnego dnia znaleziono tam zmasakrowane zwłoki. A kilka tygodni później kolejne. I jeszcze jedno. Ludzie zaczęli szeptać o potworze, który grasuje nocą. Straż przeszukiwała miasto, zjeżdżali się słynni tropiciele, zastawiano pułapki. Jednak nie znaleziono bestii. Zabójstwa zdarzały się regularnie przez ponad trzydzieści lat, zginęło prawie sześćdziesięciu mieszkańców. W końcu natrafiono na ukrytą komnatę w starych podmiejskich katakumbach. A tam...

– Portal?

– Dokładnie. Bestia znikła w innym świecie, dlatego nikt jej nie upolował. Przyjezdny czarodziej zakończył sprawę.

– U nas nie dzieje się nic takiego – zapewnił Roman. – Po prostu zastanawiałem się, dlaczego nikt nie chce wykorzystać tych nowych światów.

– Imperium Sów próbowało. Ci szaleńcy uznali, że nasz świat jest dla nich za mały, więc pootwierali portale, choć nie wiedzieli, jak je zamykać. Zostawili nam w spadku te krosty na ciele świata. Choć dzięki nim mam ciekawą pracę.

Wójt zadumał się na chwilę.

– To prawda, że Imperium, zanim upadło, rządziło kilkoma innymi światami? – zainteresował się.

– Jest to bardzo prawdopodobne, wręcz pewne, lecz trzymali to w tajemnicy i niewiele wiemy na ten temat. Podejrzewam, że chwycili za dużo i w końcu wypadło im z rąk.

– Mam w sobie krew Sów – pochwaliła się Dalia. – Moja wiele-razy-prababcia była bękartem brata imperatora.

– Pewnie dlatego panienka nie może spać po nocach – powiedział wójt z uśmiechem, a moja współpracownica zrobiła się czerwona, zupełnie jakby wśród przodków miała też co najmniej jednego buraka.

Dotarliśmy do części lasu, gdzie drzewa rosły gęsto, a przez ich korony

wpadało niewiele światła. Wójt kluczył chwilę, aż w końcu wskazał miejsce, gdzie leżała kupa kamieni.

– No... to chyba to... niewiele zostało.

Razem z Dalią przykucnęliśmy przy gruzowisku. Na niektórych skałach widać było dość nieporadnie wyryte symbole, a całość pokrywało zaskakująco niewiele mchu. Ktoś też przesadził z ilością materiału – gdyby zbudować z tego portal, byłby to z pewnością portal dla słoni.

– Bardzo ładne kamienie, ale zabierz nas, proszę, do prawdziwego portalu – powiedziałem do wójta.

– Nie ma innego – odparł. – Pytałeś o ruiny i oto one. Coś się nie zgadza?

– Co nam się nie zgadza, Dalio?

– Sowy budowały z piaskowca, a to dolomit. Runy są nieporadne, a całość ułożono tu co najwyżej kilka lat temu.

– Sam bym tego lepiej nie ujął.

– Nie wiem nic o żadnym innym miejscu! – stwierdził wójt tonem, którym pewnie beształ wieśniaków. Biedak zapomniał, że rozmawia z uczonym człowiekiem.

– Jeśli nie zaprowadzisz nas do prawdziwego portalu, ściągnę tu czterdziestu kolegów po fachu i zaczniemy przeczesać okolicę w promieniu dziesięciu mil. – Oczywiście kłamałem. Zamykaczy było może dwudziestu w całej historii tej dość młodej nauki. – W końcu go znajdziemy. A ty będziesz miał kłopoty.

Wójt zrobił zboląłą minę człowieka przypartego do muru, a potem zagwizdał.

Ktoś kryjący się w zaroślach strzelił z łuku, strzała pomknęła ku mojej głowie i zawisła w powietrzu cztery stopy od niej. Ochronne zakłęcie kopuły. Otaczało mnie i Dalię już od czasu wyjścia z gospody.

W chwili, gdy ukryty łucznik próbował wyeliminować moją skromną osobę, wójt dobył miecza i doskoczył do Dalii. Ta cofnęła się i wypowiedziała zakłęcie. W tym samym czasie, co ja. Na Uniwersytecie zdecydowanie odradzają rzucanie dwóch czarów w tym samym czasie na ten sam cel.

Mój miał wójtą obezwładnić. Zadziałał dobrze, wytrącił mu miecz z ręki,

sparaliżował i powalił na ziemię.

Nie wiem, co próbowała rzucić Dalia. Efekt był taki, że coś ledwo widzialnego przebiło mu nogę, następnie podniosło mężczyznę i zawiesiło głowę w dół.

– Musi przeżyć! – krzyknąłem, zakłębem przesuającym zdjąłem wójta z osobliwego haka i rzuciłem na bok.

Czar Dalii wciąż działał. To coś wiło się w powietrzu jak szklany wąż i w końcu obrało kierunek na wójta.

– Odwołaj to! – krzyknąłem do dziewczyny.

– Nie umiem! Wyszło mi przypadkiem!

Nie było wyjścia, postanowiliśmy po prostu dać nogę. Na szczęście czar poruszał się dość wolno.

Zaprowadziłem wójta do mojego konia i pomogłem mu usadowić się w siodle. Od razu chwycił wodze, jednak próba ucieczki nie była szczególnie udana, bo zwierzę ani myślało ruszyć się z miejsca.

– Opatrzmy cię, kiedy dojedziemy do portalu – powiedziałem, wsiadając na konia wójta.

Czar Dalii skradał się wśród leśnego runa, a z nogi mężczyzny lała się krew, więc nie miał wielkiego wyboru. Skinął głową i palcem wskazał kierunek.

– Nie zamykajcie – wyszeptał tylko.

Później nie odzywał się wiele. Kilkakrotnie kazał nam „nie zamykać” i od czasu do czasu pokazywał drogę.

Dalia wyglądała na przerażoną.

– Powinniśmy mu pomóc – stwierdziła, gdy tylko oddaliliśmy się od fałszywego portalu.

– Próbował nas zabić. Wybacz, ale nie potrafię znaleźć w sobie współczucia.

– Jeśli umrze...

– To co? Założę się, że każdy w wiosce zna drogę równie dobrze.

– A ten, co strzelał? Myślisz, że jedzie za nami?

– A co za różnica?

– W sumie... żadna.

Pokonaliśmy niecałą milę, nim dotarliśmy do ściany groźnie wyglądających krzewów.

– Zasłona – wyszeptał wójt. – Trzeba się przebić.

– Ty pierwszy – rozkazałem.

Wójt zniknął w krzakach, a my ruszyliśmy jego śladem.

Portal stał pomiędzy dwoma wiekowymi dębami, dostojny i piękny. Zsiadłem z konia, zdjąłem wójta i pozwoliłem Dalii opatrzeć jego ranę, a sam podszedłem do budowli. Wyjąłem notatnik.

– Aktywny – wyszeptałem i zapisałem. Po obu stronach magicznej płaszczyzny widać było podłużne górki piasku. Nie miałem wątpliwości, skąd się wzięły. – Dwieście sześćdziesiąt, dwieście siedemdziesiąt lat – wynioskowałem po krzywiźnie łuku i rodzaju run. A przede wszystkim po wizerunkach sów, które w czasach Imperium nieustannie ewoluowały. – Wysokość zmierzmy po zamknięciu, ostatnio miarka wpadła mi do środka...

– Nie! – ryknął wójt. – Tam jest mój syn! I jego żona! W ciąży!

– Tam? – Podszedłem do rannego i wskazałem portal. – Po drugiej stronie? A co oni tam robią?

– Pewnie... odpoczywają.

Zabrzmiało to dość absurdalnie, więc uklęknąłem koło Romana.

– Po kolei. Od początku. Co tu się dzieje?

Wójt, nie odrywając wzroku od swojej bandażowanej nogi, przemówił cicho:

– Mamy w wiosce taką kobietę, Anielkę. Ona potrafi czarować. Tylko rozumu jej brakuje.

– To ta, którą widziałam we młynie? – zapytała Dalia.

– Ta... Trzymają ją pod kluczem, ale zdarzyło jej się uciec. I raz, parę lat temu, przywiało ją pod ten portal. Był wygaśły, ale ona go... hmm... otwarła?

Dalia spojrzała na mnie, a ja wzruszyłem ramionami.

– Jest to możliwe – zgodziłem się. – Zapieczetowanego portalu nie potrafimy jeszcze otworzyć z powrotem, ale jeśli wygaśł samoistnie... Z pewnością nie jest to trudniejsze niż stworzenie nowego, a przecież Sowy to robiły.



– Zaprowadziła nas do niego – podjął wójt. – Dwóch śmiałków przeszło na drugą stronę, a kiedy wrócili, opowiadali o cudnym, bezludnym, ciepłym, kolorowym i pełnym jedzenia świecie. Od tamtego czasu odwiedzamy to miejsce, bo... jest lepsze. Nie ma tam wojny, podatków, głodu, deszczu ani wścibskich oczu.

– Ilu mieszkańców wie? – zapytałem podejrzliwie.

– Prawie wszyscy. Poza dziećmi czy nowymi.

– Jeśli mówisz prawdę i to miejsce rzeczywiście istnieje, nie udałoby wam się utrzymać tej wiedzy w tajemnicy.

Dalia, widocznie pod wrażeniem słów wójta, powoli zbliżała się do portalu.

– Dalej, panienko – powiedział do niej wójt. – Wystarczy wsadzić głowę i będzie wiadomo, że mówię prawdę.

– Nie podchodź do tego! – ryknąłem na nią, aż odskoczyła i spojrzała na mnie z ukosa.

– Zachowanie tajemnicy jest proste – stwierdził wójt i uśmiechnął się z grymasem. – Wiedza o portalu została zaklęta w Śmiertelny Sekret.

– Ona stworzyła ten czar? Ta szalona kobieta?

Pokiwał głową.

Wciąż mu nie wierzyłem, ale gdyby to była prawda, sytuacja nie przedstawiała się ciekawie. Śmiertelny Sekret to bardzo silne i rzadkie zaklęcie. Nie umiem go rzucać i nigdy nie chciałem być częścią żadnego. To proste – kto poznaje tego rodzaju tajemnicę, nie może jej zdradzić, bo wtedy ginie. Wyjątkiem jest Węzeł, osoba wyznaczona przez czarodzieja, na tyle zaufana, by kontrolować rozprzestrzenianie się wiedzy.

– Więc jesteś Węzłem – powiedziałem z powątpiewaniem.

– Ja i mój syn. Jeśli się tu wykrwawię i zamkniesz portal, nie będzie komu powiedzieć...

– Chwileczkę... – wtrąciła się Dalia. – Czyli nie możemy nikomu powiedzieć o tym portalu, bo zginiemy?

Zapadła dość długa cisza. Wtedy nie wierzyłem draniowi, choć teraz wiem, że mówił prawdę. A ty, mój drogi czytelniku, jak czujesz się z faktem, że jeśli gdzieś tam jeszcze żyje, to właśnie mnie zabiłeś? Spokojnie,

zadbałem, by nikt nie odczytał manuskryptu przez długi czas. Ta kobieta z wioski, która rzuciła czar, pewnie już nie żyje, więc Śmiertelny Sekret wygasł. A może nie? Tak na wszelki wypadek nie dziel się spostrzeżeniami z tej lektury z osobami, które jej nie czytały.

– Nie możemy stracić tego świata – stękał dalej wójt. – Wiedzieliśmy, że ktoś w końcu przyjedzie zbadać portal, więc zbudowaliśmy atrapę.

– Koronkowa robota. Ale na wszelki wypadek, gdyby nie zadziałała, schowałeś w krzakach zabójcę?

– Przepraszam, ale inaczej się nie dało. Nie zostawiłbyś tego portalu otwartego, zgadza się?

– Poznałeś się na mnie.

– Nie ja. Rozmawiałem z ludźmi... z innej wioski, gdzie zamknąłeś portal. Mówili, że masz obsesję na tym punkcie i nie dasz się przekupić.

Spojrzałem na budowlę. Obrzydliwie niezapiecztowana. Niczym niedomknięta szuflada, dziura w dachu, nabrzmiały pryszcz, plama na śnieżnobiałej tkaninie. Dlaczego ja wciąż rozmawiam z tym niedoszłym mordercą, zamiast brać się do roboty?

– No cóż – spojrzałem na wójta, po czym na portal – czas, żebyś się zamknął.

– Moja synowa jest w ciąży. Ósmy miesiąc. To pierwszy wnuk. Zabijcie mnie, ale pozwólcie im wyjść.

Podszedłem do portalu i ukląknąłem przy prawym łuku. A może lewym? Trudno rozpoznać, gdy portal jest symetryczny. Czy trzeba będzie trochę go odkopać?

– Mój jedyny syn! – krzyknął wójt.

– Może powinniśmy sprowadzić kogoś z wioski? – powiedziała cicho Dalia. Wyglądała na dość przejętą. – On chyba nie kłamie...

– Mój syn. – Wójt płakał. – Jak był mały, prawie mnie nie znał przez te wszystkie wojaczki. A teraz znów zostanie sam.

– Dalio, możesz go zakneblować? Proszę.

Dalia obdarzyła rannego długim, pełnym współczucia spojrzeniem, a potem wskoczyła do portalu.

– O, ja pierdołę.

- Dobra kobieta... – wychrypiął wójt.
- W tym właśnie tkwi problem.

Postanowiłem ustawić kopułę z nieprzekraczalnego czaru, by wójt nigdzie mi nie uciekł. Najpierw jednak zakłębem wystraszyłem jego konia. Zwierzęta te były wystarczająco silne, by przełamać barierę. Wierzchowiec pognał, jakby mu się ogon palił. Pozostałe dwa, mój i Dalii, odprowadziły go znudzonymi spojrzeniami. Zwierzęta czarodziejów bywały nieprawdopodobnie posłuszne, oczywiście dzięki kontrolującym je czarom.

Gdy w końcu stanąłem przed portalem, zatęskniłem za Zbójem. No cóż, trzeba to zrobić. Przełożyłem głowę przez płaszczyznę portalu.

Rzeczywiście wyglądało to kolorowo i przyjaźnie. Zrobiłem krok do przodu i stanąłem na czymś grząskim. Plaża. Ale jakaś dziwna, o drobnym, niemal białym piasku. Nieopodal falowało morze, czyste i turkusowe. Na niebie ani jednej chmury. W głębi łądu bujna, obca roślinność, a na jej tle oddalająca się postać młodej kobiety.

Z tej strony portal nie był obudowany. Czysta wyrwa w rzeczywistości, której lokalizację zaznaczono jedynie kręgiem z kamieni ułożonym na piasku.

Nadszedł czas na odrobinę bohaterstwa. Byłem zły na Dalię jak nigdy wcześniej, lecz wiedziałem, że gdy tylko spojrzy na mnie z tą swoją płaczącą miną, od razu jej wybaczę. Może nawet uzna, że zachowałem się dzielnie, dołączając do ratunku. A potem, pod palmą, wiele może się zdarzyć... Bo to były palmy, wiem, gdyż kilka lat później znalazłem ich opisy w książkach. W naszym świecie też występują, daleko na południu. Tylko że mają ponoć zielone liście.

Wydzieranie się na cały głos w nieznanym świecie nie było dobrym pomysłem, więc ruszyłem za towarzyszką w milczeniu. Było tak gorąco, że spocłem się po kilku krokach.

Dalia zatrzymała się w miejscu, które wyglądało na małe obozowisko, i tam na mnie zaczekała. Kiedy do niej doczłapałem, raczyła się właśnie jakimś kolorowym owocem, siedząc na piasku pod zadaszeniem z liści.

- Słaczne i jest tego wjemcej – powiedziała z pełnymi ustami. – Spłóbuj.
- Mam takie pytanie. – Usiadłem w cieniu, gdyż zdążyłem już mocno

znenawidzić tutejsze słońce. – Czy wskakiwanie do portalu, który prowadzi nie wiadomo dokąd, jest mądre?

– Daj spokój. Cała wioska tu przychodzi od lat i nikomu nic się nie stało.

– To nie znaczy...

– Szybko ich znajdziemy i wracamy. Co ty na to?

No cóż, zgodziłem się jak idiota. A powinienem był zawlec ją siłą do portalu.

Ruszyliśmy w kierunku zarośli, gdzie ktoś spał pod palmą. Wyglądał na typowego wieśniaka zażywającego odpoczynku – pijany, zarośnięty i rozebrany od pasa w górę. Za stary, by być wójtowym pomiotem.

– Hej, przyjacielu. – Szturchnąłem go długą gałęzią.

Dochodził do siebie tak długo, że, mógłbym przysiąc, słońce przemierzyło pół nieba.

– O... ooo... a kto wy?

– Nieważne, kim jesteśmy. Radziłbym natychmiast wracać – powiedziałem. – Portal będzie zamykany.

– Czemu?

Nie miałem siły na takich przygłupów.

– Bo portale się zamyka – wyjaśniłem powoli.

– Na zawsze?

– Oczywiście, że na zawsze!

– Ja tu zostaję – oznajmił pijany jegomość i zamknął oczy.

Spojrzałem na Dalię i wzruszyłem ramionami. Robiłem, co mogłem. Ona jeszcze przez chwilę próbowała go przekonać do odejścia, a on próbował ją namówić do ściągnięcia podróźnej sukni. Obojgu poszło równie marnie.

Na szczęście wyjawili nam, gdzie znaleźć syna i synową wójta. Opuściliśmy plażę i weszliśmy w coś w rodzaju palmowego lasu, który porastał niezbyt stromy stok. Nad nami przemknęła zgraja stworzeń podobnych do małp. Wyglądały, jakby coś goniły albo przed czymś uciekały, jazgocząc przy tym koszmarnie.

– Głupiutkie stworzenia – stwierdziła z uśmiechem Dalia.

Nie miała racji, to my byliśmy głupiutkimi stworzeniami.

Po krótkiej wędrówce naszym oczom ukazało się coś, co wyglądało jak niewielki, pozbawiony murów zamek. Na szczycie niezbyt wysokiego klifu wznosiły się cztery wolno stojące wieże, w cieniu których wybudowano kilka różnej wielkości budynków z piaskowca.

– To dzieło Imperium Sów – zauważyła od razu Dalia.

Połączenie zupełnie obcej scenerii z tak dobrze znanymi motywami architektury wywoływało u mnie dysonans, Dalia natomiast była zachwycona.

– To dowód, że rządzą innymi światami! – oznajmiła podekscytowana.

– Proszę cię, ciszej.

– Musimy to zbadać.

Powinienem być powiedzieć, że nie tym się zajmujemy. Rozkazać – zabieramy wieśniaków i wracamy do portalu. Jednak nie powiedziałem nic. Jakaś niewielka część mnie, pozostałość po chłopcu śliniącym się na tajemnice magii, cieszyła się na to odkrycie. Nie wiem, jak ta cząstka przetrwała studia i lata pracy przy zamykaniu portali. Gdy piszę te słowa, już jej nie ma.

Pomiędzy blankami wieży pojawił się kilkunastoletni chłopak trzymający łuk i strzałę. Młody wyglądał, jakby miał ochotę nas zastrzelić, lecz nie napiął cięgiwy, nie odezwał się też ani słowem.

– Ja będę mówił – szepnąłem do Dalii, gdy zbliżyliśmy się do zabudowań. – Podtrzymuj czar ochronny. Jest bardzo prawdopodobne, że będą chcieli nas zabić.

– Był na spotkaniu we młynie – szepnęła Dalia.

Zza budowli wyszła natomiast kobieta w zaawansowanej ciąży. Miała na sobie cienką, jasną suknię i chyba coś jadła.

– Witajcie! – zawołała. – Kim jesteście?

– Uczonymi. Przyjechaliśmy... obejrzeć wasz portal – zacząłem ostrożnie. – Jak się domyślam, jesteś synową wójta? Niestety, podczas oględzin zdarzył się wypadek. Twojego teścia ranił niedźwiedź, leży ranny w lesie i przysłał nas tu po was.

Kobieta spoglądała na nas bardzo podejrzliwie.

– Przeżyje?

– Opatrzyliśmy ranę, nic mu nie będzie – odparłem, może nawet zgodnie z prawdą.

– Nie mogę teraz stąd odejść. Mój mąż odjechał, by przeszukiwać półwysep. Dopóki nie wróci, portal zostanie otwarty.

– Wieść o naszych skromnych poczynaniach niesie się pomiędzy światami – powiedziałem, wykrzywiając usta w parodii uśmiechu.

Zastanowiło mnie, ile ta kobieta wie. Wójt musiał wysłać tu szczeniaka z łukiem na wszelki wypadek, gdyby zasadzka na nasze życie nie wyszła. Może nawet kazał im wrócić, lecz wójtowy bachor musiał sobie pozwolić jakiś półwysep.

– Syn wójta przybędzie przed zachodem słońca? – zapytałem.

Parsknęła.

– Tu nigdy nie zachodzi słońce – odpowiedziała. – Marceli będzie niebawem. Chcecie popatrzeć na zamek? Śmiało. Może zmienicie zdanie. Zamykać ten portal to wyjątkowa głupota. Powiedziałabym nawet, zbrodnia.

Dalia wyglądała jak dziecko, które zobaczyło największe ciastko świata, toteż zgodziłem się rzucić okiem na zabudowania. Młody zszedł z wieży i ciężarna naradzała się z nim po cichu, pewnie planowali, gdzie ukryć nasze ciała. Najwidoczniej knucie było dla nich ważniejsze niż pomoc wójtowi, bo kobieta nie kazała chłopakowi wrócić przez portal. Chodzili za nami, cały czas pilnując. A może podejrzewali, że ukradniemy im to miejsce?

– Co to znaczy, że tutaj nie zachodzi słońce? – zapytała Dalia, kiedy dotarliśmy pod kolejną wieżę. Na licu budowli dało się zauważyć zdobienia, które tysiące deszczy temu musiały być sowami.

– Nie ma nocy – odparła synowa wójta. – Słońce pędzi po niebie jak opętane, odbija się od horyzontu, zawraca, pędzi i znów się odbija.

– Idealne miejsce dla Sów – rzuciłem z przekąsem, patrząc w niebo.

Kobieta wprowadziła nas do największego z budynków. Pierwszym pomieszczeniem okazała się kuchnia, pełna owoców i ryb.

– Nie jesteśmy głodni – odpowiedziałem na propozycję poczęstunku, choć Dalia miała minę tak rozczarowaną, jakby ostatni raz jadła w zeszłym roku.

Później obejrzelismy wielką salę z rzędami starych drewnianych ław z czarnego drewna. Na podwyższeniu stał tron wyrzeźbiony w kształt sowy. Wyobraziłem sobie wójta, który zasiada na nim i rozkazuje kmiotom zbierać owoce i spiskować przeciw zawziętym zamykaczom portali.

Za salą znajdowały się pełne przepychu sypialnie dawnych władców. Zastanowiło mnie, dlaczego okna są tak wielkie, skoro słońce świeci bez przerwy. Korciło mnie też, by zapytać, czy to tu został poczęty wójtowy wnuk, lecz wieśniaczka pewnie kazałaby swojemu pacholce poczęstować mnie strzałą.

– Żyjecie tu jak w bajce – zachwyciła się Dalia.

Ciężarna wzruszyła ramionami.

– Znaleźliśmy to miejsce. Urządziliśmy. Właściwie jakie macie prawo, by nam je odebrać?

Nie odpowiedziałem, za to podszedłem do wiszącego na ścianie gobelinu. Był wielki i wypłowiały, lecz jakimś cudem nie spadł przez te wszystkie lata. Dostrzegłem na nim kobietę. Nosiła się po królewsku, jak władczyni Imperium Sów. W czasie powstania tego zamku na tronie z pewnością zasiadał mężczyzna, więc może to siostra lub kuzynka któregoś z władców? Rządząca tym miejscem jako prowincją? Próbowałem przywołać drzewo genealogiczne i dopasować którąś z kobiet panującej dynastii do utkanej sylwetki, lecz typów było za dużo.

Dalia stanęła obok mnie.

– Spójrz – powiedziała – na jakim ogromnym tronie siedzi.

Rzeczywiście był gigantyczny, na gobelinie nie zmieścił się cały. Nie przypominał mebla z wielkiej sali, inny kolor, inny kształt. Żadnych motywów z sowami.

– Artystę zdrowo poniosło – stwierdziłem i pociągnąłem nosem. W tych komnatach unosił się dziwny zapach.

Już miałem odejść, lecz coś nie dawało mi spokoju. Tron na gobelinie był szary, lecz kiedyś musiał być ciemniejszy. Cofnąłem się o krok, by objąć całość wzrokiem.

– Ona nie siedzi na tronie... – wyszeptalem.

To było czarne, przypominające insekta stworzenie o patykowatych

nogach, z wieloma ogonami.

Stałem tak przez chwilę, sparaliżowany ze strachu. Pociągnąłem nosem. Ten zapach. Zakręciło mi się w głowie z przerażenia.

Synowa wójta, która spoglądała przez okno, nagle odwróciła ku nam skonsternowaną twarz.

– Nie odbiło się – powiedziała zdumiona. – Słońce do połowy schowało się za horyzontem.

Chwyciłem Dalię za ramiona.

– To tutaj. Musimy uciekać!

Pojęła moje słowa w jednej chwili.

– Wszyscy musimy udać się do portalu – powiedziałem do kobiety i chłopaka. – Tu nie jest bezpiecznie.

– Nigdzie się nie ruszycie, póki mój mąż nie wróci – oznajmiła synowa wójta, a jej towarzysz uniósł łuk.

Prostym zakłęciem wytrąciłem mu broń z ręki, zanim jeszcze zrozumiałem, co robię. Chwyciłem Dalię za dłoń i ruszyliśmy w stronę wyjścia.

Poszli za nami, pomstując i wygrażając. Znaleźliśmy się na czymś, co w tym miejscu zapewne pełniło funkcję dziedzińca. Niebo ciemniało w oczach, pojawił się lekki wiatr, niosący chłód i ten obrzydliwy zapach. Ptaki umykały na zachód.

– Zakłęcia niewidzialności? – zapytała Dalia.

– Nie. Tylko stracimy siły, a te potwory nie wyglądają na takie, które dobrze posługują się wzrokiem. Na razie ochrona.

– Czekaście! – krzyknęła kobieta. – Wy wiecie, co się dzieje?!

Za jednego z budynków wyskoczyło czarne stworzenie, patykowate, pomijając pękaty tułów. Wyglądało jak owad wielkości konia. Ruszyło w naszą stronę.

Chłopak napiął cięciwę i wystrzelił, strzała wbiła się w stwora, lecz ten nawet nie zwolnił.

Dalia uderzyła pierwsza, ubiegając mnie o ułamek chwili. Proste zakłęcia odpychające, skierowane w potwora. Ten jednak był tak blisko młodego, że siła czaru zadziałała na nich obu. Stwór przeleciał najwyżej dwa kroki, chłopak dobre pięć. Wypadł poza moją ochronną bańkę.





– Wracaj do nas! – ryknąłem.

Młody zamiast mnie posłuchać, ukłęknął i znów próbował napiąć łuk, którego jakimś cudem nie wypuścił z ręki.

Wciąż mam przed oczami tę scenę – potwór doskoczył, uniósł dwa przednie odnóża, wbił w chłopca i zaczął siekać jego ciało. Łucznik krzyczał, lecz tylko przez chwilę. Za nimi na tle kamiennych budowli rozciągał się ciemny horyzont, na którym rosły trzy potężne, tak dobrze mi znane sylwetki, wielkie jak miasta. Jakby wyłaniały się spod ziemi.

Pobiegliśmy w dół stoku, przez palmowy las, tak oszaleli ze strachu, że gdyby pojawił się przy nas Zukiew, zabrakłoby mu skali. Synowa wójta była najwolniejsza, więc Dalia zmniejszyła tempo, by trzymać się tuż przy niej. Nim dotarliśmy do granicy plaży, niebo ściemniało całkowicie i rozgościły się na nim dwa duże księżyce.

Widziałem morze, czarne jak otchłań. Ruszało się w nim coś ogromnego, coś rozmiarów sporej wyspy.

– Te wielkie są daleko – podsumowałem moje obserwacje.

– A małe i średnie? – zapytała Dalia.

Nie odpowiedziałem. Weszliśmy na plażę, gdzie od razu natknęliśmy się na kawałki ciała rozrzucone w niemałym promieniu. To musiał być pijak. Dalia doszła do tego samego wniosku.

– Mówiliśmy mu, żeby wracał – szepnęła głosem bliskim obłędu. – Mówiliśmy wam wszystkim.

Właśnie w tamtej chwili, idąc po zakrwawionym piasku, wreszcie poczułem, że ktoś naprawdę mnie rozumie. Tak bardzo pragnąłem wydostać stamtąd Dalię. Bylibyśmy straumatyzowani razem. Połączeni przez koszar. Zamknęlibyśmy wszystkie portale świata, aż do ostatniego.

W chwili, gdy naszym oczom ukazało się obozowisko, gdzie wcześniej Dalia jadła owoce, na plaży pojawiły się dwa kolejne monstra. Smukłe, wysokie, stąpające na trzech nogach i bliźniaczo podobne. Gdy obróciły się w stronę morza, okazało się, że na ich plecach wiszą inne istoty, mniejsze i całym podobne do ludzkich. Wyglądały na ukrzyżowane i głośno jęczały.

Natychmiast zeszedliśmy z plaży, by skryć się w zaroślach.

– Myślę, że strzegą portalu – powiedziałem. – Musimy w nie uderzyć

i pobiec. To już niedaleko.

Przejście było jakieś trzysta, może nawet dwieście kroków od nas.

– Ja uderzę w lewego – powiedziała Dalia. – Ty w prawego.

– Z całych sił.

Wyskoczyliśmy na plażę równocześnie i wycelowaliśmy w koszarne istoty. Czary poleciały szybciej niż jakiegokolwiek pociski. I trafiły w cel. Stwory wpadły do morza.

Pobiegliliśmy. Synowa wójta trzymała się tuż za nami. Piasek pochłaniał nasze stopy, jakby chciał nas zatrzymać. I wtedy na plaży zaczęła wyrastać góra.

Straciliśmy równowagę i stoczyliśmy się po zboczach, którego jeszcze przed chwilą nie było. Piasek wzbil się w powietrze, zasłaniając niebo. Zakaszlałem, wyplułem garść ziaren i spróbowałem się podnieść.

Moje towarzyszki zaczęły krzyżeć niemal jednocześnie. Ja również miałem ochotę. Nad naszą trójką górował potwór, który wyłonił się prawdopodobnie z samego piekła. Oczywiście czarny. Tym razem wielkości sporego donżonu. Miał długi, potężny korpus, kilkanaście zakończonych ostrzami odnóży i coś, co wyglądało jak głowa umieszczona na absurdalnie długiej szyi.

Dwa odnóża pochwyciły synową wójta i uniosły ją na wysokość dwudziestu stóp. Głowa wyciągnęła się i przyjrzała uważnie zdobyczy. Ciężarna krzyczała tak przeraźliwie, że od tego odgłosu można było postradać zmysły.

Pomogłem Dalii się podnieść.

– Biegniemy – rozkazałem. – Nie pomożemy jej.

– Mogę uderzyć. – Dalia zmierzyła potwora wzrokiem. – Albo wyciągnę ją czarem...

– Nie!

Potwór przestał przyglądać się synowej wójta, poniósł trzecie odnóżę i sprawnym ruchem odciął jej głowę. Ta upadła na piasek, tryskając krwią. Ciało olbrzym wrzucił do morza.

Dalia wyrwała się z mojego uścisku i stanęła naprzeciw potwora. Na jego tle, przywołując magię, wyglądała niczym małe światełko. Uderzy-

ła z całą siłą, jaką dysponowała. Istota przyjęła cios, wzdrygnęła się lekko i wyciągnęła odnóża ku mojej uczennicy.

Pewnie zapytasz, czemu ja nie uderzyłem. Wiedziałem, że to nie ma sensu, to bydlę było zbyt ogromne. Całą siłę skupiłem na zaklęciu ochronnym, najsilniejszym, jakie rzuciłem w życiu.

– Biegniemy! – krzyknąłem i Dalia ruszyła się w końcu, lecz o żadnym biegu mowy być nie mogło. Wyczerpana dziewczyna ledwo trzymała się na nogach.

Pierwsza z kończyn stwora pomknęła ku nam z góry, wbiła się w moją ochronną kopułę, lecz ta wytrzymała. Portal był już pięćdziesiąt kroków przed nami. Widziałem kamienny krąg i migoczącą powierzchnię.

Drugie uderzenie. Tarcza wytrzymała.

Czterdzieści kroków. Z każdym uderzeniem serca traciłem siły.

– Nie chciałam – wydukała Dalia.

– To nie twoja wina.

Trzydzieści kroków. Trzecie uderzenie. Tarcza nie wytrzymała.

Uderzyłem w piasek, Dalia upadła tuż koło mnie. Odnóża pochwyciły moją towarzyszkę, uniosły, ohydna głowa zaczęła ją sobie oglądać.

Próbowałem zebrać siły na jeszcze jeden czar. Nic z tego. Mogłem tylko patrzeć.

Dalia nie krzyczała. Wiła się w uścisku, próbując oswobodzić, lecz bezskutecznie.

Stwór oglądał ją znacznie dłużej niż synową wójta. W końcu wydał z siebie odrażający pisk, uniosł Dalię jeszcze wyżej, odwrócił się i ruszył przed siebie.

Wtedy właśnie widziałem Dalię po raz ostatni. Patrzyła na mnie, bezgłośnie ruszała ustami, niesiona przez potwora w stronę ciemnego horyzontu, na którym zaroilo się od gigantycznych czarnych sylwetek.

Kątem oka dostrzegłem, że z wody wyłoniły się trójnogi. Wstałem, choć trząsałem się okropnie, i próbowałem pobiec. Ostatnie kilkanaście kroków. Piasek wsysał moje buty, paskudny zapach palił w nosie, trójnogi zmierzały w moją stronę.

Przekroczyłem kamienny krąg i wskoczyłem do portalu.

Upadłem pośród leśnego runa. Widok i zapach lasu oszołomiły moje zmysły, lecz natychmiast odwróciłem się w stronę budowli. Trójnogi były tuż za mną, lecz magiczne przejście nie wypuściło nikogo więcej.

– Ty – powiedział wójt. – Przyprowadziłeś mojego syna?

Wstałem, przytrzymując się portalu. Czułem się jak w transie, jakbym umysł pozostawił po drugiej stronie. Na szczęście mięśnie miały własną pamięć.

Po obu stronach portalu leżał piasek, co ułatwiło mi zadanie. Narysowałem palcem na ziemi odpowiednie runy, a potem obszedłem portal i klęknąłem, by zrobić to samo z drugiej strony.

– Zaraz! – Wójt zorientował się, co planuję i eksplodował oburzeniem.

– Ty zamykasz?! Nie możesz, do cholery! Jak oni wrócą?!

Podszedł do mnie, kulejąc. Wstałem, jakimś cudem znalazłem jeszcze trochę siły i pchnąłem go. Zatoczył się i upadł na ziemię. Wylądował gdzieś za granicą mojego dawno rzuconego ochronnego czaru, który wciąż się utrzymywał.

Efekt nieudanego zaklęcia Dalii musiał przebyć całą drogę od fałszywego portalu do prawdziwego, gdyż cierpliwie czekał za kopułą. W końcu dostał szansę, by dokończyć dzieła, tym razem jednak nie wbił się w nogę wójta, lecz w jego szyję. Nie poświęciłem temu widokowi więcej niż jedno uderzenie serca.

Dokończyłem rysunki run, dotknąłem kamiennego łuku, zacząłem recytować zaklęcie. Świat rozmazał się, gdy łzy napłynęły mi do oczu. Zacząłem łkać. Pierwsza zerodowana kamienna sowa zaświeciła, a jej sylwetka przeobraziła się w kształt, jaki nadał jej artysta przed wiekami.

I tak to trwało. Recytowałem. Rysowałem. Runy, sowy i napisy ożywały. Płakałem cały czas, a gdy przejście zamknęło się na dobre, położyłem się na ziemi i przeleżałem tak do wieczora.

Patrzyłem na martwego wójta. Nie wiedziałem, jaki czar go zabił, lecz coś takiego musiała rzucić naprawdę uzdolniona osoba. Nawet jeśli czasem robiła to niechcący.

– Wybacz mi – powiedziałem do Dalii.

Zapadający zmrok przeraził mnie do tego stopnia, że postanowiłem uciec. Wsiadłem na konia, chwyciłem wodze wierzchowca Dalii i ruszyłem w stronę Uniwersytetu.

\*\*\*

Rektor nałóż mi wina i spojrzaj z przejęciem. Siedzieliśmy w jego pracowni, za oknem rodził się kolejny ładny dzień.

– Byliście w Lipinkach?

– Tak.

– Znaleźliście portal?

– Nie mogę zdradzić. Staliśmy się częścią Śmiertelnego Sekretu. Mogę tylko powiedzieć, że zrobiliśmy, co do nas należało. Niestety, moja współpracownica, Dalia Noktuaj, zginęła. – Pociągnąłem łyk wina.

Rektor zaklął.

– Jak to się stało?

– Straciła życie przy wykonywaniu obowiązków. Chciałbym powiedzieć... ale rozumie pan...

– Kto rzucił ten cholerny czar? Ilu jest Węzłów?

– Węzły nie żyją. Czar utkała szalona kobieta z wioski.

– Znajdziemy ją – zapewnił uczony.

I rzeczywiście próbowali. Rzucenie Śmiertelnego Sekretu było karą natychmiastową egzekucją, dlatego Uniwersytet wysłał do Lipinek oddział zbrojnych. Wieśniacy spodziewali się tego, więc czarownicę wywieźli i nikt nie zdradził, dokąd. Może to był kolejny Śmiertelny Sekret?

Zapewniłem przełożonego, że moja praca w Lipinkach zakończyła się, a ponieważ ciążyła nade mną klątwa, każdy unikał tematu losów Dalii i wkrótce wszyscy zapomnieli o tamtej wiosce i tajemnicy, której nie mogłem wyjawic.

Przez kilka miesięcy unikałem pracy w terenie i próbowałem dojść do siebie. Zadomowiłem się na Uniwersytecie. Zdarzało się, że dawałem nieudane wykłady, zacząłem też pracować nad księgą o sztuce zamykania

portali, co wymogła na mnie uczelnia. Nie dokończyłem jej, ale i tak byłaby okropna. Najwięcej czasu poświęciłem jednak badaniom – musiałem dowiedzieć się, czym jest świat, który zabrał mi Dalię.

Spędzałem dni w uniwersyteckiej bibliotece, czasem podróżowałem do innych miast, by przejrzeć ich zbiory lub spotkać się z uczonymi.

Niewiele udało mi się dowiedzieć. W jednej z ksiąg, której autor starał się skatalogować odkrycia Imperium Sów, znalazłem fragment:

*Wśród wszelkiego rodzaju światów obcych szczególną odrazę budzi Farese, kraina długich dni i nocy, których cykl wydaje się podlegać jakimś nadnaturalnym prawom. To miejsce tropikalne, pełne istot rodem z koszmaru i żaden zdrowy na umyśle człek nie powinien się tam zapuszczać.*

W jednej z kronik Imperium jakiś historyk lizus zamieścił natomiast takie słowa:

*Wiele oszałamiających sukcesów Imperium zapiera dech w piersiach, lecz szczególnie podziw budzi zapanowanie nad grozą Farese. Mój dobry przyjaciel odwiedził to miejsce i widział cuda, które mogą zmienić bieg dziejów. To wybitny przykład zwycięstwa dobra nad złem, światła nad ciemnością. Jak tylko otrzymam zgodę od namiestnika, opiszę te wydarzenia szczegółowiej.*

Słowa miały dwieście pięćdziesiąt dwa lata. Kronikarz zgody pewnie nie otrzymał, gdyż nad grozą Farese już się nie pochylił.

Długo myślałem na temat tego, co właściwie tam zaszło. Nocami budziłem się z krzykiem, śniąc o Dalii próbującej przetrwać niewyobrażalne męki, przywiązanej do jednego z odnóży bestii wielkiej jak miasto. Czy tak skończyła? Inna myśl podsuwała mi obraz dziewczyny, która jakimś cudem uciekła potworom i kryje się w ciemności, szukając przejścia do naszego świata lub sposobu, by znów zaświeciło słońce. To było naiwne, lecz Dalia nieraz zaimponowała mi sprytem.

Jednak im dłużej nad tym myślałem, tym bardziej wierzyłem w inną teorię. Czy nie wydało ci się dziwne, że noc zapadła, kiedy się tam pojawiliśmy? „Cykl wydaje się podlegać jakimś nadnaturalnym prawom”.

Może potwory przybyły wraz z nocą, bo coś wyczuły? Dlaczego synowa wójta została zdekapitowana, a Dalia dokądś zabrana? „Zapanowanie nad grozą Farese”. Myślę, że potwory wyczuły w mojej towarzyszce krew Sów.

Wyobrażam sobie Dalię, która zasiada na największym z tych potworów jako nowa imperatorka, a miliony bestii przybywają, by złożyć jej pokłon. Wizja ta przesładuje mnie najczęściej. Czy Dalia zdołałaby wtedy nie oszaleć?

Być może zwróciłeś uwagę, że gdy spotkałem Dalię, miała Czwórkę. Jednak w mojej opowieści nie wydaje się aż tak szalona, prawda? Dlatego, że Zukiew, choć mądry, był też głupi. Oceny według jego skali nie należy przyznawać raz na zawsze. Dalia była Czwórką, gdy stanęła na scenie Uniwersytetu. Rozumiem to, wiem, ile przeszła. Jednak przy mnie udało jej się znormalnieć, zbić stopień Zukiewa. Jaki ma teraz, w tej krainie koszmaru? Czy skala w ogóle taki przewiduje?

Jaki jest mój stopień? Czy dalej jestem Dwójką? Wydaje mi się, że znam odpowiedź na to pytanie.

Po roku od zaginięcia Dalii wróciłem do zamykania portali. Rektor zaproponował mi wybranie współpracownika, lecz stanowczo odmówiłem. Podróżowałem sam, stroniłem od ludzi. Spoglądałem w każdy portal, szukając Farese i Dalii, lecz nie znalazłem. Co bym zrobił, gdybym ujrzał za magicznym przejściem noc, dwa księżycy i te okropne poczwary? Nie wiem.

W końcu postanowiłem spisać całą tę historię. Niech ktoś się w końcu dowie, kim była Dalia i jaki los ją spotkał. Niech do kogoś dotrze, jak paskudny jest ten świat. Imperiami rządzą chciwcy bez wyobraźni, przez których cierpimy całe wieki. Pospólstwo to idioci, którzy nie rozumieją prostych słów i prędzej cię zabiją, niż pozwolą, byś im pomógł. W świecie, w którym mądrość umarła, uczeni są cieniem przemijającymi na skraju widzenia, zupełnie niepotrzebnymi, wywołującymi tylko dyskomfort i zgrzytanie zębów. A kiedy odchodzą, nikt po nich nie płacze.

Oddałbym wszystko, by jeszcze ją zobaczyć.



## Epilog

Mało kto korzystał z czytelni Uniwersytetu w Dohmie o tak późnej porze. Tej nocy wewnątrz wypełniały zwielokrotnione cienie, gdyż całe oświetlenie stanowiło kilka świec bezpiecznie wiszących w szklanych klatkach. Bibliotekarz siedział za biurkiem, czekał i obserwował. Powinien być teraz w domu, przytulać żonę pod ciepłą kołdrą, jednak kobieta, która poprosiła go o skorzystanie ze zbioru, okazała się nad wyraz intrygująca.

Była bardzo blada, jasnowłosa, a w jej wielkich oczach tańczyło szaleństwo. Grzeczne zapytanie wypowiedziała w sposób zarezerwowany dla ludzi, którym lepiej nie odmawiać i bibliotekarz aż wzdrygnął się na myśl, że mógłby nie spełnić jej prośby.

O skrytce musiała dowiedzieć się od kogoś z Uniwersytetu. Zeszli we dwójkę do mieszczącej się w podziemiach Komnaty Zapisków, gdzie bibliotekarz odszukał skarbczyk opisany imieniem i nazwiskiem Ernesta Kilnta.

– Zostawił to trzy lata temu – wyjaśnił. – Powiedział, że mamy otworzyć i przeczytać po dwudziestu, chyba że wcześniej zjawi się kobieta wyglądająca zupełnie jak pani.

Otworzył skrytkę, wyjął manuskrypt i przekazał nieznajomej.

Zaprowadził ją do czytelni, gdzie zagłębiła się w lekturze. Bibliotekarz obserwował ją w milczeniu i zachodził w głowę, co takiego mógł napisać ten ponury, szalony i nieznoszący ludzi zamykacz portali, że kobieta w pewnym momencie otarła łzy z policzków.

\*\*\*

Pasterz wystraszył się nie na żarty. Takie spotkanie w środku nocy musiało oznaczać kłopoty. Położył rękę na płocie, gotów wyrwać luźną sztachetę i obserwował, jak ktoś się zbliża. Postać zdjęła kaptur. Okazało się, że to kobieta.

Zapytała, czy w okolicy znajduje się stary portal. Pasterz odpowiedział. A potem odprowadził wzrokiem tę dziwną istotę, mógłby przysiąc, nie z tego świata.

Przemytnicza trasa przez torfowiska była całkiem przyjemna, jeśli tylko miało się nieprzemakalne buty i tyle szczęścia, by nie wpaść na truchło zabłąkanej owcy lub krowy. Tej nocy księżyc świecił jasno, lecz na takim odludziu i tak nie spotykało się wścibskich oczu.

Wszystko szło jak zawsze, do czasu aż przemyttnik ujrzał kobietę. Przemierzała trzęsawisko wolnym krokiem, jasne włosy pokonały kaptur i rozwiały się za nią niczym chorągiew, buty mlaskały głośno, gdy z każdym krokiem zapadała się po kostki. Musiała nie znać tego miejsca, inaczej wybrałaby twardszą ścieżkę, którą podążał przemyttnik.

Śledził ją przez jakiś czas, zupełnie nie wiedząc, co o tym myśleć. W końcu kobieta zatrzymała się na niewielkim wzniesieniu, wyrastającym pośród podmokłości. Rosło tam kilka rachitycznych drzew, a pod jednym wznosiła się kupa kamieni. Klęczał tam jakiś starszy mężczyzna. Zauważył nieznajomą już jakiś czas temu, obserwował, jak się zbliża.

Przemyttnik ze zdumieniem spoglądał, jak ci dwoje rzucają się sobie w objęcia i trwają tak bez ruchu. Schadzka kochanków? Na to wyglądało.

– Jestem tu tylko na chwilę – powiedziała kobieta. – Muszę wrócić. Tak wiele naprawiłam... Jeśli ich porzucę, wszystko pójdzie na marne.

– Rozumiem – odparł mężczyzna.

– Cały czas się uczę. Wciąż za dużo tam cierpienia.

Mężczyzna zawahał się, spojrzął jej w oczy i zapytał:

– Chcesz, żebym poszedł z tobą?

Przemyttnik nie był pewien, ale wydawało mu się, że kobieta przytaknęła.

Później rozmawiali chwilę i wyglądało, że stary ma tu jakąś niedokończoną robotę, a kobieta zaproponowała mu swoją pomoc. Kiedy noc zaczęła jaśnieć blaskiem czarów i w powietrzu pojawiła się widmowa sowa, przemyttnik umknął czym prędzej. W takie rzeczy lepiej było się nie mieszać.

**Link do opowiadania wraz z komentarzami:**

<https://www.fantastyka.pl/opowiadania/pokaz/30388>

**Jarosław Łukasiński** – urodził się w Żorach i mieszka tam do dziś. Z wykształcenia geolog. Na co dzień pisze dokumentacje, a po pracy opowiadania. Lubi spać, grać w gry planszowe i spacerować, słuchając audiobooków.



# Na herbatce u wampira

Marcin Bartosiewicz

Zenon spojrział na zasnuite szarymi chmurami niebo i ciaśniej owinął się połami płaszcza. Podpatrzył, że ludzie tak robią w zimowe miesiące. Jemu chłód zbytnio nie przeszkadzał, ale to dzięki umiejętności wtapiania się w tłum przeżył tyle stuleci.

Na drodze przed nim ciągnął się sznur samochodów, jak co rano. Jeden z kierowców zamarudził na światłach i zaraz roztrąbiły się klaksony. Zenon uśmiechnął się pod nosem. Stał obok przejścia dla pieszych i zamknął oczy.

Wysiłkiem woli rozpostarł wokół siebie niewidzialną sieć. W mgnieniu oka oplótł nią ludzi siedzących w pojazdach. Poczuł wyraźnie, jak jątrzą się złość, kipi frustracja. Gęste, skłębione emocje, niczym złowrogi dżin w kruchej buteleczce. Wzburzenie osłabiało czujność i pobudzało krążenie fluidu magnetycznego, który tym łatwiej było wchłonąć.

Pokarm zaczął spływać po włóknach sieci niczym ciepły, lepki miód. Uśmierzał ból, wyostrzał zmysły, wzmacniał ciało. Zenon przez przy-mknięte oczy zauważył, że korek rozładowuje się w ślimaczym tempie, w sam raz na dokończenie pierwszego śniadania.

Nagle ktoś trącił go ramieniem i czar przysł. Zenon z irytacją spojrział na szary asfalt, bloki, samochody... Nie lubił takich momentów, gdy nagle uderzała go brzydota świata zbudowanego przez ludzi.

– Przepraszam – wymamrotał znad ekranu telefonu chłopak, który go trącił.

– A niech cię febra, osłe aleksandryjski! – warknął Zenon. Widząc zdziwienie na obliczu chłopca, zmitygował się.

– Wybacz, nie dojadłem śniadania... – Uśmiechnął się niepewnie.

Chłopak zrobił krok w tył. Przez chwilę patrzył spode łba, potem wzruszył ramionami i na powrót zatopił się w telefonie. Zenon westchnął, wciąż nieco głodny. Unikał wybuchów, obawiał się, że gdy straci kontrolę, zdradzi się czymś przed ludźmi, ale cóż mógł poradzić.... Coś ze złych emocji osiadało w duszy wraz z odżywczym fluidem.

*W końcu jesteś tym, co jesz – pomyślał.*

Podumał chwilę i doszedł do wniosku, że skoro śniadanie nie wyszło, to źle rozpoczęty dzień może uratować tylko herbatka u starego znajomego.

\*\*\*

Zenon szedł z mozołem po drewnianych schodach, które skrzypiały przy każdym kroku. Klatkę wypełniał zapach gotowanej kapusty.

*Jak oni mogą jeść coś, co tak cuchnie?*

Wchodząc, patrzył ze smutkiem na odrapany tynk i koślawe napisy na ścianach.

Na pierwszym piętrze minęła go kobieta z dzieckiem.

– Dzień dobry – rzucił uprzejmie. Choć silił się na przyjazny ton, jego głos zabrzmiał ponuro.

Kobieta minęła go bez słowa, pospieszając córkę. Zenon był już kilka stopni wyżej, gdy usłyszał głos dziecka:

– Ale pan miał stary sweter!

Natężył słuch i pośród dźwięków kamienicy wychwycił szept kobiety:

– Maju, słonko, musisz uważać, co mówisz przy takich ludziach.

Wampir popatrzył z irytacją na swoje ubranie. Był przekonany, że sweter ma parę lat... Nie, może więcej, ale najwyżej paręnaście... Mniej niż sto, raczej na pewno mniej. Nie mógł zrozumieć, czemu tym ludziom, do licha, ciągle coś nie pasuje? Westchnął i oparł się o poręcz, zerkając w górę. Jeszcze jedno piętro.

– Cały Gerwazy. Potrafi zbudować manufakturę gargulców na poddaszu, a koledze windy nie robi – jęknął pod nosem.

\*\*\*

– I oni teraz ciągle gapią się w telefony jak cielęta! – zachnął się Zenon, wyciągając torebkę herbaty z kubka i kładąc na odwróconym wieku od słoika. – Raz się taki śmieje, raz podnieci, uch... Weź się zestrój.

Gerwazy pokiwiał głową ze współczuciem, wykładając struclę na talerz.

Drżąca ze starości, nieposłuszna ręka rozrzuciła wachlarz okruszków na podłogę.

*A może to od pracy z ciężkim dłutem?*

– Zjesz? – spytał grzecznie gospodarz.

Pokręcił głową. Jego gatunek posiadał fałszywy żołądek, który przyjmował jedzenie, by później móc się go dyskretnie pozbyć. Dzięki temu łatwiej było udawać człowieka. Żołądek ten otwierało się odpowiednim ustawieniem przełyku, a opróżniało przez zrzut na wysokości pępka. Niektórzy nauczyli się czerpać z ludzkiego jedzenia przyjemność, ale w Zenonie procedura budziła niesmak. Upił tylko łyk herbaty malinowej.

– Zabiorę, drugi raz zaparzę – powiedział Gerwazy. Wziął mokrą torebkę herbaty i czmychnął do kuchni. Było w ruchliwości kolegi coś, co Zenona niepokoiło.

– Wszystko u pana dobrze, panie inżynierze? – spytał żartobliwie, gdy przyjaciel wrócił.

Tamten nie odpowiedział. Usiadł ciężko na krześle, otworzył usta, podniósł rękę, westchnął, a w końcu wypowiedział słowo brzmiące jak wyrok:

– Pająk...

Zenon rozejrzał się wokół, spłoszony.

– Spokojnie, nie ma go tu – uspokoił przyjaciela konstruktor.

– Żeś mnie nastraszył. Czego chciał od ciebie? – Pytanie wypowiedziane szeptem zabrzmiało złowrogo.

– Gorzej, Zenon, gorzej... ech... – machnął ręką. – Pokażę ci, tylko nie mów nikomu.

– A komu miałbym mówić? – spytał melancholijnie Zenon.

Poczłapał za przyjacielem do gabinetu.

Stojący na warcie gargulec chciał złapać klamkę, ale trafił ręką we framugę. Cofnął ramię, ustawił się nieco bokiem i spróbował znowu, bez skutku. Zenon wiedział od Gerwazego, że to jeden z najstarszych osobników. Był już nieco zmęczony żywotem na ziemi i tęsknił do jego końca. Albo, mówiąc językiem gargulców, niecierpliwiło go *Mgnienie Pełne Krzątany* i tęsknił do *Bezkrzesnego Kamiennego Snu*, z którego konstruktor obudził go przed wiekami.

– Daj – powiedział niecierpliwie Gerwazy. Gargulec cofnął się i wpadł na ścianę. Z jego ust wydobył się zgrzyt, który, o ile Zenon dobrze zrozumiał, oznaczał przeprosiny. Konstruktor spojrział na stwora z irytacją.

– Dobrze, już dobrze – wymamrotał niczym zawiedziony ojciec i otworzył drzwi.

Zenon, skupiając się na obliczu kamiennej istoty, mimowolnie wyczuł echo tego, za czym gargulec tęsknił. *Morze niewzruszonego kamienia, rozciągającego się bez granic przez czas i przestrzeń...*

– Zenon, nie śpij! – inżynier przywołał kolegę do porządku. Ten wzdrygnął się i podreptał za przyjacielem do gabinetu. W środku, na wytartym tapczanie, siedział mężczyzna, który patrzył błędnym wzrokiem przed siebie.

– Przytaszczył mi go jeden z gargulców – powiedział Gerwazy. Zenon domyślił się tego po śladach zadrapań na twarzy mężczyzny. Stwory potrafiły się czaić przez całe dni, czekając na samotną ofiarę, by oswobodzić ją z nadmiaru sił witalnych, ale ich zdolności nawigacji pozostawiały nieco do życzenia.

Zenon zamknął oczy, zestroił się z umysłem nieszczęśnika i zadrzał. Emocje na ogół przypominały języki ognia – buchały gwałtownie, szybko się wypalały i zostawiały po sobie popioły. W głowie nieznanego kłębiły się nieustannie ogniki sprzecznych uczuć. Fluid wypełniała kakofonia, jakby ktoś...

*Jakby ktoś rzucał szklanymi kulkami w ścianę, żeby patrzeć, jak się roztrzaskują.* Nigdy wcześniej nie napotkał czegoś takiego. Otworzył oczy i wzdrygnął się, gdy zauważył, że nieznanomy patrzy na niego ze skupieniem. Ni z tego, ni z owego Zenona naszło wspomnienie dnia, kiedy wprowadzał się do obecnego mieszkania...

*Spojrzął jeszcze raz na kartkę z adresem – Jaworowa szesnaście na osiem. Zaczął biec po schodach, przesadzając po dwa, szybko jednak złapał zadyszkę i musiał przystanąć. Sprawdził godzinę – pięć minut spóźnienia. Powłókł się w górę po schodach i stanął twarzą w twarz z właścicielem mieszkania. Podali sobie ręce.*

– Będzie pan zadowolony – powiedział właściciel, otwierając drzwi.



*Zenonowi nie trzeba było tego mówić. Mieszkanie znajdowało się bardzo daleko od miejsca, gdzie ostatni raz wpadł na Pająka. Wzdrygnął się na wspomnienie godzinnego wywodu o tym, że naturalną rolą ludzi jest dostarczanie nie tylko pokarmu, ale wszelkiej służby.*

Zenon odgonił od siebie wspomnienie, a nieznajomy znowu utkwiał wzrok w ścianie.

– I co czujesz? – spytał ponurym tonem Gerwazy.

– Jakby ktoś zrobił z niego sałatkę – jęknął w odpowiedzi.

– O, to dobre. Tego słowa szukałem.

– Wiesz, dlaczego to zrobił? – O ile Zenon pamiętał, Pająk był tradycyjnie żywił się wyłącznie krwią.

– Nie wiem. I chyba tak jest lepiej, wiesz, Zenon? – odparł gospodarz.

Gość pokiwał smutno głową. Po chwili zadumy spytał jeszcze:

– Dużo takich ludzi jest?

– Nie wiem – odparł Gerwazy, wzruszając ramionami. – Ja wiem tylko o tym jednym. To za mała próbka, żeby wyciągać daleko idące wnioski.

– A jeśli policjanci znajdą kilku takich? I potem zaczną szukać i dorwą nas po kolei?

Obojętność kolegi irytowała Zenona. Wśród ich społeczności panowało niepisane porozumienie, zgodnie z którym nie wolno było zbyt zwracać na siebie uwagi ani być zbyt łapczywym.

– E tam, jak przesadzi, to go ludzie zapuszczają i tyle. Nie ma co się wychylać – wymamrotał gospodarz, unikając spojrzenia przyjaciela. – Ja mam dużo na głowie, naprawy czekają.

Zenon westchnął z rezygnacją. Sprawa wydawała się poważna, a nie wierzył, by ludzie potrafili sobie sami poradzić z wampirem, który cudze umysły czytał jak otwarte książki. Ktoś musiałby nimi chociaż pokierować... Skoro Gerwazy nie chciał pomóc, to pozostawała tylko jedna osoba.

\*\*\*

Zenon wziął głęboki wdech, po czym powoli wypuścił powietrze przez usta. Przyłożył dłoń do drzwi, znowu nabrał powietrza i zmusił się, by

w końcu zapukać. Głuche echo rozniosło się po klatce schodowej. Usłyszał przez drzwi głośny kaszel, a zaraz potem zachrypnięty, kobiecy głos:

– Idę przecież!

– Ale ja zapukałem tylko raz – mruknął pod nosem. Zdał sobie sprawę, że kurczowo zaciska dłonie. Zawsze czuł się tak, jakby przychodził do niej po raz pierwszy.

Usłyszał szuranie, a potem szcęk otwieranych zamków – pierwszego, drugiego i wreszcie trzeciego. Agencja detektywistyczna Bernadetty Ostrowskiej nie mogła sobie pozwolić na to, by paść ofiarą włamania.

Drzwi rozwarły się z jękiem, odsłaniając korpulentną kobietę, która trzymała rękę na kaburze. Cofnęła się i wymamrotała:

– Co za niespodzianka. Zapraszam.

Zenon przed każdą wizytą u Bernadetty obiecywał sobie, że tym razem wyjdzie na pewnego siebie, ale strach zawsze łapał go za gardło tuż za progiem i już do wyjścia nie puszczał.

– Co tak drepczesz jak przed pierwszą randką? – spytała, gdy wszedł. Odruchowo się wyprostował.

– A teraz wyglądasz, jakbyś kij od szczotki połknął – zaśmiała się.

Rozsiadła się w gabinecie i od razu zaczęła nabijać fajkę. Na blacie stała zakorkowana butelka wina, w połowie wypełniona rubinową cieczą.

– Berniu kochana... – zaczął.

Bernia zakopciła, wydmuchała na Zenona chmurę dymu, zaniósł się kaszlem i wreszcie spytała:

– Pozwolisz, że zapalę?

– T-tak... – odparł stropiony.

Pyknęła fajkę, kiwając przy tym głową.

– Szukasz kogoś – stwierdziła.

– Skąd wiesz? – spytał z udawanym zdziwieniem. Doskonale wiedział, co Bernadetta Ostrowska, detektyw od spraw nieludzkich, na to odpowie.

– Wie się wszystko – wyrecytowała z namaszczeniem motto zakładu.

Zenon wytłumaczył jej pokrótce całą sytuację. Na wspomnienie Pająka wzdrygnęła się.

– Boisz się go? – spytał.

– Nie... Nie to, że się boję... – Zawiesiła na chwilę głos. – Ale jakbym się kogoś bała, to właśnie jego. Wiesz, o co chodzi?

Mężczyzna wziął głęboki wdech, by sformułować prośbę...

– Nie, nie podejmę się – wyrzuciła z siebie Bernadetta. – I lepiej sam się za to nie bierz. Kto wie, co temu zwyrodnialcowi strzeli do głowy. Też słyszałam, że z nim gorzej, a przecież dobrze nie było nigdy.

– Ale może...

– Nie. - Uniesiony nad głowę smukły palec wyraźnie podkreślał beznadziejność kolejnych apelacji.

– Rozumiem – powiedział smutno Zenon, wstając z krzesła. – Będę leciał. Zadzwoń za pół godziny. Muszę to wszystko przemyśleć. Źle się czuję z tym, że on robi, co chce...

Pokiwała głową. Nagle spojrzała na niego z ukosa, uśmiechnęła się, spuściła wzrok niczym zawstydzona uczennica.

– Strasznie jesteś ponury. Martwię się, Zenon. Pamiętam cię nieco innego... – powiedziała zalotnym głosem.

– To dawno było... – odparł, wycofując się.

– Oj, nie powiesz chyba, że nie zapadłam ci w pamięć? – spytała filuternie.

– Co to, to nie... – zaczął mamrotać, sięgając po kłamkę.

– To do widzenia – powiedziała z lekkim smutkiem. – Albo... *au revoir*? – Zatrzepotała rękami. Zenon rzucił się do drzwi i przebiegł korytarzem.

– Ta dieta ci chyba nie służy – krzyknęła za nim Bernadetta. Wyskoczył na klatkę i zbiegł czym prędzej po schodach. To nie było tak, że specjalistka od przestępstw paranormalnych nie robiła na nim wrażenia. Jednak spleen wywołany przez porę roku i ogólny nastrój otoczenia nie konweniował z tymi wszystkimi ruchami, dyszeniem, jękami, skrzypieniem sprężyn łóżka... Wybiegł na ulicę tak szybko, że nie zauważył gargulca na gzymsie.

\*\*\*

Pół godziny później Zenon wdrapywał się na schody swojej kamienicy, omijając wykruszone stopnie. Spacer dał mu czas do namysłu. Coraz

mniej rozumiał ludzi, tracił ochotę na przechadzki ulicami miast. Z drugiej strony, coś się w nim buntowało na myśl o ofiarach, których umysły zniszczono, nie wiadomo, po co. Dla zabawy, a może dla poczucia władzy?

Przez dłuższy czas usiłował samego siebie przekonać, że to jednak nie jego sprawa. Poza tym, i tak sam nic by nie działał...

*Tak, lepiej to zostawić, akurat mi jeszcze potrzeba problemów z tym...*  
– Zenon zadrżał. Nawet w myślach bał się przywołać to imię.

Stanął przed drzwiami i zastygł. Coś było nie tak. Zawsze mawiał, że dla osobników jego gatunku „stos jest tuż za rogiem”. Nauczył się dostrzegać drobiazgi, które były nie na miejscu – subtelne zapowiedzi poważnych kłopotów.

Wycieraczka przed drzwiami leżała na skos, a zostawił ją równo. Po złapaniu klamki palce utyłyły się łojem. I wreszcie zapach w samym mieszkaniu – w pierwszej chwili uznał go za ludzki. Potem się poprawił – nuty ziemiste i octowe były jednak zbyt mocne.

Zdjął buty i chrząknął w nadziei, że gość się ujawni. Nic takiego się jednak nie stało, więc wszedł ostrożnie do salonu.

Mężczyzna zwany Pajakiem siedział na fotelu, rozparty niczym król na tronie. Jego łysina lśniła, otoczona po bokach resztkami długich, skołtunionych włosów. Wytrzeszczone oczy lypały to na lewo, to na prawo.

Obok nieproszonego gościa siedział mężczyzna z takim samym pustym spojrzeniem i twarzą bez wyrazu, jak egzemplarz znaleziony przez Gerwazego. Zenon obrzucił wzrokiem mieszkanie i zauważył otwarte szuflady sekretarzyka, dokumenty rozrzucone na komodzie i zwisający z niej wyciągnięty z gniazdka kabel telefonu.

– Dzień dobry. – Zenon walczył ze sobą, by zachować spokój.

– Przyszło ci do głowy, że kiedy patrzysz w umysł mojej kukły, to ona patrzy też w twój? – spytał Pajak. – Nawet ładne mieszkanie sobie znalazłeś. Wiesz, czekałem na zaproszenie...

– Może herbaty? – zaproponował Zenon niepewnie.

Pajak odrzucił głowę do tyłu i zaśmiał się opętańczo.

– I ty myślisz, że jesteś lepszy ode mnie!

– Ja... Nie, gdzie tam...

Pająk wbił w niego wzrok.

– Ja żywię się ludźmi – wycedził i uśmiechnął się szelmowsko – i ty też.  
Co więc nas różni?

– Nic! – jęknął Zenon. – Nic, nic nie różni!

Po czym przełknął ślinę i dodał:

– Tylko że ja zabieram od nich...

– Czyli jednak myślisz, że jesteś lepszy? – warknął Pająk. – To dlaczego mnie okłamujesz?!

Gospodarz usiadł w fotelu, nie wiedząc, co powiedzieć.

– Jak jesteś taki szlachetny... To uratuj tego tu. – Nieproszony gość wskazał mężczyznę, który siedział obok. – Wciąż ma szansę dojść do siebie, ale po jeszcze jednej sesji ze mną... – zaśmiał się, okrutnie i paskudnie.

– Uratować? Jak? – spytał Zenon drżącym głosem.

– Otwórz mi swoje wspomnienia – rozkazał ponuro Pająk. – To, czego mogę się na tobie nauczyć, przyda mi się znacznie bardziej. W podzięcie daruję temu tutaj życie, a ty będziesz miał czyste sumienie.

Zenon spojrzał na chmury za oknem, potem na wypłowiały obraz na ścianie.

*Noszę tyle wspomnień. Stulecia zalegają jedne na drugich niby osady skalne. Może by się w nich... zgubił?*

– Nie każ mi czekać, Zenonku – powiedział gość, szczerząc nierówne zęby.

– Niech będzie. – Wraz z odpowiedzią pojawił się chłód w trzewiach. Jeśli przegra... Spojrzał na puste oczy ofiary Pajaka i zadrzał.

*Czy ja też tak skończę?* - Nie miał jednak lepszego pomysłu na pozbycie się z domu intruza. Kłuło go też sumienie, bo etos wampirów emocjonalnych kazał unikać wyrządzania poważnej krzywdy żywicielom.

Jego przeciwnik zamknął oczy i oparł potylicę o zagłówek. Uśmiechnął się złowrogo.

– Czego najbardziej się wstydziłeś? – spytał.

Zenon poczuł nieprzyjemny ucisk wokół skroni.

*Z trudem dźwignął się na obolałym ramieniu i złapał haust powietrza. Błoto kalalo jego szaty, oblepiało twarz, ściekało po włosach. Obite plecy pło-*

*nęty bólem, ale nie to było najgorsze. Najbardziej bolał rechot hajduków, uśmieшки dam i pogarda hrabiego.*

*– Chwał moją łaskę, psie, bo pozwalam ci odejść żywym – oświadczył wyniośle hrabia. – Ale niech jeszcze raz usłyszę, że chłystek podaje się za markiza, albo w ogóle za kogokolwiek, to znajdę cię choćby nawet w Owernii! Już mi stąd, bo znowu każę oćwiczyć!*

Zenon zdał sobie sprawę, że serce bije mu jak młotem. Wstyd i ból były tak wyraziste, jakby wszystko wydarzyło się przed chwilą, a nie setki lat temu. Próbował znowu przywołać wspomnienie, ale chwycił pustkę. Wciąż czuł upokorzenie, ale nie pamiętał, co je wywołało. Ktoś zadał mu ból, ale nie pamiętał, kto.

– Nauczyłem się tego niedawno – powiedział Pająk z dumą. – Żywie nie się wspomnieniami. Dużo bardziej higieniczne od krwi, nie sądzisz?

Zenon spojrział ukradkiem na mężczyznę, którego nieproszony gość przyprowadził ze sobą. Zastanawiał się, ile czasu zajęło doprowadzenie człowieka do takiego stanu...

– Ze wspomnieniami jest zabawna sprawa. Trudno żywić się nimi, nie naruszając całej sieci – kontynuował Pająk tonem wykładowcy.

– Sieci? – spytał zdezorientowany Zenon. *Niech mówi, przynajmniej mi nie grozi.*

– Wyobraź sobie koraliki na sznurku. Tylko że sznurków jest wiele, łączą się też w bok albo na skosy...

Patrzył na ścianę, jakby przez nią widział tajemnice wszechświata. Nagle warknął:

– Rozumiesz?!

Zenon aż się wzdrygnął.

– Koraliki to wspomnienia – powiedział cicho i powoli. – Sznurki je łączą. Dzięki temu...

– Nie – zaśmiał się Pająk. – Nie rozumiesz. Ale mnie też to długo zajęło. Koralik i sznurek to jedno. Jedno! Gdy pochłaniasz wspomnienie w całości, zostaje wyrwa, łańcuch pęka... Aż w końcu zostaje bajoro wrażeń, które nic nie znaczą.

– Nie wiadomo, co jest przed czym... – rzucił nieśmiało, w nadziei, że te

słowa ogólnie pasują do wyводу.

– O, Zenonku słodki, wreszcie ruszasz głową! Tak, wspomnienia nie są ułożone na linii czasu, one same są czasem... Dlatego trzeba jeść umiejętnie.

Spojrzał Zenonowi prosto w oczy.

– A twoja głowa niczym kronika, dokładnie takiej mi trzeba, by się tej sztuki nauczyć.

Oblizął usta i zakomenderował:

– Zamknij oczy i nie myśl o niczym za bardzo. A ja zobaczę, czego się bałeś...

*Nogi odmawiały posłuszeństwa, w uszach wciąż huczały okrzyki żółnierzy: „Czarownik tam jest!”. Złapał oddech i rzucił się ku prowadzącym w dół schodom. W tej części miasta jedna piwnica nierzadko przechodziła w drugą... Drzwi były zamknięte, ale po dwóch uderzeniach barkiem drewno puściło. Biegł w dół, w ciemność, aż stanął na rozmokłej glinie. Okrzyk poniósł się krótkim echem. A więc pomieszczenie było zamurowane. Krzyki były coraz bliżej, ciężkie, okute buty dudniły na schodach...*

Całe ciało Zenona przeszedł dreszcz strachu.

– Aż jestem ciekaw, jak z tego wybrnąłeś – Pająk się uśmiechnął. Jego oczy błyszczały, a na policzki wystąpił rumieniec jak od gorączki.

Zenon otrzeźwiał. Przypomniał sobie plan pokonania wroga. Poczul się nagle mały i bezsilny. Dwa wspomnienia dzieliły stulecia. Jakim cudem tak szybko prześlizgnął się między nimi?

Intruz znowu się odezwał:

– Zawsze byłeś szlachetny, prawda?

Zenon wzruszył ramionami.

– Czy ja wiem... – zaczął.

– Nie kokietuj – przerwał mu Pająk. – Ludzie na pewno nie raz zaszli ci za skórę. Nie raz czułeś gniew, prawda? Nie powiesz, że zemsta cię nie kusiała?

– Czasem... – odparł niechętnie.

Pająk zamknął oczy, a Zenon poczuł nieprzyjemne mrowienie wewnątrz głowy. Naszło go wspomnienie z innej epoki:

*Opuszczając wieczorek poetycki czuł się jak młody bóg. Musiał się powstrzymać przed przeskakiwaniem po kilka stopni naraz, co mogłoby ściągnąć na niego podejrzenia. Szczególnie, że gdy wchodził kilka godzin wcześniej, powłóczył nogami i ciężko dyszał.*

*Wyszedł na ulicę i podszedł do mostka nad rzeką. Światło księżycy lśniło na płynącej powoli wodzie. Przekartkował zabrany ze spotkania tomik – dużo tam było o płomieniach miłości, uniesieniach i rozdarciu. Uśmiechnął się drwiąco – bardzo lubił epoki, w których kultura szła przed nauką. Buzujące uczucia zapewniały łatwy posilek.*

*– Ty tam, ananas! – Okrzyk wyrwał go z zadumy. Jak spod ziemi wyrosło trzech mężczyzn. Postawny jegomość stanął przed nim i wyszczerzył zęby.*

*– Widzę, że znalazł szanowny pan zegarek, który zgubiłem.*

*Zenon nie widział sensu w opieraniu się. Podał tamtemu złoty i przy tym całkiem wiekowy czasomierz. Drżała mu ręka.*

*– Dziękuję, panie poeto – zaśmiał się dryblas, chwycił tomik i wyrzucił do wody. Po czym obrócił się na pięcie i odszedł, zabierając ze sobą kompanów.*

*Zenon wrócił do hotelu, powłócząc nogami. Mamrotał gniewnie pod nosem i obracał w głowie plan zemsty na człowieku, którego miał już zapewne nigdy nie spotkać.*

*Pająk otworzył oczy i milczał chwilę, jakby zbierając myśli.*

*– W każdym z nas jest mroczne miejsce. Mówimy sobie, że jesteśmy szlachetni, ale wystarczy nacisnąć, gdzie trzeba, prawda, Zenonie? Choć i tak muszę przyznać, że jestem pod wrażeniem. – Tyle stuleci, a zabiłeś człowieka dopiero niedawno...*

*Zenon ściągnął brwi, zaskoczony. W ogóle nie pamiętał, żeby kogokolwiek zabił... Oprawca przez chwilę milczał, a potem rzucił:*

*– Ta dziewczynka na klatce schodowej...*

*Przed oczyma Zenona stanął obraz małej, słodkiej istotki. Włos zjeżył mu się na głowie. *O czym on mówi* - zapytał sam siebie.*

*– Jak mogłeś? – spytał Pająk pełnym oburzenia głosem.*

*Zenon poczuł chłód rozchodzący się po całym ciele.*

*– Co „jak mogłem”? – spytał cicho. – Nic jej przecież... – zaczął, ale nagle, niczym nieproszony gość, naszło go wspomnienie:*



*Na pierwszym piętrze minęła go kobieta z dzieckiem.*

– *Dzień dobry – rzucił uprzejmie. Choć silił się na przyjazny ton, jego głos zabrzmiał ponuro.*

*Kobieta minęła go bez słowa, pospieszając córkę. Zenon był już kilka stopni wyżej, gdy usłyszał głos dziecka:*

– *Ale pan miał stary sweter!*

*Miał dość. Dość poniżenia, dość drwin, dość ukrywania się i schodzenia ludziom z oczu. Długo tłumiony gniew zalał go niczym fala. Rzucił się w dół po schodach. Rozległ się krzyk. Kobiety, donośny, pełen zwierzęcego strachu, i dziecięcy...*

Zenon ocknął się skulony na fotelu, z oczyma mokrymi od łez. Spojrzał na Pajaka z przerażeniem.

– Ja... nie zrobiłbym czegoś takiego... prawda?

Pajak uśmiechnął się.

– Chcesz wiedzieć na pewno?

– T-tak...

– Jest w sercu twoich wspomnień ukryte miejsce, do którego nawet ja nie mogę się dostać. Wiesz, które. Każdego z nas stworzono nieco inaczej. I te narodziny to sekret, klucz... – Zawiesił głos na chwilę. – A tylko ty, o ile mi wiadomo, rodziłeś się, że tak powiem, dwa razy.

– Dlaczego? – spytał Zenon. Nie rozumiał, co wspomnienia miały wspólnego z żywieniem się duszą bezpośrednio... Po chwili uderzyło go to jak piorun.

– Kłamałeś z tymi koralikami – powiedział Zenon w nagłym przypływie pewności siebie. – Mamileś metafizyką za pięć groszy. Tak naprawdę chcesz wyciągać swoim ofiarom bolesne wspomnienia, zapłatać je w nowe, coraz gorsze... I karmić się ich bólem? Do tego ci jestem potrzebny, prawda? Potrzebujesz mojej zdolności karmienia się emocjami...

– Źródło jest praktycznie niewyczerpalne. – Uśmiechnął się szelmowsko gość. – Wina, strach, ból, wstyd... Tyle gam, które można łączyć ze sobą, tworzyć *crescenda* i kontrapunkty. Jednego człowieka można tak dręczyć latami.

Zenon zakasłał.

– Duszno mi – powiedział cicho i wstał. Pająk śledził go wzrokiem, ale nie zaoponował. Haust jesiennego powietrza był ożywczy, chłodny. Popatrzył na rośliny na parapecie niczym na dawno niewidzianych przyjaciół. Wyciągnął rękę do wrzosu, trącając łokciem doniczkę z krwiścią-giem, która spadła z parapetu. Zaklął głośno, tak, żeby nieproszony gość usłyszał.

– To było we Francji, albo we Włoszech. Osiemnasty wiek, prawda?  
– Doszło Zenona zza pleców. Pająk wykorzystywał każdą chwilę na dalsze drażnienie. – Wcześniej uwielbiałeś ludzką krew, potem nagle zacząłeś się brzydzić.

Zenon odwrócił się powoli i poczłapał do fotela.

– W Szwajcarii. Tam spotkałem Mesmera – powiedział cicho.

Pająk zamknął oczy. Na jego obliczu malował się triumf.

– Rozluźnij się, Zenonku. To może chwilę potrwać. Raczej nic ci się nie stanie.

Zenon położył głowę na oparciu fotela. Nie miał już siły dalej walczyć. Przywołał wspomnienie, ukryte w najgłębszych zakamarkach serca:

*Oczy Mesmera zdawały się świecić. Nachylił się nad Zenonem i szepnął:*

*– Odkąd nauczyłem się żywić fluidem magnetycznym, ani razu nie za-tęskniłem za tą paskudną lurą... Picie, wymiotowanie, picie po raz drugi, by w pełni strawić, pilnowanie, by za każdym razem trafiło do odpowiedniego żołądka... Tyle zachodu, by wydestylować resztki fluidu z juchy. Przy-sięgłem uratować nasze plemię od tej ohydy i zacołania. Wyprowadzę nas z ciemności ku nowej epoce...*

Pająk patrzył na swoją nową ofiarę ni to z politowaniem, ni to z pogardą.

– Nowa epoka, doprawdy... Nie przewidzieliście konsekwencji, prawda, Zenonku? Zenon, artysta, obieżyświat, szpieg, filozof... I ten sam Zenon, sączący herbatę w odrapanej kamienicy, zaczadzony wyziewami ludzkich serc.

Zenon patrzył przed siebie, nie wiedząc, co powiedzieć.

*Przejrzał mnie* - pomyślał gorzko. Dawne wspomnienia długo leżały na strychu pamięci, zakurzone, rzadko oglądane. Ich przywołanie bolało

bardziej, niż sztuczki Pająka. *Co ja zrobiłem ze sobą? Co ja zrobiłem ze swoim życiem?*

Nagle usłyszał chrapliwy, niski głos kobiety, dochodzący z korytarza:

– Dosyc tego, kochaniutcy!

Zenon podniósł wzrok. Zastanawiał się, czy to omamy, czy tamten znowu miesza mu w głowie? Potem przypomniał sobie, że przy oknie poczuł przeciąg, ale w gonitwie myśli nie zwrócił uwagi... Ale i tak, gdy w drzwiach zobaczył Bernadettę, szukał oznak, że jest złudzeniem.

– Pani detektyw – powiedział Pająk, delektując się każdym słowem.

– Pamiętam panią dobrze. Czy pani też mnie pamięta?

– Jesteś zakałą naszej społeczności – warknęła gniewnie Bernadetta.

– Narażasz nas wszystkich...

– Doprawdy? Proszę mi przypomnieć, które zapisy złamałem...

Zenona uderzył mocny akcent postawiony na słowie „przypomnieć”. Pająk zamknął oczy, choć jego twarz wciąż była zwrócona w stronę kobiety.

– Były to paragrafy... – zaczęła tonem oskarżycielki w sądzie, gdy nagle jej głos zamarł. Cofnęła się o krok, zawahała się, łypnęła oczami w bok, jakby szukając odpowiedzi...

*Nie słuchaj go, strzelaj* - chciał krzyknąć Zenon, ale głos utknął w gardle.

Detektyw zatoczyła się i oparła o framugę. Spojrzała na Zenona mętnie.

– Ależ pan ma piękne oczy... – wymamrotała.

Po czym zerknęła z ukosa na Pająka.

– A pan kim jest? – powiedziała sennie.

Zenon przeniósł wzrok na Pająka i ze zdziwieniem zobaczył, że twarz mu pobladła.

*Jest osłabiony tymi sztuczkami* - Złapał wazon, wyrzucił z niego kwiaty i cisnął w łysinę oprawcy. Wrzask bólu i gniewu przyniósł Zenonowi więcej przyjemności, niż się spodziewał. Bernadetta stanęła prosto...

Pająk wydał z siebie krzyk, wyciągnął nóż i rzucił się w kierunku detektyw. Patrzyła nieprzytomnie, jak ostrze zbliża się do jej szyi, gdy nagle kamienna ręka odtrąciła je centymetry od tętnicy.

Potężny cios powalił niedoszłego mordercę na ziemię. Gargulec złapał Pająka oburącz i przyciągnął łusą głowę do swojego zimnego czoła. Zenon

dziękował losowi, że adwersarz nie zwrócił uwagi na otwarte okno.

– Kamień... – jęknął Pająk, tuląc się do gargulca jak dziecko. – Bez końca, od zawsze...

Gargulec wydał z siebie zgrzyt, jakby potwierdzał te słowa.

– Cieszę się, że zmieniłaś zdanie – jęknął Zenon.

Bernadetta spojrzała na odłączony kabel telefonu.

– Czekałam, aż zadzwonisz. Aż w końcu sama wykręciłam, żeby się upewnić, że nic ci nie jest. Usłyszałam głuchy sygnał, to podjechałam.

– Tak, ta cała technologia czasem jednak się przydaje... – przyznał z ociąganiem Zenon, ustawiając telefon stacjonarny równo na komodzie. Bernadetta usiadła na krześle i westchnęła z ulgą.

– Ale mną zakręcił... – Tu najpierw się wzdrygnęła, a potem na jej ustach pojawił się nieco lubieżny uśmiech. – Tak, jak ty swego czasu, tylko mniej sympatycznie.

Kobieta kokieteryjnie poprawiła włosy, a Zenon udał, że tego nie widzi. Patrzył, jak gargulce zbierają się do lotu. Jeden trzymał w uścisku Pajaka, drugi delikatnie obejmował jego ofiarę, wciąż zupełnie bierną.

– Co z nim będzie? – spytał nieśmiało Zenon.

– Zobaczę, co się da zrobić – powiedziała bez przekonania detektyw.

– Został przemaglowany przez Pajaka, ale może z czasem nici wspomnień się odtworzą.

– Nie, nie, pytam o... Sama wiesz, kogo. – Zenon za nic nie potrafił wymówić tego imienia.

– Spędzi kilka dekad w uścisku gargulców, śniąc ich snem. Może go to trochę otrzeźwi...

– Dekad? – spytał niepewnie Zenon.

– Też bym wolala dłużej, ale Gerwazy słono sobie liczy – westchnęła Bernadetta. Zenon ją rozumiał, bo Sędziwi, jak nazywano tych, którzy karmili się ludźmi, niezbyt dobrze rozumieli świat ludzkich finansów i pieniędzy mieli zawsze mało. Trudno było od nich coś wyciągnąć na sprawy całej społeczności.

Kobieta ciągnęła dalej:

– W ogóle nie myślałam, że tak daleko zaszedł. Zawsze lubił grzebać

ludziom w głowach, to prawda. Słyszałam, że założył jakąś sektę, przedstawiał się jako reinkarnacja dawnych mistrzów... Ale zmienianie pamięci na poczekaniu, coś podobnego. Mało brakowało...

Zenon wrócił do wspomnienia:

*Kobieta minęła go bez słowa, pospieszając córkę. Zenon był już kilka stopni wyżej, gdy usłyszał głos dziecka:*

*– Ale pan miał stary sweter!*

*Natężył słuch i wśród dźwięków kamienicy wychwycił szept kobiety:*

*– Maju, słonko, musisz uważać, co mówisz przy takich ludziach.*

*A potem dziewczynka i wampir poszli swoimi drogami.*

Odetchnął z ulgą. Zdał sobie sprawę, że Bernadetta patrzy mu prosto w oczy.

– Uratowałam cię przed groźnym drapieżnikiem – powiedziała uwodzicielsko. – Co za to dostanę?

Zenon uznał, że po tym wszystkim należy im się chwila zapomnienia. Odprowadził wzrokiem odlatujące gargulce i zamknął okno, starannie zaciągając firanki.

### **Link do opowiadania wraz z komentarzami:**

<https://www.fantastyka.pl/opowiadania/pokaz/31016>

**Marcin Bartosiewicz** – niedzielny RPG-owiec, herbaciarz, pasjonat historii obyczajów. Szuka inspiracji w czeskich filmach szpiegowskich, mając nadzieję, że nikt nie dostrzeże oczywistego plagiatu.



# Głowa

Maria Krzywdą

Głowa potoczyła się wzdłuż łóżka i zatrzymała przy kaloryferze. Przetarłem oczy, głowa otworzyła swoje. Jedno niebieskie, drugie piwne – zamrugała.

W dzieciństwie mama mówiła, że jestem jak David Bowie. Teraz głowa piosenkarza wlepiła we mnie dwukolorowe gały, leżąc na lewym uchu. Brwi ściągnięte, usta w ciup. Drwiący ciup.

Ponownie przetarłem oczy, głowa ziewnęła, nie przestając się gapić. Zrobiło mi się nieswojo.

*Rychło w czas* – pomyślałem i odwzajemniłem spojrzenie. Nie dam się! Nie ma głupich. Co pomyślała głowa, nie wiedziałem. Bardzo możliwe, że coś podobnego, bo nie oderwała ode mnie wzroku nawet na sekundę.

Pewnie trwalibyśmy w tym dziwnym impasie do wieczora, gdyby koło południa do drzwi nie zadzwonił listonosz. Zerwałem się z łóżka, owinałem kocem i poszedłem otworzyć. Listonosz trochę się zdziwił, widząc mnie w takim stroju, ale nic nie powiedział. Wręczył mi polecony, kazał podpisać i poszedł.

Gdy wróciłem do pokoju, głowa spała. Nasz niemy pojedynek musiał ją zmęczyć. Zalała mnie fala niespodziewanej czułości na widok bezbronnej części ciała leżącej obok zimnego kaloryfera. Okutałem ją kocem i udałem się do łazienki.

Głowa spała do wieczora. Obudziła się dopiero na dźwięk włączonego telewizora i wiadomości.

– Co tam? – spytała.

– Nic nowego, to co zwykle – odpowiedziałem.

– A to szkoda – mruknęła i zaczęła rozglądać się po pokoju. – Stąd źle widać. Połóż mnie na parapecie – rozkazała. – Oczami w stronę okna, głupcze! – Zirytowała się i wykrzywiła usta, kiedy podniosłem ją najdelikatniej, jak umiałem. – Przynies poduszkę – dodała po chwili. – I włącz kaloryfer. Zimno tu.

Kiedy wykonałem wszystkie polecenia, zapatrzyła się na blokowisko

za oknem i przestała odzywać. Wyłączyłem dźwięk, usadowiłem się wygodniej w fotelu i zapatrzyłem na głowę. Wieczór spędziliśmy w milczeniu.

Następnego ranka na parapecie leżała tylko poduszka, a na podłodze pod kaloryferem koc i mały palec prawej ręki. Gdybym nie rozglądał się w poszukiwaniu głowy, którą odkryłem śpiącą pod łóżkiem, tobym go nawet nie zauważył. Podniosłem nowe znalezisko ostrożnie, położyłem na dłoni i dokładnie obejrzałem. Paznokcie przycięty na krótko, z białą plamką pośrodku, lekko pomarszczona różowawa skóra, palec wąski, nie za długi, zgrabny, w dotyku gładki i chłodny, jakby z dworu przyszedł... Kobięcy jak nic.

Podkręciłem grzejnik, odłożyłem palec i wciąż śpiącą głowę na parapet i zabrałem się do swoich zajęć. Nie szło mi zupełnie. To podchodziłem i sprawdzałem, czy palec już się rozgrzał i czy głowa jeszcze śpi, to na zmianę skręcałem i podkręcałem termostat, dotykałem opuszki, nasłuchiwałem oddechu... Zachowywałem się jak niespełna rozumu, mówiąc krótko.

Wieczorem z niepokojem układałem się do snu – głowa przespała cały dzień, pochrapując z rzadka i nie budząc się ani razu, palec wcale nie zrobił się cieplejszy. Podkręciłem grzejnik i przyniosłem dodatkowy koc. Ułożyłem się na łóżku w pozycji, która pozwalała mi spoglądać na parapet i zasnąłem.

Śnił mi się David Bowie bez głowy. Właściwie nawet nie wyglądał jak on. Tułów jak tułów, skąd wiedziałem, kim był? Trzymał w dłoniach o długich kobiecych palcach ukulele i nie grał.

Dwa dni później znalazłem kolejny palec. Od tej chwili części ciała zaczęły pojawiać się z niedającą się przewidzieć częstotliwością. Wkrótce cały parapet usłany był fragmentami piosenkarza.

– Wszystkie twoje? – pytałem głowę Bowiego, oglądając lewą stopę bez palców.

Te z jakiegoś powodu pojawiały się tylko pojedynczo.

– Lubię tę waszą szarość – zakomunikowała głowa w odpowiedzi.  
– Na jej tle wszystko wygląda albo mniej szaro, albo wręcz odwrotnie.  
Wszystko wchodzi z nią w interakcję – powiedziała z przekonaniem, nie



przystając gapić się przez okno.

Właściwie nie robiła nic innego.

– Nie zastanawiałem się nad tym – przyznałem, odkładając stopę.

– Tylko zieleni mało. Lubię zieleni.

– Mhm... – Nie wiedziałem, jak zareagować na te nagłe kolorystyczne wynurzenia.

Pomyślałem, że głowie przyda się jakieś urozmaicenie i następnego dnia zostawiłem włączony telewizor, zanim wyszedłem do pracy. Kiedy wróciłem, w progu przywitało mnie „Nigdy więcej tego nie rób” wypowiedziane grobowym głosem. Głowa leżała pod kaloryferem z wielką śliwą na czole.

– Próbowałem dosięgnąć pilota – powiedziała i nadęła policzki.

Przez kilka następnych dni twarz Davida Bowiego ozdobił plaster z Kusbusem Puchatkiem bezinteresownie użyzony mi przez sześciolletnią córkę sąsiadki.

\*\*\*

Czasami wspólnie gapiliśmy się na blokowisko.

– Jak obserwacje? Coś ciekawego? – pytałem i podchodziłem do okna.

Głowa opowiadała. Głównie o kolorach i dźwiękach, niekiedy o ptakach i gwiazdach. Chyba nie za bardzo lubiła mówić o ludziach, prawie o nich nie wspominała.

Któregoś dnia przywitała mnie rozdrażnionym głosem:

– Kot sąsiadów dorwał gołębia.

– Aha – mruknąłem. Nic mądrzejszego nie przyszło mi do głowy.

– Nie chcesz wiedzieć, czy ptak przeżył?

– Gdyby przeżył, nie miałbyś miny, jakbyś wybierał się na pogrzeb – odpowiedziałem.

– Nie wiem, czy przeżył – powiedziała głowa, wbijając we mnie oskarżycielskie spojrzenie. – Dzieci przegoniły kota, wsadziły gołębia do pudła i poszły – dodała już zupełnie smutno.

– To dlatego się złościsz? Przecież mogło być gorzej.

Głowa prychnęła.

– To żadna wymówka. Zawsze może być gorzej. Chodzi o to, żeby było lepiej – wyjaśniła, zwracając się do mnie jak do dziecka, które nie rozumie oczywistej rzeczy.

– Ano tak – przytaknąłem bez przekonania.

– Ano tak – potwierdziła głowa i przekreśliła się w stronę okna, uznając rozmowę za zakończoną.

Poszedłem do kuchni, zrobiłem sobie chleb z serem i szynką i rozsia-  
dłem się w fotelu z talerzem w rękę. Odkąd zamieszkała u mnie głowa, ja-  
dłem kolację w jej towarzystwie. Zawsze to jakoś różniej, nawet jeśli współ-  
biednik nie zwraca na ciebie uwagi i gapi się przez cały czas przez okno.

Włączyłem telewizor.

– Przełącz. Nie lubię polityki – rozkazała głowa Bowiego, zanim zo-  
rientowałem się, co oglądam.

– Ja w sumie też nie – odpowiedziałem i zmieniłem kanał.

– Źle się o niej śpiewa – kontynuowała głowa, spoglądając na mnie z  
ukosa. – Można się nabawić zapalenia strun głosowych.

– A od czego nie można nabawić się zapalenia? – spytałem trochę z  
przekąsem, trochę retorycznie i ugryzłem kanapkę.

– Od miłości.

– Nieco to banalne, nie sądzisz?

– Nie – powiedziała głowa i zapatrzyła się w okno.

Na okolicznych osiedlach zapalały się latarnie.

– Zachód słońca. Widzisz, jak odcina się od szarości? Ogień i spokój.  
O tym dobrze się śpiewa.

Popatrzyłem na niebo – szarawe, z brudnymi barankami chmur, maźnięte  
różem i pomarańczem szybko znikającymi za kanciastymi bryłami bloków.

– Romantyczne to to nie jest – mruknąłem i sięgnąłem po kolejną kanapkę.

\*\*\*

Z każdą pojawiającą się częścią ciała głowa robiła się coraz bardziej zgryźliwa  
i jakby coraz bardziej smutna – zmęczona twarz, cienie pod oczami przebija-

jące spod makijażu, usta wykrzywione ni to w uśmiechu, ni to w grymasie.

– Nie jesteście specjalnie muzykalni, co? – zagadnęła mnie lekkim tonem któregoś wieczoru.

– Dlaczego tak myślisz? – spytałem.

– Dużo przeklinacie – odpowiedziała.

– A co to ma do rzeczy? – zdziwiłem się.

– Nic. I krzyczycie.

– Aha.

– Śmieciecie. I dużo plujecie. I w ogóle strasznie hałaśliwi jesteście. Lubicie narzekać. – Głowa pokiwała, utwierdzając się w słuszności swoich sądów. – I...

Przestałem słuchać. Poszedłem do kuchni, otworzyłem lodówkę i zacząłem w niej grzebać.

– Ile zostało mi jajek? – spytałem sam siebie. – Nie słyszę, co mówisz. Możesz głośniej? – zawołałem do głowy, sięgając po masło. – Szczypiorek, szynka, o, jest i pomidor. – Zamknąłem lodówkę i zabrałem się do krojenia chleba.

Głowa w pokoju perorowała dalej.

Rozbełtałem jajka, wylałem na patelnię, dołożyłem szynki i szczypioru. W powietrzu rozszedł się przyjemny zapach wędzonki.

Głowa zamilkła.

Zdążyłem zrobić herbatę, posmarować chleb masłem i pokroić pomidora, zanim dobiegło mnie z pokoju naburmuszone „Przepraszam”.

– Dziękuję – odpowiedziałem i usiadłem do stołu. Tym razem nie miałem ochoty jeść w jej towarzystwie.

– Podzielisz się? – usłyszałem.

– Przecież nie masz brzucha – stwierdziłem rozsądnie.

Ta część ciała jeszcze nie pojawiła się na parapecie.

– To chociaż włącz jakąś muzykę – poprosiła głowa. – Miałem ciężki dzień.

– Właśnie słyszę. – Podniosłem się i podszedłem do regału z płytami.

Widząc, że wybrałem krążek polskiego wykonawcy, głowa dodała:

– Może coś na poziomie? Pink Floyd albo chociaż Joy Division?

– Jedzenie mi stygnie – zachnąłem się, odłożyłem płytę na miejsce i wró-

ciem do kuchni.

Resztę wieczoru spędziliśmy osobno.

\*\*\*

Brakowało tylko dwóch palców, kiedy spytałem, co się stanie po pojawieniu się wszystkich części ciała. Zamiast odpowiedzieć, głowa postanowiła wyłożyć mi niedostatki naszego transportu publicznego.

– Koszmarne te wasze autobusy. Te z harmonijką to już w szczególności. Zupełnie bez sensu. W życiu nie widziałem pojazdu z harmonijką. Harmonijka to instrument, nie część autobusu. I ten zapach. To jak wąchać spoconą benzynę. Obrzydlistwo po prostu.

Wzruszyłem ramionami. Obaj wiedzieliśmy, że od pojawienia się w moim domu głowa nie opuściła parapetu.

– Jak wy to znosicie? Wszystko oklejone reklamami. Głupimi w dodatku. Cycki i materiały budowlane. Kto używa gładzi szpachlowej w samym staniu? Nie da się normalnie patrzeć przez okno.

Zapowiadało się na długą tyradę.

– A te drzwi wejściowe do budynków. Bure. Nie niebieskie, nie zielone, ani nawet nie czerwone. Bure i odrapane. Brzydko-szare. Jak wszystko tutaj. – Głowa nabrała powietrza. – Boję się – powiedziała szybko i zamilkła.

W pokoju zapadła cisza. Dotarło do mnie, że musiała długo zbierać się na odwagę, żeby się do tego przyznać. Jej paplanie nasilało się już od kilku dni.

– Autobusy z harmonijką nie są takie złe – powiedziałem bez sensu i otworzyłem szafkę z alkoholem.

Nalałem do szklanek soku pomidorowego i wódki, przyprawiłem porządnie cayenne, znalazłem nawet jakąś słomkę. Ostrożnie położyłem głowę na fotelu, drink postawiłem na poręczy i wyszukałem w telewizji kanał przyrodniczy. Akurat leciał program o kolibrach.

Kilka następnych godzin spędziliśmy, sącząc alkohol i podziwiając różnobarwny świat natury. Na filmie o sumatrzańskich storczykach głowa zaczęła przysypiać, na programie o krokodylach przewróciła się na prawe ucho i zachrapała. Musiałem przysnąć wkrótce po niej, bo kiedy się obu-

dziłem, krokodyla zastąpiła biuściasta blondynka demonstrująca zastosowanie gładzi szpachlowej.

\*\*\*

David Bowie siedział z wyciągniętymi nogami na parapecie i wpatrywał się w świat za oknem. Brakuje tylko ukulele, pomyślałem i podszedłem do niego jak do starego przyjaciela.

– Zaśpiewałbyś coś? – poprosiłem.

Bowie zanucił i urwał.

– Nowy kawałek. Jeszcze nie jest skończony.

– Ładny – przyznałem.

Podziękował i dodał:

– Lubię waszą muzykę.

– Dziękuję – zrewanżowałem się.

Za oknem zrobiło się czarno. Osiedle wyglądało jak wymarłe pod ciemnym niebem bez gwiazd.

– Przerwa w dostawie prądu – powiedział Bowie.

– I dobrze – skwitowałem.

Przez chwilę patrzyliśmy każdy w swoją czerń. Gdy zamrugął zielenią szyld Żabki, miejsce na parapecie było puste. Zostało tylko trochę brokatu.

– Gwiazdny pył naszych czasów – mruknąłem, otworzyłem okno i wytrzępałem poduszkę.

### **Link do opowiadania wraz z komentarzami:**

<https://www.fantastyka.pl/opowiadania/pokaz/31199>

**Maria Krzywda** – debiutowała zbiorem opowiadań *Wszystko dobrze* wydanym przez Biuro Literackie (2022). Laureatka stypendium dla twórców kultury Województwa Pomorskiego w dziedzinie literatury (2024). Nagradzana w konkursach literackich, m.in. zdobyła 1. miejsce w Ogólnopolskim Konkursie im. W. Dobaczewskiej (2021) i nominację do nagrody głównej Międzynarodowego Festiwalu Opowiadania (2019). Publikowała w antologiach i czasopismach, w tym w: *Fabulariach*, *Akcencie* i *Zakładzie*.



# Powolne usychanie

Michał Gola

Zrujnowana świątynia Aaghu pochyla się nad zasuszonym trupem Htot niczym żałobnik, który nie potrafi odejść znad mogiły, podczas gdy powolny duet grabarzy – wiatr i piasek – kończy swoje dzieło, powoli zasypując nieszczęsnego, zapomnianego przez wszystkich nieboszczyka. Zniknęły już kanały i ulice, skryły się pod sypkimi zwałami place i ogrody, bure ziarenka wlały się do budynków i wypełniły je, niczym tajemnicze mikstury balsamistów. Tu i ówdzie ponad powierzchnię tego bezwodnego morza wystają jeszcze kikuty wież, zrujnowane dachy i głowy posągów, ale i one zostaną wkrótce pochłonięte przez bezduszne wydmy.

Jedyny świadek owego powolnego tonięcia stoi na szczycie kruszejącego muru świątyni, nieruchomy i nieporuszony. Gdyby nie łopocząca w podmuchach wiatru tunika, można by go wziąć za posąg, za wykutego w piaskowcu wartownika pełniącego wieczną służbę. Nie byłoby to skrajzenie odległe od prawdy. Świątynia położona jest wysoko, w połowie skalistego wzgórza, dzięki czemu nigdy nie zdobyła jej żadna armia, piaski również nie zdołały jej pochłonać. Dlatego, mimo upływu wieków, ciągle trwa. A Strażnik trwa wraz z nią.

Strażnik nie patrzy w dół, na umarłe miasto. Jego spojrzenie wbite jest we wschodni horyzont, gdzie wąska smużka dymu ośmiela się kalać błękit nieba. Taka sama pojawiła się tam wczoraj. I przedwczoraj. Każda kolejna była odrobinę bliżej.

– Ktoś nadchodzi – mówi do siebie wartownik. Jego głos jest zgrzytliwy i suchy, jak gdyby gardło i język miał zbudowane z kamienia, nie miękkiego ciała. – Trzeba się przygotować. Ale jest jeszcze czas.

Kiwa głową, zgadzając się ze sobą. Oczywiście, że jest jeszcze czas. Jednak to przecież nie znaczy, że można zaniedbać ostrożności. Stoi i patrzy, aż dym znika, porwany wiatrem. Potem schodzi z muru. Stopnie są popękane i nierówne, od części podpadały kamienie, ale on idzie pewnie. Niestraszny mu upadek. Zna każdy krok na pamięć.

Kilka chwil później jest już na dziedzińcu. Wytartą w kamieniu ścież-

ką podąża do świątyni i staje przed posągami Aaghu. Wysoka statua mężczyzny o księżycowym sierpie w miejscu twarzy, trzymającego w rękach księgę i bicz, patrzy na swego sługę beznamiętnie, w milczeniu. Strażnik już dawno porzucił nadzieję, że mogłoby być inaczej. Nie liczy już, że jego próba dobiegnie końca. Ze stęknieniem opada na kolana, dotyka czołem posadzki i wznosi modły:

– O Wielki Ojczy, panie wszystkiego, co na niebie! O gwiazdooki! Ty, który znasz wszystkie sekrety i wiesz o wszystkim, co się dzieje pod niebem! Ześlij mi, błagam, mądrość, bym mógł pewnie podążać wytyczoną przez ciebie ścieżką! Obdarz me oczy przenikliwością, by nic im nie umknęło! – Ciągnie swoje monotonne prośby jeszcze długo. Tyle, ile wymaga ceremoniał. Składa ofiarę ze schwytanego w jednej z komnat węża i kilku żuków. Gołymi rękami, bo rytualny sztylet złamał się już lata temu. Potem, jak co dzień, sprawdza zamki w drzwiach do podziemi. Nie wolno mu dopuścić, by zostały one otwarte. Za żadną cenę.

\*\*\*

Kilka kolejnych dni upływa na przygotowaniach.

Obchodzi mury dookoła, starannie notując w pamięci każdą szczyrbę i dziurę. Fortyfikacje są w fatalnym stanie.

– Należy jak najszybciej dokonać napraw – mruczy w przestrzeń, choć wie, że nie da to wiele. Pozostali zrobią, co będą mogli, ale nie są murarzami. W najlepszym wypadku uda im się zasypać kilka co większych pęknięć gruzem i żwirem.

Schodzi na dół, po czym kieruje się do spichlerza. Sam już od dawna nie jada. Pozostali, rzecz jasna, również nie potrzebują pokarmu. Ale jeżeli ma dojść do bitwy, należy wszystko sprawdzić. Tak jest słusznie. Wchodzi do środka. Obrzuca pustym, obojętnym spojrzeniem gołe ściany i podłogę pokrytą zwalami piachu.

– Zapasy są zbyt małe, byśmy wytrzymali dłuższe oblężenie – rzuca mechanicznie. Jego głos niesie się echem, płosząc jakieś nieduże zwierzę, które chrobocze pazurkami po ceglach gdzieś w odległym kącie pomiesz-



czenia. – Usuńcie te szkodniki, zanim dobiorą się do żywności – dodaje, wychodząc.

– Potrzebujemy więcej wólczeni i strzał – instruuje ciemną i cichą kuźnię. Opał do pieców skończył się już lata temu, podobnie zresztą jak drewno na drzewce i metal na groty. Zresztą, nikt tu nie potrafi wytwarzać broni. Kiedyś lubił przesiadywać w kuźni, obserwować, jak surowy metal jest formowany w najwymyślniejsze kształty. Ale to było dawno, bardzo dawno temu. Nawet wspomnienia z tamtych czasów zdążyły już spłowieć, niczym prażone pustynnym słońcem malowidła na fasadzie świątyni. Rzemieślnicy odeszli. Porzucili go, tak jak cała reszta. Musi sobie radzić sam.

– Mamy mało leków. Należy zgromadzić opatrunki i balsamy kojące, zioła uśmierzające ból i sprowadzające sen, a także poczynić przygotowania do przeprowadzenia rytuałów uzdrawiających. Potrzebne będą zwierzęta ofiarne, kadzidło i stosowne wota – mruży w sali chorych. Wbija wzrok w przeciwległą ścianę, w łuszczące się, wyblakłe freski przedstawiające cuda, jakich kiedyś dokonywano tu na co dzień. Nie zwraca uwagi na rozsypujące się łóżka i walające na pokrytej piachem podłodze śmiecie. Ani na brunatne plamy skrzepłej krwi, wciąż jeszcze widoczne, tam, w ciemnym kącie, gdzie promienie słońca nie padały zbyt często.

Przy bramie robi dłuższy przystanek. Dokładnie ogląda rozeschnięte i spękane wrota. Zawiasy po jednej stronie wypadły z kruszejącego muru, lewe skrzydło osiadło na piasku. Nie uda się go zamknąć. Nie w pojedynkę.

Może to i lepiej. Sztaba jest złamana, a nie ma czym jej zastąpić. Zresztą, sam i tak nie zdoła obsadzić murów, zabezpieczyć wszystkich miejsc, którymi bezbożnicy mogą wpełznąć do świątyni, szczególnie gdyby się rozdzielili. Jeżeli wrota pozostaną otwarte, przynajmniej będzie wiedział, gdzie się ich spodziewać.

– Twierdza nie jest gotowa na oblężenie. Trzeba posłużyć się inną taktyką – mamrocze. Co oznaczało, że walkę przyjdzie mu stoczyć wewnątrz umocnień. Tak jak wiele wcześniejszych. Odwraca się plecami do bramy i spogląda na przyszłe pole bitwy. Pustynia w miniaturze. Dziedziniec

pokrywa warstwa piachu gruba na dwie dłonie, tu i ówdzie uformowały się nawet nieduże wydmy.

– Oczyszczyć mozaikę – zgrzyta. Po chwili bure ziarenka zaczynają wznosić się w powietrze, jak gdyby porywane wiatrem, i niedużymi chmurami wylatywać za bramę. Stopniowo pokazują się barwne płytki ułożone w kształt pokrytego gwiazdami zwoju, symbolu Aaghu.

– Tak lepiej – mamrocze. – Muszą wiedzieć, gdzie trafili. Na czyj gniew się narażają. Głupcy – dodaje po chwili, jakby po namyśle. Przez jakiś czas obserwuje Pozostałych przy pracy, później wchodzi do świątyni. Mechanicznie, niemal nieświadomie kłania się posągowi bóstwa, po czym rozgląda się przez chwilę, oceniając stan wnętrza. Żaden z intruzów nie powinien dotrzeć tak daleko. Jednak trzeba uwzględnić możliwość, że obcy okażą się wiernymi. Strażnik nie wierzy w to szczególnie, ale tak należy uczynić.

– Posprzątać tu, wypolerować i zapalić lampy! – rozkazuje chrapliwie. – Świątynia ma być gotowa na przybycie obcych!

Kilka chwil później freski na powrót stają się widoczne, gdy pył i brud zostają delikatnie usunięte, zaś mosiężne lampiony nabierają blasku. Oczywiście pozostają zimne i ciemne – olej skończył się już dawno. Strażnik nie zwraca na to większej uwagi. Idzie do swojej kwatery. Ignoruje zasypane piachem łóżko, rozpadające się poduszki i splewiałe dywany, rozplatające się z wolna w podmuchach wiatru wpadającego przez dziury w ścianach. Podchodzi do dwóch wypaczonych, drewnianych stelaży. Na tym po prawej leży włócznia. Kiedyś była piękna, ale teraz ostrze broni jest pognięte i poszczerbione, drzewce rozeschło się, szpeci je długie pęknięcie. To tylko kwestia czasu, nim trzaśnie niczym patyk pod butem wojownika. A Strażnik nie ma już zapasowych. Ogląda uważnie oręż, sprawdza czubek palcem i kręci głową z dezaprobatą. Potem zerka na drugi stojak, na którym wiszą wyszywana brązowymi płytkami zbroja, której brakuje części blaszek, wiele innych jest zaś pogniętych lub dziurawych, oraz poobijana, okrągła tarcza.

– Naostrzyć włócznię, naprawić zbroję – mówi surowo, rozkazującym tonem. Po czym siada na podłodze i robi, co może, by przygotować oręż do zbliżającej się walki.

\*\*\*

Każdego dnia, kiedy słońce wspina się ku zenitowi, porzuca przygotowania i wychodzi na mur, by obserwować smuzkę dymu. Codziennie brudzi ona niebo nieco bliżej twierdzy. Wreszcie Strażnik jest już w stanie dostrzec ognisko i otaczający je obóz. Kilkanaście osób, mniej więcej dwa razy tyle wielbłądów, sześć dużych namiotów z lekkiego, brudnobiałego płótna i nieduży kociołek stawy gotującej się nad płomieniem. Obojętnie przygląda się wędrowcom. Oto jego wrogowie. Ci, których przyjdzie mu zniszczyć. Oczywiście, o ile zdecydują się skalać święty przybytek bluźnierczymi stopami, spróbują otworzyć zakazane drzwi. Ale Strażnik ani przez chwilę nie wątpi, że tak właśnie będzie. Tacy jak oni nigdy nie potrafią się powstrzymać.

\*\*\*

Ostatni rzut oka na dziedziniec. Jest gotowy na przybycie intruzów. Zostały ostatnie szlify. Na środku dziedzińca stoi studnia o skruszałej cembrowinie. Strażnik nachyla się nad nią, opuszcza w mrok stare, drewniane wiadro, które uderza o dno z nieprzyjemnym stukiem. Sucho. Niegdyś wody było dość, by wypełnić fontanny i akwedukty całego miasta, ale z każdym rokiem jest jej coraz mniej. Idzie na tyły świątyni, tam, gdzie kiedyś był ogród. Bliżej wzgórza, bliżej źródła. Stoi tam druga studnia. Kiedyś ocieniał ją krzak akacji, wypełniając otoczenie słodkim zapachem kwiatów, ale usechł już dawno. Wojownik raz jeszcze opuszcza wiadro, tym razem słyszy miękkie chlupnięcie. Po chwili trzyma w rękach kubek chłodnej, ożywczej wody, błogosławieństwa Aaghu. Już ma odejść, kiedy jego wzrok pada na martwy krzew. Czy na pewno martwy? Wśród gąszczy suchych, ciernistych badyli dostrzega kilka młodych pędów upstrzonych wątlami, świeżymi listkami. Na moment zamiera. Coś w jego sercu porusza się. Coś, o czym sądził, że już dawno temu uschło, tak jak ta akacja. Że zostało bezpiecznie pogrzebane głęboko pod piaskami zapomnienia. A jednak... Na powierzchnię, niby uparty pęd wyrastający spośród jałowych kamieni,

przedostają się wspomnienia. Wspomnienia o czasach, kiedy w świątyni słyhać było coś więcej niż tylko wycie wiatru i szelest piasku trącego o kamień.

Kiedy jeszcze rozlegał się tu śmiech.

\*\*\*

Opuszczona świątynia Aaghu pochylała się nad zdziczałym Htot niczym troskliwy pasterz nad chorym zwierzęciem. Miasto powoli, powolutku, powracało do żywych. Wśród zrujnowanych budowli znowu było słyhać ludzkie głosy, beczenie owiec i kóz, śmiech dzieci, myszkujących w zrujnowanych pałacach i opuszczonych świątyniach. Przybysze rozbili wyschnięte gardziele fontann, by dokopać się do wody, powyrywali z rozpadających się ścian kamienie, by odgrodzić swą niewielką osadę od reszty miasta prowizorycznym murem. Kruszejące posągi w milczeniu obserwowały, jak place zmieniają się w poletka, zarośnięte chwastami ogrody w pastwiska, a domy – w spichlerze, chlewy i obory. Błękit nieba ponad miastem znów znaczyły dymy – jednak były one dobre. Pachniały jedzeniem, troską i wspólnotą. Domem.

Harba-Szipak, przez nowych mieszkańców miasta zwany Strażnikiem, nie przejmował się tymi dymami. Jego spojrzenie wbite było we wschodni horyzont, gdzie jeszcze jedna nitka czerni wznosiła się ku niebiosom. Odległa, bardzo odległa, lecz bliższa niż wczoraj. Nieznajoma. Niezapowiedziana. Karawana kupców, zwykle odwiedzająca osadę mniej więcej raz do roku, odjechała w zeszłym miesiącu. Kto inny mógł więc nadchodzić? Może to po prostu jacyś tułacze, szukający dla siebie miejsca w świecie. Ale mógł to być też inny rodzaj nomadów. Albo, co gorsza, ktoś, kto może zechcieć spłądować świątynię. Minęły już dziesięciolecia, odkąd Aaghu i inni bogowie zamilkli, wciąż jednak trafiali się tacy, którzy usłyszeli gdzieś o legendarnym bogactwie dawnych kapłanów i postanowili spróbować szczęścia. Przeklećci głupcy, gdyby im pozwolić, złamaliby pieczęcie, rozbili zamki i otworzyli zakazane drzwi, na zgubę własną i całego świata.

A skoro już o intruzach mowa... Pozostali donieśli, że ktoś skrada się

w kierunku dziury w północnym murze. Harba uśmiechnął się pod nosem.

Poruszała się zwinnie i cicho. Przemknęła przez gruzowisko tak sprawnie, że nie osunęła się jej spod nóg ani jedna spękana cegła, ani jeden skruszały kamień. Później skryła się w dawnej kuźni. Stała tam chwilę, ostrożnie wyglądając przez szczelinę w murze. Obserwując i nasłuchując. On jednak mógł dzięki Pozostałym śledzić ją z daleka. Wiedział też, gdzie powinna skierować kroki w dalszej kolejności. Będzie unikała otwartej przestrzeni dziedzińca. Spróbuje się raczej przekraść przez budynki gospodarcze. Najbliżej zapieczętowanych drzwi był spichlerz, więc zapewne wyjdzie właśnie tamtędy. Stanął więc tuż obok nich i cierpliwie czekał, aż sama do niego przyjdzie. Nie musiał czekać długo.

– Kto śmie kłać błogosławioną ziemię świątyni swoimi brudnymi stopami?! – zakrzyknął. Dziewczyna, mrugając niepewnie po wyjściu z mrocznego wnętrza na jasny plac, podskoczyła wystraszona. O mało co nie upuściła przy tym trzymanego w rękach kosza.

– Oszukujesz! – Tupnęła nogą, wznosząc obłoczek pyłu. – Na pewno oszukujesz! Nie mogłeś mnie widzieć!

– Bacz na słowa, dziecko – burknął. Niby surowo, ale błąkający się po jego wargach uśmiech psuł efekt. – Nikt bezkarnie nie oskarża Niepokalanego o nieuczciwość.

Prychnęła tylko. W takich chwilach było w niej widać kobietę, którą miała się stać. Niemal mógł sobie ją wyobrazić, jak łaje swojego męża. Nie zdołał utrzymać powagi, roześmiał się cicho.

– Nie śmieję się! Następnym razem mi się uda! Wtedy na pewno mnie nie złapiesz – obwieściła z nadąsaną miną.

– Możliwe, że masz rację. Ale muszę cię uprzedzić, że mam pomoc.

– Pomoc? Jaką pomoc? – Zerknęła na niego podejrzliwie.

– Wspiera mnie wielki Aaghu, rzecz jasna – odparł z uśmiechem. – A z jego asystą nie ma rzeczy niemożliwych. – Wolał nie wspominać jej o Pozostałych. Nie chciał, by opowiadała o nich w wiosce. Jej mieszkańcy i tak się go bali, wolał nie pogarszać sytuacji.

– Mój tata mówi, że to bajki dobre dla małych dzieci. – Powaga w jej

głosie jasno dawała do zrozumienia, że ona się do tej grupy nie zalicza.

– Cóż, mogę zrozumieć, dlaczego tak myśli. Ale się myli. Może kiedyś sama się o tym przekonasz.

*O ile okazemy się tego godni* – pomyślał, ale nie powiedział tego na głos. Nie miał ochoty tłumaczyć, co ma na myśli. Zwłaszcza, że sam nie był pewien.

– Pokaż lepiej, co tam masz.

Podawała mu kosz. W środku był chleb, ser, trochę fig i daktyli oraz dzban z piwem. Jego zapłata za nic.

– Zjem na murach. Chodź, opowiesz mi, co słyhać tam u was, na dole.

\*\*\*

– Masz, weź jeszcze figę.

Porwała owoc, po czym łapczywie wepchnęła go do ust. Siedzieli wysoko ponad miastem, wystawiając twarze na wiatr niosący zapach odległych ziem. Harba trzymał w palcach kawałek chleba, którego nawet nie ruszył. Dawno już odwykł od jedzenia. Po upadku miasta, a zanim osiedlili się tu współplemieńcy Nin, przez całe lata nie miał w ustach nic, poza wodą ze studni. Z początku czuł głód, z czasem zniknął on jednak, zdmuchnięty wiatrem i wypalony słońcem. W zasadzie nie potrzebował więc prowiantu z wioski. Ale oni chcieli mu płacić, a on potrzebował towarzystwa.

Nin przełknęła w końcu i otarła usta dłonią. Kiedyś dziwiła się, że Strażnik oddaje jej niemal całą zawartość kosza, jednak głód zawsze zwyciężał. Jedyne, co dla siebie zachowywał, to piwo. Pociągnął z dzbana długi łyk, rozkoszując się słodkawym, lekko chlebowym smakiem.

– Tata martwi się tym dymem. Mówi, że to mogą być bandyci. – Nin wpatrywała się we wschodni horyzont. Na jej twarzy nie widać jednak było strachu, a ciekawość. Może nawet ekscytację. Nie wiedziała, co może oznaczać napaść, do tej pory nie była zmuszona niczego podobnego przeżyć.

– Możliwe. Pamiętaj, gdyby cokolwiek zaczęło się dziać, nie czekaj na innych. Uciekaj wprost do świątyni. Tu będziesz bezpieczna.

– Tak, tak. Myślisz, że to naprawdę bandyci?

– Nie wiem. To mogą być jacyś zbłąkani kupcy. Albo pielgrzymi.

– Dasz mi popatrzeć przez lunetę?

Wzruszył ramionami, po czym podał jej miedzianą tubę, wydobytą z torby przy pasie. Dziewczyna skierowała ją na smużkę czerni, wystawiając przy tym z ust końcówkę języka. Harba obserwował ją z mieszaniną rozbawienia i czułości.

– Co wypatrzyłaś? – spytał w końcu.

– Ech, to zbyt daleko. Widać tylko dym.

– Cóż, przynajmniej wiemy, że nie dotrą tu jutro. Będziemy mieli na nich oko.

– Czyli ja też będę strażnikiem?

– Oczywiście.

– Takim jak ty? Dostanę zbroję i włócznię?

– Dziewczyнки nie mogą nosić broni.

– Niby dlaczego? – spytała, nadąsana. – Jestem równie szybka jak chłopcy, a jak ostatnio Hut rzucił we mnie kamieniem, to przyłożyłam mu tak, że się popłakał. Nie jestem gorsza od chłopaków!

– Nie wątpię w to. – Starał się brzmieć poważnie. – Ale bogowie każdemu z nas przeznaczają na tym świecie pewną rolę. Mnie uczynili opiekunem tego sanktuarium i muszę spełnić ich wolę. Ale dla ciebie i innych dziewczynek planują coś innego. Życie żon i matek. A bogom nie wolno się sprzeciwiać.

Prychnęła. Przez chwilę siedziała w milczeniu, machając zwieszonymi z muru nogami. Widział, że zmagą się z jakimś problemem. Nie przerywał jej. Przywykł do ciszy, choć coraz częściej brakowało mu jej głosu.

– A mógłbyś chociaż zrobić tak, żebym też już nie musiała jeść?

– Nie, to niestety niemożliwe – odpowiedział. – Zresztą, raczej by ci się nie spodobało. Musiałabyś nosić taką brodę, jak ja. – Poglądził długi, poszarpany zarost. Nie miał już nic dość ostrego, by się ogolić, więc jedynie przycinał od czasu do czasu włosy nożem.

– Kobietom nie rosną brody!

– Zwykle nie, ale każdy Niepokalany musi mieć brodę. Nawet, jeśli jest kobietą.

- Naśmiewasz się ze mnie!
- Zobaczmy, jakbyś wyglądała... – Obciął pasmo włosów i przyłożył jej do podbródka. – Nawet nieźle. Bardzo dostojnie. – Pokiwał głową w udawanej zadumie.
- Nie, nie chcę! To łaskocze! – Śmiech Nin wzbudził echa wśród kruszących się murów.

\*\*\*

- Tata mówi, że spędzam z tobą za dużo czasu. Że powinnam zamiast tego pomagać mamie.
- Wszyscy musimy wypełniać swoje obowiązki. Posmutniała wyraźnie.
- Nie chcesz, żebym przychodziła?
- To, czego chcemy i czego nie chcemy, nie jest ważne. Liczy się powinność.
- Małe ramiona opadły. Niemal czuł smak jej rozczarowania.
- Ale... – dodał, zamyślony. – Możesz powiedzieć swojemu tacie, że potrzebuję twojej obecności tutaj. Że pomagasz mi przy obrzędach, dzięki którym woda wciąż płynie.
- Mam okłamać tatę? – W głosie Nin strach mieszał się z ekscytacją.
- Nie, skąd. To byłoby niegodne. Od jutra zacznę cię uczyć odpowiednich modlitw i rytuałów.

\*\*\*

- To głupie.
- Bacz na słowa, dziecko. To uświęcona tradycja, której korzenie sięgają w przeszłość dalej, niż mogłabyś sobie wyobrazić.
- Tata mówi, że to wszystko stare bajki i kłamstwa. – W jej spojrzeniu była ciekawość, ale i podejrzliwość.
- Gdyby twój tata widział to, co ja, nigdy by nie zwątpił. Na razie musi mu wystarczyć moje słowo. Jeżeli zaś chce mnie nazywać kłamcą, niech



przyjdzie na górę i powie mi to w twarz. – Wiedział, że ojciec Nin nigdy się na to nie odważy. Wieśniacy się go bali. Niebezpiecznie. Kiedy ich przodkowie przybyli do ruin Htot w poszukiwaniu swojego miejsca na świecie, kilku z nich próbowało splądrować świątynię. Podobno zrzucił ich szczątki z murów. Harba ledwie to pamiętał, był wtedy na wpół oszalały z samotności i żalu, widocznie jednak obszedł się z intruzami wyjątkowo okrutnie, skoro kilka pokoleń później wciąż się go lękano. Mimo wszystko... Źródło było słabiej niż kiedyś, wody było już zbyt mało, by nasycić całe miasto, ale wystarczało jej, by napoić niewielkie plemię. Osiedlili się więc w ruinach. Trzymali się z daleka od sanktuarium, choć z czasem wyraził zgodę, by kryli się za murami w razie zagrożenia – o ile uszanują jego zasady i nie będą próbowali zbliżyć się do zakazanych drzwi.

Wykształciła się równowaga.

Sam nie wiedział, dlaczego wieśniacy zaczęli mu dostarczać żywność. I dlaczego uznali, że powinny to robić dzieci. Jednak nie protestował. Przynajmniej miał z kim porozmawiać.

– Dlaczego mam nosić ten dziwaczny kapelusz? Ty nie masz kapelusza.  
– Podejrzliwość w głosie Nin jeszcze się nasiliła, jakby przypuszczała, że Harba robi sobie z niej żarty. Musiał przyznać, że w ozdobnym, zdecydowanie zbyt dużym czepcu wyglądała zabawnie. Bacznie jednak pilnował, by na jego ustach nie pojawił się nawet cień uśmiechu.

– To nakrycie głowy służyło kiedyś adeptkom kształcącym się na kapłanki. To oznaka statusu. Jest ważną częścią ceremoniału. A teraz powtarzaj za mną: O Wielki Ojczy, panie wszystkiego, co na niebie! O gwiazdoki! Ty, który znasz wszystkie sekrety i wiesz o wszystkim, co się dzieje pod niebem!

\*\*\*

– Na co patrzysz?

– Na dym.

– Jaki dym? Przecież tam nic nie ma.

– No właśnie. Ta smuga dymu, która codziennie pojawiała się na

wschodzie. Wczoraj jej nie było, dziś też nie. To dziwne.

– Myślisz, że coś się stało tym ludziom, którzy do nas jechali?

– Możliwe. Pustynia to niebezpieczne miejsce – powiedział Harba. *A może nie chcą zdradzać, jak blisko już są* – dodał w myślach. – Powinnaś poprosić mieszkańców wioski, by zawsze ktoś pilnował murów, żeby w razie potrzeby ostrzec pozostałych.

– Ostrzec przed czym?

– Tak ogólnie. Gdyby coś się działo.

– Mhm. – Mruknęła, ale widział, że myśli o czymś innym. – A kiedy przyjdzie ten deszcz, o który się modlimy?

– Nie wiem. Dlaczego pytasz?

– Tata mówi, że to wszystko kłamstwo. Że gadanie do posągu nie przyciągnie chmur.

– Twój ojciec nie powinien tyle mówić na tematy, o których nie ma pojęcia – warknął.

Przez chwilę panowało milczenie. Z każdą chwilą ciszy coraz bardziej żałował swojego ostrego tonu, jednak nie wiedział, jak ją przełamać.

– Chciałabym zobaczyć deszcz. Dziadek powiedział mi kiedyś, że wtedy woda spada z nieba. I że nie widać słońca, jak w nocy.

– Nie całkiem jak w nocy, ale tak, to prawda.

– To kiedy przyjdzie?

– Nie wiem, dziecko. – Westchnął ciężko. – Nie wiem.

– Mówiłeś, że ta modlitwa, którą odmawiamy codziennie, go sprowadzi.

– Mówiłem, że służy do sprowadzania deszczu. A przynajmniej kiedyś tak było. Kiedyś bogowie słuchali naszych prośb.

– Och, opowiedz!

– To były wspaniałe czasy. Htot było wielkie. Piękne. Potężne! Władaliśmy tymi ziemiami. A bogowie byli po naszej stronie. Wznosiliśmy modły do Aaghu, a po kilku dniach nadchodziła ulewa. Składaliśmy ofiarę Nagu, a rany się goiły, choroby znikaly. Barbarzyńcy z południa sprawiali problemy? Wystarczyło poprosić o wstawiennictwo Uura-Ga, by napełnił naszych wojowników mocą lub spopielił naszych wrogów niebiańskim

ogniem. Oczywiście tamci mieli swoich bogów. Ach, o bitwach, jakie wtedy toczono, powstały pieśni tak piękne i straszne, że całe tłumy szlochały lub wiły się w ekstazie po ich wysłuchaniu. Podbiliibyśmy ich, jestem tego pewien. Zdobylibyśmy cały świat, bo tak było słusznie. – Zamilkł. Uśmiechał się błogo, z rozmarzonym wyrazem twarzy kogoś, kto we wspomnieniach na nowo przeżywa najszcześniejsze chwile. Jednak im słodsza podróż w przeszłość, tym bardziej gorzko smakuje powrót. – Niestety, nasz czas minął.

– Jak to? – spytała niepewnie Nin. Po jej minie widział, że nie rozumiała wiele z tego, co powiedział.

– Sam nie wiem, co w zasadzie się stało. Nikt chyba nie wie. Czy obrażaliśmy czymś bogów? Staliśmy się zbyt dumni, zbyt pyszni? Domagaliśmy się zbyt wiele, za mało dając w zamian? – Spędził wiele bezsennych nocy rozmyślając o tych sprawach. Skazane na niepowodzenie próby zrozumienia o mało nie wpędziły go niegdyś w szaleństwo.

– Ale co się stało? – W głosie Nin brzmiała ciekawość. Harba rzadko mówił o dawnych czasach, ale kiedy już mu się to zdarzyło, chciwie chłonęła każde słowo. A on ze zdumieniem odkrył, że chce jej opowiedzieć tę historię. O gasnącej świetności. O wielkim upadku.

Pozwolił więc opowieści płynąć.

\*\*\*

Oblężona świątynia Aaghu pochylała się nad wielkim Htot niczym zrozpaczona matka nad wciąż jeszcze ciepłym ciałem zamordowanego syna. Na ulicach królował motłoch, wrzaskliwa bestia o tysiącu pysków i łap, gotowa rozdrzeć na strzępy cały świat, byle tylko nasycić głód krwi. Fontanny i kanały spływały szkarłatem, pełne martwych ciał. Domy płonęły i waliły się w gruzy, pałace i świątynie były plądrowane. Ku bramom płynęły rzeki uciekinierów, dźwigających na plecach tobołki ze skromnym dobytkiem, zdecydowanych raczej porzucić swoje życie niż czekać na śmierć. Miasto zmieniło się w stos całopalny ku czci demonów rzezi i zniszczenia, zasnuwając niebo cuchnącymi dymami.

Harba-Szipak, dowódca Niepokalanych, wraz z dziesiątkami innych wdychał obrzydliwą woń spalenizny, obserwując z murów upadek swojego świata. Powinien właśnie wydawać rozkazy, przygotowywać obronę świątyni do kolejnego szturm, wzmacniać ducha swoich ludzi. Jednak nie potrafił oderwać oczu od tego przerażającego spektaklu.

– Dzikusy – warknął. – Niewdzięczne, zdradzieckie dzikusy.

– Dziwisz się im? – zapytał stojący obok Gamil-Sin, zastępca i najlepszy przyjaciel Harby. – Od pokoleń czekali na okazję, by odplacić nam za wszystkie krzywdy.

Spojrzał na niego z twarzą wykrzywioną gniewem.

– Bronisz ich?

– Nie. Ale nie zamierzam udawać, że ich nie rozumiem.

– To miasto stało się wielkie dzięki nam! To nasze modlitwy zamieniły tę pustynną dziurę w najpiękniejszy z klejnotów! To dzięki nam te wieprze mają wodę, mają co żreć!

– Już nie. Susza trwa już ile, prawie dwa lata? A my wciąż ściągaliśmy takie same daniny. Odkąd ich podbiliśmy, stali się niewolnikami we wszystkim prócz nazwy. Nie ma sensu udawać, że było inaczej, że byliśmy dla nich dobrzy. Tak już działa ten świat. Byliśmy silni, więc nimi władaliśmy. Teraz staliśmy się słabi...

– Zamilcz – syknął. – Zamilcz, nim powiesz o słowo za dużo. Bogowie wystawiają nas na próbę, ale wrócą. A wtedy przywrócimy porządek, odbudujemy ład. A winnych spotka zasłużona kara.

Gamil skinął w milczeniu głową, kłaniając się może nieco głębiej, niż było to wymagane. Harba pożałował ostrego tonu.

– Wybacz, przyjacielu – powiedział w końcu. – Wiem, że w twych słowach kryje się mądrość. Ale nie czas ją teraz rozważać. Teraz musimy wyzbyć się litości, być twardzi jak skała, w której wykuto to miejsce. Odeprzeć motłoch, za wszelką cenę. Świątynia nie może upaść. – Odruchowo zwrócił się w kierunku zamkniętych drzwi, dostępu do których przysięgał bronić.

– Wiem – odpowiedział Gamil. – Będę się modlił, by nam się powiodło. Miejmy nadzieję, że ktoś jeszcze słucha – dodał ciszej, jakby do siebie.

\*\*\*

– Spragniony? – spytała Isztari, podając mu dzban wody. Uśmiechała się blado, starając się udawać spokój, wiedział jednak, że była przerażona i zmęczona. Wszyscy w świątyni tacy byli.

Harba przyjął naczynie, pociągnął długi łyk.

– Dziękuję, ukochana. – Objął ją delikatnie. Przyłgnęła do okrywającej go zbroi. Miał nadzieję, że czerpie z tego pociechę.

– Niedługo znowu zaatakują, prawda? – zapytała po długiej chwili.

– Zapewne tak. Ale nie bój się, ta hołota nie zdoła się tu wdrzeć. Nie, póki Niepokalani są na posterunku.

– Tylko że jest was coraz mniej. Za każdym razem coraz mniej. Nigdy nie wiem, czy tym razem to ty nie zostaniesz... – urwała. – Ze wszystkich sił modłę się do Uura-Ga, by dał ci siłę i chronił od ciosów, ale...

– Jej głos się załamał, po policzkach popłynęły łzy. – Uciekajmy stąd, proszę. Póki możemy. Póki jeszcze nie zebrali się na nowo, nie odcięli nam drogi.

Pogładził ją delikatnie po włosach, pokręcił głową.

– Wiesz, że nie mogę. Przysięgałem bronić tego błogosławionego sanktuarium, choćby za cenę życia.

– A za cenę mojego życia? Życia twoich dzieci? – Spojrzała na niego z oczami pełnymi łez, z twarzą wykrzywioną w gniewie.

Westchnął ciężko. To nie była ich pierwsza rozmowa na ten temat.

– Odejdź stąd lepiej. Muszę przygotować ludzi do obrony. Wracaj do swoich pokojów, tam będziesz bezpieczna. I nie martw się, nic mi nie będzie. – Odsunął się i wyciągnął ku niej rękę z dzbanem. Wytrąciła mu go z ręki. Pięknie malowana ceramika roztrzaskała się na kamiennych stopniach, woda bryznęła na ich buty. Isztari nie zwróciła na to uwagi. Jeszcze kilka chwil wpatrywała się w niego, a gniew i smutek walczyły o władanie nad jej obliczem. W końcu odeszła. Usłyszał, jak mruczy coś pod nosem. Być może była to modlitwa do Uura-Ga. Być może nie.

\*\*\*

Stał na murze, oceniając zniszczenia. Motłoch stawał się coraz lepiej zorganizowany, widać było, że ktoś tam zna się na wojaczce. Tym razem przytaszczyli ze sobą prowizoryczny taran, którym zdołali skruszyć odcinek muru, omal nie doszło do powstania wyłomu. Obrońcy zdołali ich ostatecznie powstrzymać, jednak wielu zginęło. Robotnicy starali się już naprawić pęknięcie, ale ten odcinek będzie wymagał wzmocnionej obsady. Zszedł na dół, na dziedziniec, po czym udał się do spichlerza.

– Jak długo zdołamy się utrzymać? – zapytał Agasziego, zajętego liczeniem worków z ziarnem.

Ten pokręcił głową.

– Niedługo. Racionujemy żywność, ale kończy nam się zboże i mięso. A przy tych wszystkich dodatkowych gębach do wykarmienia... – Wzruszył ramionami.

– Ci ludzie stracili wszystko, a są wiernymi wyznawcami Aaghu. Nie mogliśmy im odmówić schronienia.

– Wiem, wiem. – Kapłan westchnął. – Co gorsza, zaczynają się problemy z wodą. Źródło wysycha. Ta susza ciągnie się już zbyt długo. Jeżeli wkrótce nie spadnie deszcz... – Spojrzał zmartwionym wzrokiem w bezchmurne niebo.

– Musimy zachować wiarę.

Agaszi ponownie westchnął. Nie odpowiedział. Harba zresztą nie oczekiwał odpowiedzi. Wydał kilka dyspozycji odnośnie racjonowania żywności i ruszył dalej.

– Jak idą prace? – zapytał kowala.

– Szłyby prędzej, gdyby pan dowódca nie zjawiał się co chwilę, by przezywać je swoimi pytaniami. Robimy, co możemy. – Wskazał stopy grotów czekające na naostrzenie i osadzenie na drzewcach. Dookoła rzemieślnicy uwijali się jak w ukropie, spoceni i usmoleni, nasycając powietrze dymem, brzękiem metalu i krzykami. Jako żywo przypominało to kapłańskie opisy podziemnego świata, jednak Harba lubił bywać w kuźni, obserwować, jak zwykle bryły metalu są przekształcane w coś pięknego i użytecznego. Lub zabójczego.

– Dobrze. Dajcie mi znać, gdybyście czegoś potrzebowali.

Kilka chwil później był już w sali chorych. Wciągnął w nozdrza zapach kadzidła, leczniczych ziół, krwi i bólu. Na leżankach spoczywali ranni, jęcząc lub krzycząc, podczas gdy kapłani bandażowali, szyli rany i smarowali je balsamami, a także wznosili modły i składali ofiary. Zauważył go zarządzający lecznicą Szagarakti i podszedł śpiesznie, ocierając po drodze ceremonialny sztylet z krwi.

– Potrzebujemy więcej płótna na bandaż – oznajmił bez żadnych wstępów. – Kończą się nam też leki. Nie jesteśmy przygotowani na tyle rannych. Szczególnie teraz, kiedy... – zawiesił głos.

Harba skinął głową. Odkąd modły nie pomagały, medycy musieli polegać na klasycznych metodach działania. Nie byli do tego przyzwyczajeni, nie mieli też wielkich zapasów. Mogli się tylko przyglądać, jak ich rytuały zawodzą, a rany, które jeszcze niedawno goiłyby się bez problemu, pozabiały życia kolejnych wojowników.

– Boję się, że może wybuchnąć zaraza – dodał ciszej Szagarakti. – Robimy, co w naszej mocy, jednak gorączka zabija niemal równie wielu, co krwotok.

Harba znów jedynie skinął głową. Wszystko w nim aż się skręcało z potrzeby znalezienia rozwiązania, wiedział jednak, że w tej kwestii jest zupełnie bezradny. Życie rannych było w rękach bogów. A przynajmniej taką miał nadzieję.

– Postaram się zdobyć dla was więcej płótna. Co do leków... Zróbcie, co możecie. Może uda mi się potem posłać oddział do miasta, by przeszukali inne świątynie, ale w tej chwili to niemożliwe.

Kapłan skłonił się i odszedł szybko, ruszając ku kolejnemu rannemu. Harba westchnął. Jak wielu zginie, nim te bestie się opamiętają?

Pozostało mu odwiedzić jeszcze jedno miejsce. Po drodze odruchowo przyjrzał się zakazanym drzwiom, skontrolował stan zamków. Uspokojony, ruszył do świątyni. Najwyższa kapłanka składała właśnie kolejną ofiarę w intencji przebłagania Aaghu, prosząc go, by powrócił do swych dzieci, ochronił swój lud w godzinie próby. Harba opadł na kolana, dotknął czołem posadzki przed wysoką statuą mężczyzny o księżycowym sierpnie w miejscu twarzy, trzymającego w rękach księgę i bicz, po czym zaczął się

modlić:

– O Wielki Ojczy, panie wszystkiego, co na niebie! O gwiazdooki! Ty, który znasz wszystkie sekrety i wiesz o wszystkim, co się dzieje pod niebem! Ześlij mi, błagam, mądrość, bym mógł pewnie podążać wytyczoną przez ciebie ścieżką! Obdarz me oczy przenikliwością, by nic im nie umknęło! Uczyń mą rękę pewną, bym mógł jak najlepiej wykonać powierzone mi obowiązki! Napęlnij mnie cierpliwością, bym niepotrzebnym pośpiechem nie zaprzepaścił szansy, ale i odwagę, bym nie bał się wykorzystać okazji! – Modlił się długo. Tyle, ile wymagał ceremoniał.

\*\*\*

– Dziękuję, że przyszedłeś. – Ereszkigal, najwyższa kapłanka Aaghu, wyglądała na wy-czerpaną. Wiedział, że ostatnie dni niemal w całości spędziła w świątyni, nie śpiąc i nie jedząc. Skłonił się z szacunkiem, po czym usiadł na wskazanej poduszce.

– Oczywiście, o wielka. Jak mógłbym odmówić?

Służba podała piwo, chleb i suszone owoce, po czym oddaliła się, odesłana gestem gospodyni. Ta wzięła do ręki figę, zaczęła ją obracać w palcach, wpatrując się pustym wzrokiem gdzieś w dal. Przez chwilę wyglądała, jakby zapomniała o istnieniu swojego gościa, zaraz jednak otrząsnęła się z zamyślenia.

– Aaghu wciąż milczy.

Spuścił oczy. Nie spodziewał się dobrych wieści, jednak za każdym razem, kiedy to słyszał, miał wrażenie, że coś w nim umiera.

– Nie utrzymamy się tutaj. Nie, nie protestuj. Wiem, że robisz wszystko, co w ludzkiej mocy. Jestem przekonana, że twoi ludzie zdołają odeprzeć jeszcze niejedyn szturm. Ale w końcu te dzikusy nas zmoją.

– A odsiecz?

– Nie nadejdzie. Dziś późnym rankiem zdołał się do nas przemknąć posłaniec z Mahmy. Walczą z buntownikami, proszą, byśmy do my wysłali odsiecz do nich. Musimy założyć, że sytuacja wszędzie wygląda tak samo. Pomocy nie będzie, musimy sobie radzić sami.



– Więc jesteśmy skazani na klęskę?

Ereszkigal przez długą chwilę nie odpowiadała, wciąż bawiąc się figą. Czekał, nie chcąc wyrwać jej z zamyślenia. W końcu oprzytomniała, ugryzła owoc.

– Planuję opuścić świątynię – powiedziała grobowym głosem. – Zebrać ludzi i wyruszyć w kierunku Gha'am. W starym królestwie wciąż jeszcze powinno być bezpiecznie. Nawet jeżeli tam również bogowie zamilkli... Tamtejszy lud to wierni wyznawcy, a nie podbici barbarzyńcy.

– Mamy oddać sanktuarium na pastwę tych ścierwojadów?!

– Nie widzę innej drogi. To ryzykowne, czeka nas trudna podróż przez wrogie terytorium. Ale małe szanse i tak są lepsze niż pewna zguba. Spróbujemy się wmieszać pomiędzy innych uciekinierów.

– A co z podziemiami? Z tym, co zostało w nich zamknięte? Czyż ich ochrona nie jest celem istnienia Niepokalanych? Mamy porzucić swoją świętą misję? – W głosie Harby pobrzmiwała desperacja.

– Tak, to w istocie problem... – Kapłanka zdawała się mówić do siebie.

– Nie możemy tu zostać. Ale nie możemy też ruszyć do domu bez ochrony, musimy zabrać ze sobą żołnierzy. Z kolei jeżeli zostawimy świątynię pustą, ryzykujemy uwolnieniem zamkniętego w podziemiach zła... Moglibyśmy zamurować drzwi i liczyć, że ich nie odnajdą. Ale to niepewne rozwiązanie.

Ponownie zamilkła, zdawało się, że jej myśli odpłynęły gdzieś daleko. Harba starał się zachować cierpliwość, ale przychodziło mu to z wielkim trudem.

– Być może istnieje sposób. Gdybyśmy podzielili siły... Gdyby większość wojska ruszyła z nami w drogę, ale mały oddział zostałby w sanktuarium...

– Mały oddział nie zdoła długo odpierać motłochu – wycedził. – Atakują takimi chmarami, że nawet obecnie mamy z tym problem. Ci ludzie byliby skazani na porażkę.

– Tak... To prawda. Chyba że...

Raz jeszcze zdało się, że błądzi myślami. Zgrzytnął zębami z irytacji. Na szczęście tym razem szybko się ocknęła.

– Aaghu wie o wszystkim, co się dzieje pod niebem. – Nagła zmiana

tematu zbiła wojownika z tropu. – A jego sługi dbają o to, by ta wiedza nie przepadła. Przechowujemy pisma, odkrycia, traktaty. Kiedy nasze woj-ska podbijały jakieś miasto, ratowaliśmy od zapomnienia jego mądrość. Słuchaliśmy ich mędrców, czytaliśmy ich księgi. Poznawaliśmy ich sekrety, chcieli tego czy nie.

Milczał, nie wiedząc, do czego Ereszkigal zmierza. Słuchał, licząc, że uda mu się w końcu odnaleźć jakiś sens w jej wypowiedzi.

– Na tych ziemiach istniały kiedyś różne sekty. Niektóre oddawały cześć bogom, jak my. Inne wielbiły duchy ziemi, zwierzęta albo nawet demony. Ale były i inne, jeszcze dziwniejsze. W tym tak zwani maghi. Ci nie oddawali czci nikomu i niczemu, a jednak... Ich rytuały czerpały moc z innego źródła. Do tej pory nie jest jasne, z jakiego. Ale działały. – Nieoczekiwanie spojrzała wprost na Harbę, wzrokiem jasnym i skoncentrowanym. – Wciąż działają.

– Co to znaczy?

– Mówiłam ci, kapłani Aaghu pilnują, by żadna wiedza nie przepadła. Nieważne, błogosławiona czy bluźniercza. Moi poprzednicy wydobyli z maghi ich tajemnice, spisali je i zachowali dla potomnych. Szukając wyjścia z naszej sytuacji... Ogarnięta desperacją... Natrafiłam na jeden z ich rytuałów. – Nieświadomie musnęła zawieszony przy pasie pęk kluczy. – On... Sądzę, że mógłby pozwolić nam wygrać. A przynajmniej nie przegrać.

Milczał, zaintrygowany. Choć odpychała go myśl o korzystaniu z jakiejś pogańskiej wiedzy, jeżeli mogłaby im zagwarantować zwycięstwo... Tylko to się liczyło.

– Daje on wojownikom niezwykłą siłę i szybkość. Odporność na ciosy i zmęczenie. Nie musieliby jeść ani spać, nie męczyliby się i nie chorowali.

– Byliby niewyciężeni!

– Niemal.

– W ten sposób moglibyśmy odpierać motloch długo...

– Tak, to prawda. Ale jest też cena. Rytuał wiąże wartowników z miej-scem, którego pilnują, tworzy między nimi więź. Jeżeliby je opuścili, stracą wszystko, co uzyskali.

– To nic. I tak jesteście tu zamknięci.

– Tak, ale ta więź... Ona dotyczy samej, jak to ujmuje traktat, esencji człowieka. Ducha. Trwa nawet po śmierci. Jeżeli któryś ze strażników zginie, nie będzie mógł udać się do pałaców Aaghu, by żyć tam z przodkami. Pozostanie związany ze świątynią, by służyć towarzyszom pomocą, tak długo, aż rytuał nie zostanie odwrócony lub zginie ostatni z nich.

Zbył jej troski machnięciem.

– Skoro byliby niezwycięzeni, to i tak nie ma znaczenia. A nawet jeśli któryś umrze... Niepokalani przysięgali chronić świątyni zawsze, za wszelką cenę. Żadna nie jest zbyt wysoka, byśmy zgodzili się ją zapłacić. Weź żołnierzy i uchodźców. Będę modlił się, byście bezpiecznie dotarli do celu. My tu zostaniemy, wypełnimy, co przyrzekliśmy. A kiedy gniew bogów minie, kiedy znów zwrócą swe oblicza ku nam, powrócicie, by nas uwolnić.

– Twój duch jest wielki, Harbo-Szipak. A twa odwaga jeszcze większa. Ale to decyzja, której nie należy podejmować w pośpiechu. Przemyśl ją. Porozmawiaj ze swoimi ludźmi. Ze swoją rodziną. Odpowiedź dasz mi jutro.

– Jak sobie życzysz, najwyższa. Ale nic to nie zmieni.

Kapłanka tylko pokiwała głową. Nie był pewien, ale wydawało mu się, że w jej oczach widzi błysk łez.

\*\*\*

– Tak! – Po twarzy Isztari płynęły łzy radości. – Och, słodcy bogowie, tak! Uciekajmy, choćby zaraz!

– Ciszej, ukochana. Na razie to tylko zamysł, nie wiem jeszcze, czy Eresz-kigal wprowadzi go w czyn.

– Och, z pewnością! Musi! Przecież nie jest głupia, prawda? Widzi, co się dzieje. Och, jak pragnę, by to było już dziś! Wreszcie się stąd wynieść! Zostawić za sobą ogień i zdziczały tłum, odetchnąć powietrzem, które nie cuchnie śmiercią i popiołami. – Poderwała się i zaczęła nerwowo krzątać dookoła, otwierając skrzynie i rozglądając po pokoju, jak gdyby już zastanawiała się, co da radę ze sobą zabrać.

– Musisz poczekać jeszcze trochę. Na razie nic nikomu nie mów, nawet

dzieciom. Ani swoim rodzicom. Nie chcę, żeby rozeszły się plotki.

– Oczywiście, będzie, jak sobie życzysz, mężu – odpowiedziała, zwracając się ku niemu. Uśmiechała się, po raz pierwszy, odkąd buntownicy ruszyli na świątynię. A potem rzuciła mu się w ramiona i z całej siły przyłgnęła do jego napierśnika.

Mruknął cicho, czując, jak jej ciało dygocze w szlochu, gdy wyrzucała z siebie długo tłumione napięcie. Poglądził ostrożnie jej włosy, nagle niepewny, jak się zachować, co powiedzieć. W końcu wybrał milczenie, tulił ją tylko, wsłuchując się w jej powoli cichnące łkanie.

Trwało to długo. Zdecydowanie za długo. Wciąż przecież miał obowiązki. Powinien zrobić wieczorny obchód, porozmawiać z ludźmi, odebrać raporty od zwiadowców. Nie po to tyle wytrwali, by teraz polec, bo on siedział w domu i się rozczulał. Poglądził ją znowu, poruszył się delikatnie i chrząknął cicho. Była jego żoną od dawna. Zrozumiała. Odsunęła się, ocierając nadgarstkiem oczy i rozmazując przy tym czernidło po policzkach.

– Muszę już iść, ukochana. Kiedy wrócę, pomówimy o tym jeszcze, obiecuję. Ale nie martw się. Niedługo będziecie bezpieczni.

– Będziecie? – Jej głos, wciąż zachrypnięty od płaczu, zawibrował nagłym niepokojem. – A co z tobą?

– Zostaję. Tak jak wszyscy Niepokalani. Muszę. To mój obowiązek. Żołnierze będą was eskortować, ochronią od maruderów i bandytów.

– Przecież to samobójstwo! Wymordują was, nim nadejdzie zmierzch!

– Nie, ukochana, to nie tak. Ereszkigal znalazła sposób. Dawny rytuał, który...

– Rytuały nie działają! Bogowie nas porzucili, zrozum to wreszcie! Żadne modły nie obronią was przed tymi bestiami! Zginiesz jak ostatni głupiec dla stosu sypiących się kamieni i milczącego posągu!

– Bacz na słowa, kobieto! – wycedził. – Nikt, nawet moja żona, nie będzie bluźnić w mojej obecności.

W dwóch krokach znowu była przy nim, zarzuciła mu ręce na szyję, wczepiła się w niego.

– Wybacz, mężu... Wybacz mi. Proszę... Nie możesz tego zrobić. Nie

możesz mi kazać odejść! Nie możesz mnie porzucić!

– Więc zostań ze mną.

– O tak! – krzyknęła i zaśmiała się histerycznie, po czym odepchnęła się od niego, zaczęła krążyć po izbie. – Zostanę! Będę wraz z tobą i dziećmi słuchać, jak tłum wyje i wali w bramę! Aż w końcu wedrą się do środka, ciebie zabiją, a mnie zgwałcą i ukamienują! Zatłuką dzieci kijami! A potem będą obnosić nasze ciała na drągach, jak trofea! Piękna wizja, wspaniała przyszłość!

– Czy to moja wina, że świat oszalał? Co mam zrobić, przywołać demona z Podziemia, żeby przepędził tłuszczę ognistym biczem?

– Nie udawaj durnego! Wiesz, co powinienesz zrobić! Co każdy mąż i każdy ojciec na twoim miejscu zrobiłby bez wahania!

– Głupiaś, kobieto! Nie rozumiesz, o co prosisz. Mam porzucić swoich ludzi? Pozwolić, by te dzikusy wtargnęły do podziemi? Masz ty pojęcie, co mogłoby się wtedy stać?

– Niby co takiego?

– Czyha tam wielkie zło, które wylałoby się na świat – odpowiedział, starając się nadać słowom groźne brzmienie, ale sam słyszał, że nie brzmiały pewnie. Groza otaczała ich ze wszystkich stron, towarzyszyła im od tygodni jak cień. Co jeszcze gorszego może kryć się za drzwiami?

Isztari przyłgnęła do niego na nowo, korzystając z chwili jego zawahania.

– Zrobiłeś, ile mogłeś – szeptała gorączkowo. – Nikt nie może ci nic zarzucić. To nie tchórzostwo, nie zdrada. Nie łamiesz danego słowa. Komu zresztą przysięgałeś? Kapłanom, którzy już szykują się do ucieczki? Bogom, którzy nas porzucili?

– Ucisz się, kobieto! – warknął. – Kim bym się wtedy stał? Co by mi zostało?

– My! Żywi i cali, gdzieś daleko stąd! Czy to nic dla ciebie nie znaczy?

Nie odpowiedział. Nie wiedział, co odpowiedzieć. Ktoś mądrzejszy, bardziej uczony znalazłby pewnie idealny argument, który w końcu pozwoliłby zrozumieć Isztari, że stanie się, co musi się stać. Że ta dyskusja nie ma sensu. Ale on nie znajdował słów. A im dłużej trwała cisza, tym cięższa

się stawała. Widział, jak emocje na twarzy żony blakną, zastępowane zrozumieniem. Niemal czuł, jak do jej serca zakrada się rozpacz. Nie mógł dłużej na to patrzeć.

- Idę na obchód. Wrócę późno.
- Wyszedł w noc, ścigany szlochem.

\*\*\*

– Źle to zniosła, co? – Gamil-Sin podał Harbie dzban z piwem. Ten pociągnął długi łyk, otarł wąsy i skinął głową. – Ta, moja też. Powiedziałeś jej o rytuale?

- Nie. Chciałem, ale mi nie pozwoliła.
- Mhm.

Przez chwilę pili w milczeniu, wpatrzeni w gwiazdy. W ogrodach na tyłach świątyni było pusto i niemal spokojnie. Inni mieszkańcy twierdzy spali lub pilnowali umocnień, więc w pobliżu nie było nikogo, kto mógłby im przeszkodzić. Gdyby nie odległe wrzaski tłuszczy, wykrzykującej pod murami groźby i obelgi, można by pomyśleć, że świat wrócił do normy.

- Rozmawiałeś z innymi? – zapytał w końcu Gamil.
- Z niektórymi. Jutro zbiorę wszystkich i przekażę wieści.
- „Przekażę wieści”... Brzmi to, jakby decyzja już zapadła.
- Bo zapadła. Nie zamierzam pytać ich o zdanie.
- Nie powinienes ich do tego zmuszać. To niemałe poświęcenie.
- Przysięgali bronić świątyni. Za wszelką cenę.
- Niby tak... Ale... Wiesz, jak to jest. Świat był wtedy innym miejscem.

Bogowie... Jak to się wszystko popieprzyło.

– Jeżeli pozostajesz wierny tylko, gdy ktoś tego pilnuje, to nie jesteś wierny w ogóle – rzucił gorzko Harba. Lekko szumiało mu już w głowie. Piwo ugasiło gniew na Isztari, zastąpiło go jednak rozżaleniem.

- Pewnie, jasne. Ale... Przysięgaliśmy walczyć. Nawet umrzeć. Ale wzięcie duszy? To... To budzi niepokój. Co, jeżeli potem nie będzie miała dokąd pójść? Jeżeli, znaczy, nie będzie już dla niej miejsca tam... No wiesz...
- Gamil urwał, płacząc się w swoich obawach. Odkąd bogowie zamilkli,

wielu pytało samych siebie, co teraz będzie działo się z duszami. Czy wciąż trafiały do raju? Czy grzesznicy ciągle byli karani? Hołota za murami sądziła zapewne, że nie. Ale nawet kapłani nie mieli pewności, co o tym myśleć.

– Wiem. – Harba pokiwał głową, beknął cicho. – Trzeba wielkiej odwagi, by zdobyć się na takie poświęcenie. Mówiłeś innym o tym wwiązaniu?

– Nie.

– Dobrze. Niech tak zostanie.

Jego twarz owiał ożywczy wietrzyk. Dzban robił się nieprzyjemnie lekki. Westchnął cicho, zastanawiając się, czy będzie mu się chciało iść po kolejny. Decyzje, decyzje... Ciągłe te decyzje.

– Ale powiesz im, prawda? – Lekko niewyraźny głos Gamila wyrwał go z zamyślenia. – Zanim odprawimy ten rytuał?

*Mógłbym posłać jego* – pomyślał Harba. *W końcu jestem dowódcą.*

– Nie, chyba lepiej nie – mruknął, przeciągając lekko zgłoski, odpowiadając tak podwładnemu jak sobie. – Po co mają się wahać? Martwić? Złożyli przysięgę i wypełnią ją. Nie widzę potrzeby obciążać ich tą wiedzą.

– Musisz im powiedzieć! Dać im wybór!

– Jesteśmy Niepokalanymi. Po co nam wybór? Robimy to, co słuszne!

– Według ciebie!

– Oczywiście, że według mnie! Jestem waszym dowódcą, do demona!  
– Odetchnął, spróbował się rozluźnić. – Posłuchaj, rozumiem, że to trudne. Cała ta sytuacja jest paskudna, z wielu powodów. Ale nie wolno im mówić. Stawka jest zbyt duża, a nas i tak będzie mało. Nawet dysponując wielką mocą trudno będzie utrzymać mury. A jak jeszcze zaczną mieć wątpliwości, kilku pewnie ucieknie z rodzinami. Nie mogę się na to zgodzić.

– Więc chcesz to przed nimi zataić? To się nie godzi!

– Wiesz, co się nie godzi? Łamać przysięgę daną w obliczu bogów!

– Czuję, jak krew znowu napływa mu do twarzy. – Płuć na świętości, srać na ład i porządek! To się nie godzi!

– Ach, teraz rozumiem! Tu nie chodzi o naszych ludzi, a o Isztari.

– Nie mieszaj do tego mojej żony! – Poderwał się na nogi. Gamil również wstał, chwiejąc się lekko.

– Sam ją do tego mieszasz! Czujesz się winny i teraz odbijasz to sobie na

podwładnych!

– Odszczekaj to, kundlu! – Popchnął Gamila, aż ten wpadł na rosnącą przy studni akację. – Odszczekaj to, albo zaraz nauczę cię szacunku dla dowódcy!

– Jeszcze czego! Wydaje ci się, że blask słoneczny bije ci z tyłka, bo masz pióra na hełmie? – Gamil wstał z trudem, przytrzymując się gałęzi. – Jeżeli ty im nie powiesz, ja to zrobię!

Harba drżącą ręką dobył miecza.

– Nikomu nie pozwolę narazić świątyni! Nawet tobie.

– I co, zabijesz mnie? – Gamil dobył własnej broni. – Tego chcę od ciebie bogowie? Tak jest słusznie?

– Nie pozwolę, byś sączył jad w uszy moich ludzi. Pójdiesz ze mną. Rano, kiedy wytrzeźwiejesz, dam ci szansę, byś błagał o wybaczenie.

– Takiego! Chcesz nas wszystkich skazać na potępienie dla własnej urażonej dumy! Nie pozwolę na to!

– Stój, powiedziałem! Nie zmuszaj mnie do tego!

– Do niczego cię nie zmuszam! Nikt cię do niczego nie zmusza!

– Nie mogę ci na to pozwolić. – Harba uniósł klingę. Gamil był błądy, ale nie zatrzymał się. Szedł dalej i również uniósł broń.

\*\*\*

Świt zastał Harbę siedzącego przy studni, ze śladami łez na twarzy i krwią na mieczu.

Wstał, ściерpły i obolały. Kiedy było już po walce, pogрузzył się w rozpacz. Jednak świat nie zamierzał dać mu czasu na żałobę. Świątynia wciąż była zagrożona, a jego ludzie wciąż potrzebowali dowódcy. Opłakał przyjaciela, jak mógł, teraz musiał zamknąć żal gdzieś na dnie serca.

Sporzrzał na leżące pod krzakiem ciało. Co powinien zrobić? Nie mógł powiedzieć prawdy, Niepokalani uwielbiali Gamila, nigdy nie uwierzyliby w jego zdradę. Zrodziłoby to tylko wątpliwości i podkopało autorytet Harby. Zaczerpnął wody z ogrodowej studni, napił się, umył dokładnie ręce i twarz, oczyścił broń. Nawet jeżeli zostaną gdzieś jakieś ślady krwi,



kto zwróci na nie uwagę u żołnierza w trakcie oblężenia? Rozejrzał się, zauważył stojący pod murem szpadel. Chwycił narzędzie i zaczął kopać. Głowa pulsowała mu bólem, zeszywniałe plecy protestowały. Nie zwracał na to uwagi. Trud był stosowną zapłatą za przewinę. Kiedy dziura była już dość głęboka, zepchnął do niej ciało, przysypał ziemią, starannie ją udeptał i wygładził. Wystarczy, uznał. Ludzie mają teraz inne sprawy na głowie, niż rozkopywać rabaty. Tu, pod akacją, Gamil będzie miał spokój.

– Przykro mi, przyjacielu. Wiem, że chciałeś dobrze. Ale stanie się, co stać się musi. Niech bogowie wybaczą ci słabość i przyjmą do siebie twoją duszę.

\*\*\*

– Przykro mi z powodu Gamila-Sin. Wiem, że byliście przyjaciółmi. – Ereszkigal przyglądała się Harbie z troską. Wydawało mu się jednak, że w jej oczach dostrzega cień podejrzliwości. Ale to nie miało znaczenia. Nie mogła znać prawdy.

– Dziękuję. Te bydlęta zapłacą mi za to. – Milczał przez chwilę. – Przekłety pech... Równie dobrze mogłem to być ja. Wyszliśmy na mury tylko na chwilę, żeby piwo wywietrzało z głów. Niech to demon, przetrwał tyle bitew, a dostał w głowę kamieniem podczas spaceru. Przekłety pech... – powtórzył. Opuścił głowę, kryjąc twarz przed kapłanką. – Nie zdążyłem go nawet pochwycić, nim wypadł. Cały czas widzę to przed oczami. Gamil, z krwią na twarzy i rozpaczą w oczach, pada, a ja nie mogę mu pomóc...

Sam już nie wiedział, czy żal w jego głosie był udawany. Na podłogę komnaty kapnęła łza. Ereszkigal taktownie milczała.

– Uczymy jego pamięć, stając w obronie tego, w co wierzył – powiedział w końcu, a głos niemal mu nie drżał. Aaghu powinien ukarać go za to kłamstwo, ziemia powinna się rozstąpić i połknąć go jak robaka. Ale nic się nie stało. Bogowie mieli inne sprawy na głowie.

– Do końca był wiernym Niepokalanym. Jesteśmy gotowi, by bronić świątyni. Wszelkimi metodami.

– Więc twoi ludzie zgodzili się pozostać? Znają ryzyko?

– Tak. Są gotowi.

– Skoro tak... Będą musieli zebrać się wszyscy naraz. Nie zbrukam tym czynem świątyni, więc odprawimy rytuał w ogrodach. Nie powinno to potrwać długo.

Skrzywił się nieznacznie, ale skinął głową.

– Dobrze. Żołnierze powinni dać radę utrzymać w tym czasie mury, o ile nie dojdzie do kolejnego dużego szturm, ale miejskie szczury chwilowo siedzą cicho. Wydam odpowiednie rozkazy.

Wstał, szykując się do wyjścia.

– Harba... – Kapłanka zawiesiła głos. Zwrócił się w jej stronę. – Dziękuję. W imieniu nas wszystkich. To, co robicie...

– Nie trzeba, najwyższa – przerwał jej. – Robimy to, co należy. To nasz obowiązek.

\*\*\*

Ludzie opuścili świątynię nocą, kiedy większość motłochu rozpełzła się po okolicy, by pić i tańczyć z okazji jakiegoś swojego pogańskiego święta – a może i bez powodu. Wymarsz był szybki i cichy. Jego podwładni stali na murach, śledząc wzrokiem niknącą w mroku kolumnę uciekinierów. Większość pożegnała dzisiaj rodziny, nie wiedząc, czy jeszcze kiedyś je zobaczy. Dookoła słyszał westchnienia, czasem niezrozumiały szept. On sam patrzył w ciszy.

Isttari odeszła bez słowa. Nie spojrzała nawet na swojego męża. Dzieci płakały, nie rozumiały, co się dzieje, ale nie puściła ich do niego, nie miał więc możliwości się pożegnać.

Może i tak było lepiej.

W oczach wielu ze swoich ludzi widział łzy, na twarzach niektórych malowały się wątpliwości. Ale pozostali wierni. Kapłanka dała im moc. Podczas ostatniego szturm byli nie do powstrzymania, wyrzynali tłuszczę niemal bez wysiłku, potężni, szybcy, niezmordowani. Upajali się tym.

Przysięgali i dotrzymają przysięgi.

Oto rozpoczynała się ich warta.

\*\*\*

– I co się potem stało? – Oczy Nin były okrągłutkie z przejęcia. Wpatrywała się w Harbę, zachwycona opowieścią. On jednak poczuł, że ma już dość.

– Bezbożnicy próbowali zdobyć świątynię. Raz, drugi, dwunasty. Szturm za szturmem. Odpieraliśmy każdy. Opromieniała nas boska łaska, dzięki której Niepokalani stali się niezwyciężeni. Jednak za każdym razem ubywało jednego lub dwóch. W końcu została nas garstka. Ale tamci w końcu odpuścili, zmęczeni i wykrwawieni. Złupili, co mogli i odeszli. A my zostaliśmy. Miasto opustoszało.

– I co dalej?

– A co by miało być? Lata mijały. Bogowie nie wracali. Kapłani zresztą też nie. Może ich wszystkich wyłapano i zabito, a może wyrzekli się dawnej wiary... Nie wiem. Ale my trwaliśmy, bo taki był nasz obowiązek. Moi towarzysze... Odeszli, jeden po drugim. Różnymi drogami. – Skrzywił się. – Aż zostałem sam. Jestem ostatnim z Niepokalanych, ostatnim strażnikiem Wielkiej Świątyni Aaghu w Htot. Cały ciężar spoczywa na mych barkach. I tak będzie przez całą wieczność albo do chwili, w której w końcu zawiodę. To mnie czeka – służba po kres czasu lub hańba.

Nin milczała, widocznie zakłopotana tym wybuchem goryczy. A może po prostu nie rozumiała, o co mu chodzi? Możliwe. *To przecież tylko dziecko* – upomniał się w myślach. Nie jest niczemu winna. Uśmiechnął się. A przynajmniej wygiął wargi w grymasie, który miał być uśmiechem.

– Wystarczy już tych opowieści. Masz, zjedz resztę fig. Jeśli chcesz, zostań jeszcze w świątyni. Ja muszę... coś zrobić. – Wstał i otrzepał szatę z piachu. Czuł na sobie spojrzenie dziewczynki, ale unikał jej wzroku. – Tylko nie zbliżaj się do drzwi. Będę wiedział.

\*\*\*

– Po co w ogóle pilnujesz tych drzwi?

– Zamknięto za nimi wielkie zło. Gdyby kiedyś wydostało się na świat... Trudno powiedzieć, co mogłoby się stać – odpowiedział Harba.

- A jakie to zło?
  - Co to znaczy: jakie?
  - No, jakie. Widziałeś je kiedyś? Straszne jest?
  - Nie widziałem. Ale wiem, że jest niebezpieczne. Zagroza wszystkiemu, co dobre i prawe.
  - Skoro go nie widziałeś, to skąd wiesz, że jest groźne?
  - Kapłani mi powiedzieli. To oni je kiedyś tam zamknęli. Zanim jeszcze się urodziłem.
  - Dziadek mówił mi, że byłeś tu, kiedy on się urodził.
  - To prawda. Jestem tu już bardzo długo.
  - Nie wyglądasz na starszego od dziadka. On już nie widzi i ma całkiem powykręcane palce. O takie. – Pokazała, jakie.
  - Chroni mnie błogosławiona moc. Gdybym jednak opuścił mury świątyni, złamał przysięgę, stracę wszelkie łaski, jakimi obdarzyli mnie bogowie.
  - Mhm. – Nin wyraźnie myślała już o czymś innym. – To może powinniśmy sprawdzić, czy to zło wciąż tam jest?
  - Jakie znowu zło?
  - No, to za drzwiami. Może już sobie poszło. Albo zdechło, skoro to było tak dawno.
  - Nie mogło „sobie pójść”. Po to są drzwi. A zło nigdy nie umiera.
  - Skąd wiesz?
- Zawahał się. „Kapłani mi powiedzieli” nie wydawało się rozsądną odpowiedzią. Czuł, jak wątpliwości, które od dziesięcioleci podgryzały jego determinację i oddanie, mocniej zaciskają szczęki.
- Tak po prostu jest. Zadajesz za dużo pytań – odpowiedział w końcu.
  - Chodź lepiej, chcę ci coś pokazać. Mam dla ciebie niespodziankę.
- Poprowadził ją na tyły świątyni, do jednego z niedawnych ogrodów. Dawne klomby pokrywał piach, z którego tu i ówdzie sterczały suche badyły. Jedyne akacja rosnąca tuż przy studni przełamwała burość otoczenia bladą zielenią upstrzoną białymi plamami kwiatów.
- Dawno tu nie przychodził, dręczony poczuciem winy. W końcu jednak odważył się zajrzeć do ogrodów – uczucia nie powinny mu wszak stawać

na drodze do wypełniania obowiązków. Ogrody nie miały znaczenia dla obronności, ale istniały, więc należało je sprawdzić.

Był przekonany, że wszystko tam już dawno uschło. Jednak ten krzew jakimś cudem zdołał wyciągnąć z ziemi dość wilgoci, by kilka pędów przetrwało. Wyciął nożem uschłe gałęzie i regularnie podlewał to, co zostało. Stało się to jego małym, prywatnym rytuałem – żywa zieleń młodych listków i ciężka woń kwiatów cieszyły go, przypominały że nie został jeszcze pogrzebany, że żyje.

Teraz chciał się podzielić tą radością z Nin.

Dziewczyna początkowo niezbyt się przejęła. Po namyśle zrozumiał, że powinien to przewidzieć. Dla niego roślina była czymś wyjątkowym, ona widywała w wiosce ogródki i poletka, zwierzęta i ludzi. Przez większość czasu była otoczona życiem. Tu, do tego grobowca dawnej świetności, przychodziła tylko na kilka chwil każdego dnia. Nie pojmowała jego trosk, nie tak naprawdę.

Szybko jednak polubiła krzew. Często przesiadywali w jego cieniu, wdychając słodki zapach kwiatów. Akacja stała się dla niej symbolem zbytku. Tam, na dole, było nie do pomyślenia, by tracić wodę na coś, czego nie można zjeść lub zaprząć do pracy. By marnować czas na roślinę, która niczemu nie służy. Tutaj mogła zapomnieć o obowiązkach, wznosząc modły, a potem odpocząć jedząc, rozmawiając i ciesząc oczy pięknem. Poczuc namiastkę życia, jakie kiedyś prowadzili kapłani.

\*\*\*

– Gdzie jesteście? – mruczał do siebie, wpatrując się w pustynię przez lunetę. Odkąd podejrzana smuga dymu przestała się pokazywać, spędzał na tym zajęciu coraz więcej czasu. Martwił się bardziej, niż sam chciałby się przed sobą przyznać. Nin przekazała wprawdzie jego ostrzeżenie mieszkańcom wioski, ale nie sądził, by potraktowali je poważnie. Wystawiali warty, ale rzadko i nieregularnie, a stróżujący mężczyźni częściej skupiali się na plotkowaniu i popijaniu piwa, niż wypatrywaniu zagrożeń. Brakowało im dyscypliny. W końcu byli tylko rolnikami.

Wydawało mu się, że dostrzega jakiś ruch między wydmami, kiedy Po zostali dali mu znać, że ktoś zbliża się do głównej bramy. Mówiąc ściśle, że zbliżają się dwie osoby.

Westchnął. Zaskoczyło go, jak bolesne było nagłe uklucie żalu. Cóż, ten dzień musiał przecież nadejść, tak jak słońce musi kiedyś zajść. Wszystko się kończy. Poza jego służbą.

Ruszył na spotkanie przybyszów. Dotarł do wrót niemalże równo z nimi. Ojciec Nin skłonił się płytko, pośpiesznie. Stojący obok niego chłopiec, na oko sześćioletni i bardzo przestraszony, powtórzył gest, o mało nie upuszczając trzymanego kosza.

– Bądź pozdrowiony, Strażniku.

– Witaj, Buriasz. Niech wielki Aaghu obdarzy cię swoimi łaskami, a inni bogowie patrzą na twe domostwo przychylnym okiem. – Ojciec Nin niemal zdołał ukryć grymas rozdrażnienia. Nie wierzył w bogów. Czy można mu się dziwić? Przyszedł na świat w świecie, w którym nie doświadczał ich łaski.

– Przyszedłem, by przekazać ci, że Nin stała się kobietą, więc nie będzie już nosić ci posiłków. Od dziś zastąpi ją Uszeszi, syn Kasztiliasza. – Wskazał na stojące obok dziecko, nie oderwał jednak spojrzenia od twarzy Harby.

– Dogadałem się już z Enlilem, jego chłopak i Nin będą sobie niedługo ślubować.

– Gratuluję. – Strażnik czuł w gardle gorycz, jednak starał się, by nie było jej słyhać w jego głosie. – To wspaniałe wieści.

– Dziękuję. Cóż, czas na mnie. Mam wiele do zrobienia. Podaj Strażnikowi jego posiłek, chłopcze. – Uszeszi niepewnie wyciągnął rękę z koszem. Widać było, że ma ochotę uciec. Harba zastanowił się przelotnie, co takie go dzieciak o nim słyszał. Czuł, jak w jego sercu wzbiera żal.

– Zaczekaj, Buriasz – poprosił.

Wieśniak zamarł w pół ruchu, nerwowo obejrzał się za siebie. Widać było, że ma ochotę zakończyć tę rozmowę, ulotnić się ze wzgórze, które uważał za przeklęte. Ale został.

– Przyszły mąż Nin... Czy to dobry człowiek? – Harba starał się zadać to pytanie obojętnym tonem, ale sam słyszał, że mu się to nie udało.

– Oczywiście! – gorączkowo zapewnił Buriasz. – Dobry gospodarz, za-

dba o nią i o dzieci.

– Dobrze. Poczekaj tu jeszcze przez chwilę. Słusznym jest, by Nin otrzymała ode mnie podarek z okazji ślubowania.

Buriasz zaczął protestować, tłumacząc się pilnymi obowiązkami, ale Harba nie zwracał na to uwagi. Ruszył w głąb sanktuarium, by po jakimś czasie wrócić, taszcząc naręcze ukwieconych gałęzi akacji. Zdumienie malujące się na twarzy Buriasza było niemal komiczne.

– Proszę. Udekorujcie tym dom, na dobrą wróżbę dla przyszłych małżonków. Niech im się darzy. Przekaż, proszę, Nin moje najlepsze życzenia.

– Zdołał jakoś wypowiedzieć te słowa, nie nasycając ich jadem i goryczą, które wypełniały mu serce. Rozumiał, że tak być musi, że to nieuniknione. Jednak w duszy Harba łkał z żalu, że po raz kolejny z jego życia znika ktoś mu bliski. Że znów zostaje porzucony. Że znów będzie sam. Zastanawiał się, ile jeszcze razy zdoła to znieść, nim coś w nim umrze do końca.

Choć potem bardzo się tego wstydził, w tamtej chwili z całego serca nienawidził Nin. Za to, że ją pokochał, a teraz musiał stracić.

Tak jak Isztari. Jak Gamila.

Jak wszystkich.

\*\*\*

Zaskoczyli wieśniaków całkowicie. Zaskoczyli nawet jego, choć co dzień ich wypatrywał. Musieli jechać nocą, a w ciągu dnia obozować, skryć wśród skał. Kiedy dostrzegł, że się zbliżają, było już zbyt późno, by cokolwiek zrobić. Zdawało się, że wypłuła ich sama ziemia. Wpadli do wioski w pełnym galopie, zanim jej zdumieni mieszkańcy choćby spróbowali zamknąć bramę. A potem zaczęła się rzeź.

Krew bryzgała na ściany domów i płótno namiotów. Tu i ówdzie ktoś stawał do walki, jednak większość po prostu uciekała bezładnie, próbując kryć się przed ścigającą ich śmiercią. Bojowe okrzyki bandytów mieszały się z wrzaskami mordowanych.

Harba porwał włócznię. Uznał, że nie ma czasu na wkładanie zbroi, popędził więc w kierunku bramy w samej tunice.

Stanął w otwartych wrotach i czekał. Krzyki stawały się coraz częstsze, coraz bardziej rozpaczliwe.

Czuł niemal, jak jego serce pęka, rozdarte przez kotłujące się w nim uczucia. Chciał ruszyć na pomoc. Obronić Nin, jej siostry i braci, jej matkę i ojca. I innych członków plemienia. Pomścić tych, których napastnicy zdążyli już zamordować. Ukarać przeklętych dzikusów za całe cierpienie, za wszystkie ofiary, za upadek Htot, za to, że tacy jak oni pogrzebali jego piękny, wspaniały świat. Chciał ratować niewinnych, zachować resztki tego, co dobre w tym bezbożnym świecie, ale też zabijać, skąpać się we krwi, miażdżyć czaszki i wrzeszczeć, aż wyrzuci z siebie cały mrok i gniew.

Jednak miał obowiązek. Musiał chronić świątynię. Nawet za cenę swojego życia. Nawet za cenę swojej duszy. Nie mógł porzucić posterunku. Jeden krok za bramę, a nie będzie już powrotu. Utraci wszelkie łaski, bez których nie zdoła już wypełnić swojej misji. Co gorsza, bandyci mogliby wykorzystać jego nieobecność i dostać się do podziemi. A wtedy wszystkie te lata, całe poświęcenie – wszystko poszłoby na marne.

Stał tak przez cały dzień i przez całą noc. Słuchając wrzasków i wykrzykiwanych błagań. Ohydnych śmiechów, niosących się echem w ciemności. Obserwując z wysoka rzeź, gwałty i plądrowanie. Wdychając dymy z palonych domów.

Sześć osób zdołało uciec grasantom i dotrzeć do świątyni. Nie było wśród nich Nin ani nikogo z jej rodziny. Być może byli też tacy, którzy zdołali się skryć gdzieś wśród ruin. Musiał mieć taką nadzieję.

Cały czas błagał w duchu bogów, by bandyci weszli na górę. By spróbowali ograbić sanktuarium. By miał szansę choć pomścić tych, którym nie był w stanie pomóc. Ale żaden z napastników nie pojawił się u bramy. Mógł tylko patrzeć z daleka, wsłuchując się w niemy wyrzut szóstki ocalałych.

O poranku bandyci odeszli, zabierając ze sobą zwierzęta i zrabowane przedmioty. A także kilka kobiet, prowadzonych na arkanach za wielbłądami. Harba przypatrywał się im przez lunetę. Nin nie było wśród nich. Zalała go wstydliva ulga. Wciąż mógł się łudzić.

Ocalali z pogromu wyszli ze świątyni bez słowa, pograżeni w żalu granicznym ze stuporem. Widział, jak spośród ruin wyłania się kilku innych.



Wciąż i wciąż szukał wzrokiem znajomej drobnej sylwetki, ale jej nie znajdował. Błagał bogów, by dziewczyna była bezpieczna, by jakimś cudem przetrwała masakrę. Odpowiedzi jednak nie było.

Kilka dni później ci, którzy przeżyli, opuścili wieś. Przez cały ten czas nikt nie wszedł na górę, więc Strażnik mógł jedynie biernie obserwować, jak pakują resztki żywności i to, co pozostało z ich dobytku, po czym wyruszają w drogę. Chciał mieć nadzieję, że znajdą gdzieś lepsze życie, ale czuł jedynie żal.

Na jego oczach Htot po raz kolejny umierało.

\*\*\*

– Głupia dziewczucha – mamrocze Strażnik. – Mówiłem jej przecież. Mówiłem po wielokroć. Uciekaj do świątyni. – Otrząsa się ze wspomnień, niczym człowiek strzepujący z siebie pył po burzy piaskowej. Ma wrażenie, jakby wynurzał się z płytkiego grobu. Po raz pierwszy od dawna czuje, jak jego bezpieczna rutyna chwieje się. Spogląda na trzymane w dłoniach wiadro wody, być może zdziwiony jego obecnością. Potem powoli przenosi spojrzenie na krzak akacji, toczący walkę o każdą krztynę wilgoci. Czuje, jak drżą mu dłonie, kilka kropel pryska na spieczony grunt, moczy mu buty. Odgłos błogosławionej wody padającej na ziemię wyrывa go ze stuporu.

– Marnotrawstwo! – mruczy pod nosem. – Mam pracę do wykonania.

Odchodzi z kubłem na dziedziniec i wylewa wodę na zdobiącą go mozaikę. Pada na kłęczki i powolnymi, okrężnymi ruchami szoruje, aż płytki odzyskują żywe kolory. Aż symbol Aaghu znów jest widoczny w swojej pełnej krasie.

\*\*\*

Intruzi wchodzą do świątyni, kiedy słońce zaczyna już z wolna zniżać się ku zachodniemu horyzontowi. Obserwował ich dyskretnie z murów, kiedy rozbijali obóz u podnóża schodów prowadzących do sanktuarium.

Większość poranka spędzili na myszkowaniu w ruinach Htot, potem na jakiś czas zgromadzili się w obozie. Teraz kilku pnie się tutaj.

Pozostali donosili mu o każdym ruchu bezbożników, odkąd ci wkroczyli na świętą ziemię. Strażnik stanął pod drzwiami, własnym ciałem zagradzając obcym dostęp do podziemi. Wie, że nie ma możliwości, by podkradli się niepostrzeżenie, ale woli nie ryzykować. Trwa więc na postęrnku, nieruchomy i nieporuszony. Czeka, śledząc powoli przesuwane się cienie, ściskając w garści tępą włócznię, obłożony rozłazącą się w szwach zbroją, wsłuchany w raporty Pozostałych. Gotowy do walki. Gotowy wypełnić swój obowiązek. Jak za każdym razem.

W końcu ostrożnie przekraczają sypiący się łuk bramy. Czterech z przodu to typowe opryszki, w rękach trzymają włócznie, miecze i tarcze, noszą metalowe napierśniki, nagolenniki i karwasze. Piąty, idący z tyłu, odstaje od reszty. Siwy, pomarszczony, nie nosi pancerza, w rękach trzyma jedynie długi kij.

Wódz karawany? Przewodnik? – zastanawia się Strażnik. Ale tak naprawdę nie ma to znaczenia. Ważne jest jedynie, że starzec nie stanowi większego zagrożenia.

Intruzi rozglądają się po dziedzińcu, ale nie zauważają Strażnika, jego sylwetka zlewa się z burymi ścianami i wszechobecnym piaskiem. Są zresztą zbyt podekscytowani widokiem studni, trajkoczą do siebie jak stado małą w języku, w którym Strażnik z trudem rozpoznaje odległego potomka własnej mowy. Dopiero po chwili jeden zwraca uwagę na czyste, niedawno umyte kamienie mozaiki. Momentalnie zbijają się w najeżoną ostrzami grupę. Widać, że walczyli już razem. Wartownik, wciąż cichy i nieruchomy, ocenia ich, bada postawy, szuka słabych stron. Nie ma to wielkiego znaczenia, wynik starcia i tak jest przesądzony. Ale boskie przykazania uczą, by zawsze starać się poznać swego wroga przed walką.

W końcu go dostrzegają. Znów podnoszą krzyk w swoim wrzaskliwym, niezrozumiałym narzeczu. Groty włóczni i ostrza mieczy zwracają się w jego stronę. Robi w ich kierunku dwa powolne kroki.

– Opuśćcie to święte miejsce! – nakazuje zgodnie ze zwyczajem. Stara się nasycić głos gniewem, którego nie czuje. Napęlić obcych łękiem, choć

nie pamięta już, co to znaczy się bać. – Odejdźcie, wy, którzy nie nosicie w sercu Aaghu! Albowiem nie jesteście godni oddychać tym powietrzem, deptać butami tej ziemi, pić wody ni grzać się przy ogniu!

Nie rozumieją go, oczywiście. Ale obyczaj daje im prawo do ostrzeżenia. Wskazuje więc rozkazująco na bramę, mówiąc:

– Precz!

Przez chwilę mruczą coś do siebie, niezdecydowani. W końcu jeden z oprychów, zapewne przywódca, wychodzi z grupy, czujny i spięty jak hiena na terytorium lwa, po czym szybkim gestem pokazuje na siebie, swoich towarzyszy, potem zaś na studnię. Udaje, że pije ze skulonych dłoni. Szerokim gestem obejmuje znów całą grupę, po czym kiwa w kierunku bramy.

Strażnik nie zwraca uwagi na tę pantomimę. Obcy muszą zrozumieć, że tu nie ma miejsca na targi. Że albo będą posłuszni, albo ich ciała zostaną zrzucone z murów. Rusza powoli w ich kierunku. Daje im czas na podjęcie decyzji. Widzi, jak strzelają dookoła oczami, jak spoglądają nerwowo na cembrowinę, chciwie oblizując wargi. Chwilę później ich dowódca coś krzyczy. Starzec zaciska dłonie na kiju, cofa się kilka kroków, zaczyna mrużyć pod nosem. Strażnik go ignoruje, choć szeptem nakazuje Pozostałym, by mieli na niego oko. Reszta grasantów rozprasza się. Dwóch – jeden niski, łysy i drugi, o włosach wystrzyżonych w czub – odchodzi na lewo, trzeci, masywny, niemal gruby – na prawo. Ten, który wcześniej odgrywał scenkę, zostaje pośrodku, uderza mieczem o tarczę, krzyczy coś w swoim barbarzyńskim narzeczu, prowokuje Strażnika do ataku. A Strażnik atakuje.

Ale nie naprzód, a w lewo.

Dwa kroki i już jest koło Łysego, widzi, jak oczy tamtego rozszerzają się ze zdumienia. Markuje pchnięcie w twarz, a kiedy obcy odruchowo unosi tarczę, opuszcza grot i dźga prosto w nieosłonięte udo. Jasnoczerwona krew tryska z rany, wróg pada jak podcięty, wrzeszcząc coś niezrozumiałego. Towarzysze Łysego również wrzeszczą, ruszają, by go pomścić. Strażnik wyrywa grot z ciała powalonego, osłania się tarczą przed włócznią Czubatego, a potem gwałtownie dźga tyłcem broni w twarz Grubego, który próbuje zająć go od pleców. Tamten klnie, zaczyna na osłep wymachiwać mieczem, licząc na łut szczęścia. Ale Strażnika już

tam nie ma. Wymyka się spod ostrza, błyskawicznie naciera na dowódcę. Uderza mocno, na wprost, zbyt szybko, by tamten zdążył się zastawić. Włócznia uderza w napierśnik z siłą dostateczną, by wgiąć blachę, ale tępy grot nie daje rady przebić zbroi. Spracowane drzewce w końcu się poddaje, pęka niczym sucha gałąź.

Intruz nie traci chwili. Dźga mieczem prosto w brzuch Strażnika, ten jednak zbija cios trzymanym w ręku ułomkiem, tak że klinga, miast przebić na wylot, rani go jedynie w bok. Draśnięcie niegodne uwagi.

A jednak... Strażnik czuje coś niezwykłego. Coś jednocześnie niemal obcego i obrzydliwie znajomego. Ból. Rana boli. Niepokalany sapie ze zdumienia. Ale nie ma teraz czasu na roztrząsanie tego dziwu, bo dowódca zamierza się już do kolejnego ciosu. Strażnik przerywa mu, błyskawicznie uderza rantem tarczy w twarz intruza, który w ostatnim momencie zasłania się własną tarczą. Impet ciosu jest jednak na tyle duży, by odepchnąć go, dać Strażnikowi trochę przestrzeni. Odrzuca resztki włóczni i woła:

– Broń!

Pozostali błyskawicznie porywają miecz powalonego wroga i podają mu go do ręki. Intruzi, jeszcze przed momentem gotowi rzucić mu się do gardła, widząc to wyraźnie tracą rezon, co pozwala Strażnikowi odzyskać inicjatywę. Naciera w prawo, zabija Grubego, nim ten zdąży wyjść z szoku, rozrąbuje mu szyję jednym ciosem. Potem odwraca się, tnie Czuba z góry, ten jednak przyjmuje cios na tarczę, spycha ostrze Strażnika w bok i próbuje go dźgnąć pod pachę. Strażnik odskakuje, zamiast kontrować przyskakuje do skradającego się od tyłu dowódcy. Markuje cięcie z dołu, ale tamten nie daje się nabrać, paruje podstępne uderzenie w brzuch.

Coś jest nie tak. Bardzo nie tak.

Strażnik czuje, jak jego ruchy zwalniają. Mięśnie mu płoną, nie może złapać tchu. Męczy się. Jak zwyczajny śmiertelnik.

Rytuał przestał działać.

Nagle, z przerażeniem, spogląda na starca, który cały czas wbija w niego oczy, mruczy coś pod nosem. A potem, sam nie całkiem wiedząc czemu, zrywa się, by przebić go mieczem.

Ale tamci dwaj nie zamierzają mu na to pozwolić.

Dowódca wykorzystuje dekoncentrację Strażnika, tnie go szybko, w łydkę. Czub przyskakuje z drugiej strony, dźga włócznią prosto w szczelinę w zbroi Strażnika. Ten krzyczy, opada na kolana. Dziko, chaotycznie wymachuje mieczem, starając się odepchnąć od siebie przeciwników, zyskać trochę czasu, by się pozbierać. Ale jego ruchy zwalniają jeszcze bardziej. Rękojeść wyslizguje mu się z palców, które nagle stały się sztywne, jak wystrugane z drewna. Pada na plecy. Widzi nad sobą niewyraźne sylwetki intruzów.

– Bądźcie przekłęci – charczy w ich kierunku, ale oni oczywiście nic nie rozumieją.

A potem zapada ciemność.

\*\*\*

Sipa jęczy boleśnie, kiedy Dumuzi zaciska opatrunek. Potem wykonuje na próbę kilka ostrożnych ruchów. Żebra bołą, ale może oddychać.

– Sukinsyn! – klnie pod nosem. – Szybki był. Gdyby nie zbroja, nadziałby mnie jak kurczaka na rożen.

– Ta, niewiele zbrakło. Szkoda, że Naddu i Alalgar nie mieli tyle szczęścia. – Medyk zerka na leżące nieopodal, nakryte płaszczami zwłoki.

– Ta, cholerna szkoda. – Najemnik rzuca okiem w niebo. Kiedyś podobno ludzie wierzyli, że po śmierci odchodzi się właśnie gdzieś tam, by żyć wiecznie w doskonałym królestwie. Byłoby miło. Mógłby podziękować poległym towarzyszom, raz jeszcze ich uściskać. Wysłuchać głupich przechwałek o kobietach, które posiadli i wrogach, których powalili.

Otrząsa się z marzeń. Przy wieczornym ognisku wypiją za ich imiona. Dzięki poświęceniu tej dwójki będą mieli czym – studnia na dziedzińcu okazała się sucha, ale druga, znaleziona na tyłach, pozwoli im napełnić brzuchy i bukłaki świeżą wodą, napoić wielbłądy. Da im szansę na odnalezienie drogi przez pustynię.

Zwraca spojrzenie ku podpierającemu się na kiju mędrcomu, wpatrzonemu w drzwi, których pilnowało to coś.

– Muszę ci to oddać, Kabyzesie. Gdyby nie ty, byłoby po nas. Do demonów, ten bydlak ledwie zwrócił uwagę, kiedy dźgnąłem go mieczem.

Co to w ogóle było? Bo przecież nie człowiek.

– To, proszę was, był edimmu – odpowiada w zamyśleniu mag. – Ktoś dał mu wielką siłę i odporność na ciosy, ale za cenę jego duszy, na wieki uwięzionej w tych murach. Udało mi się rozpleść ten czar, odesłać go na spoczynek.

– No i pokój z nim, przeklętym wynaturzeniem. – Sipa spluwa, zmienia temat: – Jesteś pewien, że powinniśmy otwierać te drzwi? Kto wie, co znajdziemy po drugiej stronie. Może tam być więcej tych całych edimmu.

– Chcę sprawdzić, co jest w środku. Skoro ktoś wykorzystał tak potężną magię, by je chronić, po drugiej stronie musi być coś wartego uwagi.

Dumuzi kręci z rezygnacją głową, Sipa mruczy pod nosem klątwę. Nie ośmiela się jednak odmówić magowi.

Uderzenia młota bez trudu rozbijają skorodowane, starożytne zamki. Echa razów powoli gasną wśród martwych, opuszczonych ścian dawnej... twierdzy? Zapewne, uznaje Sipa. Chociaż te wszystkie posągi i zdobienia, wciąż jeszcze widoczne tu i ówdzie pomimo zwałów piachu i zniszczeń poczynionych przez czas, wydają się nie na miejscu. Czyżby to była jedna z legendarnych świątyń? Dom jakiegoś zapomnianego boga? Ruszają w kierunku mrocznego otworu drzwi do podziemi. Z wnętrza wieje chłodem, wywołującym ciarki na spieczonej skórze przybyszów.

– Zapalić łuczywa – mówi Sipa, starając się stłumić narastający niepokój. – Schodzimy powoli, trzymamy się razem. Oczy dookoła głowy, nie wiemy, co jest na dole.

\*\*\*

– Przeklęty pech! – W głosie Kabyzesa wyraźnie brzmi rozgoryczenie.

Najemnicy, upaprani kurzem i pajęczynami, nie komentują. Na dole nie było złota ani srebra, nie było klejnotów ani nawet cennych mebli czy zdobień. Jedyne kamienne regały wypełnione zwojami, dziesiątkami i setkami zwojów, dla których czas i myszy nie były łaskawe.

– Z faktami trudno się kłócić, magu – bąka Sipa. Na polecenie Kabyzesa wynieśli z podziemi po naręczu pism, z których mag próbował teraz coś

wyczytać. Ewidentnie szło mu niesporo.

– Przekłete szkodniki – warczy starzec. – Niewiele idzie z tego zrozumieć.

– Zostawmy to, szkoda zachodu. Nawet na opał to się nie nadaje. – Sipa z rezygnacją macha ręką. – Nie poszczęściło się, trudno. Grunt, że znaleźliśmy wodę.

Kabyzes wzdycha, ale z ociąganiem kiwa głową.

Kilka dni później najemnicy odchodzą. Pochowali swoich zmarłych pod piaskami. Po długiej dyskusji wykopali również grób dla Strażnika. W świątyni znów słychać było jedynie świst wiatru i szelest piasku ocierającego się o kamienie. Jedno i drugie po raz pierwszy od dawna zapuściło się w mrok podziemi, gdzie w dziesiątkach wykutych w piaskowcu nisz spoczywały tysiące zapisanych zakazaną mądrością zwojów, powoli, powolutku zmieniających się w proch.

### **Link do opowiadania wraz z komentarzami:**

<https://www.fantastyka.pl/opowiadania/pokaz/29783>

**Michał Gola** – urodzony w pamiętnym roku 1989, z wykształcenia farmaceuta, z zamiłowania maruda, co od niemal dwóch dekad wykorzystuje przy hobbystycznym pisaniu krytyk literackich i redagowaniu tekstów, ku zgrozie i rozpacy wszystkich zainteresowanych. Autor dwóch opowiadań opublikowanych w ramach antologii z serii *Zapomniane Sny*.





## Trzecia noga

Adam Ciszewski

07.12.3211

Wielce Szanowny Panie P!

Piszę w odpowiedzi na Pańskie ogłoszenie. Ale na samym początku, zanim jeszcze się przedstawię i odniosę do propozycji, chciałbym dać wyraz memu zdumieniu. Liczba korzystnych zbiegów okoliczności, wiodących do chwili, w której kreślę niniejsze słowa, jest wręcz nieprawdopodobna. Unikam prasy, czytuję raczej literaturę naukową, choć to ona odpowiada pośrednio za moje kalectwo, o czym jeszcze wspomnę. Jakie były szanse na to, że kartkując w kiosku wiadome pismo, trafię akurat na TO ogłoszenie? Przyznam, że czytałem je w kółko, nie wierząc własnym oczom. Nazwanie tej sytuacji niesamowitą jest truizmem, ale... tak, to niesamowite!

Parę słów o mnie: nazywam się Zorg i przyszedłem na świat na Ziemi. Moi rodzice byli przesiedleńcami, co napawa mnie dumą i wielkim uznaniem dla ich odwagi i pracowitości. Własnymi mackami wypracowali dla siebie i swego miotu dobrobyt. Względny, nigdy się u nas nie przelewało... Cóż, nieważne.

Z wykształcenia i z zawodu jestem naukowcem, badam różowiaki. Żadne eksperymenty, zwykle obserwacje. Nudy? Nie dla mnie! Ilekroć wchodzę do rezerwatu, czuję dreszczyk, ekscytację, choć te nieszczęsne istoty nie są mnie już w stanie niczym zaskoczyć. Ups, jakby co, to tego nie napisałem! Jeszcze mi obetną fundusze! :::)

Pewnie zwrócił Pan uwagę na mój adres. Mieszkamy daleko od siebie, ale mimo sporych kosztów wysyłki proponowany przez Pana układ i tak wychodzi nad wyraz korzystnie! Na dobry początek znajomości przesyłam Panu skórzany mokasyn. Żadne szewskie dzieło sztuki, zwykły but z salonu DDD, ale porządny.

Proszę wybaczyć, ale przejdę do konkretów – czy będziemy się rozliczać na bieżąco, czy na zasadzie wymiany „but za but”? Decyzja należy do Pana.

Na wszelki wypadek załączam do przesyłki paragon.

Czekam z niecierpliwością na Pańską odpowiedź!

PS Straciłem nogę w wypadku, wszedłem pod tramwaj. Byłem pogrążony w lekturze zajmującej książki i bach – niemal zaczytałem się na śmierć. Niezgrabny żart, ale zawsze żart; dzisiaj, po wielu latach, potrafię już się z tego śmiać, choć tragiczne zdarzenie i jego konsekwencje wciąż... Zresztą, co się będę rozpisywał. Przecież Pan to świetnie rozumie.

PS2 Wystarczyłoby, żebym stracił w wypadku lewą nogę, a nie prawą. Albo Pan prawą, nie lewą. Albo żeby rozmiary naszych stóp się różniły... Niesamowite!

PS3 Nie wiem, czy Pańska odpowiedź nadejdzie jeszcze w tym roku. Jeśli nie, to już teraz załączam serdeczne życzenia: Wesołych Świąt!

Z wyrazami szacunku

*Zorg*

\*\*\*

21.12.3211

Drogi Pożeracz!

Przyznam, że pisząc powyższe słowa szeroko się uśmiechnąłem. „Pożeracz”!

To doprawdy wyjątkowe! W liście wspominasz, że pochodzisz z Tralmandrii. Czy w tamtych stronach wszyscy noszą równie oryginalne imiona? Wybacz, odzywa się moja badawcza natura, postaram się nie być za nadto wścibski :::)

But, który byłeś łaskaw mi przysłać, pasuje jak ulał! Ciepły, wygodny, a nade wszystko elegancki! Napisz, proszę, gdzie go kupiłeś. Jeśli w jakiejś sieciówce, to chętnie się na nią przerzucę. Jeśli zleciłeś jego wykonanie rzemieślnikowi, to cóż – najprościej będzie, jeśli za niego zapłacę, bo z pewnością nie był tani. Przemyśl, proszę, sposób, w jaki mamy się rozliczać, bo na tę chwilę z pewnością jestem Twoim dłużnikiem i zo-

stanę nim aż do Bożego Narodzenia, choć to podobno przynosi pecha! W ten przesąd wierzyły niegdyś różowiaki. Dawno temu, bo teraz raczej nie obchodzą świąt. Jedyne w Afryce, w odległych rezerwatach, świętują akurat w grudniu. Bo oryginalnie Boże Narodzenie obchodzono właśnie pod koniec tego miesiąca. A więc najbliższe święto jest tym, powiedzmy, „najprawdziwszym”.

Przyznam Ci, że nie przepadam za grudniowym BN, choć Kocham zimę. Lubię stać w oknie, ściskając w macce szklankę z koniakiem, i w świetle latarni obserwować lot płatków, które spadają na ziemię, by rozpuścić swą wyjątkowość w zalegającej wszędzie białej masie. Jest w tym coś dojmująco smutnego i krzepiącego zarazem, dziwne uczucie.

Wczoraj wybrałem się do centrum handlowego. Wszędzie stoją już choinki, niektóre naprawdę imponujące i pięknie ustrojone, ze sklepowych witryn wylewa się cukierkowa czerwień i zieleń. Nie ma chyba branży, która nie próbowałaby teraz zwiększyć obrotów. Sugeruje się nam, że nadszedł czas nie tylko na zakup prezentów, ale i na uzupełnienie biblioteczki, garderoby, kredensu... „Czy jesteś gotów na Wigilię?” – głosił napis na plakacie, a poniżej, na wystawce pełnej waty i kolorowych bombek, porcelanowa zastawa dla dwunastu osób. Jak dla mnie to o jedenaście za dużo. No i nie używam porcelany. W ogóle nie jadłem w Wigilię. Znaczący, jadłem, ale byle co. W zeszłym roku kupiłem sobie mielonkę, choć jedzenie mięsa tego dnia podobno przynosi pecha.

A Ty? Czy spędzasz ten czas z bliskimi? Przepraszam, ale pozwolę sobie zauważyć, że z Twojego listu bije jakiś taki chłód, smutek. Pochodna samotności?

Zakładałem, że listy będą zaledwie dodatkiem do przesyłek z butami, tymczasem spójrz tylko – strasznie się rozpisałem, a żadnego buta nie załączam. Nie chcę się wygłupić jakimś tanim laczkiem. Z niecierpliwością czekam na odpowiedź!

Pozdrawiam

Zorg

\*\*\*

Pożeraczu!

Myślałem, że to żart, oczywiście. Kiepski, ale cóż – różne chodzą po tym świecie istoty, rozmaite mają poczucie humoru. W tym roku postanowiłem ubrać choinkę. Zrobiłem to w Wigilię, nie nad talerzem z mielonką, o nie, przyrządziłem sobie barszcz z uszkami i rybę. Czułem się dobrze jak nigdy. Twój list wyciągnąłem ze skrzynki w samo Boże Narodzenie i cóż, dobry humor poszedł precz, święta zepsute. Po co ja to piszę? Przecież Ty albo tego nie czytasz, albo nic nie rozumiesz. Czy z moich listów nie wynika, że jestem istotą wykształconą?! Jak myślisz, jak mogłem zareagować na to wszystko?!

Od razu pognałem do instytutu. Czy Ty wiesz, jak by to wpłynęło na moją reputację, gdyby się wydało?! Czytujesz „Multinational Geographic”? O co ja pytam, Ty co najwyżej bierzesz w macki program telewizyjny albo ten durny „Twój kosmos”, w którym zamieściłeś swoje ogłoszonko! W poważnej prasie, w uznanym periodyku, pojawił się artykuł o mnie: „Wielki przyjaciel Ziemiań”! Właśnie – „ZIEMIAN”, tak ich tam nazwano, cóż to w ogóle za parszywe słowo: „różowiak”? I teraz wyobraź sobie, że ktoś odkrywa, co nosiłem na nodze!

W instytucie mam dobrego kolegę laboranta, mogę liczyć na jego dyskrecję. Nie mógł uwierzyć, kiedy poprosiłem go o ekspertyzę. Oczywiście, nie pokazałem mu Twojego listu, w którym, tą swoją pożałowania godną składnią, chwalisz się wyprawą na „polowanie”.

Sam nie wiem, czy ten kolega był jeszcze na lekkim kacu po rodzinnym zjeździe, czy już myślał o sylwestrowym wypadzie w góry, a może szok zwycięstwa był tak duży, że tylko sprawiał wrażenie, jakby wcale go to nie obeszło. „Skóra różowiaka, na bank” – orzekł, jak gdyby nigdy nic, obracając but w rękach. – „Fachowa robota”.

Morderco! Myślisz, że skoro prawo zezwala na krzywdzenie Ziemiań, to można ich zarzynać i szyć sobie z nich buty?!?! Kusi mnie, żeby pójść na policję, bo wątpię, żebyś polował w sezonie! A może wykradłeś jakiegoś nieszczęśnika z rezerwatu, co?!

*Zorg*

\*\*\*

05.01.3212

Drogi Pożeraczu!

List ten posyłam w ślad za poprzednim. Wybacz, poniosło mnie. To chyba przez te zimowe święta. Gdyby nie one, ważyłbym słowa.

Nie miałem prawa nazwać Cię mordercą, ostatecznie to tylko ludzie, nie kosmici. Tak, napisałem to, choć ten punkt widzenia jest mi tak naprawdę obcy. Wychowano mnie w poszanowaniu dla istot półrozumnych. Zaszczepili mi je rodzice – wygnani z własnej planety, tutaj znaleźli swój nowy dom i, pokochawszy to miejsce, automatycznie obdarzyli uczuciem wszystkie tutejsze gatunki. Choć, co przyznaję z żalem, kilku niewolników zginęło przy budowie naszej chaty, a jeden z nich skończył na stole. Parapetówka była ponoć huczna. Ale zostawmy to.

Wybrałem się do DDD i kupiłem najdroższą parę półbutów, jaką mieli. Wciąż nie wiem, czy jesteśmy kwita, jak to ocenić? Tak czy inaczej, pragnę podtrzymać naszą korespondencję oraz wymianę obuwia, ale, bardzo proszę, nie przysyłaj mi więcej własnoręcznie szytych butów. Szyj je, proszę, tylko dla siebie. Nie, najlepiej w ogóle ich nie szyj! Raz jeszcze przepraszam. Czekam na Twoją odpowiedź.

Pozdrawiam

*Zorg*

\*\*\*

2.03.3212

Drogi Pożeraczu!

Rany, od czego tu zacząć. Może od końca, bo potem jeszcze zapomnę: życzę Ci wesołych Wiosennych świąt Bożego Narodzenia. Te wiosenne lubię chyba najbardziej. Przyroda budzi się do życia, a raczej zmartwychwstaje, śniegu już prawie nie ma, znów wszyscy są dla siebie życzliwsi,

a sklepy zachęcają do wydawania pieniędzy... Przyznam, że w tym roku uległem tradycji i kupiłem sobie wielkiego cukrowego baranka. Zgodnie z obyczajem zawiesiłem go na choince głową w dół i oblizuję siedem razy dziennie, najpierw od zadu po łeb, potem od ucha do ucha, przez co robi się coraz mniejszy i brzydszy. I pomyśleć, że Ziemia niegdyś czcili to zwierzę – słabe, pokorne, łagodne. Co skłaniało ich, by padać przed nim na kolana? Żeby jeszcze próbowali się do niego upodobnić, ale nie, wprost przeciwnie. Powinni byli raczej oddawać pokłon szakalowi albo jastrzębiowi.

Podobał mi się Twój ostatni list. Prosty, szczery, pisany ciągiem bez jednego znaku przestankowego, co pokazuje, z jak wielkim zaangażowaniem go tworzyłeś. Przyznam jednak, że nie wiem, co sądzić o tym, co napisałeś we fragmencie poświęconym polowaniom: „Muszę to robić bo jeszcze zrobie coś złego zabije kosmitę”. To dowcip, tak? A może jakiś zapomniany idiom, takie powiedzonko?

Ręka mi drży, ale trudno. Pożeraczu, muszę zapytać wprost: czy Ty naprawdę straciłeś nogę? Bo przyznaję, że kiedy piszesz o tym, jak śledzisz „zwierzynę”, krocząc pośród cieni, stając się „niewidzialnym jak powietrze” (ładne porównanie!), to jakoś nie wyobrażam sobie, byś mógł to czynić na wózku elektrycznym. Równocześnie nie wiem, czemu miałbyś zamieszczać nieprawdziwe ogłoszenie, chyba że po prostu szukałeś kogoś, przed kim mógłbyś się pochwalić swoimi „wyrobami”... Wybacz, że wprost zarzucam Ci pisanie nieprawdy, ale to dla mnie bardzo ważne. Myślę, że dzielenie się butami, choć istotne z ekonomicznego punktu widzenia, stanowiło dla mnie tak naprawdę tylko część korzyści, które miałem nadzieję wynieść z naszej korespondencji. Chodzi również o zyski nieoczywiste, o dzielenie się doświadczeniami. Chciałbym wiedzieć, czy Ty również... Te wszystkie cierpienia! Czy darzyłeś kiedykolwiek uczuciem kobietę, wiedząc, że nic z tego nie będzie, boś kaleka? Czy musiałeś marznąć na przystanku, czekając, aż pojawi się autobus z rampą?! Wreszcie – czy kupiłeś kiedykolwiek parę butów ze świadomością, że jeden z nich trzeba będzie po prostu wyrzucić, bo co komu, poza Tobą, po jednym bucie...? To trudne. Wciąż bardzo trudne.



PS Wybacz, że imputowałem Ci kłusownictwo. Tak, wiem, że na terenie Podlasia i Pojezierza Mazurskiego można w sezonie polować na Ziemian.

PS2 Co masz na myśli, pisząc o „podnieceniu”, które, jak wyznałeś, czujesz w trakcie polowań?

PS3 Mam nadzieję, że trzewik wpasuje się w Twoje gusta.

PS4 Raz jeszcze – wesołych świąt Wiosennego Bożego Narodzenia!

Pozdrawiam

*Zorg*

\*\*\*

01.06.3212

Drogi Pożeraczu!

Martwiło mnie Twoje długie milczenie. Ostatni list posłałem Ci na wiosnę, załączając życzenia świąteczne, tymczasem patrz – kolejne święta za pasem.

Wydaje mi się, że jestem dość obyty i niewiele rzeczy jest w stanie mnie zaskoczyć, ale czytając o Twych technikach, przecierałem oczy ze zdumienia. Wnyki i karabinek snajperski, kto by pomyślał. A więc każde ograniczenie można obejść. Dziękuję, że rozwiązałeś wątpliwości dotyczące Twego inwalidztwa. Ładny Ci wyszedł ten rysunek, przedstawiający pechowe polowanie, podczas którego straciłeś nogę. Inne rysunki też bardzo ładne. Nie musisz ich więcej przysyłać.

To miłe, że podpowiadasz mi, jak sobie radzić z przykrościami, o których wspomniałem – jak zauważyłeś, miłość można kupić (choć to nie do końca tak), zamiast autobusu wybrać taksówkę albo po prostu jechać na wózku, a problem wyrzucania zbędnego obuwia już mnie nie dotyczy, odkąd się znamy. No tak :::)

Mam nadzieję, że dobrze się czujesz. Nie rozumiem, co miałeś na myśli, pisząc o opanowaniu Marsa, nadchodzącym czasie miecza i pogardy, żelaznych różgach i opieczętowanych drzwiach. No i nie wiem też, co to



znaczy, że „przyniesiesz zemstę”. Nie jesteś aby chory, może przeziębiles się na polowaniu? Mierzyłeś sobie temperaturę?

Dziękuję Ci za adidas, widzę, że jednak przekonałeś się do DDD. Przyznam, że nie noszę obuwia sportowego, ale ten but jest nawet ładny, sądzę, że mi posłuży.

PS Potraktuj tę sugestię luźno – może powinieneś znaleźć sobie inne hobby?

PS2 Dziękuję za doprecyzowanie natury owego „podniecenia”. Pytałeś, czy ja też tak miewam. Nie, nie miewam, to uczucie towarzyszy mi w zgola innych sytuacjach.

Ściskam  
*Zorg*

\*\*\*

18.06.3212

Drogi Pożeraczu!

Wesołych Letnich świąt Bożego Narodzenia! Żar leje się z nieba, a my znów gnamy do sklepów i przystrajamy drzewka. Panienki wiją wianki, a kawalerowie stawiają szafasy i gromadzą opał na całonocną biesiadę! Wszyscy się radują i przyznają, że ta radość udziela się również mnie.

Dzisiaj króciutko, bo, kurczę, przyznam Ci się – mam wieczorem randkę. Nie robię sobie wielkich nadziei, ale kto wie?

Przesyłam Ci lakierek. Drugi już jest na mojej stopie, oby przyniósł mi szczęście!

PS Z radością przyjmuję Twoją deklarację, że jesteś zdrowy. Ale to nie tak, jak piszesz, że tak naprawdę to wszyscy inni są chorzy. Na wiosnę tak, można użyć takiego uogólnienia, ale już dawno po sezonie grypowym.

Ściskam  
*Zorg*

Drogi Pożeraczu!

No i znów, pisząc do Ciebie, nie wiem, od czego zacząć. A więc ucieknę do przodu – życzę Ci wesołych świąt Bożego Narodzenia. To już prawie rok od pierwszego listu. Chciałoby się napisać, że szybko zleciało, ale to nie byłaby prawda. Nie w moim przypadku. Mnie wszystko się dłuży, wiesz?

Mam nadzieję, że Cię nie zasypało, u mnie spadła cała masa śniegu. Cholera, po co o tym piszę? Przejdę do rzeczy, stawiając na asertywność. A więc: Twoje zarzuty uważam za niesprawiedliwe. To, że złamałeś nogę w lakierku, który Ci przesłałem, wcale nie jest moją winą. Sam mogłeś sprawdzić, czy podeszwa się nie ślizga. Przykro mi, że to zdarzenie pokrzyżowało Ci plany, ale nie jestem za to odpowiedzialny, czy chociażby współodpowiedzialny.

Poza tym – kto się tak stroi na polowania? Napisałeś, że do nieszczęścia doszło, kiedy wstawałeś z wózka, żeby przytroczyć doń ładunki wybuchowe. To też mnie zastanawia – nie znam się na tej Twojej diabelskiej, łowieckiej pirotechnice, więc nie wiem, czy taki ładunek może zawilgnąć, ale chyba bezpieczniej byłoby go trzymać w jakimś plecaku, co? Nie chcesz chyba, razem z tym cholerstwem, wylecieć w powietrze?!

Rozumiem, że z polowania nici, więc przesyłam Ci... nici! A raczej włóczkę. I szydełko. Tak, drogi Pożeraczu, skoro i tak jesteś teraz uziemiorny i musisz odłożyć swoje plany, to w międzyczasie zajmij się dzierganiem!

PS. Nie myśl sobie, że z Ciebie kpię, szydełkowanie to świetne zajęcie, sam się wkręciłem jakiś czas temu. Na dowód, jak dobrze mi idzie, przesyłam Ci nie but, ale wykonaną przeze mnie skarpetę. Nie lubię się chwalić, ale renifer wyszedł pierwszorzędny, nie uważasz?

Twój  
Zorg

Drogi Pożeraczu!

No, patrz, złożyłem Ci już życzenia, bo nie spodziewałem się rychłej odpowiedzi, a Ty sprawiłeś mi taką miłą niespodziankę i odpisałeś błyskawicznie. Mało, że odpisałeś!

Skarpeta, którą wydziergałeś, jest przepiękna! To żadne tanie pochlebstwo kierowane do nowicjusza, by się nie zrażał; słowo daję, że stworzyłeś małe dzieło sztuki, bez dwóch zdań masz talent. Mikołaj wygląda jak żywy! A te sanie, te elfy! Cudo!

W mijającym roku dostarczyłeś mi masę przeróżnych wrażeń, Pożeraczu. Cieszę się, że już nie chowasz urazy. Ale jeszcze bardziej cieszy mnie to, że w końcu postanowiłeś zmienić hobby, co kiedyś Ci sugerowałem. „Nie bede zabijał chce zyc i dziergać” – aż mnie kusi, żeby oprawić to piękne zdanie w ramkę i powiesić na ścianie!

A więc co? Od teraz przesyłamy sobie także skarpety? Mam pomysł! Dziergajmy je sobie na święta! Jeden drugiemu! A przynajmniej raz do roku, na to zimowe, „najprawdziwsze” Boże Narodzenie!

PS Ciekawe, od czego wzięła się nazwa świąt? I dlaczego niegdyś obchodzono je tylko raz w roku? Że niby Bóg się miał narodzić? Chyba nie dosłownie? No cóż, w końcu wymyślili to Ziemianie, którzy mają na koncie równie dosłowne określenia jak choćby „ptasie mleczko”!

PS2 To chyba nazbyt śmiała sugestia, ale kto wie – może w przyszłym roku będziemy świętować wspólnie? Jakby co, to już teraz zapraszam do siebie!

PS3 No, to raz jeszcze – Wesółych Świąt!

Twój  
*Zorg*

**Link do opowiadania wraz z komentarzami:**

<https://www.fantastyka.pl/opowiadania/pokaz/31244>



W każdą sobotę ojciec zrywał się z łóżka skoro świt. Choćby za oknem lało i waliło gradem, wychodził z domu i wracał zawsze koło południa z reklamówką pełną rozmaitych składników. Skazany na improwizację, przyrządzał mniej lub bardziej udane zupy, a my nigdy nie wybrzydaliśmy, nawet kiedy zdarzyło mu się coś szczególnie źle przyprawić albo gdy mięso na wywar nie pachniało zachęcająco.

Podczas jednego ze wspólnych obiadów ojciec podzielił się z nami nowiną.  
– A wiecie, że chcę mnie kupić?

Starał się wypowiedzieć te słowa obojętnym tonem, ale zrobił to tak nieudolnie, że – choć powiedział, co powiedział – mało nie parsknęłam śmiechem. Był typem człowieka, który nie lubi owijać w bawełnę i nigdy tego nie robił. Brakowało mu wprawy.

Zerknęłam na Leona. Jeszcze nie wyglądał na wkurzonego. Mia zastygła w bezruchu, z łyżką przystawioną do ust. Marszczyła brwi, jej ośmioletni rozum wskoczył na wysokie obroty.

To ja musiałam zadać niezbędne pytanie.

– Wystawiłeś się?

– Ano. Tak jakoś wyszło.

Leon pokręcił głową.

– Tak jakoś to można, nie wiem, zesrać się w gacie. Albo zająć w ciążę. A nie wrzucić się na rynek.

Mój brat zapraszał ojca do kłótni, ale ten zupełnie zignorował prowokację. Unikał naszych spojrzeń, grzebiąc łyżką w zupie.

– Założyliśmy się z chłopakami. Tak dla jaj, czy ktoś nas zechce – wyjaśnił. Nie mogłam uwierzyć, że tłumaczy się jak urwis przyłapany na psocie.

– Czyli decyzja już podjęta, tak? – dopytywał Leon. Ich awantury nigdy nie prowadziły do rękoczynów; wyznaczyli niepisaną granicę na słowach i wydaje mi się, że czasami tego żalowali.

Ojciec nie odpowiedział. Zamiast tego wrócił do swojej zupy, co akurat

wcale mnie nie zdziwiło. Osiągnął swój cel – powiedział, co miał powiedzieć, a żeby podkreślić wyjątkowość sytuacji, nie próbował ukryć zakłopotania i nie zrugął pyskującego syna.

Po chwili podniósł się zza stołu, otarł usta wierzchem dłoni i ruszył ku drzwiom. Ale nim wyszedł, stanął w pół kroku i nie odwracając się rzucił przez ramię słowa, które sprawiły, że ciarki przebiegły mi po plecach:

– Wszystko się ułoży.

\*\*\*

Ojciec nas okłamał.

Jego oferta wciąż wisiała na portalu z ogłoszeniami. Trafiła tam przeszło rok temu i była jedynym anonsem pochodzącym z naszej okolicy. Nie wyglądała na stworzoną „dla jaj”, wprost przeciwnie; ktoś musiał wziąć spore pieniądze za jej napisanie. Zawierała szczegółowy życiorys, wzorowe wyniki badań, komplet zdjęć.

Leon miotał kursorem w tę i w tę, klikając w kolejne załączniki. Co kilka sekund rzucał pod adresem ojca jakąś obelgę, a robił to na tyle głośno, że tylko czekałam, aż ktoś zwróci nam uwagę. Na szczęście czytelnia świeciła pustkami.

W przeciwieństwie do mojego brata, nie czułam potrzeby brnięcia przez dokumentację fotograficzną. Dziesiątki zdjęć miały na celu wyeksponowanie każdej cechy sylwetki. Miałam pewność, że Leon, prócz gniewu, czuje również satysfakcję. Oto jego największy krytyk, wyrocznia mająca odpowiedź na każde pytanie, wdzięczyła się przed potencjalnymi klientami, zredukowana do roli towaru.

Nie zdążyłam zaprotestować, kiedy pomiędzy dwoma zdjęciami pojawił się komunikat ostrzegający przed treściami przeznaczonymi dla pełnoletnich. Szybko zamknęłam oczy.

– Nie do wiary...

Leon nie myślał odwracać wzroku, wprost przeciwnie. Przesuwał zdjęcia dalej.

– Śmiało, popatrz sobie. W końcu stamtąd się wzięliśmy.

– Przestań.

– „Członek sprawny, standardowy, bez znaczących krzywizn. Wymiar...”

– Przestań!

Ktoś syknął przez zęby, uciszając mnie. Wzięłam głęboki wdech. Wobec tego, co wkrótce miało nastąpić, nie mogliśmy sobie pozwolić na kłótnie. Ja nie mogłam na nie pozwolić; o ile przez te wszystkie lata matkowałam siostrze i bratu (choć Leon był ode mnie młodszy raptem o dwa lata), to teraz miałam zostać pełnoprawną głową rodziny. Zrozumiałam, że ojciec czekał, aż osiągnę pełnoletniość, abym mogła przejąć formalną pieczę nad rodzeństwem.

– Chodźmy stąd. Po co to robimy? Marnujemy czas i kasę.

Moje słowa trafiły do Leona. Skinął głową, zamknął ramkę ze zdjęciami i po raz ostatni omiół spojrzeniem ofertę.

– Niby kto chciałby go kupić?

\*\*\*

Kiedy przekroczyliśmy próg domu, ojciec zawołał nas do kuchni:

– Leonie, Saro, pozwólcie tutaj! – Oficjalny ton wskazywał na to, że nie jest sam.

Za stołem siedziała jakaś kobieta. Okulary w prostokątnych oprawkach, pierścionki na grubych palcach i czarna, idealnie skrojona garsonka. Mieliśmy do czynienia z kimś zamożnym.

– To pani Johansson. Chciałbym, żebyście z nią porozmawiali.

Nie lubiłam sposobu, w jaki ojciec zachowywał się przy obcych. Tego, jak bardzo starał się brzmieć miło, trzymać na wargach niewprawy uśmiech i okazywać entuzjazm, którego brakowało mu na co dzień.

Posłusznie usiedliśmy za stołem. Leon wyciągnął z kieszeni tubkę i przystąpił do jej wysysania, siorbiąc. Kobieta położyła na stole plik dokumentów i zaczęła mówić. Jej głos, niewątpliwie powtarzający te same słowa po raz enty, był przyjemny dla ucha, choć nie współgrał z suchą, formalną treścią. Co chwila słyszeliśmy zapewnienie, że wszystkie dane znajdziemy w przygotowanych dla nas papierach.

Ojciec stał w kącie, nie odzywając się słowem. Jak długo to sobie układał? Firma, której reprezentantkę mieliśmy przed sobą, najpewniej sama dopięła wszelkich formalności, ale mogła to zrobić tylko opierając się na szczegółowych instrukcjach.

– A może ja nie chcę kończyć kursu? – Leon wszedł kobiecie w słowo, na co ta natychmiast umilkła. – Może wołałbym, żeby pieniądze poszły na co innego?

– Pójdą właśnie na to – wtrącił się ojciec.

– Jest jakieś obejście? Chciałbym wiedzieć teraz, bo mogę zrezygnować.

– Nie ma obejścia. Jeśli zrezygnujesz, to wszystko przepada.

Ojciec pozostawał niewzruszony. Zrozumiałam, że bez względu na to, czego byśmy teraz nie zrobili czy nie powiedzieli, nie zdołamy wytrącić go z równowagi. Przyziemny świat emocji i jałowych sporów już go nie dotyczył.

Leon też musiał to dostrzec, bo skapitulował. Dobrze wiedział, że ukończy ten cały kurs, a w zasadzie kilka osobnych, bardzo drogich kursów, i dostanie patent technika. Od lat gadał o tym, że chciałby pracować na platformie wiertniczej. Marzył o ciężkiej robocie za grubą kasę.

Moje marzenie też miało się spełnić. Studia nauczycielskie na Uniwersytecie Północnym, całe sześć semestrów. Rzecz jasna nie teraz, dopiero kiedy Mia podrośnie i pójdzie do szkoły z internatem. Ale wciąż będę młoda, bez trudu znajdę pracę w zawodzie.

Potem pani Johansson szczegółowo opowiedziała o systemie comiesięcznych świadczeń. Przez najbliższe piętnaście lat miałam otrzymywać na moje konto ładną sumę: środki na żywność, podstawową przemyślowkę i usługi pierwszego rzędu.

Wykład trwał jakąś godzinę. Kiedy kobieta się z nami żegnała, ojciec błyskawicznie narzucił kurtkę i oświadczył, że wyjdzie razem z nią, bo ma jeszcze coś do załatwienia. Oczywiście nie mówił prawdy, po prostu nie wyobrażał sobie, byśmy mieli teraz zostać w domu i porozmawiać. Myślałam, że zamienię parę słów z Leonem, ale szybko zmył się do pokoju, twierdząc, że ma dużo nauki.

Poszłam się położyć. Wiedziałam, że jeśli mocno wcisnę twarz w po-



duszkę, to przez zamknięte drzwi nie wysłizgnie się żaden dźwięk.

Wylałam długo. Materiał szybko stał się mokry od łez i śpików, ciepło własnego oddechu przeszkadzało mi, parzyło oczy. Szybko zasnęłam, jakieś pół godziny później obudziła mnie Mia.

Nigdy więcej takiej hysterii.

Przynajmniej nie teraz. Jeszcze nie.

\*\*\*

Krzyk wyrwał mnie ze snu. Zerknęłam na zegarek, dochodziła piąta.

Leon wrzeszczał na ojca, a ten odpowiadał mu podniesionym głosem. Wymiana zdań okazała się do bólu przewidywalna; gdybym miała ją napisać, burzliwy dialog brzmiałby niemal identycznie. Scenę zakończyło trzaśnięcie drzwiami. Kurtyna mogła opaść.

Opaść po raz ostatni?

– Sara?

Mia przysunęła się do mnie. Miała na sobie przyciasną pizamę, której nie pozwalała wyrzucić.

– Ta pizama była kiedyś zielona? – zapytałam, ziewając. – Tylko na nią popatrz. Kiedy to było?

– Czemu Leon nazwał tatę egoistą?

Dobre pytanie.

– Wiesz, kto to egoista?

– Nie.

– Podobno egoista to ktoś, kto robi wszystko, co zechce. Uważasz, że tata jest egoistą?

Mała zmarszczyła brwi. Jeśli wierzyć testom, była najlotniejsza z nas wszystkich. Nigdy nie potrafiłam wykrzesać z siebie obowiązkowej nadziei, by wierzyć w to, że jej potencjał nie zostanie zmarnowany. A jednak.

– Nie jest. Nikt tak naprawdę nie robi tego, co chce. Nie zawsze.

– Prawda. Ale uważaj: niektórzy twierdzą, że egoista to tak naprawdę ktoś, kto chce, by inni robili wszystko, czego sobie zażyczy.

– To pasuje do taty.

– Też tak uważam. Ale to jeszcze nie znaczy, że jest zły. Albo że chce...  
że postępuje źle.

– Czy tata umrze?

Bardzo dobre pytanie.

– To skomplikowane.

– Powiedz.

– Nie zrozumiałabyś.

– Nieprawda!

– Idź spać, jest jeszcze wcześniej.

– Spadaj!

Mia odwróciła się do mnie plecami. Ciężko oddychała, z trudem powstrzymując łzy.

Właściwie czemu ją zbyłam? Czemu skłamałam? Oczywiście, że zrozumiałaby naturę transakcji, niewykluczone, że już ją знаła, a we mnie szukała tylko potwierdzenia. Liczyła na to, że ją pocieszę? Pewnie tak.

Nie potrafiłabym tego zrobić.

\*\*\*

– Pan Marcus chciałby się z nami zobaczyć. Wszystkimi.

– Znaczy, pan świrus?

– Tak. Świrus, zbok, czubek, nazywaj go, jak chcesz.

Ojciec zrezygnował z pracy i przez ostatnie dni przesiadywał w domu. Przymuszczałam, że jego ciągła obecność będzie męcząca, ale okazało się inaczej – sporo czasu spędzaliśmy razem, w kuchni. Nie rozmawialiśmy dużo. My koncentrowaliśmy się na lekcjach, on na krzyżówkach i kolejnych kubkach herbaty. Nic nie jadł, najwidoczniej dostał zalecenie, aby odzwyczajając organizm od tubek.

– A czemu pan zbok chce nas oglądać?

Choć Leon nigdy nie przyznałby tego wprost, wyglądało na to, że pogodził się z decyzją ojca. Jego prowokacje stały się mało wyszukane, łatwe do zbycia.

– Tak sobie wymyślił, i już. Taki z niego czubek.

– Śmiało, nie krępujcie się, mała pozna jeszcze kilka nowych słów.  
 – Skinęłam na Mię, która wypełniała ćwiczeniówkę. Wyglądała na całkowicie oddaną temu zajęciu, ale dobrze wiedziałam, że słucha, o czym mówimy.

Ojciec i syn przyłożyli dłonie do ust, udając, że tłumią napad śmiechu. Wykonali ten gest równocześnie i w identyczny sposób. Powinnam się cieszyć, że nie marnują czasu na awantury, a jednak postawa brata okazała się dla mnie... rozczarowująca?

– Mieszka na Arkadach, pojedziemy jutro.

Mój brat gwizdnął cicho.

– Tam nas chyba jeszcze nie było, co?

– Ja byłem. Nie raz.

Ojciec rzadko mówił nam o swojej pracy. Często wyjeżdżał za miasto, niekiedy daleko, zdarzało się, że nie było go w domu przez tydzień. Z takich wyjazdów wracał potwornie zmęczony. Bez słowa wchodził do łóżka i spał dobrych kilkanaście godzin, a ja i moje rodzeństwo, przyglądając się wychudzonemu, okrytemu kołdrą ciału, snuliśmy domysły. Kiedyś poprosiłam ojca, aby wziął ze sobą aparat i zrobił zdjęcie ukończonej realizacji. Nie raczył nawet skomentować tej propozycji słowami, zbył mnie śmiechem.

– No, to musimy się wystroić, co?

Te słowa nie spodobały się ojcu. Z hukiem odstawił kubek i zgromił syna spojrzeniem.

– Nie. Nie ma mowy o żadnym strojeniu.

Chyba bał się, że któreś z nas wpadnie w oko panu zbokowi. Ale nieśluszenie, to tak nie działało. Parę lat temu Maria z mojej klasy opowiadała o swojej starej ciotce, którą kupił jakiś facet. Urody jej ponoć nie zbywało, ale wygląd i wiek nie miały znaczenia, stan zdrowia też nie. Maria twierdziła, że panowała wówczas moda na wiekowe kobiety, ponoć kilkudziesięciu bogaczy sprawiło sobie takie. Czy teraz schodzili faceci po czterdziestce? Może.

– Pójdziemy tam na pół godziny, tyle.

Spotkanie musiało być jednym z punktów umowy. Ten cały Marcus zastrzegł sobie, że chce nas poznać.

- Kiedy? – zapytałam.
- Jutro.
- Ojciec dopił herbatę i poszedł spać.

\*\*\*

– Dobra, jest. Idziemy – rzucił ojciec, zasuwając firankę.

Tej soboty nie ugotował nam zupy. Limuzyna miała zjawić się w samo południe, a już od jedenastej przynajmniej jedno z nas tkwiło w oknie, wypatrując jej.

Ubrani w zwykłe ciuchy, zeszliliśmy przed blok. Wóz prezentował się tu niczym wysłannik z innego świata, biel karoserii gryzła się z szarzyzną budynków i czernią błota zalegającego na drodze po ostatniej ulewie.

Ze środka wyszedł facet w kaszkiecie i skórzanym płaszczu. Ukłoniwszy się nisko, otworzył drzwi.

Wnętrze pachniało pomarańczami, siedzenia były ciemnobeżowe i bardzo wygodne. Usiadłam obok siostry, brat i ojciec zajęli miejsca naprzeciwko.

– No, no, prawdziwa limuzyna, patrzcie tylko! – Leon próbował ironizować, ale samochód naprawdę zrobił na nim wrażenie.

Sunęliśmy pustymi ulicami, oglądając je z obcej nam perspektywy. Ojciec nie rozglądał się. Rozparty na siedzeniu, wodził spojrzeniem po suficie.

Kilkanaście minut później stanęliśmy przed bramą z kutego żelaza. Z ulicy widać było niewielki dom, ale okazało się, że głębiej, na końcu wysypanego żwirem podjazdu, stał drugi, większy budynek. Nie imponował kształtem ani rozmiarem, z pewnością nie przypominał domów milionerów, których zdjęcia niekiedy zamieszczano w prasie. Zwykły dom, nie licząc zakratowanych okien i szerokich drzwi wejściowych.

Samochód stanął, szofer pomógł nam wysiąść. Natychmiast pojawiła się przy nas kobieta w fartuchu. Ruszyliśmy za nią, kamienie chrzęściły nam pod nogami. Tak bardzo nie wiedziałam, czego się spodziewać, że nie rozegrałam w głowie ani jednego scenariusza zdarzeń. Czułam się przez to

bezbronna.

Za drzwiami wejściowymi zaczynał się korytarz. Musieliśmy iść gęsiego, bo zawalono go rozmaitymi gratami – rzeźbami, skrzyniami, stolikami pełnymi bibelotów. Pilnowałam się, żeby czegoś nie potrącić, co nie było łatwe ze względu na panujący półmrok i ciemnobrązowe deski, którymi wyłożono podłogę i ściany.

Ciasny korytarz wiódł do pokoju, który dla odmiany okazał się przestronny i jasny. Na ścianach wisiały obrazy. Malowidła osadzone w złotych ramach przedstawiały ludzi w dramatycznych okolicznościach: postacie z różnych epok płakały, walczyły, mordowały się.

Polecono nam usiąść przy stole. Talerze ustawiono po jednej stronie, mieliśmy zająć miejsca obok siebie. Ciszę wypełniało stukanie zegara. Skupiłam uwagę na tym niepraktycznym, zwalistym sprzęcie mieszczącym w sobie dziesiątki zębatek napędzających mechanizm, o którego działaniu nie miałam bladego pojęcia.

Nagle trzasnęły drzwi. Odwróciliśmy się. Do pokoju wszedł niewysoki mężczyzna wystrojony w garnitur.

Pierwszym, co zwracało uwagę, była jego twarz – czerwona i opuchnięta, jakby zbyt długo przebywał na słońcu. Jedno oko miał przymknięte, za to drugie szeroko otwarte. Mocno kulał, przemieszczał się z trudem.

– Moi drodzy. Jak to dobrze, że już jesteście.

Mówienie też sprawiało mu trudność, słowa potykały się i wpadały na siebie. Usiadł obok ojca i wziął głęboki wdech.

– Niech ja na was spojrzę.

Mimowolnie zmarszczyłam nos. Ten człowiek, nie tyle stojący nad grobem, co już obficie przysypany ziemią, śmierdział. Mia chwyciła mnie za ramię. Bała się.

– Dziewczynki i chłopak.

Próbował się do nas uśmiechnąć, ale coś poszło nie tak. Usta rozwarły się lekko, spomiędzy warg wypłynęła strużka śliny.

– Przepraszam – westchnął. – Zaraz będzie mi lepiej.

Nie otwierając ust, kilkakrotnie poruszał szczęką. Góra-dół, góra-dół, góra-dół.

– Już lepiej – oświadczył. Rzeczywiście, wypowiedział te słowa wyraźnie. Nieoczekiwanie poderwał się z krzesła.

– Jak tam podróż? Wszystko pięknie?

– Tak – odparł ojciec. – W porządku. Dziękujemy.

Nasz gospodarz ryknął śmiechem, wyrzucając ręce przed siebie. Zatoczył się, prawie upadł.

– Tylko się posłuchaj! Jak ty gadasz! Spokojnie, popracuję nad tym!

Zaczął drżeć. Z początku lekko, ale już po kilku sekundach trząsał się tak, że szczękał zębami, mówiąc dalej:

– Jak to wszystko poszło do przodu! Dawniej takie rzeczy były tylko w bajkach, nie? Myślałem nawet, żeby sprawić sobie teraz babkę. Stchórzyłem, to byłby skok na głęboką wodę. Nie mam do tego jaj...

Na zniszczonej twarzy znów pojawiła się karykatura uśmiechu. Facet rechotał długo, krztusząc się i kaszłąc, a czerwona gęba jakimś cudem poczerwieniała jeszcze bardziej. Kiedy już się uspokoił, wymamrotał:

– To mi wyszło, co?! Nie będę babką, bo brak mi jaj! Dobrze, dobrze...

Przez jakiś czas dyszał, nie otwierając jadaczki. Kiedy doszedł do siebie, krzyknął:

– Obiad!

Pojawili się kelnerzy. Ubrani w czerwono-białe uniformy wparowali do pomieszczenia natychmiast, jeden po drugim, jakby stali pod drzwiami i tylko czekali na sygnał. Nie wchodząc sobie w drogę, błyskawicznie zapelnili stół półmiskami z jedzeniem. Pośrodku stanęła olbrzymia waza.

– Dziękujemy, ale dzieci się nie poczęstują – wyrecytował ojciec. – Są na diecie tubkowej.

Gospodarz machnął dłonią.

– Zupa im chyba nie zaszkodzi?

Tak, odrobina zupy nie mogła zaszkodzić, zwłaszcza że organizm, przyzwyczajony do sobotnich obiadów, domagał się dzisiaj ode mnie prawdziwego posiłku.

Ojciec sięgnął po srebrną chochlę i zaczął rozlewać zupę do talerzy. Choć miała nieprzyjemny, ciemnobrązowy kolor, pachniała wspaniale.

– Ach, te dłonie! Spójrzcie na te dłonie!

Spontaniczny komplement nie spotkał się z żadną reakcją. Widziałam zakłopotanie ojca; przygryzał wargi, co chwila przełykał ślinę.

– Oto ręce cieśli! Pamiętacie te słowa? Tak Piłat powiedział do Jezusa, kiedy prowadzili go na krzyż. No i tutaj mamy dekarza, a nie cieślę, bez sensu.

Po chwilowej euforii gospodarz znów opadł z sił. Rozparł się na krześle i przymknął oczy.

– Jedzcie – nakazał. – Zwłaszcza ty. – Klepnął ojca w ramię.

Skosztowałam zupy. Łyżka wyslizgnęła mi się z palców, ledwie ją złapałam. W tych upiornych okolicznościach, pośród obrzydliwych obrazów, w zamku, a raczej niezbyt imponującym domu wampira, przyszło mi zjeść najlepszy posiłek w życiu i bez wahania skróciłabym je o dziesięć lat w zamian za dostęp do takich rarytasów.

– Chodźcie do szkoły? – Wampir jednak nie zasnął, choć wydawało mi się, że drzemie na siedząco.

Ojciec już otwierał usta, żeby za nas odpowiedzieć, ale pytający mu przerwał:

– Nieważne, przecież głównie mnie to obchodzi. Darujcie, bardzo źle się czuję. Musimy się spieszyć.

Usłyszeliśmy kolejną przygotowaną wcześniej formułkę:

– Proszę pozwolić mi porozmawiać z dziećmi. To nie potrwa długo.

– Pewnie, pewnie – sapnął gospodarz, zakrywając oczy dłonią.

Ojciec nakazał nam gestem, byśmy wstali. Nie oglądając się, ruszył korytarzem w kierunku, z którego przyszliśmy. Szybko pojawiła się przy nas kobieta w fartuchu.

– Pięć minut. Chcę pogadać z dziećmi.

Skinęła głową i otworzyła nam jedno z wielu pomieszczeń.

Pokój był niemal pusty, nie licząc kanapy i olbrzymiego telewizora wiszącego na ścianie. Ojciec zamknął za nami drzwi i wziął głęboki wdech.

– Ja tu już zostaję.

– Co ty nie powiesz – prychnął Leon.

– Tato, nie powinieneś tego robić.

Aż się skrzywiłam. Czemu nie mogłam zdobyć się na słowa, które nie zabrzmiałyby tak idiotycznie?

Ojciec uśmiechnął się półgębkiem, jak zawsze wtedy, kiedy mówiłam coś, co uznawał za mało mądre. Przez to poczułam się jeszcze gorzej.

– Co innego miałbym zrobić? Nie dorabiacie do tego jakiejś filozofii. To najbardziej naturalna rzecz na świecie, czysta biologia. Moim zadaniem jest zapewnienie potomstwu warunków do przetrwania. To właśnie robię.

Mia zaczęła płakać. Ojciec kucnął i przytulił ją. A potem, ku zdziwieniu nas wszystkich, poderwał się z kolan i przygarnął do siebie również mnie i Leona.

– Dacie radę – powiedział, kiedy już od siebie odstąpiliśmy. – Dzisiaj odezwie się do was ta Johansson. Wszystko klepnięte, pieniądze zabezpieczone. Gdyby tamten zrezygnował w tej chwili, to i tak przepada mu sześćdziesiąt procent.

Żadne z nas tego nie skomentowało. Dobłą chwilę trwaliśmy w milczeniu.

– A jakbyście czasem zebrali kasę, to... Nie wpakujcie mnie w jakiegoś pigmeja, co?

– Spokojnie, obudzisz się za pół wieku jako cycata blondynka – rzucił Leon.

– Uchowaj Boże! – Ojciec zaprotestował z udawanym zapałem. Spojrzał na mnie w nadziei, że pociągnę ten żart, ale nie zrobiłam tego. Gdybym miała być z nim szczerą, powiedziałabym, że ani teraz, ani za pięć, dziesięć czy pięćdziesiąt lat, nie będę gotowa na to, by włożyć jego świadomość w obce ciało. Nawet gdyby jakimś cudem było mnie na nie stać.

– Co z twoim zapisem? – Leon przybrał rzeczowy ton. – Jak uzyskamy dostęp?

– Johansson. Da wam wszystkie hasła i tak dalej.

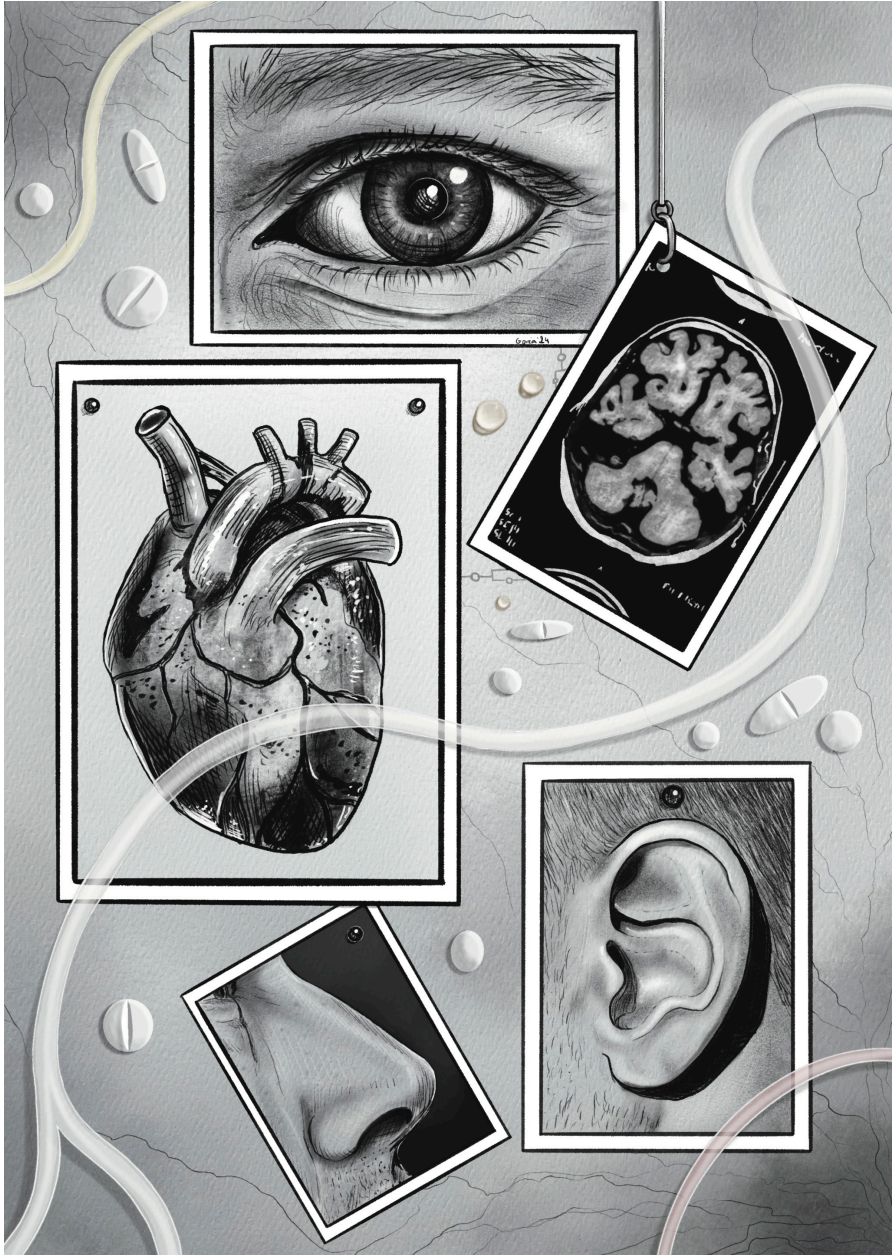
– Gdzie cię ściągną? Tutaj? – dociekał Leon.

– Tak. Tutaj, za chwilę. Cały sprzęt już czeka. Wiem, że nie chcecie... No, nie będzie was przy tym całym cyrku. Potem od razu ściągną zboka, pewnie po raz setny, i od razu pakują w moją skórę. Widzieliście, w jakim jest stanie.

– Ponoć wystarczy jedna burza słoneczna. Jeden incydent, żeby całą elektronikę, wszystkie nośniki danych na Ziemi, szlag trafił.

Ojciec wybuchnął śmiechem.





– Ty to umiesz pocieszyć, synu!

Podał Leonowi dłoń, a ten automatycznie ją uścisnął. Przysunął się do mnie i pocałował w czoło, ostatni raz przytulił Mię, która cały czas wciskała twarz w mój sweter.

– Lecę. Tamta pani odprowadzi was do auta. Pamiętajcie, żeby odezwać się do Johansson, gdyby dzisiaj nie zadzwoniła.

Chwilę potem znów szliśmy wysypaną żwirem ścieżką. Mia chlipała, Leon ze wszystkich sił starał się nie rozplakać. Wsiadliśmy do samochodu.

Szofer odpałił silnik, ale nie rozpoczął jazdy. Kiedy już zaczęłam podejrzewać jakiś podstęp, mężczyzna odwrócił się do nas.

– Ojciec?

Przytaknęłam.

– Pociesz się tym, że nie uświni go za bardzo – szepnął. – Zmienia skóry co rok.

Samochód ruszył i właśnie wtedy poczułam, że wypełnia mnie spokój. Wiedziałam, że to tylko widmo, które zaraz pierzchnie i prędko nie wróci, starałam się nacieszyć jego chwilową obecnością. Nie miałam pojęcia, skąd się wzięło, póki słowa ojca nie rozbrzmiały w moich myślach:

*To najbardziej naturalna rzecz na świecie.*

Dobrze.

Niech będzie.

### **Link do opowiadania wraz z komentarzami:**

<https://www.fantastyka.pl/opowiadania/pokaz/30726>

**Adam Ciszewski** – urodzony w Proszowicach, mieszka w Krakowie. Mąż, ojciec. Z wykształcenia filolog, z zawodu już nie. Fan dobrej muzyki i literatury. Jego opowiadania ukazały się w zbiorach: *Baźnie* oraz *Fantastyczne Pióra 2021*.





# Kradzieże i konfabulacje

Kacper Kamieniarz

Nigdy nie umiałem walczyć.

Plułem sobie w brodę, umykając skapanymi w mroku uliczkami. Mogłem, na sedzuckie wody, uczyć się walki włócznią albo pięściami, a nie zdobywania pięknych buź sztuką języka. W każdym tych słów znaczeniu. Zanurkowałem w ciasną alejkę, modląc się do Jaszczurowęza o jego zdradliwą łaskę. Byłe tylko nie spłynęła na goniących mnie łotrów.

Chociaż, bądź co bądź, łotrem w tej sytuacji byłem ja.

– Stój, ty ośli synu jałowej suki! – wydarł się któryś ze strażników.

Przez myśl przemknęło mi pytanie: jak można być oślim synem jałowej suki?

I znów musiałem pozbyć się natrętnych rozmyślań, bo potknąłem się o śpiącego pod ścianą żebraka. Cudem odzyskałem równowagę, przesłizgując się pod rozwieszonym praniem.

Niektórzy mogliby powiedzieć, że zachłanność szkodzi; jest w tym nieco prawdy. Niemniej prawdą, którą bardziej wziąłem sobie do serca, było – apetyt rośnie w miarę jedzenia.

Na bogów. Ależ ostatnio bywałem głodny.

Dwie zdobycze jednej nocy.

Dwa bogactwa, których dzisiaj dotknąłem.

Bransoleta oraz piękna Bekhten. Jedno lepsze od drugiego. A brat kobiety i zarazem właściciel bransolety wymagał ode mnie zapłaty we krwi.

Chciałem zaśmiać się pod nosem, ale chichot utknął w gardle, gdy przede mną wyrosła ściana. Ślepy zaułek. Kilka par sandałów chrobotowało na piasku niedaleko z tyłu i nim się odwróciłem, kroki ustały. Dogonili mnie.

– Śmieciu! – ryknął Iuhet, krew z krwi i kość z kości Bekhten, a dobry humor ulotnił się z potem, który ze mnie parował. – Zapłacisz głową za te bezpieczeństwo! Gdzie bransoleta?

– O, a nie zapytasz, co u siostry? – Zawsze miałem niewyparzony język.

– Z tego, co wiem, spędzałem z nią więcej czasu niż ty.

– Tacy jak ty powinni zostać w Kloace – warknął Iuhet. – Zaśmiecacie Grzbiet swoją obecnością. Kto cię tu wpuścił?

– Chyba nie chcesz znać odpowiedzi na to pytanie.

Zamiast ciąć nożem, mogłem ciąć słowami. Czasem, niestety, trafiałem siebie.

Iuhet podrzucił włócznię w ręce i ruszył.

A ja prawie się zmoczyłem.

Nie myśląc zbyt wiele, wskoczyłem na ścianę i odbiłem się od niej, zawiązując fikołka w powietrzu i lądując za plecami rozwścieczonego szlachcica.

I nie wiedziałem, co zrobić. Sierpowaty miecz strażnika minął moją głowę o włos. Rzuciłem się w bok i przeturlałem pod drzewcem dzidy. Odruchowo musnąłem swoje prawe biodro, lecz nie natrafiłem ręką na nic, poza poluzowanym rzemieniem.

Zerknąłem za siebie i serce podeszło mi do gardła.

Jeden ze strażników schylił się po sakiewkę, która jeszcze chwilę temu zwisała z mojego pasa. Mogłem teraz uciec i ratować swoją piękną skórę, ale tego nie zrobiłem. Stałem w osłupieniu, patrząc, jak odwiązuje sznurerek i zagląda do środka. Iuhet i dwóch innych gwardzistów było coraz bliżej. Tyle dobrze, że chociaż nie miałem zbliżającej się do pleców ściany. Mogłem uciec, ale czy zostawiłbym ten skarb w ich brudnych łapskach?

– Mój panie, mamy to – powiedział dumnie bezczelny zdobywca mojego trofeum. – Mamy bransoletę... twojego... ojca...

Każde kolejne słowo wymawiał coraz bardziej niewyraźnie, zaczął chwiać się na nogach. Strużka krwi pociekła z jego nosa, najpierw jedna, a po chwili druga.

Upadł twarzą w piach.

A zza niego wyłoniła się kobieta. Z początku pomyślałem, że to może Bekhten zapomniała o przyjemnościach naszych wspólnych wieczorów i dołączyła do linczu na kochanku.

Lecz ta kobieta była wyższa oraz – w przeciwieństwie do mojej ukochanej – zakrywała większość swojego ciała, w tym twarz. Ale te oczy zapamiętałem od razu. W dłoniach trzymała dwie krótkie, drewniane pałki. Jedna z nich właśnie łupnęła stojącego za Iuhetem strażnika w tył głowy.

Młody szlachcic aż podskoczył.

– Ma współniczkę! – krzyknął. Nie wiedział, w którą stronę obrócić grot włóczni.

Wcale nie byliśmy współnikami, ale nie chciałem psuć chwili. Teraz mogła być nawet moją matką.

Tajemnicza wybawczyni wbiła się w strażników niczym piaskowy huragan. Przybocznicy Iuheta mieli przewagę liczebności i włóczni, lecz na niewiele im się to zdało. Pałki rozmywały się w powietrzu, zwinnie blokując nadciągające drzewce, co jakiś czas padając z głuchym huknięciem na czyjeś ramię czy twarz.

Wykorzystałem chwilę. Zanurkowałem między nogami walczących, wyrwałem sakiewkę spomiędzy palców nieprzytomnego mężczyzny i pognąłem w ciemną noc.

Zwolniłem dopiero, gdy serce prawie wyskoczyło mi z piersi.

\*\*\*

Szlachcic spojrział na mały, nefrytowy posążek, który przed nim postawiłem. Ten dzień w gospodarstwie planowałem spędzić na oszukiwaniu ludzi, bo to akurat zawsze szło mi dobrze. Szejmosz poczeka na bransoletę, nic mu się nie stanie.

– Prawdziwe? – zapytał po chwili ciszy. – Takie, no, naprawdę?

Nie.

– Prosto z głębi pustyni Deher-Net. – Położyłem rękę na sercu. – Sam widziałem, jak inny, zbyt chciwy poszukiwacz rzucił się na tę błyskotkę i zamienił w popiół... Natomiast mnie ten Okruch poprowadził bezpiecznie do domu.

Szlachcicowi zaświeciły się oczy.

– Ile chcesz?

Uśmiechnąłem się nieznacznie.

– Trzy debeny srebra.

– Dobra niewolnica kosztuje cztery...! – obruszył się, chociaż widziałem, że robi to bardziej dla zasady.

– Nawet dziesięć niewolnic nie przyniesie ci takiego szczęścia jak najprawdziwszy fragment boga. Natomiast...

Chwyciłem rogi skórzanej płachty, na której leżał posążek. Dla wiarygodności nie dotykałem *artefaktu* gołymi dłońmi; według legend, dotknięcie boskiego Okrucza przez zwykłego człowieka mogło skończyć się śmiercią.

Wystarczyło. Mężczyzna nachylił się nad stołkiem i zalał się rumieńcem.

– Dobrze! Dobrze, wezmę.

Wyciągnął ukradkiem sakiewkę, osłonił ją ciałem, coby żaden wścibski bywalec gospody nie zainteresował się jej zawartością i wyciągnął trzy sześciennne, błyszczące bloczki z królewskim symbolem na wierzchu. Schowałem je do jednej z sakw przy pasie, po czym uśmiechnąłem się służalczo.

Jak dobrze, że nie zapytał mnie, czemu w takim razie chcę się pożegnać z tak wspaniałym artefaktem.

Podniosłem wzrok i wnet tego pożałowałem.

Z tyłu gospody. Te oczy, widziałem je.

Widziałem je poprzedniego wieczora, gdy prawie straciłem życie.

I spoglądały prosto na mnie.

Szybko spakowałem posążek i nieco zbyt gwałtownym ruchem pchnąłem pakunek w stronę szlachcica.

Nieznajoma wyglądała zabójczo.

– Dziękuję, dobry panie – powiedziałem szybko i wstałem. – Niech amulet ci służy.

Omiotłem wzrokiem izbę, ale tajemnicza przybyszka zniknęła mi z oczu.

– I pamiętaj, nie dotykaj go – dodał kobiecy głos zza moich pleców.

Wyprostowałem się jak struna.

– Tak, nie dotykaj... – wymamrotałem i postąpiłem krok w tył.

Prosto na nogę stojącej za mną obcej.

Chwyciła mnie za przedramię, dzięki czemu nie upadłem. Posłała bogaczowi piorunujące spojrzenie i zawlokła mnie ku wyjściu. Poszedłem za nią; ucieczka mogłaby skończyć się wgnieceniem w głowie, a tego wolałbym uniknąć. Piękni ludzie z popękanałą czaszką mają tendencję do utraty swych walorów.



Wyszliśmy na zewnątrz. Od razu zaciągnęła mnie siłą do ciemnej alejki obok. Nie oponowałem, nie chciałem ryzykować. W końcu nie zamierzała mnie zabić, prawda? Dopiero co uratowała mi życie. Poza tym nie raz, nie dwa wyslizgiwałem się z uścisku podejrzanych typów, przyciskających mnie do ściany gdzieś w cieniu.

I to też właśnie ze mną zrobiła. Ale łagodnie, nie dusiła. Przyjrzałem się jej z bliska; miała ładne, piwne oczy o przeszywającym spojrzeniu. Jej twarz, nieco zbyt pociągła jak na mój gust, podkreślała długi, lekko zakrzywiony nos. Pełne usta cmoknęły z niezadowoleniem.

– Masz wielki problem, pacanie – syknęła mi prosto w twarz. – Problem o imieniu Iuhet.

– Nazywasz mnie pacanem, a nawet się nie przedstawisz? – odparłem.

– Chodź, przejdziemy się.

Wcisnąłem się w ścianę.

– Dlaczego niby myślisz, że za tobą pójde? – prychnąłem.

Kobieta uśmiechnęła się chytrze, zrobiła kilka kroków w tył i podrzuciła w ręce sakiewkę.

Łudząco podobną do mojej.

Obmacałem swoje biodra. Brakowało jednego woreczka.

– O ty cwana...

Złodziejka wystrzeliła w górę, pozostawiając po sobie obłoczek pyłu. Zwinnymi susami odbijała się od parapetów i występów, pnąc się coraz wyżej i wyżej. Wytarłem spocone ręce o poły tuniki i zmełem przekleństwo. Chciała mnie sprawdzić.

Mknąłem za nią. Złodziejka czuła się jak ryba w wodzie na dachach i kładkach, stawiając stopy w idealne, jak gdyby znane już miejsca. Każdy skok i każdy sus cechowało perfekcyjne wyliczenie. Uliczki migwały pod mną, kotłujące się rzeki i ciurkające strumienie ludzi przelewały się wśród domów i kramów, jednostajny szum ludności mieszał się z gwizdem wiatru w uszach.

Przebiegliśmy cały Brzuch Hefen, dzielnicę handlu, rzemiosłnictwa i przeciętnej zamożności. Pot zalewał mi oczy. Złodziejka przystanęła na skraju jednego z dachów, a ja przyspieszyłem, wyciskając z siebie ostatnie

pokłady sił. Widziałem już nieformalną granicę dzielnic miasta, rysującą się poszarpaną, zakrzywioną linią między ostatnim rzędem względnie zadbanych budynków, a stłoczoną grudą skleconych z byle czego domów, ciasnych alejek i nieszczęśliwych ludzi.

Kloaka.

Sypiące się kikuty wieżyczek, nierówna, krusząca się linia wspinających niegdyś fortyfikacji; cegły, dawno temu pomalowane niezliczonymi freskami, a teraz wyblakłe i obszczone – to, co pozostało po pierwszym murze Hefen. Oblężenia, uchodźcy i bogowie nie obyli się z nim łagodnie, a któryś z panujących władców stwierdził, że w ramach odnowy można po prostu włączyć dawne podmurze w obręb miasta.

I o nim zapomnieć.

Tak powstała przysłowiowa dupa Hefen-esze.

Złodziejka wskoczyła na jedyną z bastei towarzyszących dawnej bramie, po czym stanęła. Poprawiła opadający na plecy warkocz i pomachała sakiewką w powietrzu.

Obejrzałem drogę pod stopami, przeleciałem uważnym wzrokiem ruiny. Nie widziałem, żeby ktoś jeszcze się tu czaił. Skoro zaprasza, to głupio byłoby nie skorzystać.

Wdrapałem się na krawędź ostatkiem sił i wyprostowałem na drugim krańcu platformy strzelniczej.

– Czego chcesz? – zapytałem.

– Tęgo, czego chce twój pracodawca.

– Wpierw mogłabyś się przedstawić!

– Nie poznajesz? – Przechyliła głowę jak ciekawski ptak. – To chyba dobrze o mnie świadczy. Henutta.

Ukloniła się serdecznie. Jej tunika załopotała na wietrze.

– Słyszałem o tobie. Niejedno zresztą! – Na myśl przyszły mi podsłuchane w niejednej gospodzie rozmowy. – Masz solidną reputację w mieście.

O czym dobitnie świadczyło wiele obitych mord i utraconych bogactw.

– Jesteś mi winien przysługę, Ahmesie z Nebkeh. Tak jak przewiduje Kodeks Jaszczuroweża.

Przelknąłem ślinę. Skubana wiedziała więcej, niż powinna. Przecież byłem w tym mieście nie dłużej niż piętnaście dni! Ona przejrzała mnie szybciej niż ja to miasto, jak widać.

– Uratowałaś mnie, wiem. Dziękuję ci za to! – Musiałem ją jakoś udo-bruchać. Słodkie słówka zawsze idą w pierwszej linii. – Ale nie mogę tak po prostu zmienić pracodawcy! Sama zresztą wiesz.

Zrobiła krok w moim kierunku. Sprawdziłem czubkiem sandału, jak mogę się cofnąć i odpowiedź okazała się bardzo prosta.

Jak nie w tył, to naprzód.

Też zbliżyłem się do niej. Uniosła brew w zaskoczeniu i... z wyrazem uznania na twarzy.

– Dla kogo pracujesz? – zapytała.

– Wiesz przecież, dla kogo.

Pokiwała głową.

– Szejmosz to płotka bez znaczenia. – Skrzywiła się, wypowiadając to imię. – Sam pracuje dla Khoruta, a Khorut jest podnóżkiem samego pie-przonego Kutneha.

– Kutneha?

To imię światało mi gdzieś na granicy pamięci i otchłani zapomnienia, ale nie mogłem przypomnieć sobie, o co chodziło. Przewijało się co jakiś czas w rozmowach z innymi, mówiąc delikatnie, najemnikami i było pewnym spoiwem niektórych transakcji.

– Pierwszego Kapłana Mówcy, Ahmesie. – Prychnęła z niedowierzaniem. – Czyli nie wiesz nawet dla kogo pracujesz?

Rozłożyłem bezradnie ręce, a po skroni spłynęła mi strużka potu, bynajmniej nie ze zmęczenia.

– Pracuję dla tego, kto mnie zatrudni.

– Każdy zatrudniający jest przez kogoś zatrudniony.

– A Kutneh?

Tym razem to Henutta wzruszyła ramionami.

– Tego nie wiem. Ale przez kogoś na pewno.

– To skoro moim prawdziwym pracodawcą jest sam Kapłan Mówca, to dlaczego miałbym nie kończyć zlecenia?

– A kto mówi, że nie dokończysz u niego zlecenia?

– Ty.

– Chcę tego samego co on. – Wbiła palec wskazujący w otwartą dłoń drugiej ręki. – Ale możemy zrobić tak, żeby i on był zadowolony, i ja oraz mój... pracodawca.

– Wilk syty i owca cała, co?

– Głupie powiedzonko. Ale tak.

– I jak chcesz to zrobić? – Złapałem się pod biodra. – Brzmisz, jakbyś planowała wpakować mnie w większe łajno, niż to w którym już, jak się okazuje, jestem.

– Tym się nie martw.

Rzuciła mi moją sakiewkę, ale gdy ją chwyciłem, kobieta zamachnęła się ponownie. Coś błysnęło w powietrzu, coś, co w ostatniej chwili złapałem.

Na mojej dłoni leżał srebrny krążek z połączoną krawędzią oraz symbolem aszermetańskiego serca – odwróconego trójkąta, z którego podstawy wyrastał krzyż – wybitym na obu jego stronach.

Spojrzałem pod światło, powąchałem, zważyłem przedmiot w dłoni. W końcu nadgryzłem, jeszcze raz obejrzałem i moje oczy prawie wypadły z orbit. Trzymałem właśnie jeden z najrzadszych środków płatniczych w tej części świata. Krążek, za pomocą którego można przywołać królewską przysługę w każdej chwili i w każdym z nefertańskich miast. Jak powiadają, fragment jednego z bogów, zamknięty w powłoce ze srebra i złota – bezpieczny dla zwykłego człowieka, ale z drzemiącą w nim potęgą gwiazd. Czy w to wierzyłem? Nie wiem, ale działało, więc nie zadawałem pytań.

Powiadają nawet, że ten zwyczaj bywa respektowany przez niektórych heweszyckich władców. Potrzebujesz przepustki na ucztę? Nie ma problemu. Okradłeś kogoś? Jasne, Aszermet ci przebaczy, władza też. Oczywiście nie uratuje przed wszystkim, ale lepiej go mieć niż nie.

– Hedżeretańska *aszu*? – zapytałem, z trudem powstrzymując drżenie głosu. Nigdy nie miałem takiej władzy w rękach. – Czemu?

– Uznaj to za zaliczkę – rzekła, jak gdyby rzuciła mi najzwyklejszy w świecie kawałek srebra. – Nie uważam, żebyś potrzebował czasu do namysłu, bo



dałam ci wystarczające powody, ale... Pomyśl i wróć do mnie. Przynies mi bransoletę, którą ukradłeś Bekhten, a poprawisz życie nie tylko nam, ale też wszystkim tym ludziom. – Mówiąc to, rozłożyła ramiona, jak gdyby chciała objąć całą Kloakę Hefen. – Wszyscy wiedzą, kto tak naprawdę tu rządzi. – Zadumała się na chwilę. – Nie dotykałeś bransolety, prawda?

Przypasałem sakwę i wcisnąłem do niej aszu. Najchętniej zaszyłbym ją w sobie, połknął, cokolwiek. Takie bogactwo...

Otrząsałem się.

– Czemu miałbym jej nie dotykać?

– A co mówiłeś tamtemu szlachcicowi?

Prychnąłem.

– Zabobony. Mówię to tylko dla efektu.

Henutta zachichotała.

– Czyli nie dotknąłeś. Zawsze przez szmatkę albo zwierzęcą skórę, prawda?

Stałem niewzruszenie w ciszy.

– To dobrze. Szukaj Ispe w Kloace, Ahmesie. Będę czekać.

Puściła mi oczko i zniknęła za krawędzią bastei.

A ja w osłupieniu wgąbiałem się w miejsce, gdzie jeszcze przed chwilą stała.

Za dużo graczy dołączyło do tej gry, a ja byłem tylko nic nieznaczącym pyłkiem kurzu na planszy. Zdmuchnąć mógłby mnie nawet najlżejszy wiaterek. Patrzyłem na górę zależności oblepioną pajęczyną powiązań, lecz nie widziałem jej szczytu.

Więc postanowiłem.

Musiałem uciec z miasta.

\*\*\*

Noc okryła Hefen-esze grubym kobiercem.

Moje ruchy były zbyt opieszale. Nie mogłem się skupić, wodziłem rękoma prawie po omacku, szukając odpowiedniego kamienia spośród morza innych, wałających się między drzewami małego zagajnika. Palmy

pochylały się nade mną i poskrzypywały, targane podmuchami morskiej bryzy. Księżyc małał z nocy na noc, lecz wciąż dawał wystarczająco światła w swej nieskończonej łaskawości.

Gdy zaczynałem się gubić, to wiedziałem, że jest ze mną źle. W końcu jednak natrafiłem dłonią na znaki wyryte w jednym z kamieni. Kilka małych, pozornie nieznaczących nacięć i ubytków, które w tej chwili mogły okazać się wszystkim.

Cykady skrobały owadzią melodię, liście szumiały, rzucone kamienie stuknęły o kamień, a przechadzający się po kępkach trawy dudek odpowiedział im swoją dudniącą pieśnią. Zagłębiłem palce w ziemi i odetchnąłem z ulgą, gdy natknąłem się na płócienne zawiniątko. Przesunąłem wierzchem dłoni po wyrzuszeniach pod materiałem. Uśmiechnąłem się pod nosem.

Henutta wiedziała za dużo i chciała zbyt wiele. Z jednej strony mogła po prostu ukraść to, co zebrałem, a mnie utopić w porcie... Myśli kłębiły się jak dym nad stosami pogrzebowymi Tyfłotów – pozostałości po przeszłości, wędrujące do świata domysłów i niewiadomych.

Moja ręka zawisła w powietrzu. Zdałem sobie właśnie sprawę z tego, że słyszę tylko własny oddech.

Dreszcz prześlizgnął się wzdłuż mojego kręgosłupa i połaskotał mi ramiona. Klęczałem nieruchomo jak ofiara, jak szczur obserwowany przez węża. Czułem czyjś wzrok na plecach i walczyłem z nieodpartą chęcią spojrzenia Śmierci w twarz.

Powiadają, że Śmierć jest piękną boginią.

Oczywiście się nie powstrzymałem. Wsunąłem zawiniątko za tunikę i wcisnąłem za pas, po czym odwróciłem się z uśmiechem osoby nie mającej nic do ukrycia.

Ujrzałem mężczyznę, stojącego o kilka kroków za blisko. Jego nagi tors powiedział mi, że ten człowiek zwykł imać się prac wymagających siły, lecz jego smukłość i zadziwiająca drobność sugerowały, że nie należał do portowych robotników. Goniec? Tancerz? Złodziej?

Zabójca?

Pomimo odkrytej piersi, głowę skrywał pod płótnem. Zakapturzona

postać stała nieruchomo jak posąg przed świątynią.

– Cóż tam masz? – zapytał, a ja miałem wrażenie, że jego chropowaty głos drapie mnie po mózgu i zdiera z niego warstwy odwagi. – A może powinienem zacząć od innego pytania. – Zbliżył się o krok, jednak nie wydał żadnego dźwięku. Sunął bezgłośnie jak chmura po niebie. – Co taki piękniś robi o tak późnej porze w porcie?

Byliśmy w palmowym zagajniku – dróg ucieczki znalazłbym wiele. Obcy blokował tylko jedną stronę, a kilka zgrabnych susów mogłoby mi zagwarantować bezpieczeństwo.

Przybysz zsunął kaptur z głowy, a na jego tysej czaszce zatańczyły refleksy księżycowego światła. Biała poświata załamywała się jednak na ciemieniu obcego, podkreślając okręgi, węzły i linie. Po chwili dotarło do mnie, że to bliźny. Z tego dystansu trudno mi było rozpoznać, czy to celowe skaryfikacje, czy pamiątki po niezliczonych walkach.

Namacałem ukryty przy biodrze spiżowy sztylet, chociaż czułem, że w walce prędzej sam bym się na niego nadział.

– Pomóc ci w czymś, dobry panie? – zapytałem i o dziwo mój głos nie trząśł się jak gruda owczego tłuszczu. – Nie ma drugiego, który zna to miejsce jak ja! Szukasz może kogoś?

– Szukam pewnej pamiątki. – Wyszczерzył się, a w tym uśmiechu przypominał hienę, szykującą się do ataku. – Pamiątki należnej świątyni, rozumiesz, piękniśiu.

Przechyliłem głowę na bok.

– Niestety, niczego takiego nie widziałem, dobry panie. – Wzruszyłem lekko ramionami. – Jeśli jednak bardzo ci na tym zależy, to mogę popytać wśród ludu. Mam do tego talent, widzisz...

Postąpił krok naprzód, a ja mimowolnie się odsunąłem. Ugiąłem nieco nogi.

– Czuję to. – Nieznajomy zaczął węszyć jak tropiący pies. Zmarszczył nos, a jego twarz przyjęła groteskowy, dziki wyraz. – To nie tylko zwykły metal, piękniśiu. Słudzy Jaszczurowęza będą mi za to wdzięczni.

– Na pewno mogę ci jakoś pomóc, jednak raczej nie z tym, co masz na myśli.



Bliznowaty pokręcił głową.

– Syczysz jak ranna żmija – warknął. – Czas ukręcić ci łeb.

Chciałem jeszcze coś powiedzieć, ale rozmył się w powietrzu.

Uskoczyłem w ostatniej chwili, a podmuch rozwiął mi grzywkę. Brązowe ostrze błysnęło w jego prawej dłoni.

Chociaż raz w życiu chciałem, żeby w pobliżu znaleźli się strażnicy.

Zerwałem się do biegu. Przemykałem między drzewami, skacząc jak spłoszona antylopa. Miałem tylko nadzieję, że gepard zmęczy się szybciej ode mnie. Stąpał bezgłośnie. Tylko lodowaty oddech strachu na karku mi podpowiadał, że obcy się zbliża.

Coś zatrzęśło liśćmi nade mną. Wysoka palma zadrżała i skrzypnęła ostrzegawczo. Spojrzałem w górę i dreszcz spłynął wzdłuż mojego kręgosłupa.

Sylwetka zabójcy migotała między koronami palm, odbijała się idealnie wymierzonymi susami od pni i lądowała na kolejnych. Męczyzna skakał od drzewa do drzewa, jak gdyby urodził się wśród heweszyckich pawianów.

Zerknąłem na północny zachód, ku wodom morza Sedżut. Czy pawiany umieją pływać?

Nie dokończyłem myśli. Coś rąbnęło mnie między łopatki, nogi mi się poplątały i runąłem naprzód. Oparłem się na otartej dłoni i chciałem wstać, ale stopa zabójcy grzmotnęła mnie w brzuch. Zarzęziłem i padłem na bok, rękami odruchowo zasłoniłem twarz.

Nie chciałem patrzeć na obcego. Jego oblicze przywodziło na myśl poharataną kocimi pazurami płachtę, na którą następnie ktoś naszczał i spróbował uprać w błocie. Może i ciało miał ładnie wyrzeźbione, ale nie tylko wyglądem człowiek żyje. Z reguły.

Kątem oka wyłapałem jakiś błysk. Zabójca bezceremonialnie szarpnął moją tunikę i rozciął ją wzdłuż pasa. Wyjątkowo nie zaprzętałem sobie tym głowy, a skupiłem się na błyskotce, leżącej w zasięgu ręki.

Bransoleta Bekhten. Złoty wąż oplatający trzykrotnie przedramię, z zielonkawymi kryształami w miejscu oczu. Musiała mi wypaść, gdy obcy się na mnie rzucił.

Coś w głębi duszy mnie podkuśiło, bym wyciągnął ku niej dłoń. Zabójca – a może jednak złodziej – wysuwał zawiniątko zza mojego pasa.

– Niech Aszermet cię osądzi, złodzieju – wymamrotał i w ostatniej chwili ujrzałem, jak unosi sztylet do ciosu.

Zacisnąłem palce na bransolecie.

Mrowienie przeszło całe ciało. Szarpnąłem się bezwiednie, miotnąłem w bok i uderzyłem głową w ziemię, aż zapiszczało mi w uszach. Ostrze obcego chybiło i weszło w piach.

Zerwałem się na równe nogi i odskoczyłem. Czuję się niemalże jak bóg. Mogłem wszystko! Wysunąłem własny sztylet z pochwy i obróciłem go w dłoni, jak widziałem to wiele razy w wykonaniu karczemnych nożowników. Zmieszanie na surowej, pobrużdżonej twarzy przeciwnika dodało mi otuchy. Chichot prawie prześlizgnął się przez moje usta.

Wyprowadziłem brawurowe pchnięcie. Bliznowaty uskokzył i chciał mnie chwycić, ale obróciłem się jak kot i chlasnąłem na odlew.

Ze zdumieniem odkryłem, że na ostrzu pojawiły się kropelki krwi.

Trafiłem go w prawy nadgarstek, po wewnętrznej stronie. Palce jego dłoni zwisały bezwładnie, a sztylet zabójcy leżał smętnie w pyłe. Zanurkował dłonią za przepaskę, by wyciągnąć drugi, ale kopnąłem go z całej siły w twarz. Nos zabójcy trzasnął pod moją stopą. Rzuciłem się po upuszczone ostrze i cisnąłem daleko.

Pierwszy raz w życiu kogoś rozbroiłem.

Mój oddech szalał i rozrywał płuca. Zabójca klęczał z twarzą w dłoniach, a spomiędzy palców ciekły mu strużki gęstej krwi.

Spojrzałem na spizowe ostrze i... nie mogłem ruszyć się z miejsca. Myśl o wrazeniu noża w czyjeś bebechy wcale nie okazała się tak atrakcyjna. Zabójstwo to jednak zabójstwo, nawet kogoś, kto czyha na twoje życie. Odebranie go z pewnością nie jest czymś, co można strzepnąć w cień i pozostawić w przeszłości.

Coś szarpnęło moją nogę i znów upadłem.

Zakrwawiona twarz zabójcy na tle nocy przywodziła na myśl najgorsze koszmary. Żądnymi krwi oczami świdrował mnie na wylot, jak gdyby chciał rozsadzić moją czaszkę od środka samym spojrzaniem.

– Nie jesteś godzien błogosławieństwa Nasu, ty uzurpatorze – wycodził przez zaciśnięte zęby. – Jesteś oszustem, złodziejem i bawidamkiem, łajzo!

– A kim był pan Hefen – syknąłem i parsknąłem, gdy klęknął na mojej piersi – jeśli nie tym samym?

I wbiłem sztylet pod jego pachę.

Zaryczał wściekle. Krew chlusnęła z rany pod ramieniem, zalewając mnie i piasek lepkiem szkarłatem. Wraziłem ostrze raz jeszcze, tym razem pod zebra. Rękojeść prawie wysliznęła się z mojej dłoni. Bliznowaty zgiął się wpół i wykonał ostatni desperacki ruch.

Na wszystkich bogów nefertańskich. Nigdy nie czułem takiego bólu.

Jego zęby zanurzyły się w moim barku. Szamotałem się jak jagnię zarzynane niewprawną ręką. Wrzeszczałem wniebogłosy. Nie wiem, ile to trwało, ale pomyślałem, że sukinsyn pije moją krew.

Aż zwałił się na bok, a jego usta same odpadły od mojej skóry. Wypełzłem spod niego. Żołądek podszedł mi do gardła. Rana na barku pulsowała bólem, który nasilał się z każdą chwilą. Krew z ran zabójcy nie wypływała już falowo. Ciekła wąskim strumieniem z nieruchomego ciała i powiększała rosnącą stale kałużę. Spomiędzy warg, lekko rozchylonych, wzyrał język. Język o rozdwojonym czubku.

Co do...

Bizuteria!

Zawiniątko leżało nieopodal. Wstałem, chociaż ledwo. Słaniałem się na nogach, miałem wrażenie, że zaraz zegną się pod moim ciężarem i runę na twarz. Boskie moce ze mnie ulatywały.

W oko wpadł mi jeszcze błyszczący pierścień zabójcy, więc jak nakazują prawa złodziejskie, zabrałem go. Dlaczego miałby się zmarnować?

Rosnąca luna pomarańczowego światła w oddali dodała mi ostatniego, potrzebnego zrywu sił. Porwałem pakunek, przytuliłem go jak własne dziecko i pomknąłem przed siebie, byle z dala od nadciągającej straży. Gdzie mógłbym pójść, poharatany, pogryziony i skąpany we krwi, jak gdybym dopiero co wygrzebał się spod góry zwłok na polu bitwy? To nie był jeszcze czas na wykorzystanie aszu, o nie.

Gwizdzący w mojej głowie huragan przywiął jeden pomysł, z którym

niechętnie musiałem się zgodzić.

Henutta w Kloace.

Prychnąłem pod nosem. Czyli jednak.

Spojrzałem na lewą dłoń, w której trzymałem bransoletę. Tak w każdym razie myślałem, bo czułem wciąż jej chłodny dotyk na palcach.

Jednak... nie trzymałem w niej nic. Wydawało się, że bransoletka jednocześnie tam jest i jej nie ma. Zamknąłem rękę w pięść i udało mi się to bez problemu, lecz chłodne pasma na skórze wciąż dawały o sobie znać.

No nic, potem będę się o tym martwił.

Ruszyłem do oazy dla wyrzutków.

\*\*\*

– Chwyciłeś to... gołą dłonią? – Złodziejka otaksowała mnie uważnym wzrokiem, po czym spojrzała w ognisko. – I żyjesz? Na język Nasu...

Henutta robiła już któreś kółko z kolei wokół izby. Ispe podstawiła gliniane naczynie pod mój krwawiący bark. Naciskała wokół rany, a ja szarpnąłem się i syknąłem z bólu.

– Co robisz? – zapytałem staruszkę.

Złodziejka stanęła na chwilę i spojrzała na mnie.

– Ispe nie mówi, Arcykapłan wyciął jej język. – Widząc mój skonsternowany wzrok, dodała: – Była jedną z jego żon, ale kiedyś nie spodobało mu się coś, co mu powiedziała... coś o małym wężu pod wielką skałą... i ją okaleczył. A potem wyrzucił na ulicę. Ot, historia Ispe.

No, to nie ma co się martwić, że komuś coś wypapla.

– To co ona robi? – zapytałem ponownie.

– Z tego, co wiem, to upuszcza ci krwi, żeby pozbyć się maligny z ust zabójcy. – Wzruszyła ramionami i kontynuowała nerwową przechadzkę. – Jak wyglądał?

Wzdrygnąłem się na to wspomnienie.

– Łysy, brzydki jak noc, pocięty jak ćwiczeniowa kukła. Miał rozdwojony język. Mówił jak gorliwiec, walczył jak gorliwiec i umarł jak gorliwiec.

Henutta odetchnęła głęboko, wstrzymując na chwilę powietrze.

– Nie jest to najbardziej szczegółowy opis, ale wnioskuję, że mógł to być Emtut. – Postawiła stopę na drewnianym stołku. – Aspirował do bycia świątynnym Egzekutorem, ale wyrzucili go, gdy zabił dwóch innych akolitów.

Przełknąłem ślinę.

– To nie wszystko – kontynuowała. – Dalej ćwiczył, dalej trenował, aż w końcu zaczęli go najmować jako płatnego zabójcę.

– Czyli ktoś go zatrudnił.

– Najpewniej. Tylko kto? Iuhet? Nie, to nie w jego stylu. Chociaż może? – Podrapała się po podbródku w zamyśleniu. – A tak w ogóle, to Emtut może i był lekkomyślnym, aroganckim dupkiem, ale jednak zabójcą. Jakim cudem go pokonałeś?

Spojrzałem na swój lewy nadgarstek, z którym coś było nie tak. Jakby kość się złamała, a następnie zagoiła, zostawiając spiralne zgrubienie. Przegub mojej dłoni okalało coś na wzór blizny, pulsującej delikatnie zielenią. Jak nefryt.

A kształt teje blizny do złudzenia przypominał bransoletę Bekhten.

Zakręciło mi się w głowie.

Henutta w końcu podeszła. Chwyliła moją rękę twardą, pokrytą odciskami dłonią.

– O bogowie...

– Umrę? – zapytałem.

Henutta na moment stała się ucieleśnieniem zmartwienia. Spod zmarszczonych brwi spoglądały oczy, w których tliło się zaskoczenie, obawa, ale też... ekscytacja. Może nawet więcej ekscytacji niż całej reszty?

– Umrzesz, jeśli dorwą cię zabójcy – powiedziała, nie odrywając wzroku od mojego przedramienia. Oblizła wargi. – Umrzesz, jeśli będziesz nieostrożny. Umrzesz, jeśli nie połączymy sił, Ahmesie.

– Gdy chwyciłem bransoletę, poczułem taką siłę, jakbym był... bogiem – mruknąłem. – Tak zabiłem Emtuta.

Na wspomnienie o zabójstwie szarpnęły mną mdłości. Stopniowo, powoli, ale skutecznie mieszało mi to w głowie.

Powiodła palcem wzdłuż pętli na mojej skórze. Przyjemne uczucie.

- To Okruch – szepnęła.
- Jasne, Okruch. – Prychnąłem, ale żołądek zrobił mi w brzuchu fikołka. – Boski artefakt, tere-fere.
- Zacisnęła palce na moim nadgarstku, aż zabolalo.
- Au, ej!
- Dotknąłeś bransolety i teraz znajduje się pod twoją skórą, przy okazji czyniąc cię ludzkim węzłem. Wciąż nie wierzysz w Okruchy?
- No cóż, wyparcie to pierwszy stopień przyjęcia prawdy.
- Jęknąłem przeciągle. Długo do mnie docierało, że zaiste mogła mieć rację.
- Co teraz?
- Zapewne słyszałeś, jak w legendach mówią, że obecność fragmentu bóstwa w ludzkim ciele potrafi je zniszczyć?
- Opowieści o powykręcanych, wyjedzonych od środka ciałach. O wysuszonych zwłokach czy spalonych na wiór od samozapłonu nieszczęśnikach, którzy chcieli osiąść boskie moce.
- Tak.
- Więc musimy to z ciebie wyciągnąć.
- Pokiwałem bezwolnie głową. Myślami wciąż byłem wśród zwłok mitycznych opętańców.
- A da się w ogóle?
- Słyszałeś o Powrozie Nasu, prawda?
- Najpotężniejszy Okruch Jaszczurowęza, hm? – Uśmiechnąłem się głupio. – I pewnie wiesz, gdzie go znaleźć?
- Henutta odpowiedziała uśmiechem.
- Wiem. I mój pracodawca chce go ukraść.
- Zachłysnąłem się śliną. Zacząłem się dławić, kaszlałem jak oszalały, aż Ispe łupnęła mnie w plecy i pomogła odzyskać oddech. Cóż za siła drzemała w tej staruszce!
- Żartujesz – wycharczałem.
- Wiem, gdzie jest. I do tego potrzebujemy Bransolety, bo jest czymś w rodzaju... klucza. – Wstała, chwyciła się pod boki. – A skoro jesteś jednością z Bransoletą...

Zamknąłem na chwilę oczy. Gdy je otworzyłem, nic się nie zmieniło.

– A mam wybór?

– Sam sobie odpowiedz.

Ech. Sam sobie to wszystko robię. Każdy błąd doprowadził mnie właśnie w to miejsce. Co ambicje robią z człowiekiem... Nigdy nie umiałem odpuszczać.

– W porządku więc. Jak coś się zaczyna, to trzeba to skończyć.

Henutta uśmiechnęła się i chwyciła bukłak z winem, który leżał na stole.

Pociągnęła łyk i podała mi szyjkę.

– Dziękuję, ale wino mąci zmysły – odparłem.

– Na pewno? Jeszcze ci się dzisiaj przyda.

Spojrzałem na igłę, którą Ispe opalała właśnie nad ogniem.

– Na pewno. – Przełknąłem ślinę.

Nawlekła nić na igłę.

– Masz wciąż to aszu, które ci dałam? – zapytała po chwili Henutta.

– No mam, a co?

– Wykupimy ci awans społeczny, mój drogi.

A to jęcza! Wiedziałem, że ten krążek nie był jedynie zachętą.

– A ty nie możesz tego zrobić?

Uśmiechnęła się krzywo.

– Kutneh nie przepada za kobietami. A ty, mój drogi, idealnie umiesz udawać kogoś, kim nie jesteś.

\*\*\*

Najbogatsze szaty, jakie dało się kupić w Brzuchu Hefen, trafiły na moje ramiona. Zakrwawioną, znoszoną koszulę oddałem Henutcie i przywdziałem ubranie, którego nie powstydziliby się co bogatszy z handlarzy niewolników. Dobrze uszyta tunika skrywała moje ciało od rozoranego barku aż po lśniący nefrytem nadgarstek. Wygodna szenti opinała się na biodrach i opadała swobodnie na kolana. Na palec wsunąłem pierścień, który znalazłem na zwłokach Emtuta. Złoty wąż z rubinowymi oczami, owinięty wokół palca jak wokół ofiary.

Podszedłem do bramy pałacowej i ukloniłem się grzecznie przed jednym ze strażników. Dwóch pilnowało wejścia po zewnętrznej stronie, druga para stała już na dziedzińcu. Przy murze siedział łysy skryba ze zwojem papirusu, który szeleścił w jego dłoniach przy każdym kolejnym gościu. Jeden ze zbrojnych odbierał broń od wchodzących do środka. No cóż, przynajmniej będzie bezpieczniej.

– Imię? – zapytał strażnik.

– Jam jest Itmes, syn Ormuta z Iswy – odrzekłem.

Skryba zaczął przeglądać listę gości, marszcząc brwi. Widać było, że nigdy o żadnym Itmesie od Ormuta nie słyszał, więc tym bardziej nie spodziewał się znaleźć go wśród zaproszonych.

Spizowe grotty włóczy spojrzały na mnie złowrogo. Odpowiedziałem im mrugnięciem. Miałem powód, żeby tam być.

Wyciągnąłem otwartą dłoń przed siebie. Z początku nic na niej nie leżało, ale obróciłem ją szybko w jedną i drugą stronę, zgiąłem palce i gdy je ponownie rozwarłem, na ręce widniał srebrny krążek aszu.

Stara sztuczka, a zawsze robi wrażenie.

Jeden ze zbrojnych, zapewne dowodzący odźwiernymi, podszedł i otaksował aszu badawczym wzrokiem. Spojrzał na mnie, na moje kędzierzawe włosy, potem na podkreślone czernidłem powieki, aż do nowych, skórzanych sandałów.

– To aszu – powiedział w końcu do skryby.

Oficjel spojrzał na mnie spode łba z uniesioną brwią i zaprosił gestem dłoni. Odebrał ode mnie krążek, obejrzał go dokładnie i wykonał cały zestaw prób, by upewnić się, że aszu jest zaiste prawdziwa. Marszczył się i krzywił przy tym, jak depilowany starzec.

Samotna strużka potu spłynęła mi po karku, chociaż starałem się utrzymać pewną siebie minę.

No już, przecież widzisz, że prawdziwa.

– Itmes od Ormuta z Iswy? – zapytał w końcu skryba, a jego twarz przybrała wyraz nieco mniej odrzucający. – Dopiszę do listy. Szanowny Itmesie, zdeponuję monetę w należnym miejscu i ogłoszę twoje przybycie. Tymczasem witaj na ucztę Nut-Nasu-Et w progach naszego czcigodnego Pierw-



szego Kapłana Mówcy.

Skłonił się serdecznie i wskazał dłonią bramę. Strażnicy rozchylili wielkie drzwi i wpuścili mnie do środka. Słyszałem szepty innych gości zza pleców i uśmiechnąłem się mimowolnie.

Coś czuję, że Itmes z Iswy zyska dzisiaj rozgłos.

\*\*\*

Henutta gdzieś się skrywała. Przechodząc przez ogród na dziedzińcu, widziałem w każdym krzaku i każdym drzewie kryjówkę dla złodziejki. Z początku zaproponowałem jej, że pójdziemy razem, jako para, ale aszu mogło wykupić wejście tylko dla jednej osoby. Przebranie się za służkę też nie wchodziło w grę – każdy niewolnik i każdy wolny sługa Kutneha był mężczyzną. Bez wyjątku. Władca pilnował wszystkich jak oczka w głowie, prowadził ścisłą obserwację, a jakakolwiek rotacja pracowników musiała znaleźć się na tabliczce albo papirusie. Dostanie się do Pierwszego Kapłana Mówcy graniczyło z cudem, a właśnie w wieczór Nocy Jaszczurowęża, Nut-Nasu-Et, w jego gardzie pojawiała się luka.

Więc Henutta gdzieś czyhała na wypadek, gdybym potrzebował pomocy. Dosadnie jednak dała mi zrozumienia, że jeśli spalę akcję, to moją dupę złoi jako pierwszą.

Główna aleja dziedzińca była kwintesencją dokładności i schludności Kutneha. Starannie przystrzyżone krzewy i korony drzew tworzyły zieloną ścieżkę, na której końcu widniały otwarte wrota do ogromnego pałacu. Chylące się nad dróżką liście dawały przyjemny cień. Ostatnie promienie słońca prześlizgiwały się między gałęziami, tworząc na ubitym piasku liściastą mozaikę ze światła.

– Przepraszam.

Z rozmyślań wyrwał mnie głos jakiegoś mężczyzny. Obróciłem się i natknąłem spojrzenie człowieka, siedzącego na ławie z rzeźbionego drewna. Patrzył na mnie ciekawskim wzrokiem spod gęstych, czarnych brwi. Wbrew modzie nefertańskiej, która faworyzowała noszenie krótkiego wąsa, mężczyzna ten skrywał niemal połowę twarzy pod gęstą, kędzierzawą bro-

dą. I, już zupełnie wbrew zwyczajom szlachty, nie nosił peruki, a własne włosy spięte w kitkę.

– Och, dzień dobry – odparłem nieco zmieszany. – Niech Nasu ubija twe ścieżki szczęściem i miłością. Czy my się znamy?

– Nie mam pewności, być może kiedyś się minęliśmy. – W jego głosie czaiła się nuta obcego akcentu, chociaż całkiem sprawnie ukrywana. Heweszyta. – Natomiast chciałem zapytać o ten pierścień.

– Och, to? – Uniosłem dłoń, którą zdobił złoty wąż. Serce zabiło mi szybciej. – Całkiem zabawne, bo nie jest mój. Próbuję znaleźć właściciela. Znacie go może?

Przyjrzał się pierścieniowi dokładniej i uniosł brwi. Pokiwał głową w zamysłeniu.

– Przypomniał mi pewien wzór, który kiedyś ujrzałem. Niby powszechny, bo przedstawia najszlachetniejsze i zarazem najbardziej przebiegłe ze zwierząt, jednak ma w sobie coś... własnego. Niepowtarzalnego.

Do rzeczy, proszę.

– To... znasz może właściciela, dobry panie? – zapytałem niepewnie. Ten człowiek miał na mnie przedziwny wpływ. Czułem się przytłoczony. – Zależy mi na znalezieniu go.

– Szlachetnie.

Bynajmniej.

– Ale nie. – Pokręcił głową ze smutkiem. – Niestety nie przypominam sobie, żebym znał kogoś z identycznym pierścieniem.

Dziękuję więc za zmarnowanie czasu.

Wstał z ławki, odetchnął głęboko i uśmiechnął się łagodnie.

– Natomiast jeśli się dowiem, to bez zwłoki się do was odezwę... Jak macie na imię?

– Ach, tak. Itmes, syn Ormuta.

Jego spojrzenie przeszywało mnie na wylot. Miałem nieprzyjemne wrażenie, jak gdyby mój rozmówca wiedział więcej, niż pokazywał.

Skinął głową, uklonił się na pożegnanie i postawił stopę na jednej z mniejszych, odchodzących od głównej alei ścieżynek.

– Więc z pewnością się do ciebie odezwę, Itmesie, synu Ormuta.

Stałem chwilę w osłupieniu, aż dotarło do mnie, że nie zapytałem o jego imię. Rozejrzałem się, ale tajemniczy mężczyzna zniknął mi z oczu.

No nic, potem go poszukam. Są ważniejsze rzeczy do zrobienia. Kradzież, pozbycie się jarzma boskiej mocy, zemsta i takie tam.

\*\*\*

W środku panował taki ścisk, że prawie zabrakło dla mnie powietrza.

Piszczalki, liry i bębny grały ponętną pieśń. Jedni goście stali, inni siedzieli, a jeszcze inni leżeli – na posadzce, poduszkach i na sobie nawzajem. Woń kwiatowych perfum mieszała się z kwaśnym odorem potu. Woskowane włosy błyszczały w świetle pochodni, złote i srebrne ozdoby migotały skaczącymi refleksami. Szum głosów falował jak wzburzone morze podczas sztormu.

A ja czułem się jak zagubiona łódka rybacka.

Gdzie mógłby ukrywać się skarbiec z potężnym artefaktem?

Henutta mówiła mi, że mam szukać niejakich Kazamatów. Nie miałem pewności, skąd czerpała informacje, ale z pewnością wiedziała więcej, niż jakikolwiek inny złodziej w tym zawszonym mieście. Skubana musiała trzymać w garści tak rozwiniętą pajęczynę szpiegów, że mogłaby pokryć całe Hefen i złapać każdą tłustą muszkę w sieć.

Kazamaty, Kazamaty... Trzeba było znaleźć zejście pod ziemię.

Obserwowałem palce i szyje każdego mijanego gościa. Pierścienie często parowano z kolczykami i naszyjnikami, często nawet... bransoletami. Ale nie, ten na moim palcu raczej nie pasował do Bransolety Bekhten, więc wątpiłem, że to Iuhet z rodziną nasłali na mnie zabójcę. Nie chciałby, żeby fakt utraty pamiątki rodowej wyszedł poza mury jego pałacyku. W Nefertu rodziny szlacheckie musiały się w jakiś sposób wyróżniać; to dotyczyło się nawet najemników, którzy dla nich pracowali. Jedni nosili więc identyczne bransolety, inni naszyjniki, a jeszcze inni właśnie pierścienie. Musieli być w stanie rozpoznać się na ulicy, czyż nie?

Chociaż z drugiej strony... Iuhet mógłby chcieć mnie uciszyć. Spojrzałem raz jeszcze na pierścień i zmarszczyłem brwi. Myśli kotłowały mi się w głowie

i coraz to dziwniejsze teorie kształtowały się z chaosu idei. Kto, czemu, jak? Dowiem się. Dowiem się i... Może tym razem nie ucieknę.

Odbiłem się od czyichś pleców.

Brzęk i łoskot.

Wokół mnie powstał pusty okrąg. Wydawało się, że nawet powietrze odsunęło się ode mnie i nieznajomego. Przede mną stała tylko jedna osoba, odwrócona plecami. Mężczyzna, na pierwszy rzut oka. Bogate, wyszywane złotą nicią szaty. Intensywnie jasnozielona szarfa na ramieniu.

I rosnąca ciemna kałuża pod jego stopami.

Kap, kap, kap.

– Ślepyś, głupcze? – warknął, odwracając się w moją stronę.

Znałem ten głos.

Oj.

Stanąłem z nim twarzą w twarz.

Z bratem mojej kochanki.

W ręce trzymał cynowy kielich, a niegdyś nieskazitelnie białą tunikę oblaną miał winem.

Ciepło odpłynęło z moich członków. Nogi zaczęły mi mięknąć, powieka zadrżała. Łomot serca wypełnił całe ciało, zagłuszając nawet potężne bębny uctowych grąjków. Przez bezlitośnie długą chwilę patrzyliśmy sobie w oczy, obaj coraz bardziej popadając w niedowierzanie.

– O, ty kupo łajna – warknął Iuhet.

Uśmiechnąłem się tak głupio, że na jego miejscu zacząłbym sobie współczuć.

– Twoja siostra nie narzeka.

Co?

Ty kazirodczy jełopie z niewyparzoną gębą!

Iuhet wysunął płynnym ruchem spiżowy sztylet zza pazuchy. Zaczął się do mnie zbliżać. Uśmiechnął się, niby przyjacielsko i wzruszył ramionami.

– Zabiję cię – wysyczał cicho.

To by było tyle z bezpiecznej uczt.

Jednak pozornie spokojna maska na twarzy szlachcica nie uchroniła go przed uwagą gości. Okrąg wokół nas poszerzył się jeszcze bardziej. Nielicz-

ne kobiety, które znalazły się na bankiecie, wciskały się w ramiona mężów i kochanków, wytrzeszczając oczy.

Zresztą, mężowie też nie kipieli odwagą.

– Nóż!

– Ktoś wniósł broń!

– Ratunku!

Ale hałas był taki, że mało kto coś usłyszał. Panika zaczęła rozlewać się po tłumie jak gęsta krew.

Iuhet skoczył w moim kierunku, ale mnie już tam nie było. Przeciskałem się między ludźmi; po chwili sami zaczęli ustępować mi miejsca.

Wypatrzyłem drzwi ukryte w kącie sali.

Raz Ahmesowi śmierć.

Pierwsza zasada ucieczki – nie spoglądaj w tył. Mknąłem więc przed siebie, próbując jak najszybciej wydostać się z duszącego tłumu i uciec jak najdalej od żądnego krwi szlachcica.

Jakaś kobieta wrzasnęła niebezpiecznie blisko. Kilka męskich głosów wybiło się ponad harmider, do czego po chwili dołączyły głuche uderzenia pięści o ciała i brzęknięcia upadających kielichów.

Moja okazja.

Uchyliłem drzwi i wcisnąłem się w dziwnie wąski przesmyk. Wypadłem na korytarz, który rozwidlał się w trzy strony. Każda wyglądała tak samo. Odnośnie każdej miałem takie samo pojęcie.

Czyli żadne.

Pobiełem w prawo. Gdy wyłoniłem się zza rogu, w oczy wpadło mi odbicie pochodni na wypolerowanym, brązowym hełmie strażnika. Pilnował kolejnego przejścia. Ucieczka w drugą stronę nie miała już sensu. Wyprostowałem się i przybrałem minę skonsternowanego gościa.

– Ta część pałacu jest zamknięta dla gości – poinformował mnie strażnik.

– Straż, pomocy! – Postąpiłem krok w przód, wskazując palcem za siebie i spoglądając tam co rusz rozbieranym wzrokiem. – Ktoś wniósł sztylet i doszło do bitki!

Strażnik zmarszczył brwi i zacisnął mocniej palce na drzewcu włóczni.

– Przecież...

Coś łupnęło w drzwi, zza których przyszedłem. Nieco pyłu posypało się z framugi.

– Widzicie? – jęknąłem.

Gwardzista pomknął czym prędzej w stronę sali biesiadnej. Prześlizgnąłem się przez drzwi.

Ogród, w którym się znalazłem, był klasycznym, wewnątrzpałacowym patio. Niewielką sadzawkę w jego centrum okalał alabastrowy posąg Jaszczurowęża. Długie cielsko stało na kilkunastu parach jaszczurzych nóg, a wyciągnięta, smukła głowa szczyrzyła ostre, długie jak sztylety kły. Rzeźbę ustawiono tak, że wbijała przebiegłe spojrzenie akurat we mnie. W nieproszonego gościa.

Nieproszonego? Widziałem w tej kupie kamienia, że Nasu rzuca mi kolejne wyzwanie.

A ja się go podjąłem, jak zwykle robić. Nie będzie bóstwo śmiać mi się w twarz.

Nagle usłyszałem zamykane w oddali drzwi. Przywarłem do najbliższej z kolumn i zacząłem nasłuchiwać. Jeśli ktoś się tu znalazł o tej porze, to z pewnością miał coś ciekawego do przekazania podsłuchującym uszom.

Dwie pary nóg. Kroki jednej z osób były nierównomierne, jakby kulą. Głosy, z początku niewyraźne, zbliżały się do mnie. Z każdą chwilą robiło się coraz ciemniej, wieczorne słońce zniknęło za murami i lada chwila miało schować się pod wodami Sedzutu.

– ...i dlatego musimy liczyć się z tym, że król będzie chciał zarekwirować świątynne własności.

– Zbliżamy się do celu, Mistrzu Fenneterze. Pozostały ostatnie poprawki.

Fenneter? Arcykapłan świątyni Nasu w Hefen? Najpotężniejsza osoba w całej tej części królestwa?

– Liczę na twojego Rzeźbiarza, Kutnehu.

Oho. Bardzo nie powinienem się tu znaleźć. Rzeźbiarze? Twórcy Okruców? Ponoć to tylko legendy i mity.

Spojrzałem na lewy nadgarstek.

No cóż.

– Winien mi jest przysługę. Nie wypuszczę go, dopóki nie skończy swojej pracy.

– Ile lat minęło od czasu, gdy ostatni Rzeźbiarz tworzył w Hefen, Kutnehu? – zapytał Fenneter. Głos miał chrapliwy i zużyty, jak na starego kapłana przystało. – Zanim królowie pozbyli się ich doszczętnie?

– Za dużo, Mistrzu Fenneterze.

– Taka była wola bogów. Ale że też musieliśmy poszukać Rzeźbiarza na północy... Czy to naprawdę konieczne? Nie wiem.

Wodziłem za nimi wzrokiem i szukałem przestrzeni, w której mógłbym przenieść się za kolejną kolumnę.

– Słyszałem, co się stało z bransoletą – wypalił Kutneh.

Na moment wstrzymałem oddech. Kroki ucichły. Obaj mężczyźni stanęli.

– Ale cóż się miało stać? – odparł rozbawionym tonem Arcykapłan.

– Mój syn jej strzeże. Jest bezpieczna.

Jego... syn? Iuhet?

Położyłem dłoń na brzuchu. Mdłości rozszalały się w moim żołądku jak gromada rozwścieczonych duchów, kpiąca ze mnie i moich wyborów życiowych.

– Och. Czyli nie wiedziałeś?

– Ale o czym?

Wyjrzałem zza kolumny. Kutneh był wyższy od Fennetera o głowę. Łyse, pokryte olejkami ciemię pochylał nad Arcykapłanem, którego niezliczone siwe warkocze opadały na plecy i ramiona. Fenneter marszczył brwi, uśmiechając się z niezrozumieniem, a na twarzy Kutneha odbijała się cała gama emocji.

– Okradziono twojego syna. Bransoleta zniknęła. Iuhetowi ją skradziono.

Moja lewa dłoń zadrżała. Wpierw raz, jak gdyby przeszył mnie dreszcz. Palce zacisnęły się w pięść wbrew woli. Paznokcie wbijały mi się w dłoń, całe przedramię poczęło szaleć, jak targane ziemną gorączką stężyłych mięśni. Łzy zamgłyły wzrok. Z trudem powstrzymywałem jęki, wyciskane z gardła przez niemiłosierny ból.

Słowa kapłanów docierały do mnie jak przez zasłonę.

- Skąd ty niby...
- Iuhet ci nie...?
- Czy ty sobie ze mnie żarty...
- Twój syn przybył do mnie...
- Do ciebie?!

Coś przejmowało kontrolę nad moim ciałem. Stawałem się bezwolną kukłą. Coś pociągało za sznurki. Zaciskałem do bólu zęby.

Wszystko legnie w gruzach.

Cała misja skończy się fiaskiem, zabiją mnie i tyle zostanie z legendy Ahmesa z Nebkeh. Powykrzywane zwłoki pozbawione lewego przedramienia.

Wbrew sobie wstałem i wyszedłem zza filaru. Kapłani wciąż się kłócili; Kutneh próbował uspokoić rozwścieczonego Fennetera, który wymachiwał rękami i pienił się ze złości.

- Mistrzu, nie musimy jej szukać!
- Jakie nie musimy jej szukać? Powróż od setek lat gnije w zapieczętowanym skarbcu, nikt go nie otworzył! – Chwyć! Kutneha za ramiona i potrząśnij kapłanem. – Nigdy, rozumiesz, ty łysa pało?! I teraz jakiś podrzędny złodziejasek miałby go spenetrować?!

– Czyżby?

Spojrzałem bezwolnie na posąg Nasu. Jego nefrytowe oczy zabłysły wewnętrznym blaskiem. Zielonkawe światło wylewało się z kamiennej czaszki, prześwitywało przez półprzezroczysty alabaster, omywało mnie ciepłym strumieniem.

A co gorsza, przyciągało.

Udało mi się unieść wzrok i zobaczyłem wciąż jeszcze blade, ale już wychodzące na wieczorne niebo gwiazdy. Ujrzałem przecinającą nieboskłon smugę. Kometa Jaszczurowęża tej nocy miała świecić najmocniej spośród każdej nocy w ciągu całego roku. Bóstwo obserwowało swoje królestwo.

Czego ode mnie chcesz?

- Otóż naprawdę nie musimy jej szukać. – Kutneh odwrócił się w moim kierunku i uśmiechnął szeroko. – Bo właśnie do nas przybyła.



Dwie zakapturzone postaci zwały się prosto na mnie.

Oczywiście, że czekali na dachu.

Chciałem odskoczyć, uciekać, ale byłem wycieńczony. Narzucona wola odpuściła, gdy dotknąłem posągu; nie dodał mi jednak sił. Runąłem na trawnik, w głowie mi się kręciło. Nie mogłem nawet pełznąć. Jedna z postaci nadepnęła mi na kostkę, druga kopnęła w brzuch. Ktoś chwycił mnie za bark, wciskając kciuk w zszytą ranę. Zawyłem przeraźliwie. Machnąłem pięścią, napędzany bólem i wściekłością, ale któryś z napastników chwycił moją dłoń i unieruchomił całe przedramię. Nachylił się nade mną, po czym zachichotał. Tunika na barku zawilgotniała od krwi.

Rozdwojony język wyłonił się spod kaptura.

\*\*\*

Nieśli mnie przez ciemny korytarz. Pod ziemię. Sługusy Kutneha trzymały mnie za związane nogi i pod pachami. Ręce też miałem spętane, a w usta wsadzony knebel. Spoglądałem co rusz na boki, szukając jakiegokolwiek drogi ucieczki.

Chociaż i tak daleko bym nie zaszedł.

Nagle w polu widzenia pojawiła się czyjaś ręka. Ciemna, gładka i duża. Pierwszy knykiec palca serdecznego jednak wyglądał... inaczej. Był pogrubiony jak od krzywo zrosniętej kości.

A to co?

Zgrubienie na palcu pulsowało czerwinią. Zupełnie jak mój nadgarstek, spętany boskim Okruczem.

– Mmf – wyjęczałem przez szmatę w ustach,

– Ach, to? – Kutneh rozchylił palce jak szlachcianka oglądająca swoje paznokcie. – Chciałbym ci podziękować, złodzieju. Gdybyś nie założył tego pierścienia, to wszystko byłoby dla mnie znacznie trudniejsze. Tego byśmy nie chcieli, prawda?

– Amf.

– Kto by pomyślał, że Oko Sepsy może okazać się tak przydatne! – Pomerdał palcem serdecznym przed moją twarzą. Ściszył głos do szeptu.

– Muszę przyznać, że oglądanie zamieszania w sali bankietowej cudzymi oczyma to prześwietna zabawa. Musisz kiedyś spróbować.

– Memf!

– Co tam mówisz? – Kapłan Mówca nachylił się nade mną i wyszczerzył prześmiewczo. – Spróbowałeś okraść Arcykapłana, to musisz ponieść karę. – Wzruszył ramionami. – Taka kolej rzeczy.

Fenneter dreptał za nami. Jego kulawy chód rozlegał się nierównym echem w korytarzu.

Henutta, obyś była w tych Kazamatach.

A tobie, Szejmosz, zgniotę jaja za namówienie mnie na tamtą robotę, męska ladacznico pseftycka. Obiecuję.

– A twoją współpracą zajmują się odpowiedni ludzie – powiedział Kutneh. – Nie wypatruj jej tak.

Westchnąłem cicho.

Stanęliśmy. Przed nami wyrosły ogromne, wzmocnione brązem wrota, strzeżone przez dwóch ciężkozbrojnych gwardzistów. Twarze skrywały im maski z wąskimi otworami na oczy i prostymi ustami. Brak wyrazu na spiżowych obliczach przyprowadził mnie o głębią skórkę.

Odrzwia rozchyliły się z głośnym zgrzytem. Niemalże oslepiłem, gdy uderzyło mnie światło mocne prawie jak samo słońce.

Kutneh miał pod ziemią drugi pieprzony pałac.

– Staniesz się częścią czegoś wielkiego, złodzieju – szepnął mi na ucho Kutneh.

Ktoś mi kiedyś powiedział, że przy gorliwcach trzeba zachowywać się tak, jak tego oczekują. Uspić ich czujność. Oponując, można nabić sobie guza. Trzeba wiedzieć, kiedy uderzyć.

Chociaż ja i tak miewałem z tym problemy.

Zerknąłem w bok i poczułem nagle, jak cały zapadam się w sobie.

Moje spojrzenie spotkało się ze wzrokiem kilkudziesięciu widzów. Mężczyzn. Wszyscy byli mężczyznami. Żadnych kobiet. Większość miała wygolone i olejowane głowy, niektórzy nosili pojedyncze warkocze lub całe ich tabuny. Część szczyliła się poblížnionymi złowrogo ciemionami, a pod wygolonymi brwiami kryły się pozornie puste oczy.

Kapłani. Wszyscy zgromadzeni należeli do Świątyni Nasu. Najważniejsza elita kapłaństwa Jaszczuroweża z, prawdopodobnie, całego Nefertu. Kutneh nie żartował. On chciał tu wezwać samego Nasu, jak nie gorzej.

Staliśmy na podwyższeniu. Ba, scenie! Na jej środku znajdował się wielki, kamienny ołtarz, ozdobiony freskami z życia ziemskiego Jaszczuroweża. U szczytu stołu ofiarnego widniała płaskorzeźba jaszczurzej głowy, w której oczodole leżało nefrytowe oko. Obszerna, wykuta w skale sala ciągnęła się jak okiem sięgnąć.

Tylko spokojnie. Pokaż mu, że za nim podążasz.

Śludzy Kutneha rozciąli sznury i postawili mnie na nogi. Kapłan Mówca zbliżył się do mnie, pogłaskał dłonią po policzku, po czym zaczął zdejmować knebel.

– Tylko nie krzycz – mruknął. – Ani teraz, ani później. I nie rób nic głupiego.

Nasiąknięta śliną szmata opadła mi na szyję. Przejechałem językiem po zębach. Nieprzyjemne uczucie lnu w ustach niezmiernie mnie drażniło.

– Najwięksi Nefertańczycy! – Kutneh odwrócił się i wznosił ramiona, jak gdyby chciał objąć niebo. – Zbieramy się w tę wielką noc, bo radujemy się, że Wielki Nasu pobłogosławił nas swoją obecnością.

Pocierałem językiem o zęby. Chrobotanie w ustach nieco zagłuszało podniosłą, mdłą przemowę Kutneha. Stałem między dwoma strażnikami, za plecami dwóch najpotężniejszych ludzi w Hefen i przed hordą krwiożerczych kapłanów. Wodziłem wzrokiem po sali, szukając jakichkolwiek słabych punktów. Dróg wyjścia. Z pewnością musieli mieć jakiś zapasowy tunel?

Kapłan Mówca paplał o wielkim święcie, o łasce Jaszczuroweża, o królu i o tym, jak ważna jest pozycja Świątyni w całym Nefertu. Fontanny szumiały cicho w oddali, echo głosu Kutneha przywodziło na myśl krople uderzające w taflę wody na dnie studni.

Miałem zwrócić nienawistny wzrok na kapłana, gdy zauważyłem coś, od czego ścisnęło mi się gardło.

Ten mężczyzna z ławki na dziedzińcu.

Stał w pierwszym rzędzie, zaraz pod sceną, i wpatrywał się z zadowole-

niem na twarzy w przemowę Kutneha.

A może z politowaniem?

Warknąłem coś bezwolnie, z czystej furii, która zaczęła przelewać się ponad naczynie mojej duszy. Kapłan Mówca ucichł i odwrócił się powoli w moją stronę. Fenneter stał obok. Wyglądał co najmniej żałośnie – zgarbiony, siwy, niższy i zdominowany przez potok słodkich słów swojego zastępcy.

– A oto ten, który przyjął na siebie łaskę Nasu. – Kutneh wskazał mnie ręką. Uśmiechał się sztucznie, ale przekonująco. – Jeszcze niedawno zwykły złodziej i oszust, dzisiaj naczynie naszego boga, obraz jego błogosławieństwa!

O ty zatruty zgnilizną kłosisi nienawiści, niech ci chleb pleśnieje, a żona będzie jałowa, ty bezwłosa wywłoko.

Miałem być bezwolnym narzędziem w budowaniu jego reputacji?

– Ten oto człowiek, Ahmes z Nebkeh, syn niejakiego Meretseha, włamał się do pałacu rodziny szlachetnego Arcykapłana i okradł go z niepowtarzalnego artefaktu. – Nastała chwila ciszy, którą Kutneh specjalnie przeciągał. – Znany przez niektórych jako Ręka Nasu, a bogom i starożytnym jako Powróż Nasu.

Przez tłum przeszedł szmer. Przez mój żołądek jakby przebiegło stado bawołów. Poczulem kwaśny smak wymiocin, które w ostatniej chwili połknąłem.

To zbyt łatwe, żeby ta bransoleta była Powrozem.

Zbyt głupie.

Zbyt...

Szuranie, ciężkie kroki i brzęk spizowych pancerzy. Paniczny jęk jakiegoś mężczyzny. Obejrzałem się w stronę odgłosów i załała mnie mieszankałości i strachu.

Szejmosz, cały w siniakach, z rozciętymi wargami i poprzypalaną skórą, był wleczony w stronę ołtarza. Knebel wygłuszał jego charkotliwe stęknienia i piski. Myślałem, że ujrzenie gnoja w takim stanie sprawi mi przyjemność, ale wcale tak się nie stało.

Od samego początku byłem tylko kukielką, zabawką dla ukrytych w cieniu.

– To Szejmosz, obcy na naszych ziemiach. Pseftyta! – Kutneh wycelował karcąco palcem w pierś najemcy. Wzburzone szemranie przetoczyło się przez widownię jak burza piaskowa. – Przeniknął do Hefen, zdobywał zaufanie wielu złodziei, by osłabić Świątynię. By osłabić Hefen-esze i całe szlachetne Nefertu!

– Hańba!

– Brudni zachodni!

– Koraklioński pies!

– Ahmes może i wykonał jego wolę, ale to jedynie zagubiony człowiek, który zбочzył na złą ścieżkę! – kontynuował Kutneh, a ludzie coraz żywiej kiwali głowami i wygrażali pięściami w stronę przerażonego Szejmosza. Tajemniczy Heweszta z pierwszego rzędu stał nieruchomo, wpatrując się we mnie ciemnymi oczami. – Nasu go wybrał, wskazał spośród pospólstwa na swojego proroka. Lecz Szejmosz Pseftyta napędzany był jedynie chciwością i nienawiścią wobec naszego narodu. Musi zostać ukarany!

Zgromadzeni kapłani zawyli z aprobatą. Szejmosz zaczął się szarpać jeszcze mocniej i skamleć jak zbity szczeniak. Strażnicy przywiązali go do ołtarza.

– Co to za szaleństwo? – zapytał Fenneter, marszcząc się ze złości. – Zatrzymaj to, Kutnehu! Hefen dawno zrezygnowało z ludzkich ofiar! Co ty sobie myślisz?! Te Okruchy to i tak już było wiele, ale to? Czyś ty zwariował?!

– Nadchodzi nowa era, Arcykapłanie. Musimy dostosować się do zmian.

Fenneter chwycił Mówcę za nadgarstek, lecz ten odtrącił go z taką siłą, że starzec prawie się przewrócił. Nikt nie przybiegł mu z pomocą.

Gdzie droga ucieczki? Jak się stąd wydostać?

Spojrzenie Heweszty.

Gwardziści chwycili mnie za ramiona i poprowadzili w stronę szamoczącego się Szejmosza. Wodziłem rozbieranym wzrokiem od kudłatego północnego do mojego najemcy i z powrotem. Nie mogłem nie zauważyć, że tajemniczy przybysz co chwilę pociera oko nadgarstkiem.

– Moc Powrozu jest niezrównana! – Kutneh nakręcał się coraz bardziej.

– Okruchy powinny należeć do nas, a nie do historii i otchłani zapomnie-

nia! Czas... pozyskać... siłę... bogów!

Łomoczące serce trzęsło całym moim ciałem. To wszystko wyglądało jak jakiś wyjątkowo głupi sen.

Heweszyta znów potarło oko nadgarstkiem. Coś mu tam wpadło?

Doprowadzili mnie do ołtarza i postawili tak, że znalazłem się zaraz za głową Szejmosza. Kutneh złapał mnie za lewą dłoń i wyciągnął ją nad Psefytą. Nie oponowałem.

Gdy zobaczył, że nie walczę z jego dotykiem, puścił, pozostawiając moją otwartą dłoń nad klatką piersiową Szejmosza.

– Czas ujrzeć, jak Powróż dusi grzesznika! Czas uwolnić Jaszczurowę! Nadgarstek i oko.

Spojrzałem ukradkiem na płaskorzeźbę wykutą w ołtarzu.

– Oby Śmierć była dla was litościwa – szepnął Kutneh.

Nadgarstek i oko.

Dwa razy Ahmesowi śmierć.

Wiergnąłem i uderzyłem lewym przedramieniem w kryształowe oko. Wszystko na moment zamarło, Kutneh wbił we mnie zdziwione spojrzenie, nawet Szejmosz ucichł.

– Bum – mruknął Heweszyta.

Donośny trzask wypchnął mi powietrze z płuc. Odleciałem w tył i grzmotałem plecami w ścianę. Gdy otworzyłem oczy, pomyślałem, że znalazłem się w wodach rzeki.

Zielona mgła zasnęła wszystko wokół. Ledwo widziałem wyciągniętą przed twarzą rękę. Pisk mnie ogłuszał. Leżałem podparty na łokciach i rozglądałem się oszołomiony, szukając, cóż, wyjścia. W końcu, na samej granicy słuchu doleciały do mnie wrzaski, huki i brzęknięcia metalu o skały oraz młaśnięcia brązu o ciało.

Podniosłem się na czworaki, chwiejnie wstałem na nogi. Ktoś chwycił mnie za ramię. Machnąłem pięścią, lecz nieznajomy złapał mój nadgarstek i uchronił się przed żalostną namiastką ciosu. W końcu twarz wyłoniła się z mgły.

Tę kudłatą brodę rozpoznałbym już wszędzie.

Nachylił się nad moim uchem i krzyknął, chociaż brzmiało to jak szept.

– Uciekamy!  
No to uciekliśmy.

\*\*\*

– Czy to był prawdziwy... Powróż?

Leżąca na moim brzuchu kobieta spojrzała mi prosto w oczy.

– A tam, prawdziwy. – Młody szlachcic, który opierał głowę na moim poblżnionym barku prychnął i machnął lekceważąco ręką. – Nasz kochany Ahmes pięknie opowiada, ale opowiada bajki, hmm?

Przeciągnął to „hmm” bardzo, ale to bardzo ponętnie. Jego szkliste, duże oczy były głębokie jak wody Sedzutu.

On sam za to nieco płytszy. Ale trudno.

Podąłem mu kielich, a on przyjął go z chęcią i łapczywie pociągnął łyk. Wypił już dzisiaj dużo, ale ostrożności nigdy za wiele. Usłyszałem spokojny, miarowy oddech kobiety.

Mój towarzysz chciał mnie pocałować, ale położyłem palec na jego ustach i odsunąłem go od siebie. Pachniało od niego winem.

– Musisz zapracować na całusa – odparłem.

Było blisko.

Uśmiechnął się. Chciał jeszcze raz spróbować, ale w tej samej chwili wzrok zaczął mu uciekać, a powieki się zacisnęły.

Po chwili już smacznie chrapał.

Stuknąłem cztery razy kielichem o ścianę. W oknie pojawiła się kudłata głowa Wazada z Amenkadu. Wiedziałem, że to on, nawet pomimo maski na jego twarzy. Wślizgnął się bezszelestnie do sypialni i rozejrzał uważnie.

– Gdzie Henutta? – zapytałem.

– Tutaj – odparła złodziejka.

Na suficie, znaczy się.

Westchnąłem przeciągle.

– Nie mogłeś mi znowu zrobić jakiegoś Okrucha z, nie wiem, usypiającymi mocami? – zapytałem, zsuwając z siebie śpiących kochanków.

– Długo to trwało, panie Rzeźbiarzu. Gardło mi wyschło.

– Myślałam, że lubisz gadać? – Henutta uśmiechnęła się i zeskoczyła na podłogę. – Aż żałuję, że wtedy tłukłam tych łysoli po mordach. Z pewnością próbowałaś przemówić kapłanom do rozumu, prawda?

– No! – Wzad się wyszczerzył. – A poza tym nie szalej tak, nie mogę ci ciągle upuszczać krwi. Demony zajmą ci głowę, a tego wołę uniknąć.

Spojrzałem na okalający mój palec pierścień. Kolejne dzieło Wazada. Tym razem rzekomo nikt nie widział przygód z dołu kloaczego przez moje własne oczy; Okruch co najwyżej usprawniał nieco zwinność dłoni w starciu z cudzymi własnościami.

Wstałem, związałem szenti na biodrach i przeciągnąłem się jak kot.

– No wiesz. – Potarłem zgrubiałą skórę na nadgarstku. – Jak coś zacznę, to wołę to skończyć. A teraz do roboty, mamy jeszcze dużo do zrobienia. Fenneter i Kutneh obaleni i wygnani, ale do głowy węża jeszcze daleko. Wciąż mamy wiele Okruchów do znalezienia.

Może i wszyscy wkoło próbowali mnie wykorzystać. Może i im się udało.

Ale obiecałem sobie, że ostatnie zdanie tego eposu wypowiem ja.

### **Link do opowiadania wraz z komentarzami:**

<https://www.fantastyka.pl/opowiadania/pokaz/31236>

**Kacper Kamieniarz** – student weterynarii, pasjonat historii i fanatyk świnek morskich. Pisze szeroko pojętą fantastykę, a najlepiej czuje się w tematach, związanych z przeszłością – czy to starożytny Babilon, Grecja, powstanie Budyki czy najazd Wikingów (choć oczywiście nie zamyka się na wizje przyszłości, czy pozostanie w teraźniejszości!). Dotychczas publikował, pod pseudonimem BarbarianCataphract, głównie na portalu *Nowej Fantastyki*, na którym zdobył Brązowe Piórko za powyższe opowiadanie. Poza tym był też publikowany w czasopiśmie *Imaginarium Wielkopolskie* oraz *Radość z pisania*. Dotychczas skupiał się na pisaniu opowiadań, ale w końcu podjął się pracy nad powieścią.







## Lista ilustratorów i ilustracji

**Agata Francik** wykonała ilustracje do opowiadań:

*Fiolet i cień*

*Wojny prolków*

*Kradzieże i konfabulacje*

**Patrycja Kowalik** wykonała ilustracje do opowiadania:

*Dwór wisielczego króla*

*Cmentarzysko Sów*

**Gosia Lewandowska** wykonała ilustrację do opowiadań:

*Trzecia noga*

*Skóra*

**Michał Pięta** wykonał ilustracje do opowiadania:

*Księżycowy Most*



## Podziękowania

W pracy zbiorowej, jaką Fantastyczne Pióra zdecydowanie są, podziękowania mogłyby zająć więcej miejsca niż niejedno opowiadanie. Nie byłaby to jednak zbyt pasjonująca lektura – żadnych smoków, wielkich wynalazków, statków kosmicznych, magii ani mieczy. Choć jednak nie ma tu fabuły ani światotwórstwa, pozostał jednak element „świętej trójcy” opowieści, czyli bohaterowie.

Pierwsze podziękowania lecą więc do całej społeczności portalu fantastyka.pl (bo tylko dzięki niej antologia ma prawo istnieć). Dziękuję więc autorom – nie tylko tym, którym udało się już zdobyć piórko, ale również tym, którzy nadal próbują. Oklaski otrzymują komentujący – za to, że napędzają dyskusje i czynią portal tak wyjątkowym miejscem. Szczególne ukłony należą się Łoży, która przyznaje wyróżnienia w postaci Brązowych Piórek i tym samym wskazuje teksty do antologii.

Potem nad jakością każdego tekstu pracuje sztab ludzi, których zadaniem jest wyłapanie fabularnych dziur i nieścisłości, błędów, pomyłek, literówek czy brakujących przecinków (w procesie nie ucierpiał żaden autor, taką mamy przynajmniej nadzieję). Redaktorzy, korektorzy, weryfikatorzy – dzięki Wam antologia ma ręce i nogi. Świetnie widzieć, że w skład tego grona kolejno raz weszli zarówno portalowi weterani, jak i osoby ze świeżego zaciągu.

Fantastyczne Pióra współtworzą ilustratorzy. Wasze wizualne interpretacje dodają tekstom dodatkowego smaku i są wartością samą w sobie. To kawał dobrej, bardzo potrzebnej roboty. Niełatwym zadaniem jest również stworzenie okładki. Mamy to szczęście, że Sylwester Gdela wykonał dla nas znakomity projekt, z którego korzystamy od lat. Wykonania grafiki podjęła się Alicja Leszczyńska, co przy naszych antologiach stanowi wyzwanie tym większe, że teksty nie mają narzuconego tematu, a więc i nie nasuwają konkretnego obrazu. Dzięki, Ala, że mimo to (i mimo moich mętnych odpowiedzi na pytanie „co byśmy chcieli na tej okładce”) stworzyłaś dla nas znakomitą ilustrację.

Nad audiodeskrypcją, jak już od kilku lat, czuwał Marcin Opolski ze

wsparciem eksperckim Magdaleny Rutkowskiej. Dzięki Wam możemy stawić krok w stronę otwartości i inkluzywności – i za to serdeczne dzięki.

Słowa wdzięczności należą się Annie Dudało, za wsparcie nas radami w zakresie składu. Nie wiem, jak to robisz, że lubisz tę część pracy nad antologią, ale cieszę się, że od lat mamy Cię w ekipie.

Za projekt layoutu odpowiadają Agencja Emotion Media i Mariusz Gawrysiak. Dziękujemy za zgodę, by wykorzystać go również w tym roku.

Obsługę informatyczną i księgową oraz dystrybucję zawdzięczamy firmie Agile IT Michał Rybiński.

Bardzo cieszę się, że już drugi raz mogliśmy liczyć również na przedmowę Oli Kłęczar, która jest nie tylko pisarką i redaktorką Nowej Fantastyki, ale również wieloletnią członkinią społeczności portalu fantastyka.pl. Twoje spojrzenie na teksty cenią czytelnicy, ale też autorzy – jestem tego pewna.

Rekomendacje na okładce napisały dla nas Sonia Korta i Mika Modrzyńska. Obie pisarki swego czasu były członkiniami portalowej Łoży i nie mam wątpliwości, że tym także możemy się szczycić. Dziękuję, dziewczyny.

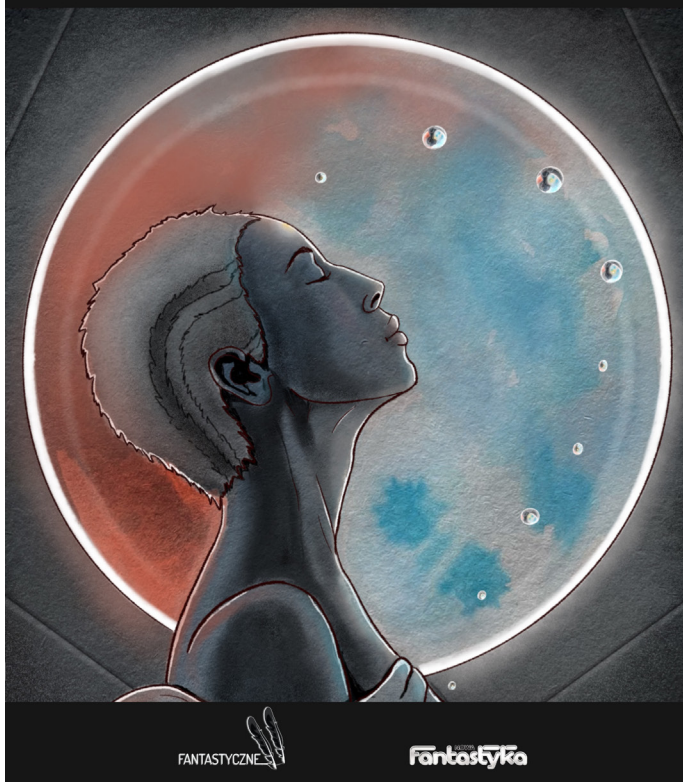
Mikę od razu pozwolę sobie wymienić jeszcze raz, bo razem z Wiktorem Matyszkiewiczem wnosi duży wkład w promocję Fantastycznych Piór na social mediach, za co należy im się pod nogi czerwony dywan.

Żeby taka inicjatywa jak wydanie antologii mogła się udać, za pierwszym planem muszą siedzieć ludzie, o których mówi się mniej, a to oni ciągną całe przedsięwzięcie. Takimi osobami dla Fantastycznych Piór już od lat są Radek Puchała i Michał Rybiński. Panowie, możliwość zadawania Wam losowych pytań i uzyskiwania szybkich odpowiedzi była nieocenioną pomocą. Wasz wkład i doświadczenie jest tym, co od lat spina projekt w sensowną całość. W tym miejscu ukłony również dla poprzednich redaktorów naczelnych, do których grona, poza Radkiem, należą Paweł Wąclawski i Krzysztof Rarocki. Utrzymywanie ciągłości antologii to niełatwa sztuka.

Jeszcze raz Wam wszystkim – dziękuję, że jesteście. Praca z Wami była dla mnie ogromną przyjemnością.

**Weronika Borek-Marciniec**  
redaktorka prowadząca

FANTASTYCZNE PIÓRA  
ANTOLOGIA PORTALU FANTASTYKA.PL  
2010-2017



[www.fantastyka.pl/antologia](http://www.fantastyka.pl/antologia)

FANTASTYCZNE PIÓRA  
ANTOLOGIA PORTALU FANTASTYKA.PL  
2018



FANTASTYCZNE 



[www.fantastyka.pl/antologia](http://www.fantastyka.pl/antologia)

FANTASTYCZNE PIÓRA  
ANTOLOGIA PORTALU FANTASTYKA.PL  
2019



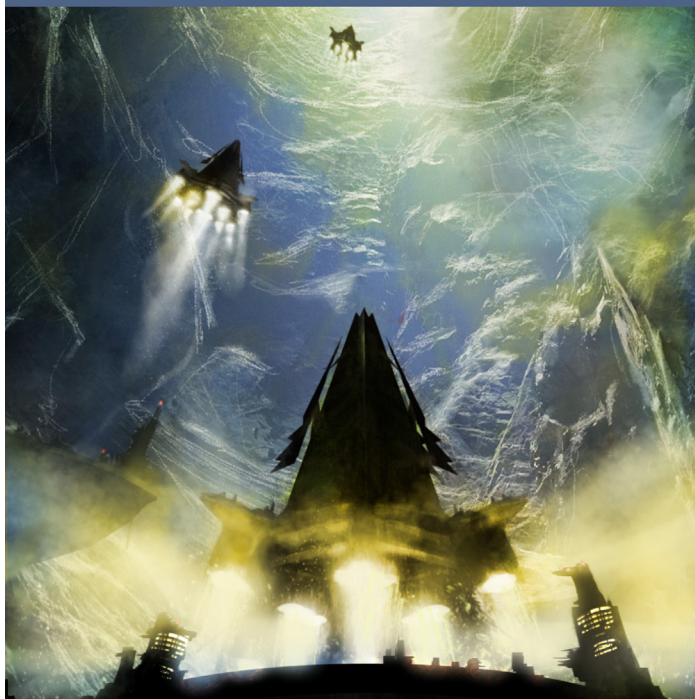
FANTASTYCZNE  


Fantastyka

[www.fantastyka.pl/antologia](http://www.fantastyka.pl/antologia)



FANTASTYCZNE PIÓRA  
ANTOLOGIA PORTALU FANTASTYKA.PL  
2020



FANTASTYCZNE 

**fantastyka**

[www.fantastyka.pl/antologia](http://www.fantastyka.pl/antologia)

FANTASTYCZNE PIÓRA  
ANTOLOGIA PORTALU FANTASTYKA.PL  
2021



FANTASTYCZNE 

Fantastyka

[www.fantastyka.pl/antologia](http://www.fantastyka.pl/antologia)

FANTASTYCZNE PIÓRA  
ANTOLOGIA PORTALU FANTASTYKA.PL  
2022



FANTASTYCZNE 

Fantastyka

[www.fantastyka.pl/antologia](http://www.fantastyka.pl/antologia)

**W przygotowaniu:**

**Fantastyczne pióra 2024**  
**Antologia portalu [fantastyka.pl](http://fantastyka.pl)**